

# DAWNY TCZEW

LUDZIE. MIEJSCA. WYDARZENIA.



# **DAWNY TCZEW**

## **LUDZIE. MIEJSCA. WYDARZENIA.**





# **DAWNY TCZEW**

## **LUDZIE. MIEJSCA. WYDARZENIA.**



**Praca zbiorowa pod redakcją  
Łukasza Brządkowskiego  
i Przemysława Zielińskiego**

# **Dawny Tczew. Ludzie. Miejsca. Wydarzenia.**

## **AUTORZY**

Łukasz Brządkowski, Gabriela Burclaw, Wojciech Giełdon, Jadwiga Koc-Kullas,  
Agata Warmbier, Przemysław Zieliński i Mirosław Zawadzki.

## **REDAKCJA**

Łukasz Brządkowski, Przemysław Zieliński

## **KOREKTA**

Przemysław Zieliński

## **OPRACOWANIE GRAFICZNE I PROJEKT OKŁADKI**

Tomasz Posorski

## **SKŁAD I ŁAMANIE**

GRAFIKO, Gdańsk

## **WYDAWCA**

 **PROLOG**

Jarosław Bartosiński

Tczew

e-mail: jarbart@vp.pl

Copyright © by Autorzy

Copyright © by  **PROLOG**

**ISBN:** 978-83-945220-0-1

**Wydanie I**

Tczew 2016

## Od autorów

Z wielką przyjemnością przekazujemy na ręce Czytelników książkę „**Dawny Tczew. Ludzie. Miejsca. Wydarzenia**”, która powstała z okazji jubileuszu 5 lat działalności portalu „**Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta**”. Nie jest to praca naukowa ani badawcza, choć na jej kartach przedstawimy kilka wcześniej nieznanych epizodów z dziejów miasta i najbliższej okolicy. Jest to publikacja popularnonaukowa, napisana przez pasjonatów historii lokalnej dla mieszkańców Ziemi Tczewskiej.

Jednym z głównych celów portalu Dawny Tczew jest promocja dziejów grodu Sambora. Ogromną rolę w jego realizacji odkrywają artykuły naszego autorstwa, publikowane na łamach lokalnej prasy. Naszym największym partnerem w tym dziele jest bez wątpienia „Gazeta Tczewska”, za co pragniemy serdecznie podziękować. Większość artykułów prezentowanych w tej publikacji, to rozwinięcie i uzupełnienie prac, które swoją premierę miały na łamach tej gazety. Innym lokalnym tytułem, w którym publikowaliśmy nasze artykuły, jest „Kociewski Kurier Tczewski”. Publikacje naszego autorstwa drukowano również w regionalnym miesięczniku „Nasza Historia” – dwa z nich Czytelnicy odnajdą w niniejszej książce.

Publikacja została podzielona na cztery działy, opisujące historię Tczewa z różnych punktów widzenia. Rozdział „**Ludzie**” skupia się na losach osób w różny sposób związanych z naszym miastem, „**Miejsca**” to charakterystyka mniej lub bardziej znanych lokalizacji miejskich, a „**Wydarzenia**” opisują, często niesamowite, zdarzenia z dziejów Tczewa. Czwarty rozdział poświęcony jest podsumowaniu pięciu lat działalności Dawnego Tczewa.

Publikacja została opracowana przez zespół w składzie: Łukasz Brządkowski, Gabriela Burclaw, Wojciech Giełdon, Jadwiga Koc-Kullas, Mirosław Zawadzki i Przemysław Zieliński. Każda z wymienionych osób miała różny, choć znaczny wkład w powstanie niniejszej publikacji. Ze względu na jej charakter, ogromny wkład w powstanie książki miały osoby zarejestrowane na forum Dawnego Tczewa. Każdy post umieszczony na stronie [www.dawnytczew.pl/forum](http://www.dawnytczew.pl/forum), mógł wzbogacić artykuł o nowe, nieznane wcześniej fakty. Każdy artykuł jest sumą takich informacji, uporządkowanych w oparciu o wiedzę zawartą w ogólnodostępnych publikacjach traktujących o dziejach Tczewa.

Książka powstała dzięki środkom finansowym Gminy Miejskiej Tczew i Starostwa Powiatowego w Tczewie, a także wsparciu Banku Spółdzielczego w Tczewie, Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Tczewie oraz Gdańskiej Spółdzielni Prac Usług Kominiarskich Oddział w Tczewie.



# SPIS TREŚCI

## I. Ludzie

|   |     |
|---|-----|
| Otto Andres. Jak skończył niemiecki zbrodniarz? .....                 | 13  |
| Bartłomiej z Boroszewa. Szpieg polski czy patriota pruski? .....      | 15  |
| Franciszek Burdak. „Kuba” z Armii Krajowej .....                      | 38  |
| Witold Conti. Tczewski epizod w życiorysie filmowego amanta .....     | 40  |
| Ludwig Dembski/Eichhart. Burmistrz o dwóch obliczach .....            | 43  |
| Alfred Eisenstaedt. Mistrz prasowej fotografii .....                  | 47  |
| Zbigniew Janowski-Zygmuntowicz. Bohater ze Szkoły Morskiej .....      | 49  |
| Norbert Juchtman i Jan Guderski. O dwóch takich, co wysadzili most .. | 51  |
| Władysław Sławomir Jurgo. Bohaterski harcerz .....                    | 55  |
| Michael Keogh. „Tczewski” Irlandczyk ratuje Hitlera .....             | 58  |
| Antoni Kwiek. „Cygański Król” aresztowany w Tczewie .....             | 61  |
| Michał Leszczyński-Lester. Malarz ze Szkoły Morskiej .....            | 64  |
| Fritz Emil Lüdecke. Wilk morski .....                                 | 68  |
| Mieczysław Łuszcz. Beznogi atleta w akcji .....                       | 72  |
| Willy Muscate. Przedsiębiorca i filantrop .....                       | 74  |
| Wojciech Piotrowski. Podporucznik z HMS Culver .....                  | 80  |
| Henryk Reuss von Plauen. Wielki Mistrz z Tczewa .....                 | 82  |
| Alojzy Swiniarski. „Kociewski Drzymała” .....                         | 92  |
| Stanisław Szczupak. Ostatni wartownik .....                           | 100 |
| Tczewskie ofiary Katynia .....  | 102 |

## **II. Miejsca**

|   |     |
|---|-----|
| Cegielnia miejska .....                                       | 107 |
| Cmentarze .....   | 110 |
| Dworce kolejowe .....   | 116 |
| Fabryka wafli w służbie germanizacji .....                    | 120 |
| Gazownia miejska .....  | 123 |
| Klasztor dominikański .....                                   | 127 |
| Królewski Zakład Budowy Maszyn .....                          | 130 |
| Niezrealizowane przedsięwzięcia .....                         | 136 |
| Ogrody działkowe .....  | 138 |
| Pod patronatem zabójcy smoka .....                            | 140 |
| Spółdzielnia Mieszkaniowa .....                               | 145 |
| Szubienica .....  | 149 |
| Tajemnice Parku Miejskiego .....                              | 151 |
| Targi, jarmarki i handel uliczny na staromiejskim rynku ..... | 157 |
| „Tczew” na morzach i oceanach .....                           | 160 |
| Towarzystwo „Żegluga Wisła-Bałtyk” .....                      | 165 |
| Wojsko w Tczewie .....  | 168 |

## **III. Wydarzenia**

|   |     |
|---|-----|
| Akcja „Wózek” .....                                   | 175 |
| Czy Mikołaj Kopernik odwiedził Tczew? .....           | 178 |
| „Dirschau” mknie po torach .....                      | 183 |
| Fałszywe brakteaty .....                              | 184 |
| Katastrofa na starym dworcu .....                     | 187 |
| Katastrofa samolotu MiG-21 na Czyżykowie .....        | 189 |
| Koronowane głowy i książęta na tczewskim dworcu ..... | 194 |
| Morskie tradycje Tczewa .....                         | 199 |
| Niebezpieczna ochrona cara .....                      | 204 |
| Odkrywcą Troi kontrabandzistą w Tczewie .....         | 207 |
| Ofiary Wisły .....                                    | 209 |

|  |     |
|--|-----|
| Otwarcie Mostu Tczewskiego .....         | 213 |
| Pierwsza polska bitwa .....              | 215 |
| Pierwszy tydzień wolności .....          | 220 |
| Pochodzenie nazwy Tczew .....            | 224 |
| Postrzeleni aktorzy .....                | 229 |
| Prawie jak Tczew .....                   | 232 |
| Prezydent Wojciechowski w Tczewie .....  | 234 |
| Przemytnicy waluty .....                 | 237 |
| Radni z kryminału .....                  | 240 |
| Święta Jadwiga wnuczką Sambora II .....  | 242 |
| Samoloty nad Tczewem .....               | 244 |
| Śmiercionośna mandolina .....            | 249 |
| Tajemnice tczewskiego września .....     | 255 |
| Tczewskie stopy .....                    | 259 |
| Uciekający król zostaje chrzestnym ..... | 263 |
| Wiedźmini ze Stanisławia .....           | 265 |
| Wyzwolenie? .....                        | 267 |

#### **IV. Dawny Tczew**

Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta.

|                                       |     |
|---------------------------------------|-----|
| Podsumowanie 5 lat działalności ..... | 275 |
| Kalendarium Dawnego Tczewa .....      | 280 |
| Odkrycia Dawnego Tczewa .....         | 288 |
| Noty o autorach .....                 | 296 |
| Podziękowania .....                   | 298 |



# **I. LUDZIE**





# **Otto Andres.**

## **Jak skończył nazistowski zbrodniarz?**

**Czy współodpowiedzialny za zbrodnie wojenne w Tczewie, Pelplinie i Szymankowie Otto Andres, prawa ręka gauleitera Pomorza Alberta Forstera, zginął na szafocie w tczewskim więzieniu, czy raczej umarł przez nikogo niepokojony w RFN trzydzieści lat po wojnie?**

Otto Andres (ur. w 1902 r. w Cyganku na Żuławach) od 1930 r. był członkiem NSDAP oraz wysoko postawionym członkiem SA. Pełnił również funkcje administracyjne jako landrat powiatu Wielkie Żuławy z siedzibą w Nowym Stawie, a we wrześniu i październiku 1939 r. przejściowo szefa partii nazistowskiej w Tczewie. Od stycznia 1940 r. do marca 1941 r. był zastępcą Forstera na stanowisku gauleitera. W związku z konfliktem, jaki wybuchł między nimi, zaciągnął się do Wehrmachtu, w którym spędził resztę wojny.

Jak wynika z informacji zawartej w książce „Dzieje Tczewa w latach 1939–1965” Stefana Linowskiego, powołującego się w przypisie na książkę Rudolfa Gamma „Swastyka nad Gdańskiem”, Andres za zbrodnie w Szymankowie i Pelplinie został osądzony i skazany na śmierć. Wyrok miano wykonać poprzez powieszenie na placu więziennym w Tczewie w 1946 r. Tymczasem informacje przekazane przez Jana Daniluka z Biura Edukacji Publicznej Instytutu Pamięci Narodowej mówią co innego. Andres dostał się do niewoli

brytyjskiej, a po 1945 r. został przekazany stronie polskiej. Jako współodpowiedzialny za rozstrzeliwanie Polaków w koszarach w Tczewie i księży z Pelplina został skazany na 15 lat więzienia. W 1956 r. objęty został amnestią, opuścił więzienie i wyjechał do RFN, gdzie zmarł 31 stycznia 1975 r. w Bad Dürkheim.

Tak znaczna rozbieżność zaskakuje. Dzięki poszukiwaniom w niemieckich archiwach udało się ostatecznie ustalić, że Andres nie zakończył życia na tczewskim szafocie. Świadczy o tym m. in. jego zeznanie jako świadka z 14 grudnia 1961 r., spisane w Prezydium Policji w Bad Dürkheim (Nadrenia-Palatynat). Tam też zmarł 31 stycznia 1975 r.

Otto Andres nie był jedynym hitlerowcem odpowiedzialnym za mordy na ludności polskiej, który de facto uniknął kary. Wielu z nich zniknęło z naszego kraju pod koniec działań wojennych, a władze ówczesnej Polski zajęte zwalczaniem niepodległościowego podziemia nie dołożyły wystarczających starań do ich schwytania. Próbowano to naprawić pod koniec lat sześćdziesiątych, jednak w ogromnej większości przypadków na wymierzenie sprawiedliwości było już za późno.

**Opracował Przemysław Zieliński**

# **Bartłomiej z Boroszewa. Szpieg polski czy patriota pruski?**

**W majestatycznym ogromie fromborskiej katedry, przed pospiesznymi spojrzeniami zwiedzających skrywa się unikalne arcydzieło średniowiecznego malarstwa, eksponowane na południowej ścianie prezbiterium, epitafium kanonika i dziekana kapituły warmińskiej Bartłomieja Boreschowa, jedyne w Polsce gotyckie tondo – obraz w kształcie koła.**

Patrząc na przedstawionego na skraju kompozycji, klęczącego w pokorze fundatora, polecanego przez św. Marię Magdalenę opiece Madonny z Dzieciątkiem królującej w Ogrodzie Rajskim, alegorycznie wyobrażonym jako winna altana pośród zielnej łąki, trudno uwierzyć, że ze zdumiewającego swym realizmem portretu spogląda postać niezwykła – jedna z tych, które zmieniły bieg historii.

Bartłomiej pochodził z pieczętującego się herbem Chomąto rycerskiego rodu Cegenberg, wywodzącego się z ziemi chełmińskiej i mającego korzenie czeskie. Przyszedł na świat w Boroszewie, w ówczesnym wójtostwie tczewskim, około roku 1360, przeszło pół wieku po zbrojnym wcieleniu tych ziem do państwa zakonu krzyżackiego. Na pewno wiadomo tylko, że nie był jedynym dzieckiem Piotra z Boroszewa, a obrana droga życiowa może świadczyć, że nie był też jego pierwotnym potomkiem. Wstąpił na długą, wymagającą wiele wysiłku, jak i środków finansowych, ścieżkę prowadzącą do zdobycia

wykształcenia dającego rozległe możliwości kariery urzędniczej i duchownej. U jej początku musiała być parafialna szkoła elementarna, a następnie zapewne *studium particulare* – zapewniająca gruntowną znajomość łaciny szkoła średnia przykatedralna lub przyklasztorna, być może ta prowadzona przy tczewskim konwencie dominikanów, która do połowy XV w. otworzyła drzwi europejskich uniwersytetów kilkudziesięciu uczniom z Tczewa i okolic.

Pierwszym etapem prowadzącym do wyższego wykształcenia były studia na wydziale sztuk wyzwolonych w zakresie *trivium* – gramatyki, retoryki i dialektyki, a następnie *quadrivium* – arytmetyki, geometrii, muzyki i astronomii. Opanowanie materiału wymaganego do pierwszego stopnia uniwersyteckiego – bakałarza, uzyskiwanego przez nie więcej niż trzecią część studentów, zajmowało od dwóch do trzech lat. Po złożeniu egzaminu i uzyskaniu promocji bakałarze mogli kontynuować naukę, przy czym zobowiązani byli do prowadzenia niektórych rodzajów zajęć. Ukończenie studiów na wydziale sztuk zajmowało nie mniej niż kolejne dwa lata i uwieńczone było stopniem licencjata oraz uzyskaniem *licentia ubique docendi* – prawa do nauczania na wszystkich europejskich uniwersytetach.

4 lutego 1381 r. promocję na licencjata wydziału sztuk Uniwersytetu Karola w Pradze otrzymał, utożsamiany przez wielu badaczy z Bartłomiejem z Boroszewa, niejaki Bartholomeus de Prussia – Bartłomiej z Prus. Chociaż licencjat uzyskiwało niewiele ponad 5 proc. studentów, ukończenie wydziału sztuk nie przynosiło znaczących korzyści finansowych. Dlatego wielu z nowo promowanych starało się o pozostanie na uniwersytecie. Po uzyskaniu zgody gildii nauczycielskiej na przyjęcie w poczet nauczających i przedstawieniu wykładu inicjującego – *inceptio*, absolwent nabywał prawo do używania tytułu magistra.

29 grudnia 1381 r. Bartłomiej z Prus wszedł do grona magistrów wydziału sztuk uniwersytetu praskiego i przyjęty został pod opiekę naukową przez magistra Alberta Engelschalka, późniejszego dziekana wydziału teologii i rektora uniwersytetu. Nowo promowani magistrowie zobowiązani byli do nauczania na uniwersytecie przez okres co najmniej dwóch lat, który wykorzystywali zazwyczaj do równoczesnego realizowania kolejnego etapu



studiów na jednym z wydziałów wyższych – teologii, prawa lub medycyny. Najprawdopodobniej już w Pradze, Bartłomiej rozpoczął zgłębianie wiedzy, która stała się jego życiową pasją – medycyny. Obowiązujące w ówczesnej Europie cesarskie i papieskie regulacje prawne wymagały od kandydatów na lekarzy pięcioletnich studiów medycznych, poprzedzonych co najmniej trzyletnimi studiami przygotowawczymi w zakresie sztuk wyzwolonych. Dla kandydatów legitymujących się licencjatem sztuk, statuty uniwersyteckie dopuszczały studia czteroletnie. Roczna praktyka odbywana pod kierunkiem znanego lekarza była dodatkowym wymaganiem stawianym przez przodujące w medycynie ośrodki, do jakich należała Padwa, gdzie Bartłomiej zdecydował się kontynuować swoje studia. Obejmowały one medycynę teoretyczną opartą na dziełach Avicenny, Hipokratesa i Galena, medycynę praktyczną zajmującą się leczeniem chorób wewnętrznych oraz chirurgię.

18 grudnia 1386 r. Bartłomiej z Prus, syn Piotra z Boroszewa, złożył wymagany egzamin i uzyskał stopień licencjata wydziału medycznego uniwersytetu w Padwie. Mimo iż licencjat medycyny przyznawał *licentia medendi* – prawo do prowadzenia praktyki lekarskiej, Bartłomiej na tym nie poprzestał i w kwietniu 1387 r. uwieńczył swoje studia w Padwie doktorem z medycyny, dającym prawo nauczania i prowadzenia wykładów na wszystkich uniwersytetach – *licentia legendi ubique terrarum*. Nie można wykluczyć, że po zakończeniu studiów, Bartłomiej nauczał przez parę lat na padewskiej uczelni, choćby po to, aby pokryć niemałe koszty promocji doktorskiej, która dla osób bez znacznych dochodów własnych ani też istotnego wsparcia ze strony rodziny czy bogatych krewnych, wiązała się zazwyczaj z koniecznością zadłużenia.

Po powrocie do Prus zdecydował się połączyć powołanie lekarskie z karierą duchowną. Jakkolwiek zdobyte wykształcenie dawało przygotowanie w zupełności do niej wystarczające, to jednak dla kogoś niewysokiego rodu, samodzielne jej rozpoczęcie, bez protekcji czy właściwych koneksji, nie było sprawą łatwą. Pomóc mogły tu Bartłomiejowi znajomości, a może nawet przyjaźnie, nawiązane na uniwersytecie w Pradze, który należał wtedy do uczelni częściej wybieranych przez studentów z Prus. Był

wśród nich, studiujący zapewne z Bartłomiejem, pochodzący z Dzierżonia kanonik kapituły pomezańskiej Jan Rymann, który w roku 1382 zdobył bakalaureat wydziału sztuk, a następnie kontynuował studia na wydziale prawa, uzyskując bakalaureat w roku 1386, a rok później stopień doktora prawa kanonicznego. Po powrocie do Kwidzyna wybrany został przez kapitułę jej przewodniczącym – prepozytem. Być może to dzięki jego wstawiennictwu u biskupa pomezańskiego Jana Möncha, Bartłomiej, dostrzeżony jako cenny, a nieczęsty w Prusach specjalista, mógł po przyjęciu święceń kapłańskich objąć probostwo zasobnej miejskiej parafii pod wezwaniem swojego imiennika w Pasłęku.

Biskupstwo pomezańskie wraz z jego kapitułą, włączone pod koniec XIII wieku do zakonu krzyżackiego, gromadziło dla niego kadry wykształconych specjalistów, niezbędnych dla zakonnego państwa – administratorów, prawników, lekarzy czy też teologów. Prepozyt kapituły Jan Rymann był doradcą prawnym wielkich mistrzów Konrada von Wallenrode i Konrada von Jungingen. W roku 1387 do grona kanoników przyjęty został, obrany rok później dziekanem kapituły, były dziekan wydziału sztuk uniwersytetu w Pradze oraz doktor i wykładowca wydziału teologii – Jan z Kwidzyna. Był on duchowym przewodnikiem oraz biografem mistyczki i stygmatyczki Doroty z Mątówów, przebywającej w pustelni przy katedrze kwidzyńskiej w latach 1391–1394. Rozpoczęte wkrótce po jej śmierci, zainicjowane przez wielkiego mistrza Konrada von Jungingen, starania o kanonizację pustelnicy z Kwidzyna, wsparła, w liście wystosowanym w 1395 r. do papieża Bonifacego IX, grupa uczonych z Prus. Wśród dziewięciu sygnatariuszy pisma znalazł się także pleban z Pasłęka – „Bartolomeus de Burschow”.

Niewątpliwie działalność lekarska oraz publiczna aktywność Bartłomieja zjednywały mu coraz szersze uznanie i wzbudziły zainteresowanie kolejnych wpływowych protektorów – dostojników zakonu krzyżackiego. Trapiiony kamicą nerkową biskup pomezański Jan Mönch musiał być niewątpliwie żywo zainteresowany w utrzymaniu w swojej diecezji cenionego lekarza. Nie mogąc uzyskać dla Bartłomieja kanonikatu kapituły pomezańskiej, dostępnego na mocy statutów wyłącznie dla członków zakonu krzyżackiego,

15 września 1395 r. utworzył z dochodów kapituły, przyznane dożywotnio magistrowi Bartłomiejowi, beneficjum w formie nie wymagającego rezydencji wikariatu z uposażeniem 10 grzywien rocznie, co stanowiło wówczas równowartość dobrego konia wierzchowego.

Możliwości zakonu były jednak dużo większe. W roku 1398, z rekomendacji wielkiego mistrza, Bartłomiej objął probostwo najbogatszej w diecezji warmińskiej i jednej z najbogatszych w całych Prusach parafii Starego Miasta Elbląga pod wezwaniem św. Mikołaja. Dodatkowo przyznano mu, wypłacane z kasy wielkiego mistrza, uposażenie w wysokości 20 grzywien rocznie. Wiązało się ono zapewne z posługą lekarską świadczoną samemu wielkiemu mistrzowi Konradowi von Jungingen i osobom z jego dworu. Za leki zaordynowane przez Bartłomieja w roku 1398, aptekarz z Elbląga otrzymał z kasy wielkiego mistrza niemałą kwotę 20 grzywien. Leczył też Bartłomiej, przybywających z Europy na „krucjaty” przeciwko Litwinom, gości zakonu takich jak książę Geldrii Wilhelm I, do którego w roku 1399 z polecenia komtura królewieckiego podróżował dwukrotnie – do Słupska oraz Królewca, za co, z tytułu poniesionych kosztów, wypłacono lekarzowi 5 grzywien z kasy zakonu.

Nowe perspektywy otworzyła przed Bartłomiejem zmiana na tronie biskupstwa warmińskiego, które było nie tylko największym w państwie zakonnym, lecz także jedynym, w którym biskup i jego kapituła do zakonu nie należeli. W styczniu 1401 r., po śmierci biskupa Henryka Sorboma, kapituła warmińska niezwłocznie i jednomyślnie wybrała następcą zmarłego biskupa jego długoletniego i zaufanego współpracownika – Henryka Vogelsanga. Ten rówieśnik Bartłomieja, syn piekarza Wicharda, mieszcza- nina z Lidzbarka Warmińskiego, był początkowo kapelanem biskupa Sorboma. Od roku 1382 studiował na wydziale prawa uniwersytetu w Pradze, uzyskując bakalaureat prawa kanonicznego w roku 1386. Po powrocie na Warmię pełnił do 1391 r. wpływowy urząd oficjała – biskupiego wikariusza sądowego, a następnie objął kanonikat kapituły warmińskiej. W niespełna rok po przyjęciu przez Henryka Vogelsanga święceń biskupich, Bartłomiej, który nowemu zwierzchnikowi warmińskiej diecezji był zapewne

dobrze znany jeszcze z czasów uniwersyteckich, uzyskał kanonikat we Fromborku, z rocznym dochodem wynoszącym 30 grzywien. Niedługo potem, zapewne jeszcze w tym samym 1402 r., objął przynoszącą 50 grzywien rocznej prebendy prałaturę dziekana, formalnie odpowiedzialnego za wewnętrzną administrację kapituły. Wobec stałej rezydencji tytularnego prepozyta w Rzymie, Bartłomiej, jako dziekan, faktycznie pełnił funkcję przewodniczącego kapituły.

Staranne wykształcenie uzyskane podczas wieloletnich, zagranicznych studiów oraz zaufanie dostojników zakonu krzyżackiego, jakie zdobył w czasie swojej lekarskiej praktyki, sprawiły, że zaczęto powierzać mu odległe od jego zawodowych kwalifikacji, lecz mające równie delikatną naturę obowiązki dyplomatyczne. Najprawdopodobniej pierwszą taką misją Bartłomieja była podróż do Krakowa w grudniu 1403 r., którą odbył z polecenia komtura toruńskiego Fryderyka von Wenden. Mogła ona mieć związek z przygotowaniami do układu pokojowego między zakonem krzyżackim a połączonymi unią Polską i Litwą, jaki zawarty został w maju 1404 r. na kępie wiślanej pod Raciążkiem na Kujawach. Król Władysław Jagiełło i wielki książę Litwy Witold oraz wielki mistrz zakonu krzyżackiego Konrad von Jungingen ratyfikowali wcześniejsze traktaty pokojowe zawarte między Polską i Litwą a państwem zakonu krzyżackiego oraz potwierdzili ich wieczysty charakter. Jednocześnie wielki mistrz zrzekł się wszelkich pretensji do Litwy i zgodził na wykup przez króla Jagiełłę ziemi dobrzyńskiej, posiadanej przez zakon tytułem zastawu, a książę Witold potwierdził odstąpienie zakonowi Żmudzi.

Podczas wizyty w Krakowie Bartłomiej prawdopodobnie spotkał się z jednym z najbliższych współpracowników króla Władysława Jagiełły, jego zaufanym dyplomatą i głównym doradcą w zagadnieniach krzyżackich, ówczesnym arcybiskupem gnieźnieńskim Mikołajem Kurowskim, którego mógł znać jeszcze jako studenta uniwersytetu w Pradze, gdzie w roku 1385 Mikołaj z Kurowa herbu Śreniawa uzyskał bakalaureat sztuk, a w cztery lata później magisterium. Zapewne oparte na dawnej znajomości zaufanie zaowocowało bliską i długoletnią sekretną współpracą na

niwie politycznej, rozpoczętą przez Bartłomieja wbrew swoim zakonnym mocodawcom i ich pełnomocnictwom. Jako osoba ulokowana w samym centrum decyzyjnym zakonnego państwa, mająca wgląd zarówno w jego polityczne jak i personalne tajemnice, stał się bezcennym atutem kierowanej przez swojego uniwersyteckiego kolegę królewskiej dyplomacji, przygotowującej decydującą rozgrywkę z zakonem.

W zakonnej stolicy uznać musiano, iż Bartłomiej dobrze wywiązał się z powierzonych zadań, gdyż jego związki z dworem wielkiego mistrza wyraźnie się zacieśniają. W styczniu 1406 r. gościł u przebywającego wówczas w położonym nad Zalewem Wiślanym Fedderau w komturii bałgijskiej, wielkiego marszałka Ulryka von Jungingen, który wobec widocznych postępów choroby wielkiego mistrza Konrada von Jungingen, dręczonego nasilającą się kamicią nerkową, konsultował z Bartłomiejem pogarszający się stan zdrowia swojego brata. Pomimo, że Bartłomiej nie czynił złudnych nadziei na jego uleczenie, na początku lutego 1406 r., z rekomendacji wielkiego marszałka, przejął faktycznie obowiązki osobistego lekarza wielkiego mistrza. Już w lutym 1406 r. oficjalny lekarz nadworny Mikołaj Birghayn udał się do Gdańska po lekarstwa przepisane wielkiemu mistrzowi przez Bartłomieja.

Praktyka lekarska prowadzona na dworze w Malborku umacniała pozycję Bartłomeja. Potwierdza to decyzja biskupa Henryka Vogelsanga, który w marcu 1406 r. wystawił mu list polecający do wielkiego mistrza, jako swojemu wysłannikowi w sprawach diecezji warmińskiej. Poza wielkim mistrzem, pacjentami Bartłomeja byli także urzędnicy zakonni jak podskarbi malborski i zarządca spichrzów oraz dworzanie z malborskiego dworu. W styczniu 1407 r. elbląski aptekarz Mikołaj otrzymał za zamawiane przez Bartłomieja lekarstwa przeszło 10 grzywien.

Aczkolwiek w średniowieczu znane były wywodzące się ze starożytności chirurgiczne metody leczenia niektórych rodzajów kamicy nerkowej, to kompetencje kwalifikowanych lekarzy, ograniczone były do zagadnień internistycznych. Operowania chorych na kamicię zabraniała im zwłaszcza ówczesna przysięga Hipokratesa, nakazująca pozostawienie tego zabiegu chirurgom. Ponadto Bartłomiej jako osoba duchowna nie powinien był mieć



bezpośredniego kontaktu z krwią pacjentów. Jednak w przypadku mistrza Konrada nawet wspólne wysiłki doktora Bartłomieja i doświadczonego krzyżackiego chirurga Wachsmuta miały okazać się daremne. Bartłomiej towarzyszył mistrzowi Konradowi do końca, otaczając go opieką i zapewne skutecznie niosąc ulgę w cierpieniu, z jakim musiał zmagać się on w ostatnich miesiącach życia. Niewiele starszy od Bartłomieja Konrad von Jungingen, zmarł 30 marca 1407 r., wkrótce po święcie Wielkanocy. Mimo, że w średniowieczu śmierć pacjenta, zwłaszcza wysoko postawionego, bywała niebezpieczna dla jego lekarza, to jednak sumienne starania obydwu medyków zostały sowicie, choć adekwatnie do ich pozycji, wynagrodzone – chirurga Wachsmuta kwotą 5, a doktora Bartłomieja – 8 grzywien. Natomiast oficjalny lekarz nadworny, Mikołaj Birghayn, został na swoje szczęście odprawiony jeszcze 21 marca, z obniżonym wynagrodzeniem.

Już w maju wielki marszałek Ulryk von Jungingen zwrócił się do wielkiego szpitalnika i komtura elbląskiego Wernera von Tettingen, sprawującego tymczasowo obowiązki namiestnika wielkiego mistrza, z prośbą o pilne przysłanie doktora Bartłomieja do Królewca. Lekarzowi, który ofiarną posługą oddaną zmarłemu mistrzowi zyskał bezgraniczne zaufanie jego brata, zlecono zadanie z pozoru jedynie o medycznym charakterze. W czerwcu i lipcu Bartłomiej leczył przybyłego na kurację do Fromborka bliskiego współpracownika księcia Witolda – Stanisława Czupurnę, pełniącego urząd marszałka Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ulryk von Jungingen kontynuował, rozpoczętą przez swojego brata, subtelną rozgrywkę dyplomatyczną o pozyskanie przychylności ambitnego księcia Litwy i rozbicie polsko-litewskiej unii. Bartłomiej po raz kolejny dowiódł posiadanego kunsztu w sztuce medycznej, skutecznie lecząc litewskiego marszałka, co przez nowego wielkiego mistrza – Ulryka von Jungingen, docenione zostało hojną nagrodą 60 grzywien oraz stanowiskiem nadwornego lekarza z wynagrodzeniem wynoszącym 70 grzywien rocznie – przeszło trzykrotnie większym od uposażenia poprzedniego nadwornego medyka.

Znakomite zdrowie jakim, w odróżnieniu od swojego brata, cieszył się nowy wielki mistrz nie przysparzało pracy Bartłomiejowi, stąd też

swoje medyczne kwalifikacje spożytkowywał lecząc pomniejszych dworskich dostojników oraz pensjonariuszy malborskiej infirmerii – zakonnego przytułku dla dożywających swoich dni krzyżackich braci. Mistrz Ulryk korzystał głównie z doświadczenia swojego medyka w kontaktach dyplomatycznych. W styczniu 1408 r. Bartłomiej towarzyszył wielkiemu mistrzowi na zjeździe w Kownie, podczas prowadzonych z królem Władysławem Jagiełłą obrad dotyczących rozstrzygnięcia, przy pośrednictwie obranego na rozjemcę wielkiego księcia Witolda, sporu o bezprawnie przejęte przez zakon krzyżacki zamki w Drezdenku i Santoku, leżące na pograniczu Wielkopolski i krzyżackiej Nowej Marchii. Niewykluczone, iż Bartłomiej mógł wówczas po raz kolejny spotkać się z obecnym tam również arcybiskupem Mikołajem Kurowskim.

Wiosną 1409 r. Bartłomiej otrzymał w charakterze dodatkowego wynagrodzenia 8 błamów futrzanych o wartości 6 grzywien. Być może z jednego z nich wykonana została elegancka pelerynka z popielic, w jakiej sportretowany został na swoim epitafium.

W maju 1409 r. wielki mistrz przejeżdżając przez Frombork w drodze do Kłajpedy, najprawdopodobniej zabrał swojego lekarza w kolejną dyplomatyczną podróż, podjętą w związku z zaogniającą się sytuacją na Żmudzi, wspieranej przez Witolda w oporze przeciwko zakonowi. Już po wybuchu na Żmudzi otwartego powstania przeciwko zakonowi, na początku lipca Bartłomiej, zaopatrzywszy malborską aptekę w sprowadzone z Gdańska medykamenty, ponownie wyruszył wraz z wielkim mistrzem do Kłajpedy i Ragnety. Stąd razem z ragneckim komturem, najpewniej Helferichem von Drache, posłował do wielkiego księcia Witolda, aby przedstawić mu zarzuty dotyczące jego sojuszy zawieranych przeciwko zakonowi z „niewiernymi” – Rusinami i Tatarami.

Jakkolwiek nie istnieją żadne dowody wcześniejszych kontaktów, ani też jakiegokolwiek współpracy Bartłomieja z arcybiskupem Kurowskim, to jednak wydarzenia z początku wielkiej wojny między Królestwem Polskim i Litwą a zakonem krzyżackim wydają się taką współpracę potwierdzać. 6 sierpnia 1409 r., podczas wizyty kierowanego przez arcybiskupa

Kurowskiego polskiego poselstwa, którego formalnym celem było przedstawienie zakonowi propozycji wniesienia krzyżacko-litewskiego konfliktu na Żmudzi pod sąd rozjemczy, wielki mistrz Ulryk von Jungingen, umiejętnie sprowokowany przez wytrawnego królewskiego dyplomatę, oficjalnie wypowiedział wojnę Królestwu Polskiemu. W połowie sierpnia zakon rozpoczął równoczesne działania zbrojne w Wielkopolsce, na Kujawach i w ziemi dobrzyńskiej, gdzie błyskawicznie opanował ważne nadgraniczne zamki w Dobrzyniu, Bobrownikach i Złotorii. Pod koniec sierpnia, jeszcze w trakcie oblężenia przez wojska zakonne zamku w Bobrownikach, arcybiskup Kurowski zwrócił się do wielkiego mistrza z propozycją rozejmu, która wobec odnoszonych przez zakon sukcesów została odrzucona. Po opanowaniu przez wojska zakonne całej ziemi dobrzyńskiej oraz odniesieniu przez nie kolejnego spektakularnego zwycięstwa na Kujawach – zajęciu bez walki posiadającej strategiczne znaczenie Bydgoszczy, arcybiskup Kurowski złożył przebywającemu w Toruniu wielkiemu mistrzowi kolejną ofertę rozejmu. Poprzez swojego wysłannika królewski dyplomata poprosił o przysłanie do rezydencji arcybiskupiej w Uniejowie, w celu rozpoczęcia rokowań, mistrza Bartłomieja dziekana warmińskiego, „co da nadzieję, aby doprowadzić wszystkie sprawy do dobrego końca”.

Ulryk von Jungingen zgodził się wyprawić swojego zaufanego współpracownika do odległego od Torunia o dobrych kilka dni drogi zamku arcybiskupów gnieźnieńskich, gdzie po dłuższych naradach uzgodniono warunki rozejmu, które Bartłomiej przedstawił 24 września przebywającemu w Radzynie Chełmińskim wielkiemu mistrzowi. Wieczysty pokój między Królestwem Polskim a zakonem miał zostać przywrócony, jeżeli król Polski zaprzestanie udzielać pomocy księciu Witoldowi, niewiernym i innym wrogom zakonu, a o przyszłości zdobytych przez zakon ziem rozstrzygnie arbitraż króla Czech. Wkrótce Bartłomiej ponownie udał się do Uniejowa wioząc arcybiskupowi zgodę wielkiego mistrza na otrzymaną propozycję. Ratyfikacja porozumienia miało nastąpić w Toruniu, gdzie arcybiskup Kurowski miał stawić się po uzyskaniu zgody króla i rady koronnej, lecz ku zaskoczeniu dostojników zakonu nie pojawił się. Warunki porozumienia

były dla strony polskiej od samego początku nie do przyjęcia, a przewlekłe negocjacje stanowiły elementy skomplikowanej gry toczonej przez Mikołaja Kurowskiego, zapewne wspólnie z mistrzem Bartłomiejem, aby zyskać dla króla bezcenny czas. Gdy Bartłomiej przekazywał arcybiskupowi aprobatę wielkiego mistrza, prowadzone przez Władysława Jagiełłę wojska koronne rozpoczynały właśnie oblężenie zajętej przez zakon Bydgoszczy.

Choć pozostanie to zapewne jedynie spekulacją, nie można wykluczyć, że zbieżna w czasie z prowadzonymi negocjacjami, nagła i zagadkowa śmierć najwyżej postawionego agenta zakonnego działającego w Królestwie Polskim, starosty generalnego Wielkopolski Tomka z Węgleszyna, nie była wynikiem informacji przekazanych przez mistrza Bartłomieja, mającego dzięki swojej pozycji wgląd w najpilniej strzeżone tajemnice zakonu.

Nic z tego nie zostało jednak dostrzeżone przez zakonne władze, gdyż w końcu września wypłacono Bartłomiejowi zwyczajowy zwrot poniesionych w czasie podróży wydatków, skrupulatnie obliczonych na 2 grzywny i 6 szelągów, a pod koniec października zakupiono dla niego, za pośrednictwem elbląskiego komtura, szarego wierzchowca wartego 11 grzywien, rekompensując zapewne w ten sposób rzeczywiste koszty wrześniowej ekspedycji.

Działalność Bartłomieja po grunwaldzkiej klęsce zakonu, gdy państwo zakonne praktycznie przestało istnieć, a jego stolica – Malbork, oblegana była przez polsko-litewską armię, oglądana być może niestety jedynie w krzywym zwierciadle oszczerczych zarzutów, wysuwanych przeszło dwa lata po wojnie przez nowego wielkiego mistrza Henryka von Plauen, bezwzględnie dążącego do przejęcia kontroli nad dobrami i dochodami warmińskiego biskupstwa i jego kapituły.

Bartłomiej znalazł się w Malborku zanim jeszcze 18 lipca dotarł tam ze swoimi wojskami ówczesny komtur Świecia Henryk von Plauen, któremu los oszczędził udziału w bitwie jak i pogrunwaldzkiej traumy, otwierając jednocześnie nieoczekiwaną szansę na sięgnięcie po najwyższy urząd w gwałtownie opustoszałym z dostojników zakonie. Zamianowawszy się namiestnikiem – zastępcą wielkiego mistrza, ambitny i energiczny komtur przystąpił do organizowania obrony zakonnej stolicy przed niespiesznie nadciągającą armią

polsko-litewską. Do najbardziej palących problemów należało jak najszybsze ściągnięcie posiłków umożliwiających skuteczną obronę rozległego zamkowego kompleksu, jak też zapewnienie kontroli nad Gdańskiem – ostatnim portem w zachodniej części kraju, który jeszcze pozostawał przy zakonie.

Dlatego też do Gdańska, rzekomo z własnej inicjatywy, choć najpewniej z rozkazu Henryka von Plauen, udał się mistrz Bartłomiej, którego dyplomatyczne talenty wraz z otrzymanymi niemałymi środkami w wysokości tysiąca grzywien miały zapewnić powodzenie planów samozwańczego namiestnika. Jakkolwiek Gdańsk niezwłocznie wysłał do Malborka sporą pomoc – kilkuset zaprawionych w wojennym rzemiośle marynarzy z własnym uzbrojeniem, którzy wkrótce mieli dać się we znaki oblegającym, to jednak początkowa lojalność miasta wobec zakonu wygasła nadzwyczaj szybko i to pomimo braku zagrożenia ze strony zwycięskiej armii. Rada Miejska obsadziła swoimi oddziałami Wisłoujście i przejęła kontrolę nad portem. Zaciężnym i gościom zakonu, którzy w większości ranni schronili się w Gdańsku po grunwaldzkiej klęsce, rada nakazała opuszczenie miasta. Z trudem powstrzymano zajadłe ataki plebsu na uchodzących niedobitków. 5 sierpnia w obozie pod oblężonym Malborkiem przedstawiciele Rady Miejskiej złożyli hołd królowi Władysławowi Jagielle, a 8 sierpnia w Gdańsku, uroczyste witany starosta królewski Janusz z Tuliszkowa odebrał w imieniu króla przysięgę wierności od mieszkańców miasta.

Z Gdańska udał się Bartłomiej do króla polskiego by, według późniejszych zakonnych oskarżeń, dopuszczając się aktu jawnej zdrady służyć mu radą na szkodę zakonu. Paradoksalnie jednak, żadnemu z zakonnych zwierzchników Bartłomieja myśl o jego rzeczywistej działalności na rzecz polskiego króla najpewniej nigdy nawet nie przyszła do głowy, a wyjazd nastąpił raczej z polecenia samego Henryka von Plauen. Możliwe, że Bartłomiej znalazł się wśród jego wysłanników, których zdążający pod Malbork król przyjął w obozie pod Starym Targiem 24 lipca, w przeddzień rozpoczęcia oblężenia zakonnej stolicy. Ich oficjalnym celem było uzyskanie gwarancji bezpieczeństwa dla Henryka von Plauen, który zamierzał osobiście prowadzić z królem Władysławem Jagiełłą rokowania o pokój. Niemniej

ważnym, choć bardziej dyskretnym zadaniem poselstwa, było zapewne przekazanie królowi propozycji daleko idących ustępstw terytorialnych, którymi obrońca Malborka hojnie, choć nieszczerze, chciał okupić zakończenie wojny. Pomimo otwarcie demonstrowanej determinacji, Henryk von Plauen jako doświadczony wojskowy, musiał dobrze uświadamiać sobie swoje rzeczywiste szanse. Masywne zamkowe mury i baszty imponowały swym wyglądem lecz stanowiły słabą zaporę przeciwko pociskom ciężkiej oblężniczej artylerii, wydłużony charakter rozległych fortyfikacji utrudniał obronę przed znacznie przeważającym liczebnie przeciwnikiem, a zgromadzone naprędce zaopatrzenie nie gwarantowało obrońcom przetrwania długotrwałego oblężenia.

Zarzuty stawiane po wojnie Bartłomiejowi wskazują na jego obecność podczas spotkania Henryka von Plauen z królem Władysławem Jagiełłą, jakie miało miejsce na początku sierpnia pod oblężonym Malborkiem. Prośby o odstąpienie od oblężenia i zaprzestanie działań wojennych zostały przez króla odrzucone, tak jak i wcześniejsze kuszące propozycje terytorialnych ustępstw, których ostrożny von Plauen osobiście już nie powtórzył. Król poszukujący możliwości politycznego zakończenia konfliktu nie uznał samowolnego namiestnika za władnego do podejmowania w imieniu zakonu wiążących decyzji i zażądał bezwarunkowego poddania zamku, dobrze zdając sobie sprawę, że jest to dla dumnego Henryka von Plauen nie do przyjęcia.

Król nie zamierzał jednak przypuszczać szturm na zamek, chcąc uniknąć niepotrzebnej, a nieuniknionej w takim przypadku rzezi jego obrońców. Oblężnicza artyleria, zamiast kruszyć wyłomy w murach, unieszkodliwiała baszty oraz dewastowała dachy i okna zamkowych budynków, z wyjątkowym natężeniem ostrzeliwując Pałac Wielkiego Mistrza, gdzie w samej tylko sali Letniego Refektarza ulokowano kilka celnych trafień. Jeden z ważących blisko 70 kg pocisków, minąwszy jedyny podtrzymujący sklepienie sali filar, rykoszetował od posadzki i ugrzązł w ścianie nad kominkiem, gdzie decyzją Henryka von Plauen został wmurowany na stałe jako widomy znak czuwającej nad zakonem Opatrzności. Jednakże musiała ona równie hojnie obdarzać

łaską celnego trafienia królewskich puszkarzy, o czym świadczy podobny pocisk, który przez węższe o połowę okno spenetrował wnętrze i wbił się w ścianę położonej dwa piętra niżej pałacowej sutereny. Wykreowany przez Henryka von Plauen czarny wizerunek Bartłomieja sprawił, że jeszcze w XIX w. pruscy historycy to właśnie jego obarczali odpowiedzialnością za próbę zbrodniczego zamachu na niezłomnego namiestnika, który podczas narady ze swoimi rycerzami miał zostać wraz z nimi pogrzebany pod gruzami sklepienia Letniego Refektarza.

Rzeczywista działalność Bartłomieja podczas oblężenia Malborka mogła wiązać się z mediacją, jaką między królem Władysławem Jagiełłą, wielkim księciem Witoldem a mistrzem krajowym inflanckim zakonem Konradem von Vietinghoff prowadził, zapewne z polecenia króla, biskup warmiński Henryk Vogelsang. Wobec faktycznego rozkładu zakonnego państwa po grunwaldzkiej klęsce, 27 lipca uznał on zwierzchność polskiego władcy, składając mu przysięgę wierności w obozie pod oblężonym Malborkiem, jako trzeci z kolei biskup pruski, po biskupie pomezańskim Janie Rymannie, który ślubował wierność królowi już 24 lipca i biskupie sambijskim Henryku von Seefeld, który, mimo iż jego dobra znajdowały się daleko poza obszarem działań wojennych, hołdował królowi w tym samym dniu co biskup warmiński. Jako ostatni z biskupów pruskich, 20 sierpnia, uznał zwierzchnictwo króla polskiego biskup chełmiński Arnold Stapil.

Wbrew żądaniom wielkiego mistrza Ulryka von Jungingen, mistrz krajowy inflancki Konrad von Vietinghoff, mimo iż formalnie wypowiedział wojnę Litwie, faktycznie wstrzymał się od udziału w działaniach wojennych do końca obowiązywania rozejmu zawartego wiosną z wielkim księciem Witoldem. Dopiero pod koniec sierpnia, niezbyt liczne wojska inflanckiej gałęzi zakonu pod wodzą marszałka krajowego Hermana Vincke wylądowały w Królewcu. W rozstrzygniętej na zdecydowaną niekorzyść zakonu sytuacji militarnej, mistrz inflancki nie odważył się na zbrojną konfrontację z przybywającymi spod Malborka znacznie liczniejszymi wojskami polsko-litewskimi dowodzonymi przez księcia Witolda. 4 września marszałek inflancki wystosował do wielkiego księcia list, prosząc o spotkanie w celu znalezienia



politycznego rozwiązania dla zakończenia wojny. 8 września wojska obydwu stron stanęły na granicy Warmii, nad rzeką Pasłęką. Tam na terenie dóbr biskupa warmińskiego i przy jego pośrednictwie, doszło do osobistego spotkania wielkiego księcia Witolda z marszałkiem inflanckim i zawarcia dwutygodniowego zawieszenia broni. Nie obejmowało ono jednakże Malborka, do którego marszałek Vincke wraz z komturem Bałgi i niewielkim pocztem udał się w celu przedstawienia upartemu obrońcy zakonnej stolicy wstępnie ustalonych warunków rozejmu.

Pomimo, że źródła jako pośrednika w rozmowach rozejmowych wymieniają jedynie osobę biskupa warmińskiego Henryka Vogelsanga, trudno uwierzyć, iż nie skorzystał on z pomocy swojego zaufanego i posiadającego doświadczenie w podobnych misjach współpracownika, jakim był Bartłomiej z Boroszewa, zwłaszcza, że zapewne musieli spotkać się w lipcu w polskim obozie pod Malborkiem. Być może nawet to Bartłomiej z polecenia króla Jagiełły zainspirował swojego duchownego zwierzchnika do mediacji między stronami konfliktu.

19 września, jeszcze przed wygaśnięciem rozejmu, wojska królewskie odstąpiły od Malborka, niewątpliwie ratując jego obrońców od mało chwalebnej śmierci z rozstroju żołądka, do jakiej doprowadziłoby ich wkrótce odżywianie się parzonym żytem, którego sporych zapasów zalegających w malborskich spichrzach, z powodu spowodowanych oblężeniem zniszczeń, obrońcy nie mogli już przemielić na mąkę.

Mediacyjne zabiegi biskupa warmińskiego, które wyswobodziły Henryka von Plauen z rozpaczliwego położenia, nie spotkały się z jego zrozumieniem. Poszukując pretekstu do zagarnięcia bogatych dóbr jedyne go nie należącego do zakonu biskupstwa, malborski namiestnik oskarżył Henryka Vogelsanga o zdradę, co skłoniło biskupa do pospiesznego opuszczenia Prus w trosce o swoje życie. Pomimo to, na początku października Bartłomiej zdecydował stawić się przed Henrykiem von Plauen na zamku w Elblągu, niedawno odzyskanym z rąk polskiej załogi po krótkim oblężeniu przez siły zakonne. Na publicznym przesłuchaniu, w obecności dostojników i wysoko postawionych gości zakonu, w tym księcia Bawarii Henryka Bogatego, Bartłomiej



potrafił przekonująco odpowiedzieć na przedstawionemu przez namiestnika zarzuty i został z nich oczyszczony. Okazując pozory życzliwości, Henryk von Plauen przychylił się do prośby kapituły warmińskiej o zgodę na dalsze przewodniczenie jej przez Bartłomieja jako dziekana, w nadziei na wykorzystanie go w swoim planie podporządkowania zakonowi całości dóbr warmińskiego biskupstwa.

Pomimo dość łatwego odzyskania przez zakon kontroli nad większością kraju po wycofaniu się armii polsko-litewskiej, druzgocąca klęska prowadzonych przez wójta Nowej Marchii Michała Küchmeistera licznych wojsk zakonnych złożonych z zaciężnych oraz gości, poniesiona 10 października w bitwie pod Łąskiem koło Koronowa, dotkliwa porażka 5 listopada pod Tucholą pozostawionych tam przez Michała Küchmeistera oddziałów oraz pogrom inflanckich posiłków pod Golubiem pod koniec listopada, przekreśliły realne możliwości dalszego prowadzenia wojny. Wybrany 9 listopada wielkim mistrzem Henryk von Plauen musiał, pod naciskiem trzeźwo oceniających sytuację zakonu mistrzów krajowych z Niemiec i Inflant, zgodzić się na pokój, który po przewlekłych rokowaniach zawarty został 1 lutego 1411 r. na kępie wiślanej pod Starym Miastem Toruniem.

Podpisany traktat przywracał obydwu stronom stan posiadania sprzed wojny, z wyjątkiem Żmudzi, którą faktycznie przyznawał Litwie, choć formalnie jedynie za życia króla i księcia Witolda. Poddanych obydwu stron zwalniał od zobowiązań złożonych stronie przeciwnej, zapewniając im przywrócenie do łask oraz bezpieczny powrót do swoich majątków i dalsze ich posiadanie. Jedynie wobec biskupa warmińskiego Henryk von Plauen przewrotnie zastrzegł sobie możliwość dochodzenia swoich oskarżeń na drodze prawnej. Pomimo formalnie partnerskiego charakteru traktatu pokojowego, dodatkowa umowa, jaką wielki mistrz Henryk von Plauen zmuszony był zawrzeć z królem Władysławem Jagiełłą, nakładająca na zakon obowiązek zapłaty w ciągu jednego roku niebotycznej kwoty 100 tysięcy kop groszy praskich tytułem wykupu jeńców oraz zamków w Brodnicy, Radzynie, Toruniu, Nieszawie i Bytowie, ciągle znajdujących się w posiadaniu strony polskiej, nie pozostawiała wątpliwości co

do zwycięzców i zwyciężonych w zakończonej wojnie. Pozyskanie przez zakon w tak krótkim czasie środków sięgających przeszło trzyletnich jego przychodów z czasów pokoju, wymagało wymuszenia od poddanych nadzwyczajnych obciążeń finansowych egzekwowanych z wyjątkową bezwzględnością.

Bartłomiej, sprawujący jako wikariusz generalny biskupa oraz dziekan kapituły oficjalny zarząd nad dobrami warmińskiego biskupstwa, był bezsilny wobec bezprawnie przejmujących dochody z podległych mu majątków, narzuconych przez zakon administratorów. Terror rozpętany przez Henryka von Plauen wobec własnych poddanych, a nawet zakonnych współbraci, musiał skłaniać Bartłomieja do zastanowienia się nad własnym bezpieczeństwem. 6 kwietnia zamordowani zostali na zamku w Gdańsku dwaj burmistrzowie Konrad Letzkau i Arnold Hecht oraz radny Bartłomiej Gross, zaproszeni przez brata wielkiego mistrza, gdańskiego komtura Henryka von Plauen (bracia, co ciekawe, nosili to samo imię) na rozmowy o nałożonych na miasto podatkach. Represje spadły na Towarzystwo Jaszczurcze – legalnie działające bractwo rycerstwa ziemi chełmińskiej. W maju, jeden z jego założycieli chorąży chełmiński Mikołaj z Ryńska, został podstępnie pojmany i stracony bez sądu na zamku w Grudziądzu. Wkrótce potem kilkunastu członków Towarzystwa Jaszczurczego, oskarżonych o udział w spisku na życie wielkiego mistrza, zawiązanym rzekomo przez komtura Radzyna Jerzego von Wirsberga, musiało uciekać z kraju, a ich majątki uległy konfiskacie. Domniemany organizator spisku Jerzy von Wirsberg, nieustrudzony organizator odsieczy jesienią 1410 r., przed wojną piastujący urząd wielkiego szafarza królewieckiego – jeden z najwyższych urzędów zakonnych, skazany został na przewidziane w zakonnej regule dożywotnie uwięzienie.

W sierpniu niepewna swego losu kapituła warmińska wybrała na nowego prepozyta – przewodniczącego kapituły, oddanego stronnika zakonu i doświadczonego współpracownika zakonnego przedstawicielstwa przy dworze papieskim, inteligentnego i ambitnego doktora prawa kanonicznego Jana Abezier. Wraz z wyborem nowego prepozyta,

Bartłomiej musiał zrezygnować z reprezentowania kapituły w kontaktach zewnętrznych, a jego wpływ na działalność kapituły został ograniczony do formalnych obowiązków dziekana odpowiedzialnego za jej wewnętrzną administrację.

Co najmniej do końca 1411 r. Bartłomiej rezydował nie niepokoiony we Fromborku. Jednak na początku roku 1412, zapewniwszy sobie protekcję powracającego w rodzinne strony jednego ze znamienitszych gości zakonu, władcy księstwa Bawarii-Landshut Henryka Bogatego, dołączył do jego orszaku i wyjechał z Prus. Przejeżdżając przez Chojnice został przyjęty przez przebywającego tam właśnie wielkiego mistrza i zaproszony przez niego na wieczerzę, która na szczęście dla Bartłomieja nie miała okazać się ostatnią. Henryk von Plauen, zachowując pozory życzliwości, po przyjacielsku pożegnał warmińskiego dziekana, którego wyjazd sprawił mu zapewne nieopisaną radość.

Bartłomiej udał się do położonego w północnej Bawarii Bambergu, będącego siedzibą biskupstwa i zarazem stolicą samodzielnego biskupiego księstwa, gdzie, zapewne dzięki rekomendacji księcia Henryka Bogatego, został przyjęty na dwór księcia biskupa Albrechta von Wertheim i objął stanowisko jego protonotariusza – administratora kancelarii. Chociaż protekcja biskupa Bambergu, który jako książę Rzeszy odpowiadał wyłącznie przed królem lub cesarzem, skutecznie chroniła Bartłomieja przed represjami ze strony zakonu, to jednak wkrótce przyszło mu zmierzyć się z zakonnymi intrygami.

Już w kwietniu 1412 r. wielki mistrz wystosował do sprzyjającego zakonowi króla Czech Wacława IV list zawierający oficjalne oskarżenie Bartłomieja o zdradę i działalność na szkodę zakonu. Bartłomiej wysłany do Gdańska w celu werbunku zaciężnych dla zakonu, na co przyznano mu kwotę stu grzywien, miał następnie udać się do obozu polskiego króla pod Malborkiem i uczestniczyć we wszystkich naradach i rozmowach dotyczących zdobycia zamku. Na domiar złego, jak zeznał rzekomo schwytany na zamku pacholek, miał organizować podpalenie zamku „z trzech stron” – zapewne wszystkich trzech części warowni – Zamku Wysokiego, Średniego

i Niskiego. Za tę działalność król miał nadać Bartłomiejowi należące do zakonu Tolkmicko i Pasym.

Zarzuty choć brzmiały groźnie, były w szczegółach niespójne, jak całkowicie nieadekwatna do zadania werbunku kwota stu grzywien, a nawet wręcz niedorzeczne, jak wzniecenie rozległego pożaru w ogromnym i obsadzonym liczną załogą zamku, czy też nadanie dwóch miast, w tym niemałego portu morskiego, osobie o pozycji Bartłomieja, co mogło być raczej echem przejęcia przez niego, jako administratora biskupstwa, spornych dóbr diecezjalnych. Wydaje się, że Henryk von Plauen nie dysponował żadnymi dowodami wskazującymi na współpracę Bartłomieja ze stroną polsko-litewską i całkowicie świadomie posługiwał się oszczerstwami. W przeciwnym wypadku Bartłomiej podzieliłby niewątpliwie los proboszcza z Działdowa, którego w roku 1411, z rozkazu Henryka von Plauen, utopiono za zdradę, odmawiając nawet katowskiej posługi.

Oskarżycielski list miał zapewne zniesławić oraz izolować Bartłomieja, aby uniemożliwić mu występowanie w obronie prawowitego biskupa Warmii, w polubownym procesie o rewizję traktatu toruńskiego, toczonym przez zakon oraz Polskę i Litwę, od czerwca do sierpnia 1412 r. w Budzie, przed królem Węgier Zygmuntem Luksemburskim, będącym od 1411 r. jako król rzymski zwierzchnikiem książąt Rzeszy. Obydwie strony oskarżały się wzajemnie o nieprzestrzeganie postanowień traktatu oraz żądały zmian terytorialnych – strona polsko-litewska przyznania utraconego Pomorza Gdańskiego i ziemi chełmińskiej, a zakon odzyskania Żmudzi. Wyrok Zygmunta Luksemburskiego utrzymał traktat w mocy pod karą 10 tysięcy grzywien za jego złamanie, a stronę zakonną zobowiązywał także do przywrócenia zwierzchnictwa biskupa Vogelsanga nad Warmią oraz zwrotu dochodów bezprawnie przejętych z dóbr biskupstw warmińskiego i włocławskiego. Ponadto zakon, pod groźbą zatrzymania przez króla Zygmunta posiadanej przez niego tytułem zastawu Nowej Marchii, zmuszony został do spłaty zaległych rat, ustalonej w Toruniu kwoty 100 tysięcy kop groszy praskich, której przeszło trzecią część przezorny król Władysław Jagiełło jeszcze w czerwcu

pożyczył węgierskiemu arbitrowi pod nigdy nie wykupiony przez niego zastaw 13 miast na Spiszu.

Latem 1413 r. na dwór biskupa Bambergu przybyli, poszukujący wsparcia dla zakonu u władców Bawarii, wysłannicy wielkiego mistrza do książąt Rzeszy, którzy dla propagandowego uwiarygodnienia swojej misji oskarżyli Bartłomieja przed biskupem i jego kapitułą o zdradę zakonu. Zarzuty, w porównaniu do wcześniejszych, sformułowanych w liście do króla Czech, uległy znaczącej redakcji przekraczając granicę absurdu. Bartłomiej, który rzekomo wraz z księciem Witoldem namawiał polskiego króla do wojny przeciwko zakonowi, miał być jej sprawcą oraz winowajcą wszystkich wyników z niej nieszczęść. Do podtrzymanego oskarżenia o próbę podpalenia malborskiego zamku doszło nowe – podjęta w celu poddania Malborka próba przekupstwa dowodzącego obroną Zamku Niskiego, oddanego zakonowi rycerza i dyplomaty Henryka von Plauen – dalekiego kuzyna obecnego wielkiego mistrza. Choć jeden z wysłanników hrabia Albrecht von Schwarzburg twierdził, iż był naocznym świadkiem zdarzenia, zastanawiać jednak musiało, że tak poważny zarzut przeciwko Bartłomiejowi podniesiony został dopiero wówczas, gdy kuzyn wielkiego mistrza, zmarły rok wcześniej w Pradze, nie mógł go już potwierdzić. Bartłomiej z własnej woli stawiał się przed biskupem oraz świeckimi dostojnikami Bambergu i oczyściwszy się z zarzutów wysuwanych przez zakonnych wysłanników, którzy odmówili uczestnictwa w procesie, wystosował 8 września do wielkiego mistrza uprzejmy list, w którym zaprzeczał oskarżeniom oraz wyrażał gotowość do obrony swojego dobrego imienia przed książętami Rzeszy, radą miejską wolnego miasta Norymbergi oraz tamtejszym konwentem zakonu.

Adresat udzielić odpowiedzi już nie zdążył. Zamierzający rozprawić się z otwartą opozycją wewnątrz zakonu Henryk von Plauen zdecydował się zwołać posiedzenie zakonnej kapituły generalnej, na którym zamierzał ukarać wielkiego marszałka Michała Küchmeistera za odmowę wykonania rozkazu zbrojnego wystąpienia przeciwko Mazowszu. Jednakże 14 października ogół zebranych w Malborku dostojników, niechętny

despotycznym i okrutnym rządom Henryka von Plauen oraz jego nierealnym wojennym planom, zmusił go do nie przewidzianej przez zakonną regułę rezygnacji z urzędu wielkiego mistrza i objęcia mało znaczącej komturii w Pokrzywnie. Również brat Henryka von Plauen utracił urząd komtura gdańskiego i został przeniesiony na podrzędne stanowisko administratora zamku w Lochstadt na Półwyspie Sambijskim, odpowiedzialnego za egzekwowanie zakonnego monopolu bursztynowego.

Pożegnanie z Malborkiem, które dziwnym zbiegiem okoliczności nastąpiło wkrótce po nadejściu z Bambergu listu Bartłomieja, miało się okazać dla Henryka von Plauen jedynie początkiem końca jego zakonnej kariery. Celowa i popełniona zapewne na życzenie króla Władysław Jagiełły niedyskrecja biskupa włocławskiego Jana Kropidły o schronieniu, jakie polski władca potajemnie zaoferował zdetronizowanemu mistrzowi i jego bratu, skłoniła wybranego na nowego zwierzchnika zakonu Michała Küchmeistera do aresztowania Henryka von Plauen pod zarzutem zdrady zakonu i wrogich knowań z królem polskim. W maju 1414 r. były wielki mistrz został przeniesiony, tym razem w charakterze więźnia, do położonego nad Zalewem Wiślanym u ujścia rzeki Świeżej zamku Brandenburg, gdzie w znośnych, ale skromnych warunkach, przyszło mu spędzić prawie osiem lat. Brat Henryka von Plauen, były komtur gdański, zdołał zbiec pod opiekę polskiego króla, któremu wiernie służył swoją wiedzą o zakonie przy układaniu planów kolejnej wojny.

Upadek prześladowcy nie umożliwił jednak Bartłomiejowi natychmiastowego powrotu do kraju. Wojna toczona przez króla Władysława Jagiełłę z zakonem od lipca do września 1414 r. o odzyskanie Pomorza Gdańskiego, ziemi chełmińskiej i innych terytoriów utraconych niegdyś przez Królestwo Polskie, nazwana z racji stosowanych przez obydwie strony niszczycielskich metod wojną głodową, doprowadziła do spustoszenia znacznych obszarów zakonnego państwa, w tym warmińskiego dominium biskupiego wraz z katedralnym Fromborkiem. Przed powrotem mogły również powstrzymać Bartłomieja niewygasłe prozakonne sympatie, jakich żywotnie doświadczył biskup Henryk Vogelsang, który zmarł wskutek otrucia, niespełna rok po odzyskaniu w czerwcu 1414 r. zwierzchnictwa nad Warmią.

Przerwany tymczasowym rozejmem zawartym w październiku 1414 r. w Brodnicy, terytorialny spór Polski i Litwy z państwem zakonnym, kontynuowany był na drodze prawnej, na obradującym od listopada 1414 r. do kwietnia 1418 r. soborze powszechnym w Konstancji. Powołana specjalna komisja soboru nie zdołała doprowadzić do zawarcia ugody między stronami, które przedłużały kilkakrotnie brodnicki rozejm w oczekiwaniu satysfakcjonującego rozstrzygnięcia. Jakkolwiek nie istnieją żadne ślady działalności Bartłomieja podczas obrad soboru, to jednak niewykluczone, iż towarzyszył on uczestniczącemu w nim księciu biskupowi Bambergu. W roku 1418, po zakończeniu obrad soboru, Bartłomiejowi przyznany został, niewątpliwie nie bez protekcji uczestnika polskiej delegacji, zaufanego dyplomaty królewskiego, biskupa poznańskiego Andrzeja Łaskarza, kanonikat kapituły poznańskiej.

Choć pierwszy dokument świadczący o ponownym urzędowaniu Bartłomieja we Fromborku jako dziekana kapituły pochodzi dopiero ze stycznia 1420 r., to mógł on powrócić na Warmię już pod koniec roku 1419, po niedoszłej do skutku polsko-litewskiej wyprawie zbrojnej na ziemię zakonu, pod presją której wielki mistrz Michał Kűchmeister zgodził się na poddanie sporów terytorialnych z Polska i Litwą pod ponowny arbitraż zwierzchnika książąt Rzeszy, króla rzymskiego i węgierskiego Zygmunta Luksemburskiego.

Powracając po latach wygnania na Warmię, aby tu spędzić schyłek pełnego wydarzeń życia, Bartłomiej przywiózł swoje epitafum, z właściwą ludziom średniowiecza dbałością o sprawy przyszłe, zamówione zawczasu w warsztacie znakomitego mistrza, zapewne z Norymbergi. Pod koniec życia trapiły go rozmaite dolegliwości, gdyż bólami rąk i nóg usprawiedliwiał swoją odmowę przybycia do Malborka, do chorego wielkiego mistrza, na prośbę jego kapelana Grzegorza z Biskupca. Jednak zważywszy, że niedoszła wizyta dotyczyć mogła mistrza Pawła von Russdorff, a zaproszenie wysłane być mogło wiosną 1422 r., wkrótce po uwolnieniu z Brandenburga Henryka von Plauen, za odmową kryła się profesjonalna ostrożność przed kolejną intrygą dawnego antagonisty.

Bartłomiej zmarł we Fromborku 24 stycznia 1426 r., jak szczegółowo informuje jego epitafium, które chyba tylko dzięki łasce zawsze czuwającej nad fundatorem Opatrzności, przetrwało wszystkie dziejowe kataklizmy, jakie przetoczyć się miały przez Warmię w ciągu sześciu kolejnych stuleci, by nieść kolejnym pokoleniom pamięć i wizerunek pruskiego patrioty, którego okryte tajemnicą działania przyczyniły się do uwolnienia jego rodaków spod władzy zakonnych panów.

**Opracował Mirosław Zawadzki**



# Franciszek Burdak.

## „Kuba” z Armii Krajowej

**Gdy Franciszek Burdak w pośpiechu opuszczał Tczew we wrześniu 1939 r., a potem nie kontaktował się z rodziną, bliscy nie wiedzieli, co było przyczyną jego milczenia. Po zakończeniu wojny dowiedzieli się o jego śmierci, a wdowie przekazano medal *Virtuti Militari*. Rodzina nie wiedziała, za co przyznano zmarłemu to odznaczenie. Kim był Franciszek Burdak?**

Pracował jako nauczyciel w Szkole Powszechnej nr 3 w Tczewie. 21 listopada 1931 r. poślubił Marię Richterównę, córkę restauratorów na Nowym Mieście. W latach 1933–1934 pełnił funkcję sekretarza w tczewskim kole Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, a także był członkiem zarządu klubu sportowego Wisła Tczew.

Informacje o konspiracyjnej działalności Burdaka odnajdujemy w książce K. A. Badziąga. Autor zamieścił w niej notarialnie poświadczoną wypowiedź nauczycielki Ireny Gołąbkowej, dotyczącą bohaterskich i tragicznych losów Franciszka Burdaka.

Irena Gołąbkowa spotkała Burdaka u swojej rodziny w Warszawie w grudniu 1939 r. Opowiedział jej, że cudem wydostał się z Tczewa, gdzie był poszukiwany przez Gestapo za działalność antyniemiecką – za przynależność do związku mającego na celu opiekę nad Polakami mieszkającymi na terenie Gdańska. W Warszawie pracował w firmie budowlanej przy budowie lotniska oraz należał do Armii Krajowej. Po pewnym czasie, na teren budowy przybyło Gestapo, aby aresztować go za szkodliwą działalność

dla Niemiec. Jednakże i tym razem, dzięki niezwyklej odwadze i refleksowi, udało mu się uciec. Pod pseudonimem „Kuba” poświęcił się pracy w organizacji podziemnej.

Wykorzystując jego doskonałą znajomość języka niemieckiego organizacja skierowała go do pracy o specjalnym charakterze. Wśród szerokiego wachlarza zadań „Kuby” było zakupywanie chemikaliów potrzebnych do produkcji prochu na sfingowane zapotrzebowania z niemieckiej fabryki prochu znajdującej się pod Warszawą. Chemikalia te wykorzystywano do produkcji szedytu – materiału należącego do tzw. chloranowych mieszanin wybuchowych i służącego do wypełniania granatów. Wytwórnia szedytu znajdowała się przy ul. Asfaltowej 15, a kierował nią chemik Tadeusz Śmieszewicz.

Franciszek Burdak dokonywał zakupów z powodzeniem do 5 stycznia 1943 r. W tym dniu wszedł do sklepu Neufelda przy ul. Mazowieckiej 11, pozostawiając ciężarówki zaparkowane przy bocznej ulicy. Wyszedł z niego już w kajdankach, aresztowany przez Gestapo. Kierowcy ciężarówek ocalili, bo „Kuba” nie zdradził ich obecności. W liście do Ireny Gołąbkowej prosił, by czuwała, aby jego synowie wyrosli na porządnym ludzi i równie gorąco kochali swoją ojczyznę, jak ich ojciec.

11 lutego Franciszek Burdak został przewieziony z Pawiaka do Palmir i tam rozstrzelany. Za pracę w konspiracyjnej wytwórni szedytu, wielką odwagę i bohaterskie czyny został odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* (znak SP/Z 52), nadesłanym z Londynu na polecenie dowódcy o pseudonimie „Grot” (prawdopodobnie gen. Stefan Rowecki – dowódca AK). Odznaczenie to obecnie przechowuje jego najstarszy syn – Bogdan.

**Opracowała Gabriela Burclaw**

# Witold Conti.

## Tczewski epizod w życiorysie filmowego amanta

**Witold Conti, przedwojenny amant filmowy, znany jest miłośnikom kina m. in. z takich filmów jak „Każdemu wolno kochać”, „Śluby ułańskie”, „Straszny dwór” czy „Ułan księcia Józefa”.**

Naprawdę nazywał się Witold Konrad Kozikowski. Urodził się 2 lutego 1908 r. w Berlinie, gdzie przebywali wówczas jego rodzice. Do Polski rodzina wróciła w 1920 r. W wywiadach zamieszczonych w przedwojennych gazetach Witold nie podaje nazwy miasta, w którym zamieszkali po przyjeździe z Berlina. Udało się jednak ustalić, że rodzina Kozikowskich mieszkała początkowo w Poznaniu, następnie od 8 czerwca 1920 r. w Toruniu, gdzie ojciec Witolda był referentem Urzędu Wojewódzkiego. Pod koniec sierpnia 1927 r. Kozikowscy wyjechali z Torunia do Tczewa, gdzie ojciec przyszłego aktora, Maksymilian Kozikowski, pełnił funkcję kierownika Państwowego Urzędu Pośrednictwa Pracy.

W grodzie Sambora młody Witold uczęszczał do gimnazjum. Potwierdza to fotografia umieszczona w książce Józefa Golickiego „Album Tczewski 1900–1945: szkolnictwo i gospodarka Tczewa”, podpisana: „Uczniowie gimnazjalni, wśród nich Witold Kozikowski (Conti), późniejszy znany aktor (siedzi drugi z prawej). Tczew 1927”.

Po ukończeniu szkoły Witold rozpoczął studia prawnicze na Uniwersytecie Poznańskim i jednocześnie uczył się śpiewu u profesora Zygmunta

Zawrockiego. Następnie wyjechał do Paryża i tam zdał egzaminy do Konserwatorium gdzie studiował w klasie skrzypiec i wokalistyki.

W Paryżu poznał reżysera, aktora, dyrektora teatrów, a także przez pewien czas sekretarza Poli Negri – Leopolda Brodzińskiego, który pomógł mu w filmowym debiucie. Podobno właśnie Brodziński zaprotegował Contiego Ryszardowi Ordyńskiemu do roli dorosłego Janka Muzykanta. Także Pola Negri pomogła w karierze Witolda, kiedy jeszcze jako studenta przez dłuższy czas gościła w swej francuskiej posiadłości w Seraincourt.

Witold Conti szybko zdobył popularność. W drugiej połowie lat 30. był u szczytu powodzenia i sławy. Miał opinie jednego z najprzystojniejszych amantów filmowych. Równolegle do ról filmowych Conti występował w warszawskich kabaretach – grał w „Cyruliku Warszawskim”, „Hollywood”, „Morskim Oku”, „Wielkiej rewii”, w Teatrze Letnim. Nie zapomniał o Tczewie, gdzie w październiku 1931 r. odbył się jego koncert.

17 lutego 1938 r. śpiewak i amant Conti poślubił w kościele ewangelicko-reformowanym przy ul. Leszno w Warszawie Zofię Halinę Margulies, córkę dyrektora zakładów amunicyjnych „Pocisk”. W następnym roku, 12 lipca 1939 r., przyszedł na świat ich syn Janusz Światopełk Kozikowski. We wrześniu 1939 r. Conti wraz z żoną i małym synkiem wyjechał do Wilna, gdzie występował w jednym z polskich teatrzyków.

Później przedostał się (prawdopodobnie sam) do Francji. W Nicei, gdzie zamieszkał, występował w teatrze dającym przedstawienia pod patronatem YMCA. Witold Conti zginął 26 maja 1944 r. w wieku 36 lat podczas bombardowania Nicei przez aliantów.

Według relacji wnuka aktora, Zofia Kozikowska z trzyletnim synem uciekła do przyjaciół we Włoszech. Podczas podróży udawała Włoszkę, w ubranie miała wszytą biżuterię. Jednym z opiekunów we Włoszech był ojciec chrzestny Janusza, geniusz motoryzacji, Enzo Ferrari. Pod koniec wojny Zofia dowiedziała się o śmierci męża. Wkrótce poślubiła amerykańskiego żołnierza Roberta Osthoffa i przeniosła się do Kolorado, potem do Santa Fe.

Tam dorosły już Janusz, ukończywszy szkołę sztuk pięknych, poświęcił się tkactwu artystycznemu. Wraz z pierwszą żoną Nancy w 1979 r.

zaprezentowali swoje prace w Galerii Zapiecek w Warszawie. Polacy byli bardzo zainteresowani pracami syna polskiej gwiazdy filmowej. Artyści obawiali się jednak, że gobelin Nancy „Polski Krzyż” może być ocenzurowany z powodu treści religijnych. Polskie władze nie uczyniły tego, ponieważ zbliżała się wizyta papieża Jana Pawła II. Później Nancy Kozikowski utkała gobelin „Czarna Madonna Częstochowska”. Przekazano go papieżowi podczas jego drugiej wizyty w Stanach Zjednoczonych. W 1996 r. Janusz poślubił Dianę C. Hagood (zm. 28 listopada 2004 r.). Syn Contiego zmarł 11 listopada 2011 r.

**Opracowała Gabriela Burclaw**

# Ludwig Dembski/Eichhart. Burmistrz o dwóch obliczach

**Interesującym okresem dla Tczewa były rządy na przełomie XIX i XX wieku Ludwika Oskara Dembskiego. Burmistrz ten przyczynił się do rozwoju miasta, ale był również znany z wyraźnie antypolskich przekonań, co zaowocowało zmianą nazwiska na niemieckobrzmiące Eichhart.**

Ludwig Dembski urodził się w ewangelickiej rodzinie w Paderborn 16 listopada 1850 r. Ewidentnie polskie nazwisko u rodziny ewangelickiej może sugerować pierwotne pochodzenie Dembskich z protestanckich w większości Mazur, gdzie Dembski później pełnił obowiązki burmistrza Ostródy. Ukończył Realne Gimnazjum w Münster, następnie jako wolontariusz pracował w biurze przyjaciół rodziny w St. Mauritz w pobliżu Münster. Później, w tym samym mieście, pracował w administracji 7 Korpusu Armii. W roku 1878 przeniesiony został do Wojskowej Intendentury 1 Korpusu Armii. Do jego obowiązków należał m. in. wybór i zakup placów budowy pod nowo powstające koszarę na wschodnich rubieżach Prus, w miastach takich jak Ełk, Olsztyn, Ostróda. Na początku czerwca 1885 r. Dembski zostaje wybrany na burmistrza Ostródy.

26 sierpnia 1888 r. zmarł zasłużony dla miasta burmistrz tczewski Emil Wagner (34 lata rządzenia miastem!). 28 grudnia tego samego roku Dembski z Ostródy zostaje wybrany przez Radę Miasta na 12 lat na tczewski urząd. Podczas zaprzysiężenia 16 marca 1889 r. padły między innymi

słowa: „*Moje serce i praca należy do tego miasta. Pomóżcie mi zbudować miasto wolne od partyjnych i jednostkowych interesów.*”

Rządy burmistrza Dembskiego, pierwszego i długoletniego mistrza przełożonego tczewskiej loży wolnomularskiej, były wyjątkowo owocne dla rozwoju miasta. Za jego kadencji powstało wiele inwestycji: budowa rzeźni miejskiej (1893/1894), oddanie Szpitala Joannitów (1895), wodociągi (1904/1906), kanalizacja (1907/1909), budowa elektrowni i sieci energetycznej (1898/1900), rozbudowa i modernizacja gazowni, oddanie Łaźni Miejskich (1913), rozbudowa i poszerzenie ulic oraz budowa Hali Miejskiej na 650 lat miasta (uroczyste otwarcie 12 stycznia 1911 r.). Założenie istniejącej po przekształceniach do dziś tczewskiej spółdzielni mieszkaniowej również można przypisywać Dembskiemu-Eichhartowi. Burmistrz był odpowiedzialny także za rozwój miejskiego szkolnictwa. W czasie jego rządów zrealizowano budowę szkoły na Nowym Mieście (1891) i Tczewskich Łąkach (1892), budowę sali gimnastycznej przy obecnej SP nr 5 i wyposażenie ówczesnego gimnazjum (1897), dwukrotną rozbudowę szkoły staromiejskiej (1899 i 1911) oraz oddano do użytku szkołę dla dziewcząt (obecne LO nr 1 – 1911). Po zakończeniu drugiej kadencji (1901–1913) burmistrz miał nadal rządzić miastem. „Gazeta Toruńska” z 6 lutego 1913 r. napisała: „*Burmistrz tutejszy Eichhart (przedtem Dembski) uzyskał potwierdzenie w rządzie na dalsze 12 lat*”. Miał rządzić więc do 1925 r. Jednak trzy lata po tej informacji ta sama gazeta donosiła: „*23 grudnia 1916. Rada Miejska wybrała nowego burmistrza w osobie p. Marthisa, burmistrza w Brodnicy.*” Dlaczego burmistrz zrezygnował ze swego urzędu? Być może była to konsekwencja bardzo ciężkich warunków panujących w mieście w czasie I wojny światowej i wielkiego pożaru, który strawił ratusz – miejsce urzędowania tczewskich włodarzy – wraz z jego archiwami.

Była też druga strona medalu. Burmistrz Dembski był zagorzałym zwolennikiem germanizacji terenu Pomorza i sam, mimo polskobrzmiącego nazwiska, uważał się za prawdziwego Niemca. W 1904 r. ostatecznie zaakcentował swoją przynależność do narodu niemieckiego, zmieniając nazwisko na Eichhart, co jest dosłownym tłumaczeniem nazwiska Dembski.

Burmistrz angażował się w wiele antypolskich inicjatyw. 22 grudnia 1896 r. odbyło się w Tczewie zebranie założycielskie oddziału Hakaty, na którym przemawiał sekretarz generalny tej organizacji, Max von Binzer. Ze względu na niedostateczną ilość chętnych otwarciu oddziału przełożono na termin późniejszy, ale powołano wydział werbujący, w skład którego wszedł burmistrz Dembski. Włączył się on aktywnie w działalność tej antypolskiej organizacji. Jak donosiła „Gazeta Toruńska” z 5 czerwca 1902 r.: *„Tutejsza „Ortegrupen” hakatystowska miała 1. bm. swój familienabend, na którym przemawiali prof. Holtz, burmistrz Dembski, wyższy nauczyciel dr. Leuffer.”* Nie wiemy, czego dotyczyła mowa burmistrza, ale pewnie była podobna w formie do tej z 17 lutego 1912 r.: *„Burmistrz tczewski Eichhart rozwoził się następnie na temat podniesienia i wzmocnienia ekonomicznego niemczyzny w miastach kresów wschodnich. Mówca skarży się, że wśród urzędników jest wielu zakapturzonych Polaków (?), którzy żenią się z Polkami, mówią w domu po polsku i są dla niemczyzny straceni. Podobnie dzieje się wśród kupców i przemysłowców. Trzeba wspierać tylko ludzi pod względem narodowym zupełnie pewnych. Mówca upatruje możliwość polepszenia tych stosunków w dwóch punktach. Pierwszym jest stworzenie w miastach zdrowego, niemieckiego stanu robotniczego, a drugim popieranie niemieckiego stanu średniego.”* W nagrodę za swoje „zasługi” dla tej organizacji 27 lipca 1912 r. burmistrz został przez nią wystawiony w wyborach do Reichstagu. Informuje o tym „Gazeta Toruńska”: *„Zarząd Ostmarken verainu w Skarszewach poleca jako kandydata na posła sejmowego w miejsce zmarłego posła Hobrechta, burmistrza Tczewa Eichharta, protestanta, który dawniej nazywał się Dębskim. Zmienił on nazwisko dopiero jako burmistrz tczewski.”* Nie został on jednak wybrany i pozostał na swoim stanowisku w Tczewie.

Antypolska działalność burmistrza nie ograniczała się tylko do aktywnego uczestnictwa w Hakacie, ale dopuszczał się on również szykan administracyjnych. Jak donosiła „Gazeta Grudziądzka” z 2 lutego 1907 r.: *„Swego czasu udał się zarząd tutejszego Banku Ludowego do burmistrza pana Eichharta, aby potwierdził podpisy tegoż zarządu na dokumencie dla sądu. Burmistrz jednak tego uczynić nie chciał, podając powód, że to sprawa prywatna.”*



*Zarząd banku jednak udał się nie tylko do prezesa rejencyjnego w Gdańsku, który stanął na stanowisku burmistrza, lecz i wprost do ministra w Berlinie, który rozkazał burmistrzowi, aby w przyszłości potwierdzał podpisy polskich spółek.” Jak można tłumaczyć antypolską fobię burmistrza? Czy mamy do czynienia z kompleksem polskości, który Dembski-Eichhardt starał się za wszelką cenę wyprzeć? Patrząc na całokształt działalności Ludwika Oskara Eichhardta nie dziwi fakt, że hitlerowskie władze Tczewa nazwały jego imieniem dzisiejszą ul. Kołłątaja. Nie dziwi również zmiana nazwy ulicy po wojnie. Obecnie o wieloletnim burmistrzu mogą przypominać jedynie dęby, rosnące w wielkiej ilości na tej ulicy i niech tak pozostanie.*

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Wojciech Giełdon**

# Alfred Eisenstaedt.

## Mistrz prasowej fotografii

**Nazywany był ojcem fotożurnalizmu, ale o sobie mówił, że jest facetem, który po prostu lubi robić zdjęcia. Alfred Eisenstaedt, którego nazwisko jest dobrze znane wszystkim miłośnikom fotografowania, urodził się w Tczewie.**

Alfred Eisenstaedt przyszedł na świat 6 grudnia 1898 r. Przyjaciele nazywali go „Eisie”. Był synem bogatego właściciela domu towarowego. Już w 1906 r. cała rodzina przeprowadziła się do Berlina, a Alfred prawdopodobnie już nigdy później nie odwiedził rodzinnego miasta. Pierwszy aparat firmy Kodak dostał od wuja na 14. urodziny.

W czasie I wojny światowej Alfred służył w armii niemieckiej. Został ciężko ranny 9 kwietnia 1918 r. W czasach kryzysu jego rodzina zbankrutowała. Musiał zacząć zarabiać, aby się utrzymać. Pierwsze zdjęcie, które sprzedał redaktorowi magazynu „Der Welt” za 3 dolary, przedstawiało tenisistkę. W 1931 r. dołączył do PAP Associated Press. Pewnego razu został wysłany jako fotograf królewskiego ślubu do Włoszech. Zrobił tam zdjęcia wszystkiego oprócz... młodej pary. Jego umiejętność wykonywania zdjęć cały czas rozwijała się. Technika Eisenstaedta w głównej mierze opierała się na naturalnym świetle. Opracował ją badając obrazy olejne starych mistrzów – jego ulubionym malarzem był Rembrandt. Kolejne szlify zdobył dzięki znajomemu, który pokazał mu, że zdjęcia można powiększyć, wykadrować w taki sposób, aby podkreślić ważną część, a resztę usunąć.

Alfred kupił aparat Leica 35 mm, z którym pracował wiele lat. W 1935 r., gdy antysemicka atmosfera III Rzeszy zaczęła się zagęszczać, wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Cały czas eksperymentuje, próbuje różnych metod wykorzystywania naturalnego światła poprzez zmianę pryzmatu, filtrów i obiektywów. Miał niezwykłą umiejętność wycucia chwili, niepowtarzalnego momentu, tworząc poczucie intymności. Prawie w ogóle nie używał lampy błyskowej. Został zatrudniony w magazynie „Life”. Pozowali mu wielcy tego świata – Richard Strauss, Ernest Hemingway, Marlena Dietrich, Sophia Loren, Marylin Monroe, Walt Disney oraz prezydenci Stanów Zjednoczonych, jak John F. Kennedy czy Bill Clinton z rodzinami. Aż 90 wykonanych przez niego zdjęć zdobiło okładki tego magazynu. Jego najsłynniejsza fotografia przedstawia marynarza całującego pielęgniarkę na ulicach Nowego Jorku. Zdjęcie zostało wykonane podczas parady z okazji zakończenia II wojny światowej.

Alfred Eisentaedt był żonaty z Kathy Kaye w latach 1949–1972. Zmarł 23 sierpnia 1995 r. w wieku 96 lat. Nazwano go ojcem fotożurnalizmu, on jednak wolał mówić: „Jestem facetem, który po prostu lubi robić zdjęcia.”

**Opracowanie: Jadwiga Koc-Kullas**

# Zbigniew Janowski-Zygmuntowicz. Bohater ze Szkoły Morskiej

**W lipcu 1927 r. pomorskie gazety lakonicznie poinformowały czytelników o ofiarach Wisły w Tczewie w dniu 10 lipca 1927 r. Utonęli dwaj uczniowie Szkoły Morskiej. Redaktor podkreślił zbytnią odwagę chłopców i zaufanie we własne siły oraz lekceważenie niebezpieczeństw czyhających w nurtach rzeki. Ofiarami byli Stanisław Małuszynski ze Stolina (woj. poleskie) oraz Zbigniew Janowski-Zygmuntowicz ze Lwowa.**

Zbigniew Janowski-Zygmuntowicz był synem pułkownika Zygmunta Zygmuntowicza ze Lwowa – pisarza, dziennikarza, redaktora naczelnego „Panteonu Polskiego”. Podczas walk we Lwowie w listopadzie 1918 r. ośmioletni Zbyszek był gońcem. W 1920 r. walczył w obronie miasta jako jeden z młodszych harcerzy w oddziałach nazwanych potem „Orlętami Lwowskimi”.

W wolnej Polsce osiągał świetne wyniki podczas zawodów narciarskich i kolarskich. Nauczył się prowadzić samochody i motocykle. Jednak najmilszą rozrywką była dla niego woda – kąpiel, pływanie i łódki. Wychowany na nizinach tęsknił do morza. W maju 1926 r. sam na rowerze przejechał tysiąc kilometrów po Polsce. Przez Lublin, Warszawę, Toruń, Tczew, Gdańsk i Gdynię Zbyszek dotarł do polskiego brzegu. Po powrocie z wakacji rozpoczął ostatni rok nauki.

Gdy ukończył szkołę we Lwowie, w towarzystwie ojca pojechał do Tczewa na egzaminy wstępne do Szkoły Morskiej. Po ośmiu dniach dowiedział się, że

przyjęto go w szeregi uczniów. „*Jestem już uczniem Szkoły Morskiej – wreszcie osiągnąłem to, do czego całe życie dążyłem*” – szczęśliwy pisał do matki.

Do ojca zaś powiedział: „*Popracuję ja na tym Lwowie, opalą mnie wiatry południowe, ręce mi zgrubieją od lin i żagli, ale gdy wrócę do Lwowa będę się za mną oglądać... Takim będę marynarzem!*”

Nazajutrz, po przyjęciu do Szkoły Morskiej, pływając kajakiem na Wiśle rzucił się na pomoc koledze. Wciągnięty przez tonącego zginął w nurtach rzeki. Zanim rozpoczął twardą służbę na statku i ciężką szkołę wilków morskich, zabrała go woda, do której tak tęsknił – nie morze, ale Wisła.

Wrócił Zbyszek w rodzinne strony, gdzie nie tylko tysiące, ale „*cały Lwów oglądał się za nim*”. Tłumy odprowadzały na wieczny spoczynek żeglarza – marzyciela.

**Opracowała Gabriela Burclaw**

# Norbert Juchtman i Jan Guderski. O dwóch takich, co wysadzili mosty

**Losy dwóch żołnierzy bezpośrednio odpowiedzialnych za wysadzenie mostów tczewskich we wrześniu 1939 r. – mjr. Jana Guderskiego i ppor. Norberta Juchtmana – w zadziwiający sposób kilkakrotnie się krzyżowały. Ostatecznie, choć po kilkudziesięciu latach, spoczęli na tym samym cmentarzu.**

Norbert Juchtman urodził się 27 marca 1914 r. w Błędowie. W związku z częstymi zmianami miejsca zamieszkania spowodowanymi pracą ojca, Norbert ukończył ostatecznie Państwowe Gimnazjum im. Tomasza Zana w Pruszkowie. Po zdaniu egzaminu maturalnego zgłosił się na ochotnika do wojska. W 1934 r. ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, po czym został przyjęty do Szkoły Podchorążych Saperów. Po drugim roku nauki przełożeni opiniowali go jako podoficera energicznego, koleżeńskiego, dobrze zdyscyplinowanego, bardzo odpornego na trudy fizyczne, sprawnego, sprężystego i postawnego, ale zarozumiałego i niedbałego o porządek i wygląd osobisty, ospałego do nauki i pracy. Zwracano jednak uwagę na fakt, że postawiony w warunkach osobistej odpowiedzialności potrafi dobrze wywiązać się z zadań, czego dowiódł podczas praktyk liniowych. 15 grudnia 1937 r. podchorąży Juchtman uzyskał promocję oficerską i stopień podporucznika w korpusie osobowym inżynierii i saperów. Jako świeżo upieczony oficer został skierowany do

8. Batalionu Saperów, stacjonującego w Toruniu. Zameldował się tam 17 grudnia i otrzymał stanowisko dowódcy 3. plutonu 1. kompanii saperów.

Jan Guderski urodził się 25 grudnia 1894 r. w Warszawie. Jako uczeń Średniej Szkoły Mechaniczno-Technicznej od 1912 r. był członkiem kompanii akademickiej Polskich Drużyn Strzeleckich. Po wybuchu I wojny światowej wstąpił w szeregi Polskiej Organizacji Wojskowej i służył w niej jako wywiadowca. W marcu 1915 r. zmobilizowano go do armii rosyjskiej jako urzędnika wojskowego w tyłowych oddziałach inżynieryjnych, budujących drogi i mosty na różnych odcinkach frontu. Podczas prac w rejonie Baranowicz dostał się 3 marca 1918 r. do niewoli niemieckiej. Wolność odzyskał w połowie czerwca i wyjechał w poszukiwaniu rodziny do ogarniętej rewolucją Rosji. Po powrocie zamieszkał w Pruszkowie. Jan Guderski zdecydował się na kontynuowanie kariery wojskowej. Ukończył Szkołę Podchorążych Piechoty w Ostrowi, nie otrzymał jednak przydziału liniowego, a został zatrzymany w swojej szkole jako instruktor. W czasie wojny polsko-bolszewickiej, jako dowódca kompanii kadetów, budował doraźne umocnienia w rejonie Ciechanowa. Przez kilka lat kontynuował wojskową działalność pedagogiczną, w maju 1921 r. za nieoficjalną zgodą przełożonych, zgłosił się jako ochotnik do III Powstania Śląskiego i sformował powstańczy oddział saperski. W 1924 r. por. Guderski otrzymał awans na kapitana. Przełożeni opiniowali go wówczas następująco: jeden z najzdolniejszych oficerów-minerów, oddany ideowo służbie, oficer pod każdym względem wybitny. W 1931 r. został dopuszczony na elitarny, trzeci z kolei, roczny Kurs Fortyfikacyjny, na których grupa dwudziestu kilku starannie wyselekcjonowanych oficerów zapoznawana była z najnowszymi i najtajniejszymi osiągnięciami techniki saperskiej. Od tego momentu jego kariera wojskowa nabrała rozpędu i poprzez różne funkcje sztabowe i liniowe objął, już jako major, stanowisko zastępcy dowódcy 8. Batalionu Saperów w Toruniu. Tym sposobem losy obu bohaterów artykułu ostatecznie się splotły – ppor. Juchtmann został podwładnym mjr. Guderskiego.

W obliczu narastającego zagrożenia w 1939 r. gen. Władysław Bortnowski, dowódca Armii Pomorze, otrzymał rozkaz ufortyfikowania przysięgo

terenu operacyjnego. Do tego zadania oddelegowany został mjr. Guderski. Prawdopodobnie już od końca marca, pod jego kierownictwem, saperzy rozmieszczali 10 ton trotylu w komorach minowych tczewskich mostów i łączyli je kablami elektrycznymi z dwoma centralami minerskimi – jedną w zachodnim przyczółku mostowym, drugą w schronie na terenie stacji. Aby nie wzbudzić podejrzeń Niemców, saperzy pracowali w mundurach kolejarskich i ubraniach cywilnych, pozorując remont mostów. Do Tczewa przybył ppor. Juchtman wraz z plutonem saperów, który został podporządkowany ppłk. Stanisławowi Janikowi, dowódcy tczewskiego 2. Batalionu Strzelców i jednocześnie Oddziału Wydzielonego „Tczew”. Zadaniem plutonu była opieka nad instalacjami minowymi mostów tczewskich, ewentualne naprawy jej uszkodzeń, a w razie konieczności – dokonanie dzieła zniszczenia mostów.

1 września 1939 r. Niemcy zbombardowali Tczew uszkadzając kable prowadzące do ładunków wybuchowych na moście. Bohaterska postawa kolejarzy z Szymankowa oraz dzielna postawa załogi przyczółka wschodniego pozwoliła saperom ppor. Juchtmana naprawić wszystkie uszkodzenia. Wobec nasilającego się nacisku Niemców ppłk Janik wydał rozkaz ewakuacji wschodniego przyczółka i wykonanie pierwszej fazy zniszczeń mostów. Kilka minut po godz. 6.00, potężny wybuch zmiotł z powierzchni ziemi przyczółek oraz pierwszy i trzeci filar od strony Lisewa. Dzieła dopełniono o godz. 6.45 wysadzając filary nurtowe i zachodni przyczółek mostów.

Zgodnie z rozkazami, po wykonaniu zadań, pluton saperów miał zostać odesłany do Torunia i dołączyć do swego macierzystego 15. batalionu saperów. Do ppłk. Janika zgłosił się jednak dyrektor placówki Banku Polskiego z prośbą o przydzielenie eskorty do transportu pieniędzy. Podpułkownik Janik wyznaczył do tego zadania pluton ppor. Juchtmana, który po wykonaniu zadania szczęśliwie dotarł do batalionu mjr. Guderskiego. 15. Dywizja Piechoty, w skład której wchodził 8. Batalion Saperów, opuściła Przedmoście Bydgoskie wieczorem 3 września. W czasie bitwy nad Bzurą dywizja kroczyła w ariergardzie, osłaniając tyły polskiego ugrupowania. 16 września dotarła do Bzury w rejonie Sochaczewa, gdzie wydano saperom rozkaz budowy możliwie największej ilości przepraw. Rozległa i bezleśna dolina rzeki stała się



miejszem zagłady szeregu polskich oddziałów, bezlitośnie dziesiątkowanych przez niemiecką artylerię i lotnictwo. Wieczorem 17 września, na punkcie zbornym w Palmirach, zebrało się zaledwie 1500 żołnierzy 15. Dywizji Piechoty. Po reorganizacji dowódca zdecydował o przebijaniu się do nieodległej Warszawy. Podczas tych walk, 18 września, mjr Guderski został ranny w głowę. 21 września resztki 15. DP przebiły się do stolicy i zasiły odcinek obronny „Warszawa-Zachód”. Obrona Warszawy była prowadzona w sposób aktywny, wojska niemieckie były nękane wypadami. Prawdopodobnie podczas jednego z nich, 22 września w rejonie Łomianek, poległ ppor. Juchtman. Dokładne okoliczności jego śmierci nie są znane.

Po kapitulacji Warszawy mjr Guderski został przewieziony do oficerskiego obozu jenieckiego, gdzie przebywał do końca wojny. Powrócił do kraju 30 lipca 1947 r. i zamieszkał wraz z żoną w Łomiankach. Wobec odmowy przyjęcia do Wojska Polskiego rozpoczął pracę w Zjednoczeniu Budownictwa Miejskiego w Warszawie. Major Jan Guderski zmarł 16 grudnia 1961 r. i został pochowany na cmentarzu parafialnym w Łomiankach-Kiełpinie, niedaleko grobu ppor. Norberta Juchtmana położonego we wrześniowej kwaterze wojennej. Tak oto po latach obaj saperzy, którzy otrzymali rozkaz przygotowania i wysadzenia mostów w Tczewie, spoczęli w tym samym miejscu.

**Opracował Łukasz Brządkowski**  
**(na podstawie „Przeglądu Pruszkowskiego” nr 1/2013)**

# Władysław Sławomir Jurgo.

## Bohaterski harcerz

**21 lipca minie kolejna rocznica bohaterskiej śmierci tczewskiego harcerza Władysława Sławomira Jurgo, żołnierza AK i więźnia lubelskiego zamku. Warto przybliżyć czytelnikom postać patrona jednej z tczewskich ulic i naszego hufca harcerskiego.**

Władysław Sławomir Jurgo urodził się 9 listopada 1920 r. w Łasku. Jego rodzice, Irena i Władysław, przyjechali do Tczewa w 1922 r. Rodzina ostatecznie zamieszkała w nieistniejącym już budynku przy ul. 30 Stycznia 2, gdzie na zapleczu ojciec prowadził wytwórnę wód gazowanych. Władysław, zwany w domu Sławkiem, spędzał całe dzieciństwo w Tczewie wraz z siostrami Wandą, Marią i Ireną oraz bratem Zbigniewem. Z opowieści rodzinnych wynika, że miał różnorodne zainteresowania, z których na pierwszy plan wysuwała się muzyka oraz sport. Był aktywnym członkiem Związku Harcerstwa Polskiego w stopniu ćwika, należał do Harcerskiego Zespołu Pieśni i Tańca. W 1939 r. ukończył Gimnazjum Ogólnokształcące w Tczewie, miał zamiar podjąć studia w Centralnym Instytucie Wychowania Fizycznego w Warszawie, ale wybuch wojny pokrzyżował te plany. Ostatnie przedwojenne wakacje, z których powrócił 31 sierpnia 1939 r., spędził z harcerskim zespołem na Litwie i Łotwie.

W chwili wybuchu wojny Władysław Jurgo zgłosił się na ochotnika do wojska. Niewiele wiadomo o jego służbie bojowej. Dostał się do niewoli i został przetransportowany do obozu jenieckiego w Bydgoszczy. W czasie transportu uciekł i jako znajdujący się na liście poszukiwanych przez

Niemców musiał się ukrywać. Ostatecznie zamieszkał przy ul. Wspólnej 16 w Lublinie, gdzie po wywiezieniu rodziców na roboty przymusowe do Rzeszy dołączyła do niego siostra Wanda i brat Zbigniew. Najpierw pracował w magazynach mieszczących się przy ul. Nowy Świat, później otrzymał pracę na kolei w ekspedycji pociągów towarowych. Nie wiadomo jak rozpoczęła się jego współpraca z Armią Krajową, ani czym w konspiracji konkretnie się zajmował. „Sławek” najprawdopodobniej działał w Sekcji Kolejowej AK i był odpowiedzialny za obserwację transportów wojskowych wysyłanych na front wschodni. Możliwe, że zajmował się również aktami sabotażu.

31 października 1943 r. Władysław Jurgo został wezwany do dyrekcji kolejowej w rzekomo służbowej sprawie. Wiedziony intuicją zniszczył mogące go skompromitować dokumenty. Na miejscu zorientował się, że przeczucie go nie myliło i zamiast przełożonych oczekiwali na niego oficerowie gestapo. Podjął nieudaną próbę ucieczki, ale został złapany przez pościg z psami. Prawdopodobnie jego powiązania z AK zdradził któryś z kolejarzy. Przewieziony do gmachu lubelskiego gestapo „Pod Zegarem”, mimo brutalnego śledztwa, do niczego się nie przyznał i nikogo nie wydał. Został przetransportowany do więzienia mieszczącego się na lubelskim zamku, gdzie został wyznaczony do funkcji korytarzowego w więziennym szpitalu. Dzięki pomocy strażniczki poprzez grypsy kontaktował się z siostrą Wandą. Władysław Jurgo spodziewał się rychłego zwolnienia do domu. Niestety, hitlerowcy w związku ze zbliżaniem się frontu postanowili wymordować wielu więźniów osadzonych na zamku, wśród których miał znaleźć się tczewski harcerz.

Postacią, która zyskała sobie ponurą sławę w lubelskim więzieniu, był oberscharführer SS Tanzhaus. Z racji potężnej budowy i dużego brzucha, a także pewnej powolności, był wśród więźniów nazywany „krową”. Za tym niegroźnym przezwiskiem krył się jednak człowiek okrutny i sadystyczny, którego ulubioną rozrywką było obserwowanie reakcji więźniów na odczytanie wyroku śmierci. Tanzhaus, będący szarą eminencją lubelskiego zamku, uwielbiał również innego rodzaju „rozrywkę”. Mimo jasnych poleceń komendanta więzienia Domnicka, SS-man wchodził bez obstaw do celi pełnej więźniów. Ta brawura, za sprawą tczewskiego harcerza, kosztowało go

życie. W piątek, 21 lipca 1944 r., Tanzhaus wyczytał 31 nazwisk osób skazanych przez okupanta na śmierć. Wśród nich znajdował się Władysław Jurgo. O czym „krowa” nie wiedział, Sławek postanowił drogo sprzedać swoje życie. Ze szpitalnego ambulatorium wyniósł ostry skalpel i ukrył go za cholewą butów. W momencie, kiedy Tanzhaus zbliżył się do niego, błyskawicznie wy dobył ostrze i zaatakował strażnika, który z wrzaskiem rzucił się do ucieczki. Jurgo popędził za nim i ciosem w szyję pozbawił znienawidzonego SS-mana życia.

Władysław Jurgo wiedział, jakie będą konsekwencje jego czynu dla pozostałych więźniów, ponieważ Niemcy stosowali zasadę zbiorowej odpowiedzialności. Wbiegł więc do ambulatorium, przyłożył nóż do piersi i z całej siły wbił ostrze kończąc swoje bohaterskie życie. W więzieniu błyskawicznie zjawili się lubelskie gestapo, zażądali od komendanta Dominicka rozstrzelania więźniów. Rozkazali spędzić na więzienne podwórze 112 więźniów, naprzeciw których ustawili karabiny maszynowe. Ostatecznie do egzekucji jednak nie doszło, prawdopodobnie dzięki interwencji naczelnika więzienia, Petera Domnicka. Niemiec sprzeciw się, jak twierdził, z dwóch powodów. Po pierwsze „winny” sam sobie wymierzył sprawiedliwość, a po drugie Tanzhaus wielokrotnie łamiąc regulamin sam kusił los. Jak się później okazało, Domnick był tak łaskawy z innego powodu. Niemcom brakowało bowiem... samochodów do wywożenia zwłok więźniów. Ciało Władysława Jurgo zostało przeniesione na cmentarz po ustaniu walk o Lublin, ale wobec przebywania w okolicy niedobitków wojsk niemieckich pogrzeb odbył się dopiero 26 lipca.

Postać i czyny Władysława Jurgo zostały docenione dopiero wiele lat po wojnie. 14 października 1971 r. Rada Państwa przyznała Władysławowi Sławomirowi Jurdze pośmiertnie Srebrny Krzyż Orderu Virtuti Militari, który został wręczony jego ojcu w dniu III zjazdu klubu byłych więźniów Zamku Lubelskiego. 14 maja 1972 r. na VII zlocie tczewskiego hufca ZHP nadano mu imię bohatera, a 6 maja 1985 r. nowa ulica na osiedlu Suchostrzygi również otrzymała jego imię.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Michael Keogh.

## „Tczewski” Irlandczyk ratuje Hitlera

**I wojna światowa była gigantycznym konfliktem, podczas którego na niespotykaną wcześniej skalę walczyły ze sobą milio-  
nowe armie. Obfitowała ona również w szereg niecodziennych  
epizodów, które działy się na dalekim zapleczu frontu. Często  
rzutowały one na dalsze losy świata na równi z wielkimi bitwami.**

W sierpniu 1916 r. do Tczewa przybyła grupa 15 żołnierzy narodowości irlandzkiej, oddelegowana z obozu jenieckiego znajdującego się na terenie Gdańska. Nie byli to zwykli jeńcy, ale członkowie Brygady Irlandzkiej, jednostki wojskowej zorganizowanej z wziętych do niewoli żołnierzy brytyjskich, która w założeniu miała wesprzeć armię niemiecką na froncie zachodnim lub w sprzyjających okolicznościach zostać przerzucona do Zjednoczonego Królestwa w celach dywersyjnych.

Niemcy przecenili niechęć Irlandczyków do okupujących ich ojczyznę Anglików i udało im się zwerbować jedynie 52 z 3000 planowanych ochotników. W związku z tym postanowiono pół setki żołnierzy brygady przerzucić do Gdańska i wykorzystać ich do pracy. W ten sposób do Tczewa trafiła wspomniana grupa ochotników, których wszystkich znamy z nazwisk: Keogh M, Kavanagh, Delamore, Carroll, Collins, Daly, Forde, Mallon, McGrath P, Wilson, Stacey, Granaghan, McDonagh, Gaffney i Quinlisk. Podjęli oni zatrudnienie w okolicznych firmach. Czterech z nich

pracowało przy rozbudowie miejskiej gazowni, Daly znalazł zatrudnienie w cukrowni, a Meade w hurtowni alkoholi Polete. Wykonywali także wolne zawody np. Quinlisk był pracownikiem biurowym, a McDonagh pracował jako rymarz. Część z Irlandczyków zdomowiła się w Tczewie, trzech z nich zamieszkało nawet z tczewiankami, natomiast pozostali sprawiali kłopoty i w związku z ich złym zachowaniem (brak szczegółów – zapewne chodziło o bójkę i nadużywanie alkoholu) całą grupę w kwietniu 1918 r. objęto specjalnym nadzorem.

Mimo zakończenia wojny Irlandczycy nie myśleli o powrocie do domu, zapewne obawiając się represji za „kolaborację” z Niemcami. Pod koniec listopada 1918 r. jeden z „tczewskich Irlandczyków” (prawdopodobnie przybyły później Donoghue lub James Carr) pojechał do Gdańska i przedstawił całą sprawę dowódcy angielskiej kanonierki cumującej w gdańskim porcie. Ten wysłał do Tczewa niewielki oddział, który zebrał Irlandczyków i na pokładzie angielskiego pancernika wrócili do kraju. Okazuje się, że nie wszyscy.

Jednym z Irlandczyków, który uniknął aresztowania, był Michael Keogh. Pracował w Tczewie przy rozbudowie miejskiej gazowni. Nie cieszył się najlepszą opinią. Na wiosnę 1917 r. jego współtowarzysz O'Toole w liście do ich przełożonego Gaffney'a, oskarża go o to, że żyje w Tczewie z zamężną kobietą, panią Rumezewitz. Ta natomiast twierdziła, że Keogh był wciąż pijany, bił ją, kradł pieniądze, a w momencie, kiedy ją ostatecznie opuścił, ukradł jej płaszcz. Keogh zaciągnął się do 16 Bawarskiego Regimentu Piechoty, a po zakończeniu wojny został żołnierzem Freikorpsu stacjonującego w Monachium. 28 sierpnia 1919 r. będąc oficerem w koszarach przy Turken Strasse otrzymał informację o zamieszkach w sali gimnastycznej przy budynku, gdzie stacjonował. Zabrał ze sobą siedmiu uzbrojonych żołnierzy i udał się na miejsce zamieszek. W sali gimnastycznej zastał około dwustuosobowy tłum, który bił i kopał ludzi w mundurach oficerów propagandowych. W momencie, kiedy w rękach osób z tłumu pojawiły się bagnety, Keogh rozkazał swoim żołnierzom wystrzelić w powietrze i zabrał ze sobą dwóch pobitych agitatorów, aresztując ich dla własnego bezpieczeństwa. Jeden z nich przedstawił się jako kapral Adolf Hitler i po opatrzeniu ran nazajutrz opuścił koszary. Po raz

kolejny Koegh miał ujrzeć Hitlera jedenaście lat później, na nazistowskim wiecu w Norymberdze w 1930 r. i ostatecznie przekonać się kogo uratował...

Podany powyżej epizod znalazł się w opublikowanych po śmierci Koegha pamiętnikach. Nie znalazł dotychczas żadnego potwierdzenia, choć w zrewoltowanych Niemczech 1919 r. wszystko mogło być możliwe.

**Opracował Wojciech Giełdon**

# **Antoni Kwiek.**

## **„Cygański Król” aresztowany w Tczewie**

**W godzinach popołudniowych na przystani w Tczewie „król Cyganów” 51-letni Antoni Kwiek, obywatel polski narodowości rumuńskiej, ostatnio zamieszkały w Krakowie wywołał wielką awanturę. W jej toku publicznie lżył naród polski, za co został aresztowany przez policję i odstawiony do tutejszego Sądu Grodzkiego do dyspozycji władz prokuratorskich.**

Opisywane wydarzenie miało miejsce 75 lat temu, w 1938 r. na przystani należącej do Żeglugi Rzecznej „Vistula”. Kim był „cygański król” i dlaczego lżył Polaków? Odpowiedź przynosi lektura ówczesnej prasy.

Instytucja króla cygańskiego znana była w już w czasach Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Nadawana była przez króla Polski od XVII wieku i jej główną rolą było pobieranie danin od wolno żyjących Romów. Instytucja funkcjonowała do czasów rozbiorów i powróciła w 1918 r. W II RP „cygański król” był traktowany jako przedstawiciel ludności romskiej wobec władz centralnych i administracji terenowej. W 1938 r. został nim Janusz Kwiek, wybrany podczas elekcji w lipcu 1937 r. Niezwykłe barwny wybór opisał „Orędownik Wrzesiński” z 8 lipca 1937 r.: *„W niedzielę o godz. 18 na Stadionie Wojska Polskiego w Warszawie odbyły się wybory, następnie koronacja króla cyganów. Wyboru dokonali elektorzy w obecności zebranych tłumów. Królem cyganów wybrany został Janusz Kwiek zamieszkały ostatnio w Milanówku. Wybór*



*ten zebrana publiczność przyjęła entuzjastycznie. Nowoobрани król powstał z podium i kłaniając się cylindrem, dziękował za owacje. Na podium wchodzi duchowieństwo obrządku prawosławnego. Protoprezbiter Terencjusz Teodorowicz z Pragi, ubrany w bogate szaty liturgiczne, w asyście kleru prawosławnego odprawił przed zaimprovizowanym ołtarzykiem nabożeństwo dziękczynne, w czasie którego śpiewał chór cerkiewny warszawski. Po nabożeństwie protoprezbiter włożył na skronie Janusza Kwieka koronę. Król Janusz zasiadł na tronie i przyjął hołd elektorów, następnie wyruszył w defiladę wzdłuż trybun, za nim parami idą elektorzy. Z kolei rozpoczęły się śpiewy, tańce, ognie sztuczne, a tymczasem król cyganów Janusz Kwiek rozpoczął udzielanie wywiadów przedstawicielom prasy.”*

Uroczystość została sfilmowana i jest dostępna w Internecie.

„Kurier Bydgoski” 12 sierpnia 1938 r. opisał w detalach interesujący nas proces, jak i powody aresztowania: *„Przedwczoraj zasiadł na ławie oskarżonych przed Sądem Okręgowym w Starogardzie cygan Antoni Kwiek obwołujący obecnie w Kartuzach. Akt oskarżenia zarzucał mu obrazę Narodu Polskiego, której dopuścił się w dniu 22 kwietnia br. w Tczewie przez użycie słów: Do cholery z Polakami. Sąd skazał zuchwałego cygana na rok więzienia z zawieszeniem na 5 lat. Cygan, który spodziewał się większej kary, serdecznymi słowy dziękował swemu obrońcy mec. Halpernowi ze Starogardu za obronę. Wśród publiczności na sali rozpraw znajdował się król cygański Kwiek, który przybył na rozprawę z swym „prezesem rady ministrów” Kwiekiem, ojcem oskarżonego. Premier Kwiek jest właścicielem domu czynszowego w Krakowie.”*

Okazuje się, że ówczesna prasa w poszukiwaniu taniej sensacji ogłosiła „winę” króla cygańskiego, choć oskarżonym był syn „premiera” społeczności romskiej. Nie wiemy niestety, co spowodowało użycie przez niego słów, za które został skazany. Nie znamy także dalszych losów ani Antoniego Kwieka, ani Króla Cyganów Janusza Kwieka, który panował do wybuchu wojny. W pierwszych latach okupacji ślad po nim zaginął i najprawdopodobniej podzielił los tysięcy polskich Romów, którzy zostali wymordowani przez Niemców. Wydarzenia te, określane jako *Porajmos* (w języku

Romów słowo to oznacza pochłonięcie), pozostają w cieniu Holocaustu, a w obu przypadkach zamierzeniem hitlerowców było wymordowanie całego narodu.

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Wojciech Giełdon**

# Michał Leszczyński-Lester. Malarz ze Szkoły Morskiej

**Szkoła Morska w Tczewie była kuźnią kadr polskiej marynarki handlowej, kształcąca nawigatorów i mechaników okrętowych, przyszłych kapitanów żeglugi morskiej. Przez dekadę funkcjonowania jej w naszym mieście, mury szkoły opuściło ponad dwustu absolwentów. Dla przynajmniej dwóch z nich nauka twardego, marynarskiego rzemiosła i późniejsza praca na morzu, była inspiracją i początkiem działalności artystycznej. O ile postać pisarza marynisty Karola Borchardta jest stosunkowo dobrze znana, to osoba malarza Michała Leszczyńskiego jest w kraju niemalże zapomniana.**

Michał Leszczyński urodził się w 1906 r. w Dolinie (obecnie Ukraina), ale młodość spędził w Sanoku. Pochodził z arystokratycznej rodziny wywodzącej się w prostej linii od króla Polski Stanisława Leszczyńskiego. Od najmłodszych lat przejawiał talenty plastyczne i muzyczne, a rodzice poprzez zatrudnianie prywatnych nauczycieli wydatnie pomogli w ich rozwoju.

W roku 1925 decyduje się na naukę w tczewskiej Szkole Morskiej. Kolega ze szkolnej ławki, wspomniany już Karol Olgierd Borchardt, tak przedstawił Leszczyńskiego na kartach swoich książek: *„Dotychczasowe jego wyczyny przyniosły mu w rezultacie przydomek „Pigłu”, które to słowo powtarzane szybko raz po raz ujawniało jego istotne znaczenie. Wówczas jeszcze nikt w nim nie podejrzewał światowej sławy malarza, którego wystawę będzie otwierał Bernard Shaw, nikomu nie przeszło przez myśl, że Pigiel wystawi swe*

*obrazy w Royal Academy i jako nadworny malarz królowej Elżbiety II odbędzie z nią podróż na Bermudy.” Pisarz potwierdza wszechstronne uzdolnienie Leszczyńskiego. „Pigiel władał szpadą, pędzlem, trzema językami, smykem, batutą i fortepianem. Podczas obiadów w sali gimnastycznej kwartet w białych tropikalnych mundurach grał pod jego batutą najnowsze przeboje. (...) Pigiel rozpoczynał „naukę własną” od kilkunastominutowej zaprawy szermierczej – dłużej jego przeciwnik nie wytrzymał serii bolesnych trafień w żywe ciało. Każde trafienie było zawsze wytwornie odsalutowane szpadą. Wszystkie trafienia piekły przez kilka dni, ale to nigdy nie wpływało na zmniejszenie ilości walczących. Podczas szczęku krzyżujących się ze sobą szpad dwóch następnych szermierzy, którym się wydawało, że każdy z nich jest zwycięskim kapitanem Bloodem zdobywającym nieprzyjacielski okręt, Pigiel potrafił pędzlem wyczarować soczystą akwarelę, po czym spokojnie zabrać się do nauki.”*

Zdolności plastyczne Leszczyńskiego były podczas nauki w Szkole Morskiej w Tczewie praktycznie wykorzystane. Był on autorem rysunków żaglowców do książek napisanych przez wykładowców tej uczelni, które stały się obowiązującymi podręcznikami dla adeptów morskiego rzemiosła. Tworzył również scenografie do dorocznych balów Szkoły Morskiej, organizowanych 8 grudnia na pamiątkę rozpoczęcia pierwszego naboru uczniów. Na jeden z nich przygotował wielki, kolorowy, podświetlany witraż przedstawiający poławiacza pereł, do którego pozował mu właśnie Borchardt. Wywarł on kolosalne wrażenie na oficjelach szkolnych. Niezwykła wrażliwość artystyczna była też czasami powodem kłopotów Leszczyńskiego, bo w czasie rejsów „kolega nasz Pigiel (...) był od urodzenia artystą malarzem i często wolał podziwiać grę kolorów w czasie wschodu słońca niż szorować cegłą pokład.”

W roku 1928 kończy tczewską uczelnię i zamustrował się na statki francuskiej kompanii handlowej Chargeurs Reunis pływające do Indochin. W latach 1930–1933 znajduje zatrudnienie jako pilot Portu Gdyńskiego, jednak pasja artystyczna decyduje o porzuceniu tego zajęcia i Leszczyński podejmuje studia na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Na uczelni wytrzymał tylko rok i powrócił na morze. Jego portem docelowym stał się

Londyn i tam zastała go wojna. W jej czasie był jednym z organizatorów i pełnił funkcję sekretarza Stowarzyszenia Kapitanów i Oficerów Maszynowych, Nawigacyjnych i Radiowych Polskiej Marynarki Handlowej w Londynie oraz pracował w wydziale ratunkowym Admiralicji Brytyjskiej. Nie zapominał o swojej pasji malarskiej wystawiając prace w Royal Institute oraz pisząc podręcznik dla malarzy-marynistów „How to Draw Sail & Sea”. Wywarł on duże wrażenie na specjalistach z wysp Brytyjskich, którzy przyrównali go do prozy Josepha Conrada.

Kłopoty finansowe, jak i nieodpowiedni dla Leszczyńskiego klimat spowodowały podjęcie przez niego decyzji o przeprowadzce w 1952 r. na daleką Jamajkę. Osiadł wraz z angielską żoną Margareth w Montego Bay i skupił się wyłącznie na karierze malarskiej. Przybrał jednocześnie pseudonim Michael Lester, aby ułatwić kontakt z obcokrajowcami, ale obrazy wciąż podpisywał jako M. Leszczyński. Jego żona prowadziła Lester Art Galery zajmując się sprzedażą obrazów artysty, którego renomą zaczęła wzrastać. Znalazło to odbicie m. in. w zaproszeniu Leszczyńskiego przez królową Elżbietę do uczestnictwa w rejsie do karaibskich posiadłości królowej i mianowanie go nadwornym malarzem monarchini. Sprzedaż obrazów rozwijała się wyśmienicie, galeria była odwiedzana przez liczących się kolekcjonerów sztuki z kontynentu amerykańskiego. Głównym tematem prac Leszczyńskiego było życie codzienne Jamajki, jej mieszkańcy, pejzaże i sceny z życia. Artysta cieszył się popularnością zarówno wśród ówczesnych celebrytów – lekcje malarstwa pobierały u niego gwiazdy filmowe Joan Crawford i Greer Garson – jak i rodowitych Jamajczyków, którzy z racji jego długiego, kilkakrotnie złamanego nosa, nazywali go *Mistah Nose* (Pan Nos). Dodatkowo Leszczyński zajmuje się teorią malarstwa, pisząc i publikując prace m. in. na temat perspektywy sferycznej, która obecnie jest stosowana w grafice i animacji komputerowej. W roku 1970 otrzymał dożywotnie członkostwo brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Sztuk, co dało mu prawo do umieszczania przed nazwiskiem liter FRSA – *Fellow of the Royal Society of Arts*. Artysta zmarł na Jamajce 21 grudnia 1972 r. Jego żona przejęła galerię, która funkcjonuje do dziś jako znane i licznie odwiedzane przez turystów muzeum jego prac marynistycznych.

Mieszkańcy Tczewa, którzy chcieliby zobaczyć choć jeden obraz Michała Leszczyńskiego mają ku temu niezwykłą okazję. W Muzeum Wisły jest prezentowana wystawa „Szkoła Morska w Tczewie 1920–1930. Kolebka kadr Polskiej Marynarki Handlowej”, na której znajduje się dzieło przedstawiające Dar Pomorza sygnowane nazwiskiem M. Leszczyński.

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Mirosław Zawadzki**

# Fritz Emil Lüdecke.

## Wilk Morski

**Jednym z niewielu kapitanów statków wojennych, którzy pochodzili z naszego miasta, był Fritz Emil Lüdecke. Zasłynął on nie tyle wielkimi sukcesami militarnymi, co niezwykle rycerskim sposobem prowadzenia wojny.**

Urodzony 3 lutego 1873 r. w Tczewie Fritz Lüdecke zaciągnął się do cesarskiej marynarki w 1890 r. Po służbie w twierdzy Heliogard (1896–1903), został awansowany do stopnia kapitana-porucznika i przydzielony jako oficer artylerii na pokład pancernika SMS Wettin. W 1908 r. awansował na *Korvetkapitana* i zajmował stanowisko administracyjne w Gershunder. Przez dwa lata był starszym oficerem artylerii Pierwszej Eskadry niemieckiej floty wojennej (*Hochseeflotte*), a trzy kolejne spędził jako oficer sztabowy przy admirale dywizji. 12 kwietnia 1912 r. Lüdecke, już jako *Fregattenkapitän*, otrzymał ofertę objęcia dowództwa lekkiego krążownika SMS Dresden. Opisy przedstawiają go jako spokojnego, małomównego i kulturalnego człowieka. Opinia zawodowa opisywało go jako dobrego marynarza i fachowego, poważnego oficera, ale bez agresywności i zuchwałości niezbędnej do zostania legendarnym kapitanem niemieckiej marynarki. Historia udowodniła, że w specyficznych warunkach nadchodzącej wielkiej wojny na dalekich morzach, to co było brane za wady, okazało się zaletami kapitana.

Fritz Lüdecke pełnił służbę na SMS Dresden na Atlantyku, z krótką przerwą pomiędzy styczniem a lipcem 1914 r., kiedy to na siedem miesięcy został mianowany kapitanem nowego okrętu SMS Karlsruhe. Ominęła go tym

samym najsłynniejszą przedwojenną misją jego statku, mianowicie osłona niemieckich interesów w ogarniętym wojną domową Meksyku, a przede wszystkim konwojowanie meksykańskiego prezydenta – uzurpatora Jose Victoriano Huerta na wygnanie na Jamajkę. W lipcu 1914 r. powrócił na funkcję kapitana SMS Dresden, który po wielu miesiącach służby na Atlantyku wymagał remontu. Podczas drogi powrotnej do stoczni w Niemczech został poinformowany o wybuchu wojny i skierowany do realizacji zadań opracowanych przez naczelne dowództwo floty cesarskiej na wypadek spodziewanego konfliktu z krajami Ententy.

Flota wojenna Niemiec podczas I wojny światowej miała za zadanie zniszczyć swojego głównego przeciwnika, jakim była brytyjska Royal Navy. Oprócz planowanych walnych bitew wielkich jednostek liniowych, Niemcy określili również pomocniczą strategię dla lekkich krążowników, które na dalekich morzach i oceanach miały niszczyć alianckie statki zaopatrzeniowe i handlowe. Okręty takie jak SMS Dresden miały operować na szlakach handlowych w oparciu o niemieckie kolonie i statki zaopatrzeniowe dowożące niezbędne zaopatrzenie – pożywienie, amunicję i przede wszystkim węgiel niezbędny do zasilania turbin parowych. Również w państwach oficjalnie neutralnych istniała sieć tajnych placówek morskich mająca wspierać krążowniki w ich sabotażowych misjach.

Na wieść o wybuchu wojny kapitan Fritz Lüdecke rozkazał wyrzucić za burtę wszystko, co nie było niezbędne w czasie walki (m. in. dwa fortepiany orkiestry pokładowej) i 12 października 1914 r. w pobliżu Wyspy Wielkanocnej na Pacyfiku dołączył do eskadry admirała von Spee. Krążownik wziął udział w zwycięskiej dla niemieckiej floty bitwie pod Coronel, jak również był świadkiem zagłady eskadry von Spee w bitwie u wybrzeży Falklandów, którą jako jedyny niemiecki okręt przetrwał. Dzięki wyposażeniu okrętu w turbiny Petersona mógł on rozwijać prędkość 25 węzłów, ale podczas ucieczki przed angielską flotą osiągnął rekordowe 28,5 węzła. Z opisu Carlosa Johnsona Edwardsa wynika, że wymykający się pogoni SMS Dresden został poddany ciężkiej próbie. Palacze w maszynowni padali z wysiłku, trzeba było ich luzować co godzinę. Turbiny drżały, wydawało się, że ciśnienie pary je



rozerwie, pokrywy kotłów rozgrzały się do białości. Wysiłek statku i ludzi umożliwił zgubienie pogoni i znalezienie schronienia wśród licznych wysepek i zatok chilijskiej Patagonii. Rozpoczął się kilkomiesięczny okres ukrywania się i niespodziewanych ataków na statki zaopatrzeniowe. Podczas tych ostatnich uwidocznił się honorowy i humanitarny sposób prowadzenia przez Fritz Lüdecke wojny morskiej. Jeżeli statek należał do państwa wrogiego, ale jego ładunek nie był wartościowy, został on oszczędzony. Tak samo postępowano w przypadku ewentualnego zagrożenia dla kobiet i dzieci, które mogły być pasażerami statków handlowych. Kiedy dochodziło do zatopienia nieuzbrojonych statków angielskich SMS Dresden najpierw zmuszał statek do poddania się, przejmował całą załogę na swój pokład, następnie zatapiał statek, a jeńców wysadzał w najbliższym porcie. Przy takim sposobie prowadzenia walki nie dziwi skromny dorobek wojenny kapitana, który wynosił zaledwie 4 statki o łącznym tonażu 13.000 BRT, natomiast przez kilka miesięcy angażował on znaczne siły angielskie i praktycznie zablokował ważny szlak wokół cieśniny Magellana.

9 marca 1915 roku Dresden rzucił kotwicę w zatoce Cumberland u wybrzeży wyspy Más a Tierra – tej samej, gdzie miał przebywać Robinson Crusoe (dzisiaj nosi ona jego imię). 14 marca niemiecką jednostkę zaskoczyły brytyjskie krążowniki „Kent” i „Glasgow”. SMS Dresden był właściwie niezdolny do walki – miał za mało węgla i amunicji, a jego maszyny było mocno nadwyrężone. Kapitan Fritz Lüdecke liczył na to, że Anglicy uszanują neutralność Chile, ale Royal Navy postanowiła za wszelką cenę zniszczyć ostatnie zagrożenie ze strony niemieckiej marynarki nawodnej w tym rejonie. Rozpoczęto ostrzał statku, a kapitan nie widząc żadnych szans rozkazał go opuścić i dokonać samozatopienia. W ostatniej bitwie zginęło 4 marynarzy, a 315 zostało internowanych przez władze chilijskie. Jednym z internowanych był oficer wywiadu Wilhelm Canaris, późniejszy szef nazistowskiej Abwehry, który uciekł z niewoli w tym samym roku.

Kapitan Fritz Lüdecke powrócił do Niemiec w 1919 r. Przez rok zajmował się sprawami byłej wschodnioazjatyckiej flotyli krążowników i nadzorował likwidację tego, co z niej zostało. Awansowany do stopnia *Kapitän zur*

See po bitwie pod Coronel, otrzymał go oficjalnie 8 marca 1920 r. Następnego dnia, po trzydziestu latach służby, został przeniesiony na emeryturę z honorowym tytułem *Konteradmiral*. Zmarł w całkowitym zapomnieniu w 1931 r.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Mieczysław Łuszcz.

## Beznogi atleta w akcji

**W przedwojennej pomorskiej prasie można znaleźć „smaczki”, których z pewnością nie powstydzilyby się dzisiejsze tabloidy. Taką niespotykaną historią są wyczyny Mieczysława Łuszcza, beznogiego atlety z Tczewa.**

W lipcu 1935 r. „Słowo Pomorskie” donosiło o grasującym na terenie północnych powiatów województwa pomorskiego beznogim mężczyźnie, o rzadko spotykanej sile fizycznej. Nieznany z nazwiska osobnik poruszał się po ulicach posługując się zamiast utraconych nóg rękoma, a utrzymywał się z żebraniny: *„W dniu przedwczorajszym nieliczni przechodnie na Górkach, w pobliżu Strzelnicy, około godz. 13.00 byli świadkami jak ów beznogi włóczęga z kocią zwinnością z rowu skoczył do będącego w biegu pociągu towarowego, którym zawsze jeździ na gapę. Jak dalece zwinny jest wymieniony kaleka, niech świadczy fakt, który miał miejsce przed kilku dniami na przestrzeni kolejowej Tczew–Gdańsk, gdzie na gorącym uczynku jazdy na gapę w pociągu osobowym kaleka ujęty i zamknięty został przez konduktora na klucz w przedziale 3 klasy. Jakież jednak było zdziwienie kolejarza, który przed wjazdem pociągu na stację stwierdził, że beznogi pasażer, w dodatku w pełnym biegu, wyskoczył z pociągu nie czyniąc sobie uszkodzenia ciała.”*

O innym zdarzeniu z beznogim atletą w roli głównej informował trzy lata później „Kurier Bydgoski”. Mieszkający na Czyżykowie Mieczysław Łuszcz – bo tak ów osiłek się nazywał – pobił 24 sierpnia 1938 r. członka Stronnictwa Narodowego, 18-letniego Zygmunta Wąsika. Wąsik, zgodnie

z linią swojej partii, wzywał do bojkotu sklepów handlarzy żydowskich na ul. Krótkiej. Według gazety Mieczysław Łuszcz, „znany na tczewskim bruku zbir”, pobił Wąsika za „żydowskie pieniądze”: *„Sługus żydowski w bestialski sposób pastwił się nad pikieciarzem Wąsikiem. Broczącego krwią Wąsika tłum przechodniów wyrwał ze szponów krwawego zbira żydowskiego, który widząc groźną postawę tłumu, złożonego z 200 ludzi, schował się do składu żyda Kaca, skąd go dopiero zabrała policja. Przez cały dzień w mieście panowało wielkie wzburzenie.”*

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

# Willy Muscate.

## Przedsiębiorca i filantrop

**4 maja 2016 r. minęła 170. rocznica urodzin Willego Muscatego, jednego z największych darczyńców w dziejach Tczewa. Został zapamiętany jako założyciel Towarzystwa Upiększania Miasta, twórca Parku Miejskiego oraz fundator skrzydła koncertowego Hali Miejskiej. Mało kto wie natomiast, że pełnił również funkcję zastępcy burmistrza oraz był kuratorem Szpitala Joannickiego przy ul. 30. Stycznia. Skąd czerpał fundusze na swoją działalność społeczną? Okazuje się, że był niezwykle skutecznym przedsiębiorcą, regionalnym potentatem w produkcji maszyn rolniczych i parowych, a firma, którą założył, przetrwała obie wojny światowe i została znacjonalizowana dopiero przez władze komunistyczne.**

Początek działalności biznesowej Willego Muscatego datuje się na rok 1871. W czasie wojny francusko-pruskiej zetknął się w zachodnich Niemczech i Francji z maszynami rolniczymi, które były prawie nieznane na wschodnich terenach ówczesnych Niemiec. Motorem rodzinnego przedsiębiorstwa był najstarszy z braci Muscate – Alfred Paul Gustaw, który szybko dostrzegł potencjał tkwiący w maszynach rolniczych i postanowił zająć się ich dystrybucją i produkcją. 1 lutego 1871 r. założył w Gdańsku firmę handlową A. P. Muscate, wpisaną do rejestru firm Królewskiego Sądu Miejskiego w Berlinie pod nr 824. Firma importowała z Anglii przede wszystkim siewniki rządowe, a także młockarnie parowe oraz śrutowniki i sieczkarnie.

Pomimo niewątpliwych zalet mechanizacji prac rolnych, wprowadzanie maszyn napotykało początkowo na silny opór właścicieli ziemskich. Aby przekonać ich do stosowania nieznanych im maszyn, firma musiała zdecydować się na wynajem siewników oraz oferowanie usługowej młocki przy użyciu młockarni parowych.

Po powrocie z wojny francusko-pruskiej, Willy Muscate otrzymał we wrześniu 1872 r. stanowisko prokurenta w firmie A. P. Muscate i został ulokowany w Tczewie, aby zorganizować tam filię przedsiębiorstwa. Mieściła się ona przy ówczesnej ul. Chausseestrasse 25 (dzisiejszej ul. Obrońców Westerplatte). Funkcjonował tam również warsztat, zatrudniający początkowo sześciu mechaników. Od 1875 r. sprowadzane były z firmy Frank Garrett z Leiston koło Hull młockarnie o napędzie parowym i lokomobile. W wyniku rozwoju działalności firmy zatrudnienie wzrosło wkrótce do 40 pracowników. Wraz z upowszechnianiem się uprawy buraków cukrowych firma rozszerzyła swoją ofertę o urządzenia do głębokiej orki, początkowo tzw. pługi saksońskie, a następnie pługi parowe. W roku 1878 firma A. P. Muscate zakupiła pierwszy pług parowy angielskiej firmy John Fowler & Co z Leeds. Metoda orki systemem Fowlera polegała na przeciąganiu przechyłnego dwukierunkowego pługa wieloskibowego za pośrednictwem liny między dwiema samobieżnymi lokomobilami zaopatrzonymi w bębny linowe. Po przejściu pługa tam i z powrotem przez szerokość pola, lokomobile przemieszczały się w poprzek kierunku orki i pług wykonywał kolejne przejścia. Głębokość orki sięgała nawet 1,25 m. Wkrótce firma dysponowała ośmioma zestawami pługów Fowlera, które wypożyczała do prac ornych, a także rekultywacji żuławskich gruntów zapiaszczonych w wyniku wylewów Wisły. W miesiącach zimowych w fabryce przeprowadzano przeglądy i naprawy maszyn. Teren przy Chausseestrasse okazał się dla działu pługów parowych za mały.

W celu jego rozwoju, w roku 1882, zakupiona została w drodze postępowania upadłościowego fabryka Vogla, znajdująca się poza ówczesnymi granicami miasta, przy szosie Starogardzkiej (dzisiejsza ul. 30. Stycznia). Ponieważ wymagało to większych nakładów finansowych, Willy Muscate

wciągnął do spółki swoich kolegów Otto i Hermanna Kämmerlingów, którzy do 1900 r. byli tzw. cichymi współudziałowcami. Fabryka zajmowała się początkowo przeglądami i naprawami pługów parowych oraz młockarni i lokomobili, stopniowo organizując również własną produkcję maszyn. Już w roku 1883 firma A. P. Muscate uzyskała pozytywną opinię stacji badawczej przy instytucie rolnym uniwersytetu w Halle, dotyczącą swojego nowego wyrobu – młockarni typu Garretta o napędzie parowym. Pod koniec lat 80. XIX w., fabryka produkowała także frezarki do obróbki pocisków i granatów dla fabryk broni w Amberg, Spandau i Gdańsku. Po wstrzymaniu zamówień na frezarki do pocisków i granatów, fabryka produkowała wyłącznie maszyny rolnicze, w tym rozdrabniacze do buraków, przenośniki do słomy, brony, sortowniki do ziemniaków i czyszczalnie do ziarna. Specjalnością fabryki stała się produkcja sieczkarni bębnowych. Wykonywano również odlewane głowice wałów śmigłowych do wiatraków. Po wybudowaniu odlewni metali i hali do montażu lokomobili, fabryka zatrudniała 150 pracowników, a liczba posiadanych zestawów pługów parowych wzrosła do 12. Utworzona została także wypożyczalnia parowych walców drogowych, które na miejsce prac dostarczano koleją.

Firma regularnie uczestniczyła w wystawach rolniczych, nierzadko prowadząc promocję w sposób dalece niekonwencjonalny. W 1894 r. zamówiono w firmie Frank Garrett lokomobilę na wystawę w Królewcu, zaznaczając, że nie ma ona posiadać oznaczenia Garretta, a jedynie duży znak firmowy Muscate. Podobne zamówienia składano później regularnie, w większości nie motywując ich wystawienniczym przeznaczeniem sprowadzanych maszyn. Na wystawie rolniczej w Berlinie, w 1894 r., firma Muscate oferowała opatentowane rozwiązania broni zygzakowych i talerzowych. W roku 1897 sieczkarnia bębnowa o napędzie parowym z fabryki Muscate w Tczewie wyróżniona została na wystawie rolniczej w Hamburgu. Na wystawie rolniczej w Poznaniu w 1901 r. fabryka z Tczewa zaprezentowała sieczkarnię wyposażoną w urządzenie odpylające. W roku 1908 r., na wystawie w Królewcu, firmie A. P. Muscate przyznany został złoty medal za bogatą ofertę maszyn rolniczych.

Przedsiębiorstwo posiadało swoje filie w Bydgoszczy oraz w Grudziądzu, gdzie w 1899 r. przejęto odlewnię i fabrykę maszyn rolniczych Augusta Ventzkiego. Firma braci Muscate inwestowała także w lokalną prasę. W roku 1891 bracia Alfred i Willy, wraz ze swoim wspólnikiem Augustem Ventzkiem z Grudziądza, kupili od spadkobierców poprzedniego właściciela drukarnię i wydawnictwo „Gesellige” w Grudziądzu, a kilka lat później, w 1897 r., „Elbinger Zeitung” w Elblągu. Dyrektorem elbląskiego wydawnictwa został najmłodszy z braci – Guido Paul Gustaw Muscate. Bracia Muscate byli też współwłaścicielami gazety „General-Anzeiger” w Gorzowie Wielkopolskim.

Willy Muscate był jednym z pierwszych przedsiębiorców w Niemczech, którzy założyli Zakładową Kasę Chorych, czyli pracownicze ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne, współfinansowane przez właściciela przedsiębiorstwa. Tczewską siedzibę firmy łączyła z fabryką prywatna linia telefoniczna, jedna z pierwszych w tym regionie.

Willy Muscate był wielkim miłośnikiem przyrody. Należał do działających w Gdańsku, liczących się towarzystw naukowych – Towarzystwa Przyrodniczego oraz Zachodniopruskiego Stowarzyszenia Botaniczno – Zoologicznego. Był inicjatorem i prezesem założonego w 1889 r. w Tczewie Towarzystwa Upiększania Miasta. Zasadził drzewa rosnące przy drogach w kierunku Bałdowa i Suchostrzyg oraz na terenie fabryki. W 1898 r. powstał z jego inicjatywy Park Miejski o powierzchni ponad 6 ha. Do przygotowania pod park położonego za miastem głębokiego parowu, wykorzystany został pług Fowlera należący do tczewskiej fabryki. Na przeorany na głębokość ponad 1 metra i zabronowanym terenie wytyczono ścieżki i zasadzono 2 tys. sadzonek ozdobnych drzew i krzewów, wyhodowanych we własnej szkółce Willego Muscatego. Niewykluczone, że śmiałymi pomysłami zadrzewień zaowocowały lata dzieciństwa spędzone w Wirtach, gdzie jego ojciec był nadleśniczym.

Wkrótce po przybyciu do Tczewa, w 1874 r., Willy Muscate zaangażował się w działalność stowarzyszenia wolnomularskiego, którego wzniesiona w 1889 r. loża mieściła się przy obecnej ul. Obrońców Westerplatte 3, naprzeciwko siedziby firmy. W roku 1896 uczestniczył w tworzeniu tczewskiej filii



Niemieckiego Związku Marchii Wschodniej, niemieckiej organizacji nacjonalistycznej założonej w 1894 r. w Poznaniu, od nazwisk jej założycieli zwanej przez Polaków Hakatą. Jednak Willy Muscate nie pełnił żadnych funkcji w jej władzach, ani nie należał do jej zarządu, gdyż tradycyjne wolnomularskie ideały, jakie wyznawał, były nie do pogodzenia z agresywnymi celami Hakaty.

W 1879 r. Willy Muscate poślubił Lidię Jantzen, córkę właściciela folwarku w Szpęgawie i kierownika poczty w Tczewie. Majątek, który Muscatowie utrzymywali aż do końca I wojny światowej, słynął z dużej hodowli bydła i owiec rasy cienkowłosej. Małżeństwo miało pięcioro dzieci, z których dwoje – najstarszy Ernest (1880–1889) i najmłodsza Eryka (1887–1892), zmarło w dzieciństwie. Najstarszy z pozostałych, Alfred Paul Willy Muscate (ur. 1881), studiował prawo w Berlinie, Monachium i Heidelbergu, gdzie uzyskał stopień doktora za pracę o prawie czekowym. W roku 1910 został dyrektorem zarządzającym firmy A. P. Muscate w Gdańsku i Tczewie. Kurt Muscate (ur. 1884) studiował budowę maszyn i elektrotechnikę, jednak z powodów zdrowotnych został właścicielem ziemskim i dzierżawcą dóbr Gniszewo pod Tczewem. Zmarł podczas pełnienia służby wojskowej w 1917 r. w Grudziądzu. Erich Peter Paul Muscate (ur. 1886) studiował prawo i ekonomię polityczną w Monachium, Grenoble i Wrocławiu, a następnie pracował jako wolontariusz w gazetach we Wrocławiu i Hamburgu. Wstąpił ochotniczo do wojska. Podczas I wojny światowej walczył we Francji, gdzie został ranny. Po wojnie zamieszkał w Monachium. Ciekawostką może być fakt, że zarówno Alfred, jak i Kurt, odbyli w młodości dalekie morskie podróże, Kurt – rejs wokół Europy z Genui do Hamburga w 1907 r., a Alfred – podróż do Stanów Zjednoczonych w latach 1909–1910.

Willy Muscate zmarł w Berlinie 19 lutego 1915 r. w hotelu Bristol i najprawdopodobniej pochowany został w Tczewie, w grobowcu rodzinnym zaprojektowanym przez Józefa Jakuba Tyborskiego, malarza i rzeźbiarza, autora m. in. postawionego w 1907 r. w Grudziądzu pomnika upamiętniającego obronę twierdzy przed wojskami Napoleona w 1807 r. Z inicjatywy Towarzystwa Upiększania Miasta ustawiono w Parku Miejskim pamiątkowy głaz, na którym zamierzano umieścić tablicą dedykowaną przedsiębiorcy.

W ukończeniu pomnika założyciela parku przeszkodziły wydarzenia I wojny światowej.

Po śmierci Willego zarząd nad firmą w Tczewie przejął jego syn Alfred, który pozostał na tym stanowisku także po fuzji z firmą Betcke & Co i jej przekształceniu w spółkę akcyjną Muscate, Betcke&Co GmbH. W roku 1921 firma obchodziła 50-lecie swojego istnienia. Była największą w Gdańsku fabryką maszyn rolniczych oraz wyrobów metalowych. Posiadała zakłady w Tczewie, Gdańsku, Grudziądzu, Malborku, a także w meklemburskim Anklam oraz w Grünbergu (Zielona Góra). W roku 1923 Alfred Muscate ustąpił ze stanowiska z powodu nieporozumień ze współnikiem Betcke i założył firmą A. Muscate Landmaschinen GmbH z oddziałami w Gdańsku i Tczewie. Na początku lat 30. fabryka w Tczewie zatrudniała przeszło 300 pracowników.

Mimo że działalność firmy, która przetrwała formalnie aż do 1949 r., zakończyła nacjonalizacja, przemysłowe tradycje Tczewa, kontynuowane przez utworzone na jej miejscu kolejne przedsiębiorstwa, przetrwały po dzień dzisiejszy. Spośród wielu pozytywnych efektów działalności Willego Muscatego jego wkład w rozwój gospodarczy miasta jest najmniej doceniany. Stworzenie dużej fabryki, która przez kilkadziesiąt lat zatrudniała wielu tczewian, miało wymierny wpływ na życia społeczeństwa. O trwałości dzieła Muscatego świadczy fakt, że obecnie na terenie byłej fabryki maszyn znajduje się zakład Eaton, który w wielu aspektach kontynuuje dzieło tego wybitnego mieszkańca Tczewa.

19 czerwca 2015 r. Parku Miejskim, na wciąż zachowanym historycznym głazie, z inicjatywy władz miasta i miłośników historii Tczewa, odsłonięta została tablica upamiętniająca zasłużonego przemysłowca i filantropa, spełniając w setną rocznicę jego śmierci przyrzeczenie złożone niegdyś przez mieszkańców naszego miasta.

**Opracował Mirosław Zawadzki**

# Wojciech Piotrowski. Podporucznik z HMS „Culver”

**Stare nekropolie mają niepowtarzalny klimat i urok. Takim miejscem w Tczewie jest cmentarz przy ul. 30 Stycznia zwany Starym. Spacerując jego alejkami przyglądamy się nagrobkom. Przystajemy i zadajemy sobie pytanie – kim była osoba tu spoczywająca?**

Zagadkę jednego z nagrobków udało się wyjaśnić. Na głównej tablicy grobu widnieje napis: „Wojciech Piotrowski ppor Polskiej Marynarki Wojennej 31 I 1942”, a u dołu znajduje się wcześniejsza tablica z wyrytym tekstem: „Wojciech Piotrowski ur. 24 III 1920 Sodalis Marianus harcerz ppor Polskiej Marynarki Wojennej odznaczony Krzyżem Walecznych i Medalem Morskim poległ 31 I 1942”.

Wojciech Piotrowski najprawdopodobniej studiował w bydgoskiej Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej. Latem 1939 r. podchorążowie wypłynęli w rejs szkolny na „Iskrze” i „Wili” (źródła podają, że na tym transportowcu pływał W. Piotrowski) i za granicą zastała ich wojna. Oba okręty trafiły do Casablanki.

12 października 1939 r. „Iskrę” oraz „Wilię” skierowano do Port Lyautey (obecnie Kenitra), gdzie miały pozostać do końca wojny. Pięć dni później dowódcy obu jednostek wygłosili pożegnalne przemówienia, po czym nastąpiło opuszczenie bander z obydwu okrętów. Przez Casablanke, Bordeaux i obóz w Landerneau marynarze dotarli do Anglii. Większość z podchorążych od 23 listopada 1939 r. kontynuowała naukę na okręcie-bazie „Gdynia”

w Devonport, na którym została zorganizowana Szkoła Podchorążych Marynarki Wojennej. Wśród nich był też Wojciech Piotrowski. Po kilku tygodniach nauki podchorążych skierowano na praktyki w warunkach bojowych na trzech polskich kontrtorpedowcach i dwóch okrętach podwodnych. Praktyka trwała od grudnia 1939 r. do kwietnia 1940 r. Kolejną sześciomiesięczną praktykę marynarze odbyli z początkiem lutego 1941 r. Wojciech Piotrowski zaokrętował na ciężkim krążowniku HMS „London”. Był to ostatni sprawdzian przed promocją na oficera PMW.

3 września 1941 r. w obecności najwyższych przedstawicieli brytyjskiej Admiralicji wiceadmirał Jerzy Świrski promował 40 podchorążych. Stopień podporucznika marynarki z dniem 1 września 1941 r. otrzymał także Wojciech Piotrowski, ukończywszy szkołę z 12. lokatą. Prawdopodobnie od razu po promocji Piotrowski rozpoczął staż na brytyjskim eskortowcu HMS „Culver”.

HMS „Culver” (wcześniej „Mendota”) był dawną kanonierką amerykańskiej Straży Przybrzeżnej, zbudowaną do walki z kontrabandą. 31 stycznia 1942 r. o godzinie 23.31 niemiecki okręt podwodny U-105 wystrzelił w kierunku konwoju SL-98 cztery torpedy, z których dwie trafiły w eskortowiec HMS „Culver”. Ponieważ okręt był słabej konstrukcji i nie posiadał grodzi wodoszczelnych, zatonął tak szybko, że tylko trzynastu (inne źródła podają dwunastu) członków załogi zdołało się uratować. Nie było wśród nich, niestety, Wojciecha Piotrowskiego.

**Opracowała Gabriela Burclaw**

# Henryk Reuss von Plauen.

## Wielki Mistrz z Tczewa

**W początkach swojej zakonnej kariery władał tczewskim wójtostwem i zapewne niejednokrotnie odwiedzał nasze miasto. Jako jedyny z tczewskich wójtów pełnił kolejno trzy z pięciu najwyższych zakonnych urzędów i został pierwszym wielkim mistrzem wybranym w nowej stolicy państwa zakonnego – Królewcu.**

Owym „Mistrzem z Tczewa” był Henryk Reuss von Plauen, pochodzący z linii rodu von Plauen z Greizu w południowej Turynгии, dość daleki krewny innego Henryka von Plauen – komtura Świecia w latach 1407–1410, a po grunwaldzkiej klęsce samozwańczego namiestnika zakonu krzyżackiego i zawziętego obrońcy Malborka, a następnie wielkiego mistrza w latach 1410–1413. Założyciel linii z Greizu, także Henryk Reuss von Plauen, który swój przydomek, znaczący tyle co „ruski”, przyjął poślubiając wnuczkę króla Rusi Halickiej Daniela Halickiego, był bratem Henryka von Plauen zwanego *der Böhme* – czyli „czeski”, którego prapraprawnikiem był komtur Świecia.

Henryk Reuss von Plauen przybył do Prus już jako rycerz zakonny, najprawdopodobniej w roku 1422, po rezygnacji z urzędu wielkiego mistrza Michała Kűchmeistra i wyborze na jego następcę Pawła von Russdorffa. Gdy młody Henryk Reuss rozpoczynał swoją służbę dla Zakonu, dobiegała właśnie końca kariera jego głośnego imiennika i dalekiego krewnego. Były wielki mistrz Henryk von Plauen decyzją nowego zwierzchnika zakonu odzyskał wolność po 9-letnim uwięzieniu w zamku Brandenburg nad Zalewem Wiślanym i objął podrzędne stanowisko administratora zamku w Lochstadt na

Półwyspie Sambijskim. Jednym z pierwszych, choć gorzkich dla Henryka Reussa doświadczeń, mógł być udział w wojnie z Królestwem Polskim, podczas której wojska polsko – litewskie zdobyły i zniszczyły zamek zakonny w Golubiu oraz spustoszyły ziemię chełmińską i Pomezanię. W traktacie zawartym we wrześniu 1422 r. nad jeziorem Mełno koło Radzyna Chełmińskiego, zakon musiał zrzec się wszelkich pretensji do Żmudzi oraz odstąpić Królestwu Polskiemu Niezawę oraz inne posiadłości na Kujawach.

Od roku 1430 Henryk Reuss von Plauen wszedł do grona najwyższych dostojników zakonu, obejmując urząd wielkiego skarbnika, który sprawował do roku 1431, kiedy to został wójtem tczewskim. Należąc do malborskiego konwentu zakonnego i podlegając bezpośrednio wielkiemu mistrzowi, zarządzał liczącym przeszło 2,5 tys. km kw. bogatym obszarem stanowiącym bezpośrednio zaplecze gospodarcze stolicy zakonnego państwa. Rezydującemu w Sobowidzu wójtowi tczewskiemu podlegali administratorzy z Kościerzyny, Starej Kiszewy, Skarszew i Nowego. Mimo że wójtem tczewskim pozostawał formalnie do 1433 r., od kwietnia do listopada 1432 r. pełnił przejściowo urząd wielkiego komtura – zastępcy wielkiego mistrza odpowiedzialnego za gospodarkę i administrację, będącego jednocześnie komturem malborskim. W 1432 r. objął urząd wielkiego szpitalnika i przynależną mu funkcję komtura elbląskiego. Formalnie zarządzający kilkuset prowadzonymi przez zakon szpitalami, faktycznie sprawował nadzór nad Starym i Nowym Miastem Elbląga, stanowiącymi jeden z największych i najważniejszych ośrodków gospodarczych w państwie zakonnym. Sprawując ten urząd łącznie przez 34 lata, Henryk Reuss von Plauen był najdłużej urzędującym wielkim szpitalnikiem w całej historii zakonu.

Tczewski okres w karierze ambitnego rycerza nie był dla miasta najszcześniejszy. Rozpoczęta w 1431 r. przez zakon wojna z Polską, doprowadziła do stanowczej riposty w postaci polsko – husyckiej wyprawy, która dotkliwie spustoszyła ziemię pomorską. 29 sierpnia 1433 r. wojska królewskie dowodzone przez Mikołaja z Michałowa zdobyły i złupiły Tczew, biorąc do niewoli jego obrońców i mieszkańców, a wzniecony podczas walk pożar obrócił miasto w ruinę. Wojna, choć dla Krzyżaków niefortunna, pozwoliła jednak

świeżo mianowanemu wielkiemu szpitalnikowi rozwinąć talenty dyplomatyczne. W listopadzie 1433 r. uczestniczył w rokowaniach pokojowych, a w dwa lata później stał już na czele delegacji zakonu oraz duchowieństwa i stanów pruskich, która 31 grudnia 1435 r. zawarła w Brześciu Kujawskim pokój wieczysty z Królestwem Polskim. W latach 1438–1439 był wysłannikiem wielkiego mistrza do mistrzów krajowych w Inflantach i Rzeszy Niemieckiej, którzy nie uznali traktatu brzeskiego, dążąc do uniezależnienia się od władzy mistrza z Malborka. Dobrze zapowiadająca się kariera Henryka Reussa uległa gwałtownemu zahamowaniu. Po odsunięciu od władzy przez zakonną opozycję jego mentora – wielkiego mistrza Pawła von Russdorfa, von Plauen przesunięto na równie odpowiedzialne, co odległe od Malborka stanowisko komtura Bałgi i wójta Natangi.

Pomyślne pokonanie politycznego wirażu umożliwiła mu wcześniejsza znajomość z nowym wielkim mistrzem, Konradem von Erlichshausen, oraz powinowactwo z Erlichshausenami poprzez nieznaną z imienia siostrę, wydaną najprawdopodobniej za jednego z braci Ludwika lub Konrada. Henryk Reuss powrócił na urząd wielkiego szpitalnika oraz do działalności dyplomatycznej. W roku 1443 uczestniczył w poselstwie zakonu i stanów pruskich do elektora brandenburskiego, w sprawie zawarcia traktatu o odzyskanie praw do Nowej Marchii. 25 czerwca 1447 r. Henryk Reuss von Plauen reprezentował wielkiego mistrza w Krakowie, na koronacji Kazimierza Jagiellończyka na króla Polski. Podobno, umierający wielki mistrz Konrad von Erlichshausen, na swojego następcę bardziej rekomendował Henryka von Plauen niż własnego bratanka.

Pod rządami Ludwika von Erlichshausen, Henryk Reuss kontynuował rozpoczętą przez poprzedniego mistrza rozgrywkę ze związkiem stanów pruskich, nadając jej zdecydowanie konfrontacyjny charakter. Związek wniósł spór przed sąd cesarski. Wielki szpitalnik wraz z biskupem warmińskim stanęli na czele delegacji zakonu. Zdążając do Wiednia delegację związku napadli pod Brnem morawscy rycerze – rozbójnicy. 5 grudnia 1453 r. zapadł wyrok nakazujący rozwiązanie związku, a jego zwolenników obejmujący proskrypcją *in blanco*, równoważną z wyrokiem śmierci i konfiskatą majątku

zarazem. W odpowiedzi, 4 lutego 1454 r., związek wypowiedział posłuszeństwo wielkiemu mistrzowi i rozpoczął antykrzyżackie powstanie w całym państwie zakonnym, opanowując w ciągu kilku dni główne ośrodki miejskie z Toruniem, Gdańskiem i Elblągiem. Wielki szpitalnik, znajdujący się wówczas w Pasłęku, bezpowrotnie utracił przynależną jego urzędowi elbląską komturę, a po krótkiej obronie musiał ustąpić, choć na honorowych warunkach, także z pasłęckiego zamku i udać się do Malborka, gdzie wielki mistrz powierzył mu dowodzenie obroną krzyżackiej stolicy. Po raz kolejny wojna pozwoliła wielkiemu szpitalnikowi sprawdzić się w dziedzinie odległej od jego zakonnego urzędu. Z determinacją godną swego dalekiego krewnego z czasów wielkiej wojny i nawet większą skutecznością, nękał oblegające zamek i miasto wojska gdańskie, dwukrotnie zmuszając je do opuszczenia Żuław i wycofania się za Wisłę.

Brzemienne w skutki dla toczącej się wojny miało się okazać ściągnięcie na pomoc zakonowi przez wojowniczego szpitalnika swojego kuzyna, także Henryka Reuss von Plauen, zwanego Młodszym, który bez walki odzyskał strategicznie położone Chojnice. 18 września 1454 r., w krytycznym dla strony krzyżackiej momencie bitwy toczonej pod Chojnicami przez wojska królewskie z zaciężnymi posiłkami zakonu, ten doświadczony dowódca śmiałym manewrem rozstrzygnął nie tylko los bitwy, ale i dalszy przebieg wojny, która wcale nie zapowiadała się na trzynastoletnią. Gdy szarża polskich hufców zniosła szyki zaciężnych kopijników, którzy utracili w poległych i wziętych do niewoli większość swoich dowódców, a opór stawiała już tylko walcząca w warownym taborze krzyżacka piechota, wypad oddziałów z Chojnic na tyły i dowództwo polskich wojsk doprowadził do załamania się polskiego natarcia i wybuchu paniki, a w jej efekcie do kompletnej klęski strony polskiej. Na wysokości zadania stanęła jedynie królewska ochrona, siłą ewakuując z pola przegranej bitwy Kazimierza Jagiellończyka, który bynajmniej wcale nie chciał wymieniać królestwa za konia.

Gdy 27 września przemieszczająca się z Chojnic do Malborka armia krzyżackich zaciężnych obległa Tczew, od wschodu na czele malborskich oddziałów przybył wielki szpitalnik. Jego pierwsza wspomniana w źródłach



tczewska wizyta miała huczny przebieg, a to za sprawą krzyżackiej artylerii nękającej miasto ostrzałem z pozycji pod Lisewem. Mimo to mieszkańcy stawili jednak zacięty opór. Ich determinacja nie udzieliła się niestety przysłanym dla obrony miasta gdańskim zaciężnym i po dwóch dniach Tczew skapitulował. W obozie krzyżackich zaciężnych pod miastem, szpitalnik – bombardier pojawił się ponownie 4 października, tym razem jako negocjator, skutecznie przekonując dowódców do dalszej służby dla zakonu obietnicą zapisu dotychczasowych i przyszłych należności na krzyżackich zamkach i miastach.

W obliczu zwołanej jesienią przez króla Kazimierza nowej wyprawy pospolitego ruszenia, zmierzającej z Torunia przez ziemię chełmińską na Pomezanie, głównodowodzący wojskami zakonnymi wielki szpitalnik pokazał duszę rasowego zagończyka. W początkach grudnia poprowadził szybki i niszczycielski rajd na Warmię, docierając do Fromborka i pod Bałgę, co doprowadziło do załamania się koncentracji pospolitego ruszenia związku na Warmii i w Prusach Dolnych. 11 stycznia 1455 r. szpitalnik – zagończyk pojawił się w Tczewie po raz kolejny, prowadząc wraz z wielkim mistrzem następny rajd, tym razem skierowany na Gdańsk. Wojska krzyżackie zniszczyły w Pruszczu służę na Raduni i 13 stycznia bezskutecznie próbowały zdobyć nieufortyfikowane Nowe Miasto, aby po jego podpaleniu pożar ogarnął chronione podwójnym murem Główne Miasto.

W kwietniu utalentowany szpitalnik przedsięwziął wyprawę, która miała mu przynieść największy z jego militarnych sukcesów, a zakonowi zapewnić podstawy późniejszego istnienia. W odpowiedzi na wolę powrotu pod władzę zakonu, wyrażoną przez zrewoltowane nadmiernymi obciążeniami podatkowymi społeczności dwóch ośrodków miejskich Królewca – Starego Miasta i Lipnika, tytularny już komtur Elbląga wyruszył aby przywieść do posłuszeństwa, wciąż wierne związkowi, trzecie z królewieckich miast – Knipawę. Odzyskując po drodze Braniewo oraz zamki nad Zalewem Wiślanym i w Sambii, 13 kwietnia stanął na przedmieściu Knipawy – Haberbergu (obecnie okolice dworca kolejowego), gdzie stoczył pierwszą, acz nieudaną potyczkę z miejskimi oddziałami. Po przyjęciu

16 kwietnia hołdu od Starego Miasta i Lipnika rozpoczął przy ich wsparciu blokadę położonej między ramionami Pregoty Knipawy. Idące z odsieczą pospolite ruszenie związkowego rycerstwa z Prus Dolnych zostało 25 maja doszczętnie rozbite przez oddziały von Plauena pod Iławą Pruską. Po 14 tygodniach oblężenia i odparciu ciężkich szturmów, wobec braku nadziei na pomoc oraz ciężkich strat własnych, wciąż nie zdobyta Knipawa zdecydowała się na kapitulację na honorowych warunkach. W zamian za odstąpienie od związku i powrót na łono zakonu miasto utrzymało swoje przywileje i dotychczasowe władze oraz otrzymało pełną amnestię wraz z gwarancją wolności od zastawu na rzecz zaciężnych. 15 lipca szpitalnik – zdobywca wkroczył do Knipawy i przyjął, w imieniu zakonu, złożony przez miasto uroczysty hołd.

Kolejną kampanię przyszło stoczyć pełniącemu obowiązki wielkiego marszałka szpitalnikowi na rynku krzyżackich nieruchomości. Od połowy 1455 r. krzyżacy zaciężni, władający formalnie i faktycznie zakonnymi zamkami i miastami, które otrzymali na mocy zapisu wielkiego mistrza, tytułem zastawu za należne wynagrodzenie, zaczęli – wobec ewidentnego braku widoków na wypłatę niemałych należności – poszukiwać nabywców na krzyżackie nieruchomości, nie wykluczając bynajmniej z ich grona swoich dłużników. Szpitalnik – dyplomata rozpoczął intensywne zabiegi o fundusze konieczne do odzyskania zastawu, starając się jednocześnie odzyskać zaufanie zaciężnych wierzycieli oraz odwieść ich od zamiaru sprzedaży zakonnych dóbr polskiemu królowi. Jedyne istotne wsparcie finansowe nadeszło od inflanckiej gałęzi zakonu, jednakże nie umożliwiała ono zaspokojenia roszczeń zaciężnych, którzy prowadzili także przewlekłe i burzliwe negocjacje ze stroną polską. W ich wyniku obydwie strony zaakceptowały pod koniec lipca 1456 r. warunki wykupu krzyżackiego zastawu. Za kwotę 436 tys. węgierskich złotych, z której 1/4 miała być wypłacona w towarach, uregulowaną do końca 1456 r., stronie polskiej przekazane być miało 21 zamków i miast wraz ze stolicą zakonu. Świadomy swoich skromnych możliwości finansowych, wielki szpitalnik zdecydował się na iście pokerową zagrywkę, przebijając królewską ofertę zarówno co do

stawki, jak i terminów płatności. Propozycję tę przyjęła za dobrą monetę spora część dowódców niemieckich, zawierając z von Plauenem w połowie sierpnia układ w Prabutach, określający warunki dalszej służby dla zakonu. Ich optymizmu nie podzieliła jednak grupa tak czeskich, jak i niemieckich dowódców związanych z Malborkiem, która w tym samym czasie w Toruniu zdecydowała się na sprzedaż polskiemu królowi krzyżackiej stolicy wraz z Tczewem i Iławą.

Wkrótce po przybyciu wielkiego mistrza do Królewca, w połowie sierpnia 1457 r., wielki szpitalnik podjął ponownie działania zaczepne w dolinie Pregoi i Łyny w Prusach Dolnych, oblegając Welawę i Sępopol, a następnie – po zaskakującej i śmiałej przeprawie konnych wojsk przez spiętrzoną Łynę – 14 września pokonał w bitwie pod Bartoszcami wysłane na odsiecz obleganym miastom liczniejsze oddziały związkowych zaciężnych.

1 października przybył do miasta Malborka, opanowanego przez wojska Bernarda Szumborskiego, któremu bramy otworzyli wierni zakonowi mieszczanie. Zamek utrzymała zaciężna załoga Ulryka vel Oldrzychy Czerwonki, zawczasu wynagrodzonego hojnymi nadaniami przez roztropnego polskiego króla. Przez blisko 4 miesiące wielki szpitalnik kierował obroną miasta, od końca listopada obleganego, acz niezbyt skutecznie, przez wielkopolskie pospolite ruszenie i oddziały związkowe. Od nieuchronnej kapitulacji w wyniku braku zapasów, jak i środków dla zaciężnych, uratowała szpitalnika – obrońcę odsiecz, z jaką bez większych przeszkód przedarł się przez dziurawą blokadę Bernard Szumborski.

W końcu stycznia 1458 r. wielki szpitalnik zrezygnował z dowodzenia obroną Malborka i wraz z oddziałami Szumborskiego opuścił miasto udając się do Królewca. Wobec możliwości upadku miasta obleganego od połowy sierpnia przez liczne pospolite ruszenie z Korony, szpitalnik – dyplomata rozpoczął rokowania z delegatami króla, zakończone podpisaniem 12 października rozejmu w Prabutach, zawieszającego na 9 miesięcy działania wojenne. W marcu 1459 r. wszedł w skład delegacji wielkiego mistrza, próbującej podjąć w Chełmnie rokowania pokojowe ze stroną polską. Poważne problemy zdrowotne, trapiące szpitalnika na przekór

piastowanemu urzędowi, poważnie ograniczyły jego aktywność zarówno w końcowym okresie zmagania o Malbork, jak i w czasie późniejszej krzyżackiej ofensywy na Pomorzu i w dolnych Prusach, do której przyłączył się w jej końcowej fazie przeprowadzając przeszło 4-miesięczne, udane oblężenie Morąga, który skapitulował w końcu października 1461 r.

Pod koniec lata 1463 r. wziął udział w ostatniej dużej krzyżackiej operacji ofensywnej, podjętej przez wielkiego mistrza dla odblokowania Gniewa obleganego przez wojska królewskie i gdańskie. Dowodzone przez szpitalnika siły krzyżackie z Prus Dolnych wykonały głębokie obejście oblężonego Gniewa przez Nowe i Starogard, gdzie połączyły się z załogami ściągniętymi z miast północnego Pomorza i wyruszyły na spotkanie nadciągającej Wisłą flotylli wielkiego mistrza. 12 września wojska szpitalnika minęły Tczew i rozłożyły się obozem pod Czatkowami. Plan połączonej operacji lądowej i rzecznej nie doszedł jednak do skutku z powodu nieudolnego dowodzenia wielkiego mistrza, którego flota została zablokowana na Szkarprawie przez okręty gdańskich i elbląskich kaprów, a następnie zepchnięta na Zalew Wiślany, zwany wówczas Zatoką Świeżą, i rozbita w bitwie morskiej stoczonej 15 września wzdłuż wybrzeża między Kamionkiem a Suchaczem. 16 września wojska szpitalnika ponownie przeszły pod Tczewem, tym razem w drodze powrotnej do Starogardu, gdzie grupa uległa samorzutnemu rozpadowi.

Poniesione przez zakon kłęski sprawiły, że w roku 1464 szpitalnik po raz kolejny wcielił się w dyplomatę, współprzewodnicząc krzyżackiej delegacji próbującej wysondować warunki zawarcia rozejmu ze stroną polską na rokowaniach prowadzonych od końca czerwca do połowy lipca w Toruniu. Jednak już jesienią ponownie przejawiał bardziej mu właściwą naturę wojownika, gdy 13 października nagłym wypadem o mały włos nie opanował elbląskiego Nowego Miasta. Niedługo po tym poprowadził skryty zagon pod Toruń, który 31 października próbował zdobyć atakiem na mury od strony Wisły, dostrzeżonym jednak przez toruńskie straże. Ostatnią próbę odzyskania Torunia dla zakonu, tym razem drogą układową, podjął rok później w sierpniu 1465 r., kusząc miasto obietnicą nadania ziemi chełmińskiej.

W październiku 1466 r. przybył do Torunia wraz z wielkim mistrzem, który powierzył mu kierownictwo krzyżackiej delegacji finalizującej z przedstawicielami króla ustalenia kończącego wojnę traktatu pokojowego. Choć 19 października w toruńskim Dworze Artusa przyszło mu wziąć udział w uroczystym zaprzysiężeniu zawartego pokoju, to z jego postanowieniami nie pogodził się nigdy. Nową siedzibą wielkiego szpitalnika, który musiał porzucić cokolwiek już nieaktualny tytuł komtura Elbląga, na krótko stał się Pasłęk.

Gdy niespełna pół roku po zawarciu pokoju toruńskiego, w kwietniu 1467 r. zmarł wielki mistrz Ludwik von Erlichshausen, niepokorny szpitalnik został uznany jego niekwestionowanym następcą. Aby ominąć postanowienia toruńskiego traktatu dotyczące hołdu należnego polskiemu królowi od każdorazowego wielkiego mistrza, nowy zwierzchnik zakonu rozpoczął swe rządy jako namiestnik – zastępca, zwyczajowo sprawujący władzę do wyboru nowego wielkiego mistrza. Przekazawszy tytuł wielkiego szpitalnika swojemu następcy, Henryk Reuss von Plauen, już jako namiestnik przyjął skromny tytuł komtura Morąga. W maju spotkał się w Piotrkowie z Kazimierzem Jagiellończykiem, któremu przekazał dokumenty traktatu pokojowego ratyfikowane przez rycerstwo i mieszczan krzyżackich Prus, uzyskując ze strony stanów Królestwa potwierdzenie utrzymania zawartego pokoju. Permanentny namiestnik starał się utrzymać poprawne relacje z zaangażowanym w sprawę czeskie polskim królem, intrygując jednocześnie przeciwko Gdańskowi, o którego rzekomej nielojalności informował króla składając mu wizytę w Wilnie wiosną 1468 r. We wrześniu przyszło mu z nutą nostalgii odwiedzić Malbork, gdzie wezwał go na spotkanie powracający z podróży do Gdańska Kazimierz Jagiellończyk, którego cierpliwość w kwestii oficjalnego wyboru wielkiego mistrza zaczynała się powoli wyczerpywać. Jednak jeszcze przez rok udało się von Plauenowi prowadzić z królem ryzykowną grę w namiestnika.

Wybrany 15 października wielkim mistrzem, przybył pod koniec listopada na sejm do Piotrkowa, gdzie złożył królowi, po przeszło trzech latach uników, uroczystą przysięgę wierności. Pod koniec grudnia powrócił do Prus, gdzie – jak chcieli to widzieć niegdyś pruscy historycy – złamany doznany

upokorzeniem, a w rzeczywistości sterany wiekiem i trapiiony chorobami sędziwy mistrz zmarł po doznanym wylewie 2 stycznia 1470 r. w Morągu, zaskakując króla już po raz ostatni.

**Opracował Mirosław Zawadzki**

# Alojzy Swiniarski.

## „Kociewski Drzymała”

Dzięki Internetowi możemy korzystać z zasobów bibliotek cyfrowych, w których znajdują się skatalogowane czasopisma sprzed wielu lat wydawane w języku polskim na terenie ówczesnego zaboru pruskiego. Czytając notatki prasowe sprzed ponad wieku natrafiamy na wydarzenia związane z postacią Alojzego Swiniarskiego, postaci praktycznie nie wymienianej w popularnych opracowaniach historycznych dotyczących Tczewa. Ten polski działacz związkowy poprzez nietuzinkowe działania i swoje wielkie zaangażowanie w pomoc rodakom, wykazywał się pomysłowością i odwagą niczym słynny Wielkopolanin Drzymała, kpiący z pruskiego państwa i wykorzystujący przed sądami zaborcy nieszablonowe rozwiązania prawne.

Pierwsze ogłoszenie, w którym Swiniarski pojawia się w tczewskim kontekście pochodzi z „Gazety Grudziądzkiej” z 12 września 1907 r.: *„Tczew, baczność! Stolarzy na meble fornierowane, tylko pierwszorzędną pracę, poszukuje pewna fabryka w Prusach Zachodnich na dobry zarobek. Zgłoszenia proszę nadsyłać do biura »Zjednoczenia Zawodowego Polskiego« w Tczewie (Dirschau) Ulrichstrasse nr. 40. Swiniarski, delegat”*.

Zwróćmy uwagę, że pojawia się tu nazwa Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, które powstało pięć lat wcześniej w odległym Bochum. Jak widać istniały powody, dla których Tczew stał się siedzibą stałej delegatury tej organizacji przy obecnej ul. Wąskiej. W roku 1909, jak wskazuje ogłoszenie

w „Gazecie Gdańskiej” z 26 czerwca, tczewska siedziba Zjednoczenia Zawodowego Polskiego przeniesiona została do istniejącego do dziś budynku przy ul. Wąskiej 3: *„Baczność rzemieślnicy i robotnicy polscy! W chytry sposób powzięły związki niemieckie agitację w Prusach Zachodnich. Aby nasi rodacy od razu się nie poznali, że wstępują w związki niemieckie, rozdają pomiędzy nich gazety polskie, także i ustawy, nawet karteczki wstępu są z polskim drukiem. Aby nasi rodacy nie dali się na taki łep chwycić, zwraca się uwagę, że organem Zjednoczenia Zawodowego Polskiego jest „Siła”, a w książeczkach kwitowych, także i w ustawach jest nagłówek „Zjednoczenie Zawodowe Polskie”, a do tej organizacji każdy polski rzemieślnik i robotnik należeć powinien, jeżeli mu chodzi o polepszenie bytu. Uprasza się zarazem członków Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, aby wszelkie sprawy, dotyczące się obrony prawnej, które do sekretaryatu nadsyłane będą, były potwierdzane przez miejscowych delegatów, w innym razie takich spraw załatwiać niemożna. Sekretaryat na Prusy Zachodnie od 1 lipca będzie się znajdował w Tczewie (Dirschau, Ulrichstrasse) num. 3. A. Swiniarski, delegat”.*

Jak widzimy, przez kilka lat Swiniarski prowadził aktywnie działalność biura organizacji, która nie tylko nie kryła się ze swoją polskością, ale i wyraźnie podkreślała swój narodowy charakter. Wspomniana powyżej obrona prawna oferowana przez Swiniarskiego członkom Zjednoczenia wskazuje na dobrą znajomość pruskich przepisów prawa. Istnieje kilka opisów sytuacji, w których Swiniarski przy pomocy sprytnych wybiegów odpierał oskarżenia Prusaków o nielegalne zebrania w Tczewie i Starogardzie. Musiał on być bardzo zdeterminowany w swej działalności, skoro używał takich sztuczek, jak oficjalne ogłaszanie zebrania zamkniętego poprzez przypinanie na drzwiach odpowiednich kartek, co zapewniać miało zgodność zebrań z pruskim prawem.

Pierwsza znaleziona przez nas notatka pochodzi z 12 marca 1908 r., z poznańskiego czasopisma „Postęp”. Czytamy tam opis konferencji delegatów przerwanej i rozwiązanej przez komisarza Mauracha: *„Starogard. Konferencja delegatów na Prusy Zachodnie Zjednoczenia Zawodowego Polskiego odbyła się, jak donosi „Pielgrzym” w niedzielę, dnia 8 marca, w Starogardzie.*



Konferencyą zagał druh Swiniarski z Tczewa, a przewodniczył jej prezes Rady Nadzorczej, druh Mańkowski z Wanne, we Westfalii. Powitawszy zebranych delegatów, rozwiódł się druh Mańkowski w dłuższem przemówieniu nad sprawą robotniczą i dodatnią działalnością Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Nad przemówieniem tem wywiązała się ożywiona dyskusya. Następnie zdał druh Swiniarski sprawozdanie, po którym również dyskusya nastąpiła. Z żywym zajęciem rozprawiano nad projektem ustaw rzemieślników i robotników budowlanych. Zgodzono się jednomyślnie na to, że ustawy powinny, zawierać jak najkorzystniejsze przepisy, by pod tym względem Zjednoczenie dorównywało a nawet przewyższało organizacje obce. Przy wolnych wnioskach poruszano różne sprawy, ale wszystkie nie zdołano załatwić, gdyż o godz. 5 zajęło salę Tow. Ludowe. O godz. 7 i pół wieczorem odbył się przy żywym udziale rodaków wiec Zjednoczenia Zaw. Polsk. Zagał i przewodniczył mu p. Swiniarski z Tczewa. Przebieg wieca był spokojny i poważny, ale mimo to komisarz policyjny p. Maurach rozwiązał go. Wiecownicy byli z tego powodu oburzeni – i to słusznie. Przeciw temu postąpieniu p. Mauracha wysłał przewodniczący zażalenie do wyższej władzy”.

„Gazeta Gdańska” z 2 października 1909 r. relacjonowała sądowe zeznania komisarza kryminalnego Hampela: „Toruń. We wtorek, dnia 28 bm. stawali przed sądem toruńskim panowie Byszewski z Torunia i Swinarski z Tczewa, oskarżeni o rzekome urządzenie publicznego zgromadzenia Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, na którym przemawiano w języku polskim. Oskarżeni przytaczali na swoją obronę, że posiedzenie odnośnie nie było zebraniem publicznem lecz zwykłym zamkniętym zgromadzeniem członków towarzystwa. Przystęp mieli tylko członkowie oddziału murarzy i zastosowano się ściśle do przepisów prawnych. Na drzwiach wywieszono tablicę z napisem „zebranie członków” a przy drzwiach prowadzono ścisłą kontrolę. P. komisarz kryminalny Hampel z Torunia, zawezwany jako świadek, zeznawał, że wywieszenie tablicy na drzwiach jest tylko środkiem, aby policyi na zebrania nie wpuszczać, ale swoją drogą kto tylko przyjdzie temu się wstępu nie odmawia. Dla tego zebranie uważać należy za publiczne. Prokurator wniósł dla każdego z oskarżonych o 50 marek grzywny. Oskarżeni wnoszą o zupełne uwolnienie,

*podnosząc raz jeszcze zamknięty charakter zebrania. Sąd po dłuższej naradzie postanowił odroczyć sprawę, w celu zebrania dalszego materiału na udowodnienie, iż zebranie było publiczne”.*

Poznańska „Straż” z października 1911 r. opisała z kolei wielce ciekawe zajście z udziałem komisarza policyjnego Gube: *„Samowola policyi wobec towarzystw zamkniętych. Na niedzielę dnia 18 grudnia 1910 r. zwołał delegat obwodowy p. Swinarski z Tczewa zebranie delegatów kół śpiewackich. Zebranie odbywało się w Starogardzie. Przy końcu obrad wszedł do odnośnego lokalu komisarz policyjny Gube i żądał wyjaśnienia celu zebrania. Pan Swinarski zaznaczył cel zebrania, ale równocześnie zwrócił komisarzowi uwagę, że to jest zebranie w zamkniętym kółku, o czym świadczy napis „zamknięte kółko” i prosił, aby opuścił lokal. Komisarz odpowiedział, że dla niego taki napis nie jest wystarczający i żądał bliższego objaśnienia co do obrad. P. Swinarski po raz drugi i trzeci wezwał komisarza do opuszczenia lokalu. Ten jednakże lokalu nie opuścił tylko żądał podania nazwisk obecnych. Wobec tego p. Swinarski zebranie rozwiązał; wszyscy opuścili lokal i przenieśli się do pokoju, w którym komisarz siedział. Komisarz przedstawiał panu Swinarskiemu, że to by 2 minuty trwało i można było dalej obradować. Otrzymał odpowiedź, że w ogóle nie miał prawa tam wchodzić. Słowami temi komisarz się obraził i zagroził, że jeżeli się p. Swinarski inaczej z nim nie będzie obchodził, to go przyaresztuje. Po stosownej odpowiedzi, aresztowania zaprzestał, ale za to stawiał wniosek, aby prokuratura wytoczyła proces. Dnia 11-go lutego, toczyła się rozprawa w sądzie ławniczym w Starogardzie. Po przesłuchaniu oskarżonego i komisarza jako świadka, wniósł zastępca prokuratora dla oskarżonego o 30 marek kary lub 10 dni więzienia. Oskarżony zbijał wywody komisarza i żądał odroczenia sprawy celem zawezwania świadków. Sąd sprawy nie odroczył, ale uwolnił oskarżonego od winy i kary, a kosztą nałożył kasie państwowej”.*

Nie zapominajmy, że powyższe opisy dotyczą sytuacji mających miejsce w państwie represjonującym przejawy aktywności Polaków i postawa Swinarskiego wymagała niemałej odwagi.

Wyprowadzone z równowagi państwo pruskie, nie mogąc strawić sukcesów Polaka Swinarskiego, postanowiło za pomocą posunąć

administracyjnych i sądowych uderzyć w to, co dla niego najważniejsze – w jego rodzinę... Urywki informacji prasowych z Tczewa i Bochum ukazują nam kulisy wieloletnich perturbacji, jakie zaistniały po roztoczeniu przez małżeństwo Swiniarskich opieki nad sierotą po polskim pracowniku kolejowym – Anną Gruczą. Państwo pruskie nie miało ochoty tolerować tego, że dziewczynka została posłana przez swych prawnych opiekunów na naukę przygotowawczą do sakramentów w języku polskim. Ponad sto lat temu sąd pruski uznał takie postępowanie za... polski fanatyzm.

5 czerwca 1909 r. „Gazeta Toruńska” tak opisała sytuację rodziny Swiniarskich z Tczewa (cztery dni później w podobnym duchu swoich czytelników informował o sprawie poznański „Postęp”): *„Niegodny opiekun. Pan Alojzy Swiniarski z Tczewa otrzymał ze sądu opiekuńczego pismo, w którym mu doniesiono, że złożony zostaje z urzędu opiekuna nad dziećmi zmarłych małżonków Gruczów, ponieważ powierzona pieczy swojej córeczkę tychże posyłał na polską naukę przygotowawczą do Sakramentów św. W uzasadnieniu odebrania opiekuństwa zaznaczył sąd, że Anna Grucza, o którą chodzi, dotychczas brała udział w niemieckim oddziale religii. Przez zarządzenie p. Swiniarskiego, tj. przez posłanie dziecka na polską naukę, ucierpiało dziecko i jego wychowanie. Sąd zaznacza w końcu, że p. Swiniarski działał jedynie pod wpływem fanatyzmu polskiego i obawiać się należy, że przy wychowaniu reszty dzieci Gruczów powierzonych sobie jako opiekunowi, postąpi sobie tak samo. Sprawa przedstawia się pokrótce, jak następuje. Zmarły ojciec Anny Gruczy był robotnikiem kolejowym. Jakkolwiek rodzice i dzieci między sobą w domu rozmawiali po polsku, ojciec, nie chcąc utracić miejsca, zmuszony był posyłać dziecko na niemiecką naukę religii. Gdy po śmierci rodziców p. Swiniarski został opiekunem, posłał dziewczę na polską naukę, uznając ją dla polskiego dziecka za najstosowniejszą. Zwolnienie Anny G. ze szkoły krótko przed ukończeniem 14. roku przypadało w sierpniu. Na to rektor zaczął wypytywać się dziewczęcia, do jakiego oddziału uczęszcza na naukę przygotowawczą. Gdy dziewczę odpowiedziało, że do polskiego, nastąpiła uchwała sądowa, odbierająca p. Swiniarskiemu opiekuństwo. Z odnośnego pisma sądowego dowiadujemy się, że sąd nazywa fanatyzmem polskim jeżeli polski opiekun posyła polskie dziecko*

*do polskiego oddziału przygotowawczego. Oczywiście p. Swiniarski przeciwko odnośnej uchwale sądowej wniósł zażalenie. Sprawę tę z pewnością posłowie nasi poruszą w odpowiednim miejscu”.*

Sprawa po protestach Swiniarskiego toczyła się dalej, rok później (1910 r.) zajmował się nią sąd starogardzki. Tczewskim wykonawcą postanowień sądowych został brutalny policmajster Matzig (Matzik), znany nam z prasy („Gazeta Toruńska” z 19 września 1903 r.) z powodu takich sposobów pacyfikowania ludzi, jak... cięcie ich szablą po głowie(!)

„Gazeta Toruńska” w dniu 2 października 1910 r. donosiła z naszego miasta: „Tczew. Dnia 28 bm. stała pani Swiniarska z Tczewa przed izbą karną w Starogardzie oskarżona o rzekome gwałtowne odbicie opiekunów sieroty Anny Grucza. Rzecz miała się następująco: dziewczę od czasu zgonu jej rodziców znajdowało się przeszło 1 1/2 roku w domu p. Swiniarskiego, który był jej opiekunem. Z powodu polskiego niebezpieczeństwa odebrano mu opiekunstwo, o czym swego czasu pisaliśmy obszerniej. Po wyborze nowego opiekuna hakatysty dziewczę oświadczyło, że od Swiniarskich nie odejdzie. Opiekun przysłał policyanta Matzika, aby gwałtem dziecko odebrać. Sierota naturalnie broniła się. Urzędnik szarpiąc dziewczę, powydzierał jej rękawy. Wówczas p. Swiniarska przystąpiła i uchwyciła dziewczę za rękę, zwracając urzędnikowi uwagę, że nie ma się obchodzić z nią jak z psem. Wychodząc p. Matzik zwrócił pani Swiniarskiej uwagę, że będzie za to karana. Pan Matzik zrobił wniosek o ukaranie. Sąd za obrazę urzędnika panią Swiniarską od winy i kary uwolnił, ale za niedozwolenie odprowadzenia dziewczęcia, skazał ją na 5 dni aresztu i kosztą”.

I tak wyrokiem sądu pani Swiniarska z Tczewa trafiła do aresztu, niestety nie po raz ostatni. Swiniarscy w następnym roku najwyraźniej przenieśli się do Bochum – siedziby Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, to stamtąd mamy kolejne wieści o ich perypetiach związanych z wychowaniem przysposobionej Ani Gruczy w duchu polskości. Tym razem doszło do kilkudniowego aresztowania pani Swiniarskiej razem z kilkumiesięcznym dzieckiem(!), jak opisywała to na pierwszej stronie „Gazeta Toruńska” w dniu 18 lipca 1911 r.: „Uwięziono Polkę z dzieckiem. W „Wiarusie Polskim” czytamy:

w Tczewie umarł swego czasu niższy urzędnik kolejowy oraz jego żona i pozostało dziewczątko. Opiekunem biednej sieroty został p. Swiniarski, ówczesny sekretarz Zjednoczenia Zawodowego Polskiego w Tczewie, obecnie zaś urzędnik obrony prawnej w Bochum, a jego zacna żona wzięła sierotę do siebie. Rozumie się, że p. Swiniarski postarał się, aby dziewczątko chodziło na polską naukę. Zadenuncyowano go z tego powodu do sądu opiekuńczego. Ten orzekł, że p. Swiniarski z powodu zabiegów polskich (wegen polnischer Umtriebe) nie godzien jest urzędu opiekuna i złożył go z opiekuństwa. Swego czasu opisywaliśmy sprawę tę w gazecie obszerniej. Wszystkie zażalenia p. Swiniarskiego pozostały bez skutku. Na dobitkę wyszło rozporządzenie nakazujące odebrać sierotkę wbrew jej własnej woli z pod opieki pani Swiniarskiej i oddać ją w inne miejsce na wychowanie, naturalnie, aby się zniemczyła. Kiedy przyszedł po dziecko policyant, pani Swiniarska protestowała przeciw zabieraniu dziecka w taki sposób, że ją oskarżono o opór przeciw władzy. Sąd skazał istotnie panią Swiniarską za opór przeciw władzy na pięć dni więzienia. Poparcia prośby o ulaskawienie prokurator odmówił, wskutek czego cesarz pani Swiniarskiej nie ulaskawił. Przed kilku dniami zamknięto panią Swiniarską we więzieniu sądowym w Bochum, a z nią razem kilkomiesięczne niemowlę. Każą pani Swiniarskiej skończyła się w sobotę w południe. O godz. 12 wyszła ona na wolność razem z dzieciątkiem swoim. Pisząc o tem na miejscu naczelnem, składamy hołd zacnej Polce obywatelce i kończymy słowami plesni: O nie zginęła jeszcze Ojczyzna, póki niewiasty w niej czujne...”.

Cztery dni później również na pierwszej stronie „Gazety Toruńskiej” znajdujemy dramatyczny nagłówek: „Sześciomiesięczna męczennica. Donosiliśmy już, że pani Swiniarska w Bochum uwięziona na mocy wyroku sądowego z niemowlęciem za opór przeciw uprowadzeniu przez policyanta sieroty polskiej, opuścić miała kaźń w sobotę w południe. Krótko przed dwunastą – jak pisze „Wiarus Polski” – wokoło pana Swiniarskiego i jego dziątek zebrało się u bramy więzienia sądowego grono miejscowych Rodaków i Rodaczek, a wśród nich także kierownicy „Wiarusa Polskiego”. Punktualnie o godz. 12 w południe pani Swiniarska wyszła z więzienia z wystraszonem niemowlęciem na ręku. Skoro pani Swiniarska przywitała się z mężem i z dziećmi, powitał ją na wolności

*poseł Jan Brejski, wręczając dzielnej obywatelce na znak czci i uznania piękny bukiet. Kiedy wszyscy obecni Rodacy złożyli pani Swiniarskiej swoje życzenia, zaprowadził ją poseł Brejski do powozu, zamówionego przez Rodaków, poczem razem z mężem i z dziećmi odjechała do domu. Jak się przekonaliśmy podczas niedzielnych wyjazdów, los pani Swiniarskiej i niemowlęcia, które z nią kaźń dzieliło, wywołał wśród Rodaków ogólne współczucie i podziw dla dzielnej obywatelki. Między innemi wspomniał o niej osobno przewodniczący wielkiego wieca wyborczego w Dyseldorfle, a wiecownicy złożyli jej hołd. Położenia pani Swiniarskiej we więzieniu było bardzo przykre, albowiem dozorczyńni przemawiała do niej takimi słowy, że p. Swiniarski zamierza wystąpić z tego powodu ze skargą do prokuratora. Na dobitkę towarzyszące pani Swiniarskiej niemowlę było narażone na głód, gdyż przez niemal 24 godziny nie dostało ani kropli mleka. Co się wskutek tego działo w głowie i sercu biednej męczennicy, łatwo sobie wyobrazić. Że i na zdrowiu ucierpiała, nie potrzeba dodawać. Wyrażając raz jeszcze zacnej Polce i Obywatelce na tem miejscu cześć i uznanie, życzymy jej, aby w zdrowiu i pomyślności wychować mogła dziatki swoje, a szczególnie córeczkę, która z nią kaźń dzieliła, na pociechę sobie i mężowi a na pożytek społeczeństwu”.*

Jak widać, uwolnienie znanej nam z Tczewa pani Swiniarskiej pociągnęło za sobą polskie wiece i zgromadzenia nie tylko w Bochum, ale i w Dusseldorfie.

Niestety, trudno ustalić późniejsze losy rodziny Swiniarskich (czasami pisanych jako Swinarscy) związanej przez jakiś czas z naszym miastem. Ich patriotyczna postawa nie ograniczała się do głoszenia pustych haseł; całym swoim życiem, pracą i wielkim zaangażowaniem w sprawy polskie, dali oni wspaniały przykład swoim rodakom. Pomyślmy o tej parze wspaniałych Polaków, kiedy będziemy mijać dom przy ul. Wąskiej 3...

**Opracował Wojciech Gieldon**



# Stanisław Szczupak.

## Ostatni wartownik

**Mimo upływu wielu lat od wybuchu wojny wciąż odkrywamy nowe fakty związane z walkami o Tczew we wrześniu 1939 r. Ciekawe informacje zawierają wspomnienia byłego żołnierza broniącego mostu, szeregowego Stanisława Szczupaka, spisane przez jego syna Karola.**

Stanisław Szczupak urodził się 7 maja 1915 r. w Rychłowicach, powiat Wieluń. W marcu 1938 r. został powołany do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Przeszkolenie wojskowe przeszedł w 7 kompanii III batalionu 86 pułku piechoty Mołodeczno, która stacjonowała w Krasnem nad Uszą. Ze względu na dobre wyniki strzeleckie został strzelcem wyborowym i w lipcu lub na początku sierpnia 1939 r. przeniesiono go do 2 Batalionu Strzelców w Tczewie.

Z opowieści przekazanych synowi wynika, że pełnił służbę zwiadowczą na granicy z Wolnym Miastem Gdańsk w okolicach Miłobądz. Żołnierze polscy chodzili nocą nad granicę obserwować zachowania Niemców, ci rewanżowali się tym samym. Nie dochodziło do żadnych starć, ponieważ Polacy otrzymali rozkaz, aby nie prowokować przeciwników. Później Stanisław Szczupak został wartownikiem na moście. Na łąkach w jego pobliżu często spacerowali Niemcy z policją Wolnego Miasta Gdańska. Powodowało to swoistą wojnę na gesty. Polscy żołnierze pokazywali dwoma palcami przy włosach, że Niemców „postrzygą”, a ci z kolei wykonywali gest palcem przy brodzie, grożąc, że Polaków „pogolą”.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września Stanisław Szczupak pełnił służbę wartowniczą po lewej stronie mostu, na ostatniej wieży od strony Lisewa. W pewnym momencie w jego kierunku padł pojedynczy strzał oddany przez snajpera z okolicy gospody przy wale przeciwpowodziowym. Kula świsnęła mu koło ucha, nie został trafiony tylko dlatego, że chodził dookoła wieży. Gdyby nie szczęście, mógłby być jednym z pierwszych żołnierzy poległych w wojnie obronnej. Od tej chwili miał się na baczności. Kiedy o świcie rozpoczęło się bombardowanie Tczewa zszedł z wieży i pobiegł na drugi koniec mostu. Nie wiemy czy brał udział w walkach na przyczółku i był świadkiem wysadzenia mostów. Powrócił do koszar, gdzie zastał zbombardowany i opuszczony budynek, sterty porzucanych dokumentów i sporo zabitych żołnierzy. Wraz z kilkoma towarzyszami dostał się do niewoli, wcześniej udało mu się jednak zawinąć w szmaty i zakopać na skraju lasu broń, książeczkę wojskową oraz zdjęcia swoje i rodziny. Pochował także ciało kolegi Mordala z miejscowości Wierzchlas koło Wielunia.

Już jako jeniec został przewieziony pociągiem na teren Prus Wschodnich do Kwidzyna. Po niedługim czasie udało mu się ze sporą grupą uciec z niewoli. Pomoc otrzymał od starszego, niemieckiego małżeństwa. Niemiec znał trochę język polski, więc w zamian za pomoc przy pracach polowych dał mu cywilne ubranie, trochę żywności i odręcznie napisane zaświadczenie potwierdzające pracę u niego. Stanisław Szczupak wyruszył w drogę do domu, po drodze przyłączyło się do niego jeszcze dwóch kompanów. Pod Toruniem, przy pomocy miejscowych, udało mu się przepłynąć w łodzi Wisłę i maszerując przeważnie nocami dotarł po miesiącu do domu.

Stanisław Szczupak zmarł w 1995 r. Za udział w kampanii wrześniowej został odznaczony medalem „Za udział w wojnie obronnej 1939 r.” Jego syn Karol był kilkakrotnie na tczewskim moście i odnalazł nawet nazwisko ojca wyryte na cegle jednej z wież. Za każdym razem, gdy patrzył w stronę Lisewa, nachodziła go refleksja, co by było gdyby niemiecki snajper nie chybił...

**Opracował Łukasz Brządkowski**

**(na podstawie wspomnień opublikowanych na stronie [www.dobroni.pl](http://www.dobroni.pl))**



# Tczewskie ofiary Katynia

**13 kwietnia obchodzimy Dzień Pamięci Ofiar Zbrodni Katyńskiej. Do 2000 r. zidentyfikowano i potwierdzono 39 ofiar bezprawnego wyroku Józefa Stalina, które przed wojną mieszkały lub pracowały w powiecie tczewskim.**

Nazwiska pomordowanych ustalało Zrzeszenie Kaszubsko–Pomorskie, zajęli się tym również forumowicze portalu Dawny Tczew.

Na liście tczewskich ofiar II wojny światowej, stworzonej przez ZKP, znajdują się cztery nazwiska z tzw. „listy katyńskiej”. Jednym z nich jest rozstrzelany w Katyniu por. rez. Alfred Popiel (ur. 1888–1940) – weteran I wojny światowej oraz żołnierz Wojska Polskiego, który po przejściu w 1928 r. w stan spoczynku pracował jako urzędnik w Ubezpieczalni Społecznej w Tczewie. 5 września 1939 r. zgłosił się na ochotnika do wojska, a po najeździe Armii Czerwonej na Polskę dostał się do sowieckiej niewoli. Osadzono go w obozie w Kozielsku. Z listy NKWD wynika, że został rozstrzelany 27 kwietnia 1940 r. W czasie prac ekshumacyjnych w 1943 r. jego zwłoki oznaczono numerem 2502.

W katyńskich dołach śmierci spoczęło też ciało ppor. rez. Witolda Wroczyńskiego (1896–1940). Wroczyński był dyrektorem Gimnazjum Mechanicznego w Tczewie. Żonaty z Ireną Sadowską, miał córki Krystynę i Alicję. Mieszkał w domu przy ul. Sobieskiego 11.

Na liście ofiar stalinowskiego reżimu znajdują się także tczewscy policjanci: Michał Sobczak (1900–1940), Józef Wierzbowski (1895–1940), Augustyn Krajnik (1897–1940) i Leon Puchowski.

Augustyn Krajnik był starszym przodownikiem Policji Państwowej. Do 15 stycznia 1935 r. pełnił służbę w Komendzie Powiatowej w Nowym Mieście Lubawskim, skąd przeniesiony został do powiatu tczewskiego na stanowisko komendanta posterunku w Gniewie i Pelplinie. 24 czerwca 1938 r. skierowano go do Komendy Powiatowej w Tczewie z przydziałem do Wydziału Śledczego i tam zastał go wrzesień 1939 r. Zamordowany został w 1940 r. w Twerze, a pogrzebany w zbiorowej mogile w Miednoje.

Józef Wierzbowski w 1920 r. był żołnierzem Wojska Polskiego. W czasie wojny polsko-bolszewickiej trafił do sowieckiej niewoli. Po powrocie do kraju ukończył szkoły policyjne w Toruniu i Żyrardowie, wkrótce potem rozpoczął służbę w Pelplinie oraz w Tczewie. 1 września 1939 r. był świadkiem wysadzania przez polskich saperów mostów przez Wisłę. *„Trudno mi powiedzieć, co z nim się działo do czasu zatrzymania go przez Sowietów – wspominał na łamach „Gazety Tczewskiej” jego syn, Jerzy Wierzbowski. – Nie wiem jak toczyły się jego losy w kampanii wrześniowej i do chwili aresztowania. Podejrzewam, że przemieszczał się z polskim wojskiem na Wschód.”*

Nie możemy też nie wspomnieć o Edwardzie Okulskim (1891–1940), od 1933 r. szefie Inspektoratu Straży Granicznej w Tczewie. W latach 1914–1917 służył w Legionach Polskich (1 Pułk Piechoty Legionów), następnie w armii Austro-Węgier. W latach 1918–1922 i 1923–1926 służył ochotniczo w Wojsku Polskim, był kapitanem piechoty. Od 1929 r. związał się ze Strażą Graniczną. 23 maja 1939 r., nadal pracując w Tczewie, został polskim Inspektorem Celnym na obszar Wolnego Miasta Gdańska, a 17 lipca 1939 r. mianowany został komendantem Obwodu Straży Granicznej w Jasle. We wrześniu walczył wraz z Kompanią Straży Granicznej w składzie 2 Brygady Górskiej Grupy Operacyjnej „Jasło” Armii „Karpaty”. Znalazł się w niewoli radzieckiej i był więziony w obozie NKWD w Ostaszkowie. Pochowany został w Miednoje.

**Opracował Przemysław Zieliński**



## **II. MIEJSCA**



## Cegielnia miejska

**Sambor II, podejmując decyzje o budowie zamku i założeniu Tczewa, musiał zabezpieczyć zaopatrzenie w materiały budowlane do wykonania swoich ambitnych planów. Podstawowym było oczywiście drewno pozyskiwane w okolicznych lasach, ale np. zamek, jako budowla militarna, musiał być zbudowany z materiału trwalszego. Wobec braku dużej ilości odpowiedniego kamienia wykorzystano cieszące się coraz większą popularnością w ówczesnym czasie cegły, które wypalano korzystając z bogatych, lokalnych pokładów gliny.**

Cegielnia miejska, funkcjonująca do drugiej połowy XVIII w., znajdowała się w okolicach wzgórza Zamayte, które zostało zlikwidowane podczas budowy mostu kolejowego i dworca w latach 50. XIX w. Taką lokalizację podaje „Historia Tczewa” pod redakcją Wiesława Długokęckiego: „*Wzniesienie znajdowało się wewnątrz granic miasta między dworem młyńskim i cegielnią miejską. Dwór młyński znajdował się zapewne w bezpośrednim sąsiedztwie młyna, cegielnia zaś według planu z 1776 r. położona na północ od niego*”. Potwierdzenie znajdujemy w pracy Edmunda Raduńskiego pt. „Zarys dziejów miasta Tczewa”: „*Cegielnia ta położona za bramą Księżą na górze*”. O ile można ustalić przybliżony okresu zakończenia funkcjonowania cegielni – na planie z 1776 r. oznaczona jest już jako była cegielnia – niezwykle trudna do ustalenia jest data jej powstania.

Dosyć dobrze udokumentowane jest funkcjonowanie cegielni w latach rządów krzyżaków w Tczewie (1309–1466), natomiast półwiecze od powstania zamku i miasta, do zajęcia go przez braci zakonnych, pozostaje niezbadane. Przesłankami, mówiącymi o produkcji cegieł w tym czasie, jest przede wszystkim zachowana wieża fary oraz domysły co do wyglądu zamku Sambora. Zamek, budowany od 1252 r., miał być – częściowo lub w całości – murowany z cegieł na kamiennym fundamencie. Nie mamy pewności co do murów go okalających – czy był otoczony umocnieniami ziemno-drewnianymi czy murem ceglany, natomiast same umocnione budynki zamkowe (donżon), kaplica i może także mennica były zdecydowanie ceglane. Za wzór do budowy zamku mogły posłużyć Samborowi budowle z Meklemburgii lub państwa zakonnego, gdzie był częstym gościem przebywając na kolejnych wygnaniach. Pośrednio, na funkcjonowanie cegielni już w XIII w. wskazuje także wydany 29 kwietnia 1299 r. przywilej Władysława Łokietka dla Tczewa. Książę pomorski, a późniejszy król Polski, nadaje miastu prawo do funkcjonowania łaźni oraz przekazuje do wspólnego użytkowania wzgórze pod miastem, „sięgającego aż do większej doliny”. Oba te nadania miały przyczynić się do poprawy kondycji finansowej Tczewa.

Jakie korzyści mogło przynieść miastu pobliskie wzgórze, skoro wydasie się, że nie było to dobry teren dla rolnictwa? Mogło być ono potrzebne jako źródło surowca dla miejskiej cegielni, na której funkcjonowanie wskazują podane wyżej przykłady zamku i kościoła farnego.

Bogaty materiał archiwalny wskazuje na dużą sprzedaż cegieł i dachówek z Tczewa na terenie państwa zakonnego po roku 1308, m. in. dla kościoła Mariackiego w Gdańsku (w latach 1320–1330) i dla miasta Gdańska (w latach 1379–1381) oraz na potrzeby zamku krzyżackiego w Malborku (w latach 1410–1415). W tym czasie w samym mieście miały miejsce takie poważne inwestycje, jak budowa murów miejskich i ratusza. Skoro cegielnia tak znakomicie prosperowała w czasach krzyżackich, to prawdopodobnie wynikało to z jej wcześniejszego funkcjonowania i doświadczenia w prowadzeniu takiego przedsiębiorstwa w przeszłości. „Eksport” musiał być kontynuowany w latach kolejnych, skoro wilkierz z XVI w. czyli

dokument regulujący sprawy bezpieczeństwa pożarowego, nakazuje mieszkańcom murowane partery domów piętrowych, dachy kryte dachówką i murowane kominy. Materiał miał pochodzić z miejskiej cegielni, a magistrat zobowiązał się nie sprzedawać cegły i dachówek poza miasto, dopóki nie było pokryte zapotrzebowanie miejskie.

Miejska cegielnia zaopatrywała w cegły i dachówki Tczew oraz okolice przez około 500 lat. Było to najdłużej prosperujące przedsiębiorstwo miejskie w historii miasta, którego tradycje kontynuowały liczne w XIX i XX wieku cegielnie przemysłowe.

**Opracował Łukasz Brządkowski**



# Cmentarze

**Cmentarze są miejscami zadumy i refleksji, ale także znakiem wielowiekowej i wielowyznaniowej historii Tczewa.**

Poniżej przedstawiamy dzieje obecnych tczewskich nekropoli oraz losy tych nieistniejących i zapomnianych.

Pierwszy cmentarz w dziejach Tczewa powstał, zgodnie z ówczesną tradycją, w pobliżu przypuszczalnie drewnianego kościółka, który znajdował się bliżej rynku, a potem obok budowanej przez ponad 160 lat fary. Pierwotnie przylegał do wału obronnego, który w połowie XIV w. zastąpiono solidnym murem. Uzyskane w ten sposób tereny włączono w obszar miasta, a o ich część północną powiększył się przykościelny cmentarz. W okresie reformacji farę przejęli luteranie. Gdy ponownie wróciła do katolików, początkowo była wykorzystywana przez wiernych obu wyznań, stąd też na przykościelnym cmentarzu chowano zarówno katolików, jak i luteranów. Protokół z wizytacji biskupa Rybińskiego z 1780 r. zawiera opis tej nekropolii. Otoczona była w części murem i płotem z drewna, na jej teren prowadziły cztery wejścia. Główna brama posiadała solidne zamknięcie, trzy pozostałe furty były zaopatrzone w dębowe kratownice. Na cmentarzu znajdowała się murowana kostnica. Według spisu parafialnego cmentarz miał powierzchnię 37,32 arów. Zgodnie z decyzją władz został zamknięty w 1815 r.

Teren pod cmentarz katolicki przy ul. ks. Ściegiennego został poświęcony 7 grudnia 1815 r. Wytyczono go na północ od cmentarza przykościelnego, ale już

poza murami miasta – przy rogu dawnych ulic Młyńskiej (od 1850 r. Dworcowej) i Długie Ogrody – dzisiejsze kard. Wyszyńskiego i ks. Ściegiennego. Decyzja o jego powstaniu była związana ze wzrostem liczby mieszkańców, a więc także większej ilości zgonów, oraz przepisów sanitarnych wymagających przeniesienia cmentarza poza obręb miasta. Został zamknięty urzędowo w 1870 r., jednak według Adama Murawskiego na tym cmentarzu grzebano zmarłych jeszcze do 1874 r. W 1894 r. na terenie zamkniętego cmentarza wmurowano kamień węgielny pod budowę katolickiego szpitala, ukończonego trzy lata później. W 1900 r. pocmentarny teren wydzierżawiono Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia ze Zgromadzenia św. Wincentego a' Paulo, z przeznaczeniem na ogród dla pacjentów szpitala. O istnieniu nekropolii w tym miejscu świadczyły czaszki i piszczelę ludzkie, które wykopano podczas prac ziemnych w latach 60. Po parku, a wcześniejszym cmentarzu, pozostał niewielki skwer, a szpalery starych drzew wskazują, jak przebiegały aleje nieistniejącej nekropolii.

„Stary” cmentarz parafialny przy ul. Starogardzkiej (dzisiaj ul. 30 Stycznia) powstał w sąsiedztwie cmentarza ewangelickiego w 1870 r. Znajdują się na nim groby najznacniejszych mieszkańców Tczewa. Przez długi czas cmentarz nie był ogrodzony w całości, od strony obecnego I Liceum Ogólnokształcącego był otwarty aż do 1927 r. Podczas budowy ogrodzenia wymieniono wówczas także fragment płotu od strony ul. 30 Stycznia, które w niezmienionym stanie przetrwało do dnia dzisiejszego. W 1950 r. teren nekropolii powiększono o 0,25 hektara poprzez włączenie części leżącej przy torach kolejowych, należącej wcześniej do cmentarza ewangelickiego. W centrum cmentarza znajduje się krzyż, którego korpus wraz z zabytkową figurą Chrystusa pochodzi z łuku tryumfalnego kościoła pw. św. Stanisława Kostki. Na drzewostan cmentarza składają się włoskie topole, klony, jesiony, kasztanowce, tuje i cisy.

„Nowy” cmentarz parafialny przy ul. 30 Stycznia powstał w 1890 r., kilkaset metrów od cmentarza „starego”. W centrum nekropolii stoi kaplica cmentarna pod wezwaniem Matki Boskiej Bolesnej, poświęcona 28 marca 1900 r. przez biskupa chełmińskiego Augustyna Rosentretera. Dawne czasy nekropolii pamiętają lipy, topole, kasztanowce, brzozy, jesiony i klony.

Gdy problem braku miejsca na obu cmentarzach katolickich przy ul. 30 Stycznia stał się naglący, 25 listopada 1930 r. parafie staro- i nowomiejska doszły do porozumienia, na mocy którego parafia św. Józefa zrzekła się swoich praw do starych cmentarzy, a parafia farna w zamian oddała 9 mórg z roli proboszczowskiej przy ul. Gdańskiej. W ten sposób, na parceli o 90 metrach szerokości i 250 długości, powstała nekropolia. Cmentarz podzielono na cztery kwadraty, rozgraniczając je dwiema szerokimi alejami. W celach estetycznych zakupiono w Ogrodach Miejskich w Bydgoszczy kilkadziesiąt sadzonek drzewek. Przy cmentarnym krzyżu stanęły cztery dęby piramidalne, wzdłuż głównej drogi 20 wiązów, a po obu stronach drogi w poprzek cmentarza 20 głogów czerwonych. Wzdłuż płotu po lewej stronie zasadzono 19 włoskich topoli, a na tyłach cmentarza drzewa morwy. 8 grudnia 1930 r. poświęcono krzyż cmentarny, a 17 maja 1931 r. cmentarz został poświęcony przez biskupa chełmińskiego Stanisława Wojciecha Okoniewskiego. Z tego też roku pochodzą najstarsze pochówki. Nowy krzyż cmentarny stanął w 1957 r.

Cmentarz ewangelicki w Tczewie istniał prawdopodobnie już w XVII w. Powstał na terenie wokół pierwszego kościoła św. Jerzego, zniszczonego w 1626 r. Teren, jaki zajmował, był rozległy – obejmował cały dzisiejszy Park Mikołaja Kopernika, łącznie z terenem przychodni i stacji paliw przy ul. Wojska Polskiego. W 1883 r. na terenie nekropolii wybudowano kaplicę cmentarną, w której do 1945 r. odprawiano nabożeństwa żałobne. Teren cmentarza nieznacznie się zmniejszył w II połowie XIX w., kiedy to gmina protestancka odsprzedała gminie żydowskiej 0,3 ha gruntu na potrzeby kirkutu. Pod koniec lat 30. XX w. obszar nekropolii został odgrodzony od dzisiejszego pl. Piłsudskiego ceglanymi arkadami, do czasów obecnych przetrwał tylko ich fragment. Niestety, efektem brutalnej okupacji hitlerowskiej było uczucie nienawiści społeczeństwa do wszystkiego, co niemieckie. Groby były systematycznie okradane i niszczone, a nagrobki wykorzystywane jako bruk uliczny. Urzędowa likwidacja części cmentarza nastąpiła w 1972 r., jednak szczątki ludzkie pozostały w ziemi do dzisiaj. Obecnie w tym miejscu istnieje park, a teren nekropolii ewangelickiej jest znacznie mniejszy niż pierwotnie.

Najstarszy tczewski cmentarz żydowski znajdował się w pobliżu obecnego stadionu miejskiego przy ul. Bałdowskiej. Znajdował się niedaleko żydowskiego domu modlitwy i rytualnej łaźni. Niestety, nie posiadamy więcej informacji na jego temat, prawdopodobnie powstał w czasach, kiedy Żydzi nie mogli osiedlać się w miastach i mieszkali przy wsi Czyżykowo, należącej do biskupa włocławskiego. Do naszych czasów przetrwał natomiast kolejny kirkut, zlokalizowany w odległości około 200 metrów na wschód od drogi Tczew–Bałdowo. Teren pod cmentarz został zakupiony prawdopodobnie w tym samym czasie, kiedy w Tczewie wzniesiono synagogę, czyli w 1835 r. Nekropolia o powierzchni 0,23 ha i kształcie zbliżonym do prostokąta, usytuowana jest na niewielkim wzniesieniu. Teren od strony północnej i zachodniej otoczony jest rowem, natomiast od strony południowej i wschodniej skarpami. Kirkut w znacznym stopniu został zniszczony podczas II wojny światowej, a proces dewastacji trwał także w latach późniejszych. Cmentarz urzędowo został zamknięty w 1972 r. W 1992 r. teren przycmentarny został sprzedany prywatnej firmie. Obecnie, o fakcie istnienia nekropolii, przypomina lapidarium wykonane z ocalałych fragmentów macew, które posiada tablicę informacyjną w języku polskim i hebrajskim.

Drugi cmentarz żydowski, nie zachowany do czasów współczesnych, usytuowany był przy dzisiejszej ul. Wojska Polskiego. W II połowie XIX w. tczewska gmina żydowska odkupiła od gminy protestanckiej teren o powierzchni 0,3 ha. Obszar ten podzielony był alejami kasztanowców na trzy równoległe kwatery. Kirkut w znacznym stopniu został zniszczony podczas okupacji, a jego dewastacja trwała także w latach późniejszych. Nekropolia urzędowo została zamknięta w 1972 r., a na jej miejscu wzniesiono budynek pogotowia i stacji benzynowej. Jedynym symbolem świadczącym o istnieniu cmentarza w tym miejscu jest aleja kasztanowców.

Cmentarz jeńców austro-węgierskich, wpisany do rejestru zabytków w 1994 r., jest usytuowany za dawnym przejazdem kolejowym przy miejscu określanym jako Suchostrzygi Dworzec. Powstał on dla jeńców austro-węgierskich, którzy dostali się do niewoli pruskiej i zmarli w Tczewie, po wojnie z lat 1866–67. Na nekropolii znajduje się wykonany w roku 1888

obelisk z piaskowca o formach klasycystycznych, okolony trzema granitowymi stopniami. Na obelisku umieszczono w 1997 r., po kradzieży oryginału, wykonanego z brązu dwugłowego orła, pod nim wyryto dewizę Habsburgów „Viribus Unitis”, i napis: „Pamięci żołnierzy austriackich zmarłych w Prusach w czasie wojny w 1866 r.”

Czaszatarłśladypocmentarzubaptystów,któryznajdowałsięnapołudnie od budynku dawnej harcówki przy ul. Czyżykowskiej 87 (kiedyś budynek niemieckiego towarzystwa sportowego „Turn und Sportverein”). Cmentarz istniał już w 1860 r., o czym wspomina Edmund Raduński w „Dziejach miasta Tczewa”, widnieje też na planie miasta z 1884 r. Nie wiemy, jak funkcjonował w latach późniejszych, prawdopodobnie liczebność gminy baptystów malała i został on zamknięty. W okresie międzywojennym teren cmentarza przeszedł na własność miasta. Obecnie miejsce to jest zarośnięte i zaniedbane, nie ma żadnych znaków wskazujących na to, że to teren nekropolii. Nie zachował się ani jeden grób, nie przetrwał żaden pomnik, tylko grupa wysokich, starych drzew świadczy o tym, że było tu miejsce pochówku.

Cmentarz prawosławny znajdował się naprzeciw gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. Jarosława Dąbrowskiego. W latach 1733–1734 chowano tu zmarłych żołnierzy rosyjskich, którzy uczestniczyli w oblężeniu Gdańska. Walki toczyły się pomiędzy stronnikami króla Stanisława Leszczyńskiego a wojskami rosyjskimi, które realizowały plany carycy Anny, dążącej do osadzenia na tronie polskim Augusta III Sasa. Dowództwo rosyjskie urządziło w mieście szpital polowy i areszt. Około 1100 chorych Rosjan rozlokowano w domach mieszczan i barakach nad Wisłą. Śmiertelność wśród Rosjan była wysoka, żołnierzy nękał tyfus plamisty i czarna oспа. Początkowo chowano ich na miejskich cmentarzach, a gdy liczba zmarłych wzrosła – na cmentarzu przed Bramą Wysoką. W 1913 r., podczas budowy domu położonego naprzeciwko dzisiejszej biblioteki, natrafiono na szkielety ludzkie, pochodzące z tego okresu.

Być może pierwsi mieszkańcy Suchostrzyg pamiętają nieistniejący obecnie cmentarz zwany szwedzkim. W wydany w 1977 r. przewodniku „Kociewie” Józef Milewski napisał, że na osiedlu Suchostrzygi zachowały się ślady

po cmentarzu szwedzkim. Pochowano na nim żołnierzy poległych w bitwie z 23 sierpnia 1657 r., którą stoczyły wojska szwedzkie pod dowództwem brata Karola Gustawa, księcia Adolfa Jana, z wojskami gdańszczan. Obecnie po cmentarzu nie pozostał żaden ślad, nie można również stwierdzić, gdzie się dokładnie znajdował.

Mało kto wie, że w Tczewie istniał także cmentarz straceńców, który wraz z polem szubieniczym mieścił się za miastem, u zbiegu obecnych ulic Piaskowej i Wojska Polskiego. Była to działka należąca do kata miejskiego, licząca około 750 m. kw., z szubienicą pośrodku i otoczona murem. Ponieważ wisielców nie chowano na poświęconym miejscu, po wykonanym wyroku kat grzebał ich pod szubienicą. Pole to oraz szubienicę zlikwidowano w 1804 r.

Najmłodszym miejscem pochówków w Tczewie jest Cmentarz Komunalny przy ul. Rokickiej, oddany do użytku 1 marca 1980 r. Cmentarz zajmuje prawie 5 hektarów, do chwili obecnej pochowano na nim około 5 tys. zmarłych. Na pagórkowatym terenie są wytyczone alejki cmentarne, wzdłuż których rośnie żywopłot oraz liczne drzewa i krzewy. Pierwszym pochowanym na tym cmentarzu mieszkańcem był Alojzy Lipski, który zmarł 3 marca 1980 r.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

## Dworce kolejowe

**Pierwsza stacja kolejowa w Tczewie powstała w miejscu, gdzie pierwotnie znajdowało się historyczne wzgórze Zamayte, otoczone zakolem zbudowanego w poł. XIV w. Kanału Młyńskiego. Wzgórze zostało zniwelowane, droga od strony miasta podniesiona, a Kanał Młyński skierowano obecnym korytem wprost do Wisły.**

Utrzymany w stylu neogotyckim budynek dworca został wzniesiony w latach 1856–1857 według projektu autora architektonicznych elementów mostu, Friedricha Augusta Stülera, i oddany do użytku razem z mostem na Wiśle. Podobnie jak bramy i wieże mostu, zbudowany był z żółtej klinkierowej cegły pochodzącej z cegielni w Knybawie.

Dworzec położony był w pobliżu Wisły, na osi mostu, pomiędzy dwiema liniami kolejowymi – bydgoską i gdańską (dzisiaj teren ul. 1 Maja). Takie ułożenie stacji podyktowane było przebiegiem Kolei Wschodniej z Berlina do Królewca czyli w kierunku zachód–wschód. Do dworca prowadziła obsadzona drzewami aleja będąca przedłużeniem nowej drogi z Tczewa do Gdańska. W przedniej części budynku znajdowały się pomieszczenia pocztu i spedycji oraz kasy biletowe, a poprzeczny korytarz zapewniał komunikację między peronami. Tylną część budynku zajmowały jasne i obszerne poczekalnie dla podróżnych oraz zaplecze restauracyjne. Za poczekalnią wspólną, zwaną także poczekalnią III klasy, znajdowała się, oddzielona od

niej szklaną ścianą, poczekalnia I i II klasy z salonem dla dam oraz salonem królewskim, wyposażona w oddzielne wyjścia na perony. Z sali poczekalni, zakończonej półokrągłą przeszkloną ścianą, rozpościerał się panoramiczny widok na most i Wisłę. Tak dworzec opisywała XIX-wieczna pisarka Jadwiga Łuszczewska-Deotyma w reportażu „Wycieczka do Gdańska” („Tygodnik Ilustrowany” 1861 r.). *„Dworzec w Czczewie, chociaż ciemnością otoczony, uderzył nas pyszną swoją budową, dziwnie się w cieniu rysującą: jego ściany całe kryształowe jarzyły się od niezliczonych światła gazowych, jak gdyby pałac czarnoksiężski. (...) Prawdziwy wzór architektury dziewiętnastego wieku, utwór z samego żelaza i kryształu. (...) Najpierw wchodzisz do sali z trzech stron wyłożonej zwierciadłami; z czwartej ogromna szklana ściana przedziela ją od drugiej sali półkolistej: ta cała jest ulana ze szkła oprawionego w sieć żelaznych słupków, wiotkich i powikłanych, jakby gałązki rozłożystych drzew. Kierunek budowy tak zwrócony, iż gdziekolwiek staniesz, na wskroś wszystkich ścian, jak przez okno widzisz cały most.”*

Na południe od dworca znajdował się Peron Bydgoski, który początkowo obsługiwał główną linię Kolei Wschodniej biegnącą z Berlina przez Bydgoszcz i Tczew do Królewca. Po wybudowaniu w roku 1873 nowej linii Berlin-Królewiec przez Piłę i Chojnice, jej obsługę przejął peron północny zwany gdańskim, a peron bydgoski zaczął przyjmować coraz liczniejsze połączenia z kierunku Bydgoszczy do Gdańska i Sopotu. Ruch pociągów na kierunku Bydgoszcz-Królewiec odbywał się bezpośrednio, natomiast pociągi kursujące na kierunku Bydgoszcz-Gdańsk wjeżdżały na most, aby zmienić kierunek jazdy. Przy peronie bydgoskim około 1865 r. powstał budynek poczty dworcowej, przed którym około 1880 r. stanął, podwyższony i przedłużony w 1909 r., budynek poczekalni IV klasy. Przed nim około 1900 r. zbudowano noclegownię dla załóg pociągów. Obiekty te, obecnie wciąż istniejące, sprawiają, że dawny peron bydgoski jest najlepiej zachowanym fragmentem starej stacji kolejowej.

Północny peron stacji zwany gdańskim przeznaczony był początkowo do obsługi linii Tczew-Gdańsk o drugorzędnym znaczeniu. Od 1873 r., w wyniku rozbudowy Kolei Wschodniej o nową magistralę poprowadzoną



przez Piłę, Chojnice i Starogard, peron gdański zaczął obsługiwać główny szlak Berlin–Królewiec. Od 1876 r. była to już linia dwutorowa. Wcześniej, bo w roku 1873 drugi tor otrzymał odcinek do Malborka, a w 1876 r. także linia gdańska. Spowodowało to rozbudowę „gdańskiej” strony stacji o drugi peron. Od 1896 r. zatrzymywał się tu (od 1899 r. – codziennie) luksusowy „Nord Expres” relacji Paryż–Bruksela–Berlin–St. Petersburg.

Dworzec kolejowy był dwukrotnie uszkodzony podczas II wojny światowej w wyniku bombardowań z 1 września 1939 r. i w dniach 20–22 lutego 1945 r. 12 marca 1945 r. Tczew zostaje zdobyty przez żołnierzy Armii Czerwonej i w mieście dochodzi do serii podpażeń budynków użyteczności publicznej. Zniszczeniu ulega m. in. szpital św. Wincentego, młyn parowy oraz właśnie dworzec kolejowy. Czy było to podpalenie przez wycofujących się Niemców czy przez żołnierzy Armii Czerwonej, nie jesteśmy w stanie bezsprzecznie rozstrzygnąć. Miasto nie mogło sobie pozwolić na brak dworca, ale również nie miało środków na odbudowę wypalonego budynku. Stację umiejscowiono w dawnej poczcie przy obecnej ul. 1 Maja 10. W niej, oprócz typowych instytucji dworcowych, znajdowała się również Komenda Zaporowa, Polski Czerwony Krzyż (z Kuchnią Ludową), placówka Armii Czerwonej, a w późniejszym okresie Ekspozytura Kolejowa Urzędu Bezpieczeństwa i Posterunek Milicji Kolejowej. Ruiny starego dworca zostały ostatecznie rozebrane w połowie lat 50.

O decyzji w sprawie budowy nowego dworca informował „Dziennik Bałtycki” z 28 sierpnia 1946 r., wyjaśniając również przyczyny takiego, a nie innego umiejscowienia nowej stacji: *„DOKP Gdańsk ogłosiła przetarg na budowę nowego dworca kolejowego w Tczewie. Niejednokrotnie, przejeżdżając tędy, dziwiłiśmy się, że pociąg, aby dojść do stacji, musi się każdorazowo cofać. To boczne położenie dworca tczewskiego było mankamentem, utrudniającym od roku 1920 ruch kolejowy, odbywający się na tym szlaku. (...) W niepodległej Polsce Tczew staje się również bardzo ważnym punktem przelotowym. Ale zmienia się kierunek: linia życiowa państwa biegnie na północ. Most zostaje sparaliżowany, i niepotrzebne jest cofanie się pociągów. Mimo to dworzec stoi przez lat 20. W roku 1939 padają na niego bomby niemieckie, potem zaś,*

*wyremontowany, staje się pastwą płomieni. Nowy dworzec stanie gdzie indziej, a mianowicie po prawej stronie toru (jadąc z Gdańska), przy ul. Pomorskiej. W ten sposób będzie leżał bezpośrednio przy linii Bydgoszcz–Gdańsk oraz równocześnie Malbork–Chojnice, usprawniając znacznie połączenie kraju z Gdańskiem i Gdynią.”*

Teren, na którym powstał nowy dworzec kolejowy, był wykorzystywany przez kolej przynajmniej od końca lat 30. Według planu miasta z 1939 r. znajdował się tu Rangier Bahnhof, a na zachowanych zdjęciach z czasów okupacji przedstawiających te rejony widnieje opis „Dirschauer Güterbahnhof”, czyli dworzec towarowy. W celu budowy budynku dworca osobowego wykorzystano nie tylko tereny kolejowe, ale również zniszczono prawie 200 m kw. ogrodu znajdującego się przy ówczesnej ul. Koziej 3. Władze kolejowe, wykorzystując fakt, iż właścicielka tej posesji przebywała wówczas w Warszawie, bez jej zgody rozebrały ogrodowy parkan i przesadziły większość krzewów.

O rozpoczęciu prac budowlanych napisało „Życie Radomskie” 9 maja 1948 r. *„W Tczewie rozpoczęto pierwsze roboty, zmierzające do całkowitej przebudowy tczewskiego węzła kolejowego. Prace zmierzają do likwidacji starego dworca i zbudowania na północ od niego nowego dworca osobowego. Prace przy budowie trzech szerokich, nowoczesnych peronów są już zaawansowane. Na ukończeniu są roboty ziemne i betonowe oraz odpowiednia przebudowa torów. Oddanie stacji do użytku przewidziane jest jeszcze w bieżącym roku.”* 15 sierpnia 1949 r. oddano do użytku budynek autorstwa arch. inż. Zygmunta Polatyńskiego. Koncepcja gmachu nawiązywała do modernizmu, nowoczesnym jak na tamte czasy rozwiązaniem było zbudowanie stałego, zadaszonego przejścia nad torami. Pierwotnie sięgało ono jedynie do peronów, a w 2000 r. ukończono jego przedłużenie umożliwiające bezpośrednie zejście na osiedle Zatorze.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Fabryka wafli w służbie germanizacji

**Niepozorne blaszane pudełko po ciastkach, odkryte na jednej z aukcji internetowych, doprowadziło nas do odnalezienia nieznanego epizodu z realizacji polityki germanizacji Tczewa z początku XX w.**

Zbadanie napisu i zdjęcia znajdującego się na wieczku pozwoliło na odkrycie zapomnianej tczewskiej fabryki, która powstała w celu zwiększenia niemieckiego stanu posiadania w prowincji Prus Zachodnich, a tak jak wiele innych, okazała się kompletnym fiaskiem jej fundatorów.

Na ozdobnym pudełku znajduje się zdjęcie starszego, poważnego mężczyzny oraz napis Ostdeutschen Biscuit und Waffelfabrik Dirschau. W tłumaczeniu oznacza on Wschodnioniemiecką Fabrykę Biskoptów i Wafli w Tczewie, która według Akt Nadzoru Budowlanego Magistratu Miasta Tczewa znajdowała się przy ówczesnej Gosslerstrasse 10–11 (dzisiejszy budynek Zespołu Kształcenia Zawodowego przy ul. Sobieskiego). Daty skrajne dla posesji to lata 1901–1941, natomiast w „Historii Tczewa” pod red. W. Długokęckiego jest informacja o powstaniu w tym samym miejscu w 1911 r. fabryki Fritza Bienerta. Jako kolejny właściciel pojawia się Hugo Kriesel Maschinenfabrik (figuruje z Bienertem). Nasuwa się wniosek, że fabryka ciastek funkcjonowała w latach 1901–1911. W oficjalnym

sprawozdaniu tczewskiego magistratu pod rokiem 1901 znajduje się informacja: „Pan Nadprezydent von Gossler przybył tu 5 października, aby odwiedzić nowe obiekty przemysłowe (Fabryka Biskoptów i Fabryka Chleba), nowo zbudowane domy Urzędniczej Spółdzielni Budowlanej przy ulicy Okrężnej i nowe budynki na Rynku oraz Szpital Joannitów. Ulica Okrężna dla uczczenia Nadprezydenta otrzymała przy tej okazji nazwę GosslerStrasse”. Potwierdza to założenie fabryki w 1901 r., a jej dalsze losy odnaleźliśmy w polskiej prasie tamtego okresu.

O założeniach i kłopotach fabryki biskoptów i wafli, nie bez satysfakcji, pisano w polskiej gazecie „Postęp” z 17 sierpnia 1902 r.: „Celem wzmocnienia niemczyzny w Prusach Zachodnich powołano do życia wiele przemysłowych zakładów, które nieustannie upadają. W Gdańsku samym już kilka tego rodzaju zakładów zbankrutowało. Teraz donoszą do „Gazety Grudziądzkiej”, iż tak wielce sławiona niemiecka fabryka biskoptów i wafli w Tczewie wcale tak dobrze nie stoi, gdyż nie płaci żadnej dywidendy akcjonariuszom, a w zeszłym roku nawet pracowała z 27,433 marek 42 fen. podbilansu. Wszystkie te fabryki dawnoby już całkiem podupadły, gdyby je rząd ustawicznie nie wspierał. Wiedzą o tym dobrze, że i komisja kolonizacyjna we wysokiej mierze popierała te fabryki. Tak jakoś sztuczny wielki przemysł zapoczątkowany w Prusach Zachodnich i w Księstwie przez dawniejszego ministra Gosslera, nie przychodzi niemieckości z pomocą, lecz przeciwnie powoduje tylko krachy.”

Dwa lata później ta sama gazeta pisała: „Tutejszej wschodnio-niemieckiej fabryce biskwitów i wafli źle się powodzi. Zeszłoroczny bilans wykazał 42 tys. marek niedoboru, a tegoroczny już przeszło 80 tys. marek. Bieda to wielka, gdy nie można związać końca z końcem. Fabryka ta to spółka z ograniczoną poręką, założona przez zmarłego prezydenta Gosslera, który handel niemiecki na kresach wschodnich usiłował podnieść. Jakoś mu się to jednak nie udało, bo już rozmaite za jego pośrednictwem powstałe przedsiębiorstwa upadły. Jaki będzie koniec fabryki wafli w Tczewie, przewidzieć nie trudno, jeżeli jej bilanse rychło nie poznają wartości bilansu.”

Fabryka przetrwała zaledwie pięć lat, o jej upadku z radością informowała „Gazeta Toruńska” z 1906 r.: „Posiadłości tutejszej zbankrutowanej

*spółki biskoptowej i waflowej pójdą 23 października br. pod subhastę. Jak wiadomo, należała ta spółka do tych urzędzeń, które powstały wskutek starań byłego naczelnego prezesa Gosslera, aby nasze Prusy Zachodnie tem prędzej zniemczyć i sprotestantyzować. Ale prawie wszystkie te przedsięwzięcia nie miały powodzenia; owszem przyprowadziły Niemców o wielkie straty.” Spółka pozostawiła po sobie niedobór w kasie szacowany na około 100 tys. ówczesnych marek. Kilka lat później o dalszych losach zabudowań pofabrycznych pisał „Pielgrzym” (nr 87, 21 lipca 1910 r.): „Jak wiadomo wytwórnia wafli zbankrutowała przed kilku laty. Należała ona do tych niefortunnych przedsięwzięć, które miały się przyczynić do „uprzemysłowienia” i zniemczenia Prus Zachodnich, ale chybiły celu i wielu Niemców hakatystycznie usposobionych przyprowadziły o znaczne straty. Budynek wspomnianej fabryki kupił na subhastę za 60 tys. marek p. dyrektor Wessel. Teraz, po pięciu latach, sprzedaje go za 80 tys. marek właścicielowi fabryki Kriesel, który ich użyć chce na powiększenie swej fabryki maszyn.”*

Ustaliliśmy również, kogo widzimy na zdjęciu z pudełka po tczewskich ciastkach. To dawny patron dzisiejszej ul. Sobieskiego, nadprezydent Prus Zachodnich Heinrich Gustav Konrad von Gossler. Urodził się on w 1838 r. w Naumburgu i pochodził z pruskiej szlachty, której członkowie pełnili wiele ważnych funkcji w administracji państwowej. Ukończył prawo i rozpoczął karierę urzędnika m. in. w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Naczelnym Sądzie Administracyjnym. Dał się poznać jako przeciwnik Kościoła katolickiego i mniejszości narodowych zamieszkujących ówczesne Niemcy. W 1891 r. po dziesięciu latach pracy w ministerstwie przeszedł na emeryturę, z której został wezwany przez cesarza na nowoutworzone stanowisko nadprezydenta Prus Zachodnich w Gdańsku. Zgodnie z własnymi przekonaniami i oficjalną polityką przystąpił do walki z żywiołem polskim i zajął się wzmocnieniem niemieckich wpływów na naszym terenie. Zmarł w 1902 r. w Gdańsku. Jak pokazała historia tczewskiej fabryki wafli, jego starania nie przyniosły sukcesów.

**Opracował Wojciech Giedon**

# Gazownia Miejska

**30 listopada 1867 r. miało miejsce historyczne wydarzenie. Ulice naszego miasta zostały rozświetlone przez latarnie zasilane gazem. Nie byłoby to możliwe, gdyby nie uruchomienie miejskiej gazowni, pierwszej z ważnych inwestycji przybliżających Tczew do nowoczesności.**

Pierwsza gazownia w Tczewie, została uruchomiona w 1858 r. na potrzeby kolei, a jej głównym celem było zaopatrzenie w gaz warsztatów kolejowych oraz innych zainteresowanych odbiorców. Powstała według projektu dyrektora gazowni w Szczecinie, Wilhelma Kornhardta, i znajdowała się na północ od dworca, przy obecnej ulicy Za Dworcem. Mogła ona wytwarzać ponad 75 000 m. sześć. gazu rocznie. Pozwalało to na zasilanie 420 palników wykorzystywanych do oświetlenia dworca i zwrotnic oraz 40 latarni na moście przez Wisłę. Produkowany gaz umożliwiał także zaopatrywanie dalszych 800 palników w powstałym dla potrzeb budowy kolei Królewskim Zakładzie Budowy Maszyn. Surowcem do wytwarzania gazu w gazowni kolejowej był węgiel (pochodzący z kopalni Levenson's Wallsend & Pelton), którego magazyn mieścił się w obecnym budynku z nr 9 przy ul. Za Dworcem. Gazownia wyposażona była prawdopodobnie w piece retorowe systemu Pintscha, urządzenia oczyszczające i zbiorniki gazu. Gazownia pracowała na potrzeby stacji do roku 1915, odkąd kolej zaczęła być zaopatrywana z gazowni miejskiej. Budynki gazowni przy ul. Za Dworcem 9, za wyjątkiem gazometru

(zbiornika na gaz), zachowały się do dnia dzisiejszego i wpisane są do ewidencji dóbr kultury w Tczewie pod numerem 832.

W 1866 r. na pustym placu przy ówczesnej ul. Ulryka (obecnie Wąska) rozpoczęto budowę miejskiej gazowni. Jej właścicielem i inwestorem była prywatna spółka Thuringer Gasgesellschaft Lepizig, która w zamian za zainwestowane w budowę fundusze miała zagwarantowany zbytni gaz. Jak się później okazało, takie rozwiązanie, które początkowo wydawało się bardzo korzystne, było źródłem konfliktów z zarządem miejskim. Pierwotnie gazownia posiadał jeden piec służący do produkcji tzw. gazu miejskiego, powstającego z przeróbki węgla kamiennego, aparatury oczyszczającej oraz niewielkiego zbiornika. 30 listopada 1867 r. miało miejsce niezwykle widowisko. Mieszkańcy wyszli na ulice, aby zobaczyć pierwsze rozpalenie 72 ulicznych latarni. Wyparły one wprowadzone 13 października 1862 r. lampy kamfynowe, których szesnaście wisiało na rogach głównych ulic. Uroczystość uświetnił swoją obecnością następca tronu pruskiego Fryderyk III, na którego cześć Rada Miejska wydała przyjęcie w Hotelu Książęcym. Po dwudziestu latach funkcjonowania gazowni pojawił się niezwykle problem. Zgodnie z umową rury gazowe zostały położone środkiem jezdni pod jej nawierzchnią i ten fragment ulicy należał do prywatnych właścicieli zakładu. W 1888 r. wygasła umowa na wyłączność w dostarczaniu gazu przez spółkę z Lipska, ale prawo do środka ulicy pozostało w mocy. W związku z planowaną budową wodociągów i kanalizacji, które miały również przechodzić środkiem ulicy podjęto genialną w swojej prostocie decyzję. Zarząd Miejski zdecydował bowiem o wykupieniu gazowni, tym samym przejmując prawo do ulic miejskich.

Wraz z rozwojem miasta i powiększeniem się liczby ludności zaszła konieczność rozbudowy zakładu. Mimo częściowej rezygnacji z oświetlania ulic (1 stycznia 1900 r. oddano do użytku elektrownię) w 1904 r. zbudowano kolejny zbiornik, tym razem w nowoczesnej technologii teleskopowej, oraz drugi piec. 1 lipca 1907 r. gazownia weszła w skład miejskiej spółki Die Betriebsleitung der Gas-, Wasser und Kanal Werke. W 1913 r. produkowano już blisko 57 tys. m. sześć. gazu, a długość sieci wynosiła wówczas około 15 km.



I wojna światowa miała negatywny wpływ na rozwój miasta. Braki w dostępie do surowców strategicznych zahamowały budowę nowego zbiornika. W związku ze zwiększeniem produkcji gazu udało się natomiast utworzyć zakład amoniakowy, produkujący zagęszczony amoniak, będący produktem ubocznym gazowania węgla, oraz benzolownię. Po powrocie Tczewa do Polski gazownia weszła w skład zakładów miejskich, obejmujących swą działalnością również elektrownię i wodociągi. Inwestycja z 1923 r. (budowa dwóch pieców półgeneratorowych systemu Didera) pozwoliła na produkcję do 1,2 mln m sześć. gazu rocznie, choć nawet w najlepszych okresach wykorzystywano tylko część mocy zakładu. Największym odbiorcą gazu była kolej, a sieć gazowa w tym okresie liczyła 19 km. Kryzys lat 30. odbił się negatywnie na funkcjonowaniu zakładu. Spadło zapotrzebowanie na gaz, a braki funduszy na przeprowadzenie koniecznych remontów spowodowały m. in. nieszczelność gazociągów i straty przesyłowe wynoszące 18 proc. W czasie II wojny światowej zrezygnowano z produkcji amoniaku i benzolu, a sam zakład ucierpiał w wyniku radzieckich nalotów z lutego 1945 r. Po dokonaniu niezbędnych napraw 28 listopada 1945 r. gazownia została ponownie uruchomiona, dzięki czemu gaz docierał do 1988 odbiorców i zasiliał 88 latarni ulicznych. Oprócz gazu produkowano również rocznie 1158 ton koksu i 90 ton smoły. Razem z wodociągami i kanalizacją gazownia tworzyła Miejskie Zakłady Przemysłowe Gazownictwa, Wodociągów i Kanalizacji. Rosnąca liczba mieszkańców i powstawanie nowych zakładów przemysłowych (zużywały 1/3 produkcji) uwidocznili potrzebę rozbudowy zakładu. Niestety na tej samej działce nie było możliwości przebudowy gazowni. W momencie budowy teren ten znajdował się poza obszarem miasta, ale w drugiej połowie XX w. miasto się rozrosło. Zdecydowano więc o unowocześnieniu zakładu i budowie dodatkowego pieca. W 1964 r. gaz docierał siecią o długości 26 km do ponad 2600 odbiorców, a roczna produkcja przekroczyła 1,5 mln m. sześć. 1 stycznia 1967 r. gazownia tczewska weszła w struktury Gdańskiego Okręgowego Zakładu Gazowniczego w Gdańsku. Nastąpił dynamiczny rozwój produkcji i rozbudowa sieci gazowej. Przed rokiem 1970 osiągnięto maksymalny możliwy poziom produkcji wynoszący prawie 3 mln m. sześć,



przesyłany przez 34 km sieci do ponad 5 tys. odbiorców. To był kres możliwości tczewskiej gazowni, a wobec braku miejsca na rozbudowę i zarzucenie pomysłu na budowę gazokoksowni w Tczewie, zdecydowano się poczekać na doprowadzenie gazu ziemnego. W okresie przejściowym zwiększono kaloryczność gazu miejskiego dodając gaz płynny, a także w 1972 r. zbudowano gazociąg doprowadzający przez Rokitki gaz z Gdańska. W 1973 r. rozpoczęło się przestawianie odbiorców na gaz ziemny i stopniowa redukcja produkcji gazu z węgla.

W 1974 r. ostatecznie zaprzestano odgazowywania węgla. Gazownia przekształciła się w rozdzielnię gazu i rozebrano niepotrzebne już piece oraz zbiorniki. Na uwagę zasługuje zrekonstruowanie i zaadaptowanie do nowych potrzeb w 1995 r. dawnego budynku produkcyjnego.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Klasztor dominikański

**Zakon Kaznodziejski, czyli dominikanie, był obecny w naszym mieście przez ponad pół tysiąca lat. Pozostał po nim kościół zwany szkolnym oraz budynek dzisiejszej Szkoły Muzycznej, a także pewna legenda.**

Mściwój II po pokonaniu i wygnaniu założyciela Tczewa, a swego wuja Sambora II, rozpoczął rządy w dzielnicy lubiszewsko-tczewskiej. Mimo że nie grzeszył pobożnością, jak można przeczytać w „Kronice Oliwskiej” jedną z zakonnic uczynił swoją nałożnicą, to on 18 maja 1289 r. ufundował w Tczewie klasztor dominikanów.

Bracia Kaznodzieje otrzymali teren znajdujący się pomiędzy cmentarzem wokół fary a zamkiem książęcym, ograniczony od północy groblą na fosie, a od południa ulicą prowadzącą do Wisły. Dzisiaj obszar ten to plac św. Grzegorza. Dlaczego wybór Mściwoja padł na dominikanów? Przede wszystkim mogło zadecydować to, że zakon ten był zakonem miejskim czyli nie tworzył konwentów, jak inne zgromadzenia, w pewnym odosobnieniu, ale budował je w miastach. Dominikanie byli stosunkowo młodym zgromadzeniem, zatwierdzonym w 1216 r., już dziesięć lat później powstała ich pierwsza prowincja w Polsce, więc zapewne działali prężniej od starszych zakonów. Nowy władca Tczewa nie chciał również za bardzo wzmacniać innego działającego na Pomorzu zakonu, mianowicie joannitów, z którymi Sambor II miał poważne kłopoty.

O pierwszych latach dominikanów w Tczewie nie możemy powiedzieć zbyt wiele. Na pewno przystąpili do budowy domu zakonnego oraz kościoła. Korzystali z licznych przywilejów m. in. rybołówstwa na Wiśle i bezpłatnych przewozów przez rzekę, zwolnienia od cła, a także dysponowali zgodą na pozyskiwanie materiałów budowlanych – drewna, wapna i kamieni. Zajęcie Tczewa przez krzyżaków w 1308 r. nie zahamowało rozwoju zakonu, który nie był przez nich traktowany jako konkurencja. Z tego okresu znamy trzech przeorów – w roku 1313 wymieniany jest Bertram, w 1335 r. Wenceslaus i w 1344 r. Mikołaj.

Dominikanie otrzymywali datki od wielkiego mistrza, a w zamian za znaczną sumę 100 grzywien zobowiązali się do odprawiania codziennie pierwszej mszy świętej za dobrze nam znanego Ulryka von Jungingena. Według informacji z 1413 r. w tczewskim konwencie przebywało 21 mnichów, którzy zamieszkiwali graniczący z kościołem od północy dom klasztorny. Sam kościół dominikański składał się z ośmiobocznej wieży, prezbiterium i młodszej od niego nawy, wspominano również o zakonnej bibliotece i skarbcu. Ścisłe związki z krzyżakami zemściły się na dominikanach w roku 1433, kiedy to wojska husyckie zajęły Tczew i splądrowały klasztor wraz z kościołem. Straty musiały być znaczne, skoro papieski mandat z 1442 r. gwarantował odpust każdemu, kto odwiedzi kościół w dniu Wniebowstąpienia Chrystusa. Miało to na celu przyciągnięcie pielgrzymów, którzy datkami mieli wesprzeć odbudowę konwentu.

Epilogiem współpracy dominikanów z krzyżakami była sprawa przeora Piotra, który w 1457 r. był ścigany z rozkazu króla Kazimierza Jagiellończyka, za kolportowanie przychylnej zakonowi bulli papieskiej. Za to został prawdopodobnie pozbawiony przeoratu. Jego następcą został Mikołaj, który pełnił obowiązki do 1461 r. Dokumenty wymieniają jeszcze przeorów: Mikołaja Schonenberga, Jerzego z Chełmna, Macieja Piwko i od 1544 r. plebana tczewskiego dominikanina Mikołaja Wentza.

Mocnym ciosem dla tczewskich dominikanów było pojawienie się reformacji. Wyznawcy doktryny Lutra szybko opanowali miasto i przy wierze katolickiej pozostała jedynie jego najbiedniejsza część. Dominikanie nie

mogąc konkurować z dobrze przygotowanymi pastorami ewangelickimi opuścili Tczew około roku 1553. Skarbiec przeniesiono do Malborka, a szaty liturgiczne do fary. W 1580 r. podjęto decyzję o włączeniu konwentu tczewskiego do konwentu gdańskiego. Przejęcie nastąpiło przez dwóch wysłanników z Gdańska w obecności rajców i obywateli. Dominikanie rozpoczęli działalność duszpasterską w kościele klasztorным i opuszczonych większych kościołkach. Po raz kolejny opuścili miasto w obawie przed wojskami szwedzkimi, okupującymi Tczew w latach 1626–1629, by powrócić i działać nieprzerwanie do początków XIX stulecia.

8 maja 1819 r. władze pruskie zadecydowały o kasacie zakonu dominikanów na terytorium swojego państwa, czym zakończyły 530 lat istnienia tczewskiego konwentu. Część budynków klasztornych rozebrano, kościół oddano parafii katolickiej (obecnie pod wezwaniem św. Stanisława Kostki), a sam konwent przeznaczono na potrzeby szkolnictwa. Mieści się w nim dzisiaj szkoła muzyczna.

Co pozostało po dominikanach oprócz budynków? Legenda wyśmienia tego piwa warzonego przez braci zakonnych: *„Trzeba wszelako poświadczyć jako dominikańskie piwo z Tczewa to dobry trunek na frasunek, a i przedni lek przeciw gorącznicy”*.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Królewski Zakład Budowy Maszyn

**Ceglany dom przy ul. Gdańskiej 40, wyglądający niepozornie na tle pobliskiej Galerii Kociewskiej, jest ostatnim fragmentem potężnego niegdyś zespołu fabrycznego. Zbudowano go jako budynek biurowy, należący do przedsiębiorstwa Königliche Maschinenbauanstalt zu Dirschau, prekursora rewolucji przemysłowej w naszym mieście.**

Królewski Zakład Budowy Maszyn wyprzedził o kilka lat budowę kolei i mostu przez Wisłę w Tczewie. Spiritus movens przedsięwzięcia był inżynier H. W. Krüger z Poczdamu (1817–1867), absolwent Instytutu Przemysłu w Berlinie, który przez wiele lat pracował w Anglii, w Sharp, Roberts & Comp.

W roku 1846 przedłożył pruskiemu ministrowi finansów Flottwell'owi obszerny plan założenia odlewni żeliwa razem z zakładem budowy maszyn, głównie dla budowy lokomotyw, wraz z prośbą o wsparcie realizacji. Składający propozycję oparł swój plan na rozpoczętej budowie kolei żelaznej do Królewca, dla której na koszt państwa wykonany zostanie ważny most wiszący przez Wisłę pod Tczewem. Konieczne dla tej budowy elementy żelazne powinny być pierwszymi dostawami planowanego zakładu, którymi spłacane byłyby sumy pożyczek udzielonych przez ministerstwo finansów na jego otwarcie. Minister okazał się sprawie przychylny, uczynił jednakże

warunek, że zakład powinien być wybudowany w pobliżu Tczewa. Dodatkowo Krüger miał wskazać kilku inwestorów, którzy wnieśliby udział co najmniej 50 tys. talarów, wówczas ministerstwo wniosłoby taką samą kwotę.

Po tym jak Krüger długo czynił bezskuteczne starania, udało mu się w końcu znaleźć ofertę, która daleko przekroczyła jego oczekiwania. Uzyskał on mianowicie wsparcie Königliche Seehandlung (Królewskie Towarzystwo Handlu Morskiego – pruskie państwowe towarzystwo inwestycyjno-kapitałowe), którego szef, minister Rother, żywo zainteresował się przedsięwzięciem. Oświadczył jednak, że przedsięwzięcie może być rozpoczęte z funduszem nie mniejszym niż 250 tys. talarów. Z sumy tej Seehandlung zadeklarował 100 tys. talarów; bracia Oppenfeld, właściciele Huty Laura na Górnym Śląsku, 50 tys. talarów; radcy handlowi Behrend i Witt z Gdańska także 50 tys. talarów. Brakujące 50 tys. talarów udzieliło, jako wolnej od odsetek zaliczki, ministerstwo finansów, pod warunkiem, że wszystkie dostawy będą realizowane po obowiązujących w Berlinie cenach. Z Krügerem zawarty został kontrakt, który przyznawał mu jako kierownikowi technicznemu 25 proc. czystego zysku jako dochód, który gwarantowałby mu minimum 2 tys. talarów. Pozostała część zysku powinna zostać zaksięgowana jako uzupełniająca kapitał przedsiębiorstwa do czasu, aż spłacona zostanie suma udzielonej przez ministerstwo finansów zaliczki i uzupełniony zostanie określony na ćwierć miliona kapitał założycielski. Z niego 170 tys. talarów miało zostać przeznaczonych na budynki, maszyny i urządzenia pomocnicze, podczas gdy 80 tys. talarów służyć jako kapitał obrotowy. Dodatkowo postulowano, aby przeciwdziałać nadmiernemu rozrostowi przedsięwzięcia, a suma 250 tys. talarów nie może nigdy zostać przekroczona przez rozbudowę zakładu.

Rzeczywistość nie okazała się tak pomyślna, jak zakładano. Niepewna sytuacja polityczna zniechęciła prywatnych inwestorów. Jako jedyny środki na budowę zakładu wyłożył królewski Seehandlung, co znamienne, nie tylko dla doraźnego wsparcia budowy kolei, ale także „w interesie tamtejszej prowincji”, co przedstawił w swoim memoriale z czerwca 1847 r. szef Instytutu Christian von Rother: *„Jako nowe przedsięwzięcie przemysłowe, w którym*

*obecnie bierze udział Seehandlung [Institut], wymienić należy Zakład Budowy Maszyn w Tczewie. Zakład ten nie powstał jedynie dla wielkiej budowy tamże mostu przez Wisłę i przez Nogat w Malborku oraz dla budowy Kolei Wschodniej o decydującym znaczeniu, lecz także w ogólności, w istotnym interesie tamtejszej prowincji, w której na wielką skalę brakuje jeszcze zakładów budowy maszyn. Pomimo to, że Królewskie Ministerstwo Finansów zdecydowało się wesprzeć stworzenie zakładu w Tczewie poprzez przyznanie wolnej od podatku, spłacanej stopniowo robotami zaliczki w wysokości 50 tys. talarów z królewskiego funduszu budowy mostów, nie udało się zebrać brakującego prywatnego kapitału, potrzebnego do założenia i prowadzenia zakładu, to Seehandlung [Institut] wobec wszechstronnych nacisków nie mógł uchylić się od uczestnictwa. Został on na mocy najwyższego rozkazu z dn. 19 czerwca br. upoważniony do wspólnego założenia zakładu w zjednoczeniu z osobami prywatnymi oraz zobowiązany do wyłożenia połowy środków na założenie i prowadzenie zakładu. Niezbędne budynki są już ukończone i regularna eksploatacja zostanie rozpoczęta najpóźniej 1 lipca br.”*

Działalność Królewskiego Zakładu Budowy Maszyn w Tczewie została odnotowana w zestawieniu danych berlińskiego biura statystycznego za rok 1849. Można tam znaleźć między innymi informację, iż zakład był jednym z 16 działających w prowincji pruskiej, w tym jednym z pięciu w rejencji gdańskiej, i zatrudniał 60 pracowników. Ponadto zakład posiadał maszynę parową o mocy 16 KM, jedną z 23 funkcjonujących wówczas w rejencji gdańskiej. Wkrótce jednak, jak informuje rocznik statystyki urzędowej państwa pruskiego, budowa Kolei Wschodniej została zawieszona, a Zakład Budowy Maszyn w Tczewie przejęło Ministerstwo Handlu, Przemysłu i Robót Publicznych. Do końca roku 1848 zainwestowało w niego dalszych 48 tys. Kthlr (królewskich talarów), co odszukać można w dodatku do memoriału ministra von Heydta z 29 sierpnia 1849 r., dotyczącego wykorzystania funduszu kolejowego. Więcej szczegółów o „wtopieniu” w zakład funduszy Seehandlung znaleźć można w sprawozdaniu komisji do sprawdzenia budżetu państwa za rok 1851, ogłoszonym przed parlamentem przez Otto von Bismarcka 20 marca 1851 r.: „Zakład Budowy Maszyn w Tczewie razem

*z trzema piecami został założony w 1846 r. dla przygotowywanej budowy Kolei Wschodniej, przy czym Seehandlung wniosło udział w wysokości 100 tys. Kthlr. W następstwie ustawy połączonego parlamentu budowa Kolei Wschodniej została wstrzymana. Udziały Seehandlung zostały przez Ministerstwo Handlu i Przemysłu, które przejęło zakład, zaspokojone w ten sposób, że z wartości księgowej zakładu, wynoszącej w końcu roku 1849 jeszcze 75 585 Kthlr, 20 762 Kthlr zaliczone zostało jako strata.”*

Kontynuacja budowy Kolei Wschodniej i wytwarzanie elementów stalowych mostu wiślanego pozwoliły na pełne rozwinięcie możliwości produkcyjnych zakładu, realizowanych przy imponującym zatrudnieniu, o czym informowała prasa fachowa w regularnie zamieszczanych raportach o eksploatacji zakładów hutniczych w państwie pruskim (1 cetnar pruski równy był do roku 1858 51.45 kg, a po 1858 r. 50 kg). W roku 1852: „Z Zakładem Budowy Maszyn, założonym w Tczewie dla budowy mostów przez Wisłę i Nogat, połączona jest odlewnia żeliwa wyposażona w trzy piece żeliwiaki, która w roku 1852 wyprodukowała około 4500 cetnarów odlewów z przetopionej surówki.” W roku 1856: „W odlewni żeliwa Królewskiego Zakładu Budowy Maszyn w Tczewie zostało wytworzonych w trzech piecach żeliwiakach 4200 Ctr wyrobów żeliwnych o wartości 17 000 Thlr oraz, w połączonej z odlewnią żeliwa odlewni metali nieżelaznych, w trzech piecach tyglowych 110 Ctr odlewów o wartości 3000 Thlr. Załoga odlewni liczy 17 ludzi. Królewski Zakład Budowy Maszyn, do którego należy odlewnia, miał od 414 do 482 pracowników”, a w roku 1861: „Zakład Budowy Maszyn w Tczewie (okręg rejencyjny Gdańsk) z należącej do niego, wyposażonej w trzy piece żeliwiaki, odlewni żeliwa, dostarczył Królewskiej Kolei Wschodniej 5290 Ctr odlewów, które znalazły zastosowanie w gmachach publicznych.”

Można śmiało stwierdzić, że ukoronowaniem działalności zakładu związanej z budową mostów przez Wisłę, a później urządzeń Kanału Elbląsko-Ostródzkiego, było nagrodzone medalem uczestnictwo w Międzynarodowej Wystawie Przemysłu i Sztuki w Londynie w roku 1862, podczas której zaprezentowano modele tych budowli. Kolejnym, po stalowej konstrukcji mostu przez Wisłę w Tczewie oraz maszynarii Kanału



Elbląsko-Ostródzkiego, wytworem Królewskiego Zakładu Budowy Maszyn była konstrukcja stalowego mostu kolejowego przez Brdę pod miejscowością Czersko Polskie (obecnie dzielnica Bydgoszczy). Most znajdował się na trasie należącej do Kolei Wschodniej linii Bydgoszcz-Toruń, otwartej 24 października 1861 r., która stała się częścią Kolei Warszawsko-Bydgoskiej, łączącej od 4 grudnia 1862 r. Kolej Wschodnią z Koleją Warszawsko-Wiedeńską. Składał się z dwóch przęseł o długości 25 metrów każde i przecinał rzekę pod kątem 60 stopni. Był to pierwszy most stalowy wykonany z dźwigarów o kształcie parabolicznym, według projektu Johanna Wilhelma Schwedlera, twórcy teorii budowy mostów belkowych, projektanta wielu mostów kolejowych i drogowych, w tym większości mostów przez Odrę oraz drugiego mostu przez Wisłę w Tczewie. Zastosowany przez Schwedlera typ przęsła, nazwany później jego nazwiskiem, pozwalał na obniżenie ciężaru własnego konstrukcji o 1/3 w porównaniu do stosowanych wcześniej kratownic o pasach poziomych oraz na zwiększenie bezpieczeństwa konstrukcji, w wyniku wyeliminowania działania w jej elementach obciążeń ściskających, grożących ich zniszczeniem wskutek tzw. wyboczenia, czyli wygięcia przed przekroczeniem wytrzymałości na ściskanie.

Największą, poza Mostem Tczewskim, konstrukcją wykonaną w zakładzie była hala dworca w Berlinie-Friedrichshain. Zaprojektowana przez Schwedlera i wykonana w latach 1866–1867, miała długość blisko 190 m, wysokość 19 m i składała się z łukowych dźwigarów kratownicowych o rozpiętości 37 m, rozmieszczonych w odstępach 7,5 m. Łączny ciężar konstrukcji bez żeliwnych wsporników i poszycia dachu wynosił blisko 425 ton, co przy produkcyjnych możliwościach zakładu wynoszących około 230 t rocznie, wymagało jego dwuletniego zaangażowania. Dworzec obsługiwał ruch pasażerski do 1881 r., kiedy to połączenia Kolei Wschodniej skierowane zostały na rozbudowany przelotowy Dworzec Śląski (obecnie Berlin Ostbahnhof). Instalacje kolejowe pełniły funkcję stacji towarowej, a hale dworcowe wykorzystywane były przez jednostki balonowe armii pruskiej, a następnie przez Czerwony Krzyż. W 1929 r. w przebudowanych pomieszczeniach dworca rozpoczął

działalność teatr muzyczny Varieté Plaza z widownią posiadającą blisko 3000 miejsc. Zniszczone pod koniec wojny obiekty dawnego dworca, zostały ostatecznie rozebrane w 1952 r.

W roczniku 1871, wydanym z inicjatywy berlińskiego związku akademickiego o nazwie Hütte (huta), ze zbiorami rysunków przedstawiających przykłady realizowanych aktualnie obiektów przemysłowych, maszyn oraz konstrukcji, opisana jest „Wielokątna lokomotywnia dla 16 lokomotyw. Królewska Kolej Wschodnia, Berlin i Piła”, a właściwie konstrukcja dachu tych obiektów. Autorem publikacji jest inżynier Rintelen, współpracownik inżyniera Krügera, twórcy Królewskiego Zakładu Budowy Maszyn, a później jego następca na stanowisku dyrektora zakładu. Aż do końca swoich dni był związany z Tczewem, gdzie zmarł 14 czerwca 1880 r. Ze znajdującej się pod koniec tekstu wzmianki o zmianach w konstrukcji („W miejsce zastosowanych w dachu bydgoskim prętów napinających o przekroju okrągłym...”) wynika, że przedstawiana konstrukcja jest późniejsza od bydgoskiej, a więc opracowanie dotyczyć musi dachu tczewskiego „okrągłaka”. Zaskakująca trwałość konstrukcji, którą możemy oglądać do dnia dzisiejszego! Nie jest jasne, czy tczewska fabryka wykonywała również konstrukcje dachów dla Berlina Ostbahnhof, Piły i Bydgoszczy. Nie jest to wykluczone, zważywszy na doświadczenie zakładu w prefabrykacji skomplikowanych konstrukcji stalowych, jak chociażby opisany most na Brdzie pod Bydgoszczą.

Zakład przeszedł w prywatne, choć niezbyt zaradne ręce w 1880 r. i zakończył swoją działalność pod koniec XIX w. Pozostały po nim zabytkowe przęsła Mostu Tczewskiego, urządzenia techniczne Kanału Elbląsko-Ostródzkiego, które do dnia dzisiejszego nie miały żadnej poważniejszej awarii, oraz wspomniane stalowe elementy parowozowni, z których jedna znajduje się w naszym mieście.

**Opracował Mirosław Zawadzki**

# Niezrealizowane przedsięwzięcia

**Przełom XIX i XX wieku przyniósł intensywny rozwój Tczewa, jednak kilka ambitnych pomysłów ówczesnych władz nie wyszło poza fazę papierowych opracowań.**

Jednym z nich jest koncepcja budowy wiaduktu, który przebiegając nad ul. Wąską połączyłby ul. Rybacką z ul. Stromą. W Archiwum Państwowym w Gdańsku można zobaczyć wygląd projektowanej konstrukcji na dwóch planach – z 1907 i 1914 r. Pomysł porzucono zapewne z powodu wybuchu II wojny światowej

W zasobach archiwum znajduje się także teczka z początku XX w., poświęcona budowie linii trolejbusów. Jedno pismo, sporządzone przez magistrat, dotyczy kalkulacji przedsięwzięcia. Drugie to prawdopodobna oferta (folder reklamowy?) firmy Gesellschaft für Gleislose Bahnen Max Schiemann & Co, z prezentacją pojazdu Benzin-Omnibusse. Nie wiemy dlaczego i ta koncepcja nie weszła w życie.

W 1898 r. powołano drugą parafię ewangelicką w Tczewie. Jedenaście lat później „Gazeta Gdańska” informowała o planach budowy zboru przy ul. Gosslerstrasse (obecnie ul. Sobieskiego), niedaleko miejsca, gdzie katolicy planowali zbudować swoją świątynię, czyli dzisiejszy kościół pw. św. Józefa. Koszt budowy zboru wraz z domem dla pastora oszacowano łącznie na 136 tys. marek: *„Grunt pod budowę został już nabyty przy ul. Sobieskiego. Zbór będzie miał oświetlenie elektryczne i zdoła pomieścić przeszło 600 osób.”*

Z okresu okupacji hitlerowskiej pochodzi z kolei plan budowy pływalni. Basen miał stanąć przy ówczesnej Adolf Hitler-Strasse, na rogu ul. Dąbrowskiego i Kościuszki. Wizja tczewskiej pływalni, również dostępna w gdańskim archiwum, pochodziła spod ręki Hansa Riecherta, szczecińskiego architekta, którego najbardziej rozpoznawalną realizacją jest przedwojenne schronisko Hitlerjugend na Biskupiej Górze w Gdańsku.

**Opracował Przemysław Zieliński**

# Ogrody działkowe

**Miasto kojarzy nam się przede wszystkim z budynkami i ulicami, ale często zapominamy o równie ważnym elemencie, jakim jest miejska zieleń. Tczew posiada zabytkowy park oraz skwery, natomiast największym i zdaje się niedocenianym rezerwuarem roślinności są Rodzinne Ogrody Działkowe. Niewiele osób wie, że należą one do jednych z najstarszych w Polsce i od ponad stu lat współtworzą krajobraz naszego miasta.**

Pierwszy tczewski ogród działkowy został założony 2 marca 1911 r. przy obecnej ul. Targowej, dzisiaj nosi imię Jana Kasprowicza. Posiadał on powierzchnię 0,80 ha i został podzielony na 64 działki. Nie był on otwarty dla wszystkich, wstęp na jego teren był dozwolony wyłącznie działkowcom. Według statutu zarządzającego nim po powrocie Tczewa do Polski Towarzystwa Ogrodów Familijnych, opłata roczna wynosiła 5 groszy za 1 m. kw. Mimo że kwota wydaje się być niewielka, tylko nieliczni mieszkańcy mogli sobie pozwolić na posiadanie własnej działki. Potwierdza to kwestionariusz z 23 października 1928 r., który przekrój socjalny członków ogrodu przedstawia następująco: urzędnicy 50 proc., wolne zawody 43 proc., rzemieślnicy 7 proc. Przed II wojną światową powstał jeszcze jeden ogród. W 1935 r. pracownicy węzła kolejowego w Tczewie założyli ogród im. Mikołaja Kopernika, pierwotnie znajdujący się jedynie przy obecnej

drodze krajowej nr 91 do Gdańska. W latach 1937–1938, dzięki wsparciu D.O.K.P w Gdańsku, rozpoczęto energiczne prace przy jego organizacji.

Po wojnie, w zmienionej sytuacji ustrojowej, nastąpił znaczny rozwój ruchu działkowego. W 1950 r., po wschodniej stronie szosy z Tczewa do Bałdowa, powstał ogród im. Henryka Sienkiewicza. W roku 1954 Obwodowy Urząd Poczto-Telekomunikacyjny Tczew podjął decyzję o zorganizowaniu Zakładowych Ogródków Działkowych dla swoich pracowników. Ogród im. Obrońców Poczty Polskiej znajdował się pierwotnie w sąsiedztwie istniejącego już ogrodu im. Kasprowicza, ale w 1974 r., w związku z rozbudową zakładu „Predom-Metrix”, został przeniesiony na Suchostrzygi. 13 czerwca 1954 r. powstał Pracowniczy Ogród Działkowy PKP im. Marcelego Nowotki na osiedlu Zatorze, który dzisiaj nosi nazwę Kolejarz. W 1966 r. ówczesne zakłady pracy działające na terenie Tczewa otrzymały teren przy dzisiejszej ul. Rokickiej na stworzenie Międzyzakładowego Pracowniczego Ogrodu Działkowego. Dla usprawnienia działalności ogrodu powołano Międzyzakładowy Pracowniczy Ogród Działkowy przy FPS „POLMO” Tczew, by w 1981 r. zmienić nazwę na POD im. 30-lecia PRL. Obecnie nosi on nazwę im. księcia Sambora II. W latach siedemdziesiątych powstały dwa kolejne ogrody – Wiosna przy ul. Działkowej i im. Władysława Sikorskiego przy ul. Czatkowskiej. Z kolej w latach 1982–83 powstały aż trzy nowe ogrody: Malinowo dla pracowników Kombinatu Malinowo, Wincentego Witosa dla pracowników WPK Tczew i zakładów współpracujących oraz Nad Wisłą.

Transformacja ustrojowa po 1989 r. zahamowała rozwój i zmieniła status ogrodów działkowych. Przez wielu uważane są za relikty PRL. Pamiętajmy, że przynajmniej w Tczewie ich rodowód jest dużo starszy i od ponad 100 lat stanowią stały element panoramy naszego miasta.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Pod patronatem zabójcy smoka

**Historia budynków noszących w Tczewie wezwanie św. Jerzego – kościołów i szpitali – liczy kilkaset lat.**

Pierwszy kościół św. Jerzego był krzyżackim kościołem szpitalnym, przeznaczonym dla chorych leczonych na trąd, a zapewne także na inne choroby zakaźne wymagające izolacji. Znajdował się daleko poza murami ówczesnego miasta, przy dzisiejszym placu Marszałka Piłsudskiego lub na terenie cmentarza ewangelickiego. Był zarządzany przez oddzielnego, uposażonego przez zakon proboszcza. Pod koniec XV w. szpital zlikwidowano, a kaplicę przyłączono do miejskiego kościoła parafialnego.

Od 1570 r., była ona użytkowana przez tczewską wspólnotę protestancką wyznania augsburskiego, na podstawie przywileju nadanego przez króla Zygmunta Augusta. Po zajęciu Tczewa w lipcu 1626 r. przez wojska króla Szwecji Gustawa II Adolfa, Tczew przekształcono w twierdzę, otaczając miasto systemem ziemnych fortyfikacji bastionowych. Podczas ich budowy zniszczono istniejącą zabudowę przedmieść, w tym dawną pokrzyżacką kaplicę.

Znając bardzo silne tradycje kontynuacyjne w przypadku świątyń chrześcijańskich, można stawiać hipotezę, że pierwszy kościół św. Jerzego znajdował się na miejscu dzisiejszej kaplicy ewangelickiej. Stał na pewno gdzieś na terenie cmentarza ewangelickiego (w jego XIX-wiecznych granicach), bo cmentarz ten to dawny cmentarz przyszpitalny, przy którym stała

pierwotna świątynia św. Jerzego. Tym samym jest to też najstarsza, czynna ciągle nekropolia tczewska.

W 1626 r. król szwedzki Gustaw II Adolf, w charakterze rekompensaty, przekazał protestantom w wyłączne użytkowanie tczewski kościół farny. Na mocy rozejmu zawartego w 1629 r. w Starym Targu, Tczew powrócił w granice Rzeczypospolitej, a tczewscy protestanci zachowali prawo użytkowania kościoła farnego aż do 1635 r.

Najprawdopodobniej na przełomie 1634 i 1635 r. zwrócili się oni do przebywającego wówczas w Tczewie króla Władysława IV, z prośbą o zgodę na budowę własnego kościoła w obrębie miasta. W rok później król Władysław IV wydał tczewskiej gminie protestanckiej stosowny przywilej. Z powodu znacznego zubożenia gminy nie wzniesiono nowego budynku, lecz zdecydowano się na zaadaptowanie starego spichlerza joannitów, zwanego w czasach krzyżackim – Komturskim, a później Starościńskim. Stał on wzdłuż zachodniego skrzydła zachowanego do dziś narożnika murów przy ul. Wąskiej. Przebudowę, prowadzoną przy wydatnym wsparciu gmin protestanckich Gdańska, Torunia i Elbląga, ukończono w 1639 r. Dla upamiętnienia dawnego kościoła, nowa świątynia otrzymała wezwanie św. Jerzego. Wejście do kościoła znajdowało się od strony północnej, po przeciwległej stronie był ołtarz, a na lewo od wejścia – ambona. Chór rozciągał się wzdłuż ściany północnej i zachodniej, a nad wejściem umieszczono organy. Drewniany sufit ozdabiały kunsztowne malowidła przedstawiające stworzenie świata. Budynek posiadał dwuspadowy dach, ozdobiony pośrodku niewielką wieżyczką. Została ona zniszczona podczas walk ze Szwedami w marcu 1656 r. Przy parafii działała szkoła i istniał niewielki cmentarz. W styczniu 1737 r. w wyniku gwałtownej burzy, zawalił się przedniszczyt kościoła, odbudowany dopiero w roku następnym, po przewlekłych targach z gdańskim konsystorzem. Kościół św. Jerzego przy ul. Wąskiej użytkowany był nieprzerwanie przez ponad 200 lat, aż do roku 1853, stopniowo popadając w ruinę.

Po kościele został jedynie dzwon, który skonfiskował Magistrat. Ów dzwon trafił później do fary, można go było poznać po napisie *Helb Gott, Maria Beroth, S. Anna Lebs Droth* oraz dwa wieloramienne żyrandole



z brązu. Wiążą się one z wyróżniającymi się w Tczewie fundacjami sprzętów kościelnych.

Pierwszy z nich, obecnie czteroramienny (pierwotnie zapewne sześć- lub ośmioramienny), o formach barokowych, powstał w 1658 r. Na jego, umieszczonej u dołu, kuli wyryto napis fundacyjny, zawierający następujący tekst (wykonany kapitułą humanistyczną): SAMUEL EBERHART UND SEINE FRAW ANNA VOREHRET // DIESE KROHNE IHRE IUNGFRAU TOCHTER ANNA // CHRISTINA GEBORNE LEPKOWKE ZU EHREN // DER KIRCHEN GOTTES ANNO 1658 (*Samuela Eberharta i jego żonę Annę czci tym świecznikiem ich panna-córka Anna Christina Lepkowke (Lepkowska/ Łepkowska) na chwałę Kościoła Bożego w roku 1658*). Jest to ciekawe świadectwo uszanowania w ten sposób rodziców, przy jednoczesnym podkreśleniu ich pobożności. Anna Christina była córką zmarłego w 1643 r. *Cesarskiego rotmistrza (Kayserlicher Rittmeister)*. Jej matka Anna wyszła powtórnie za mąż w 1648 r. za obywatela Tczewa od 1655 r. – Samuela Eberharta (Ewerhardta). Elisabeth Kloss, w swoim opracowaniu katastru miasta Tczewa, wysnuła przypuszczenie, że trzeci ślub Anny Łepkowskiej miał miejsce w 1657 r. Fundacja Anny Christiny mogłaby upamiętnić fakt zawarcia tego małżeństwa właśnie w 1658 r. Byłby więc tczewski wiszący świecznik, wśród zachowanych obiektów tego typu, rzadkim przykładem połączenia fundacji przedmiotu kościelnego z aktem kommemoracji zaślubin. W kościołach, tak katolickich, jak i ewangelickich, obiektami dokumentującymi prywatne akty kommemoracji były głównie sepulkralia i tabliczki wotywnie.

Drugi żyrandol, wykonany w 1700 r., oświetlający i zdobiący obecnie wnętrze kościoła poddominikańskiego, należy do obiektów fundowanych przez zespoły starszych kościołów. Tekst uwieczniony z jednej strony kuli tego zabytku (wyryty kapitułą humanistyczną) jest następujący: KIRCHEN VAETER // IACOB LANGWALDT // GREGER LINDER // ADAM GELWENHAGEN // IOHAN SCHULTZ // ANNO 1700 DEN 7 M., a z drugiej: VOL[L]TAETER // I.M. // S.S. // H.N. // B.P. // M.D. Dzięki tej inskrypcji poznać można nazwiska czterech starszych kościoła ewangelickiego. Jakob Langwalt (w źródłach archiwalnych Langewaldt) był piekarzem,

obywatelem miasta od 1694 r. Greger Linder to prawdopodobnie wzmiankowany w katastrze tczewskim, jako właściciel domu nr 131, Greger Lindner junior, syn Gregera Lindnera seniora i jego żony Zuzanny z domu Willm. Adam Gelwenhagen, właściwie Glewenhagen, obywatel Tczewa od 1681 r., zmarły w 1701 r., wg katastru był właścicielem domów nr 23, 24, 58, 59 i 140. Johann Schulz (Schultz), obywatel tczewski od 1671 r., był właścicielem domu nr 36. Natomiast dobroczyńcy kościoła (*Wohltäter*, określani w inskrypcji jako VOLTAETER) zachowali pełną anonimowość, pozwalając jedynie na umieszczenie inicjałów imion i nazwisk.

Ks. Mettenmeyer przejął parafię w 1838 r., gdy kościół farny zawalał się, wskutek czego nabożeństwa przez jedenaście lat, to jest od 14 listopada 1830 r. do grudnia 1841 r., odprawiane były w kościele poddominikańskim, który po usunięciu dominikanów i konfiskacie kościoła w 1818 r. oddany został gminie katolickiej. W 1839 r. (lub jak podaje inne źródło – w 1853 r.) zakupiono z funduszy podarowanych przez króla Wilhelma IV gotycki kościół poddominikański, wtedy św. Mikołaja (parafia katolicka sprzedała budowlę ponieważ potrzebne były pieniądze na remont fary). Dzisiejszy kościół św. Stanisława Kostki służył protestantom jako świątynia św. Jerzego do roku 1945.

Szpital św. Jerzego istniał w Tczewie od XIV w., najpierw przy obecnym placu Piłsudskiego, gdzie teraz jest cmentarz ewangelicki, jako szpital w czasie epidemii trądu, a gdy te minęły, jako przytułek dla biedoty, bezdomnych i starców.

W XVI w. został przeniesiony do budynku przy obecnej ul. Mickiewicza 18. Mówią o tym dawne nazwy tej posesji: „Wielki szpital” czy „buda św. Jerzego”. Pod rokiem 1600 zapis własności podaje nazwę „Dom szpitalny”, a 150 lat później – „Biała karczma szpitalna”. Do szpitala w latach 1720–1755 należała też sąsiednia kamienica nr 19. W tym czasie szpitalem był też budynek przy ul. Krótkiej 7, gdzie chorzy znajdowali opiekę od 1661 do 1881 r. W połowie tego okresu zbudowano tu nowy dom. Do szpitala należały też „budy”, czyli skromne budynki przymurzone przy ul. Podmurnej. Zapisy z 1800 r. odnotowały istnienie w Tczewie dwóch szpitali: tego przy ul.

Krótkiej oraz przy ul. Wodnej, ale potwierdzenie tej lokalizacji znajdujemy dopiero w II połowie XIX w., co jednak nie wyklucza realności przypuszczeń, że istniał on wcześniej.

Szpital św. Jerzego mieścił się przy ul. Wodnej na pewno od połowy XIX w. i do jego końca lokalizacja nie uległa zmianie. Obecny budynek powstał w 1911 r., na terenie należącym do szpitala od 1869 r. W okresie międzywojennym szpital św. Jerzego borykał się z trudnościami finansowymi. Były też dość spore problemy z oddaniem w dzierżawę Niemieckiemu Związ-kowi Szkolnemu części pomieszczeń oraz z uchwaleniem nowego statutu. Ze sprawozdania magistratu miasta za rok 1927–1928 wynika, że szpital św. Jerzego działał na podstawie statutu z 1837 r. (wówczas do pierwotnej nazwy dodano przydawkę *Evangelisches*). Od 1931 r. w budynku szpitala otwarto gimnazjum towarzystwa kupców samodzielnych. Po II wojnie światowej mieściła się tutaj szkoła podstawowa, następnie Liceum Medyczne, a od 1 września 1999 r. Zespół Szkół Katolickich.

**Opracował Mirosław Zawadzki**

# Spółdzielnia Mieszkaniowa

**26 sierpnia 1898 r. ówczesny burmistrz miasta Ludwig Dembski (od 1904 r. Eichhart) powołał do życia niezwykle ważne dla rozwijającego się miasta przedsiębiorstwo. Mowa o Urzędniczej Spółdzielni Budowlano-Mieszkaniowej, która od 1976 r. nosi nazwę Spółdzielni Mieszkaniowej w Tczewie. Po 118 latach od powstania wciąż funkcjonuje i służy tysiącom mieszkańców naszego miasta.**

W II połowie XIX w., dzięki połączeniu kolejowemu, a przede wszystkim po oddaniu do użytku mostu przez Wisłę, nastąpił dynamiczny rozwój Tczewa. Liczba mieszkańców szybko uległa potrojeniu z 3800 osób w roku 1850 do prawie 12 tys. w roku 1895. Powstała konieczność zwiększenia ilości domów, aby zapewnić rosnący popyt na mieszkania.

Pierwszym krokiem było powołanie Towarzystwa Osiedli Podmiejskich, które zajęło się budową domków za parkiem, przy ul. Gdańskiej i na Prątnicy. Dodatkowo powołano spółdzielnię mieszkaniową, aby zagwarantować możliwość nabycia mieszkań dla mniej zamożnych osób. 9 września 1898 r. odbyło się pierwsze zgromadzenie członków spółdzielni. Przewodniczącym Rady Nadzorczej na pierwsze 5 lat został burmistrz Dembski. 24 października tego samego roku zakupiono 3 tys. m. kw. terenu przy dzisiejszej ul. Sobieskiego. Zaplanowano tam budowę czterech kamienic, o numerach 5–8, z 27 mieszkaniami, które zostały oddane do użytku 23 kwietnia 1900 r. Dwa

tygodnie po przekazaniu budynków zapada decyzja o zakupie dodatkowych 2400 m. kw. pod budowę pięciu kolejnych domów (numery 12–15). W kolejnym roku zostają one oddane do użytku. Miesięczny czynsz, w zależności od budynku i wielkości mieszkania, wahał się od 13 do 32 marek niemieckich.

Zachęcone sukcesem władze spółdzielni zdecydowały o budowie kolejnych domów w innej części miasta, przy dzisiejszych ulicach Stromej i Paderewskiego. W 1906 r. podjęto decyzję o budowie siedmiu domów z 40 mieszkaniami, jednak wobec bankructwa firmy budowlanej oddano je do użytku dopiero w 1910 r. W związku z obniżeniem się dochodów z komornego i zobowiązaniami kredytowymi spółdzielnia skupiła się na pełnym uzbrojeniu nowych budynków w gaz, prąd, wodociąg i kanalizację. Do wybuchu I wojny światowej wybudowano więc łącznie 16 budynków z 97 mieszkaniami.

W wyniku zakończenia I wojny światowej Tczew w 1920 r. powrócił do Polski. Już wcześniej, bo w 1919 r., wielu Niemców wyjechało z miasta, dotyczyło to również znacznej liczby członków spółdzielni. Próbowali oni podjąć uchwałę o jej likwidacji, ale sprzeciwili się temu polscy udziałowcy. Doszło także do zmiany nazwy spółdzielni, do roku 1936 nosiła nazwę Spółdzielnia Budowlana Polskich Urzędników, a w latach 1936–1939 Spółdzielnia Mieszkaniowa Pracowników Państwowych i Samorządowych. Trudna sytuacja gospodarcza II RP i kryzys światowy spowodował stagnację na rynku budowlanym. Spółdzielnia zajmowała się jedynie remontami istniejącej tkanki mieszkaniowej. Sytuacja poprawiła się w latach trzydziestych, kiedy z funduszy własnych wybudowano cztery domy: przy ul. Wybickiego 22, Paderewskiego 15, Sobieskiego 35 i 36. Tuż przed wybuchem wojny w zasobach znajdowało się 20 budynków i 135 mieszkań.

Okupacja oznaczała przejęcie majątku przez administrację niemiecką, która pod koniec wojny zniszczyła większą część dokumentacji. Po zajęciu Tczewa przez Armię Czerwoną w kwietniu 1945 r. zebrali się pozostali przy życiu polscy członkowie spółdzielni. Po uzupełnieniu organów zarządu z 1939 r. 15 grudnia 1945 r. dokonano ponownej rejestracji spółdzielni. W związku ze znaczną dewastacją budynków mieszkaniowych w Tczewie,

cały zasób spółdzielni podlegał do 1957 r. wydziałowi kwaterunkowemu Miejskiej Rady Narodowej. Zarząd ograniczał się do napraw istniejących budynków spółdzielczych.

Od 1958 r., już na własny rachunek, rozpoczęto pierwsze powojenne inwestycje. W 1960 r. oddano do użytku budynek przy ul. Sobieskiego 19, a w latach 1961–1964 osiem budynków na nowym osiedlu Czyżykowo. Do końca 1967 r. do spółdzielni – od 1965 r. noszącej nazwę Powiatowej Spółdzielni Mieszkaniowej – należało 1280 członków, a zasób mieszkaniowy wynosił 682 mieszkania. Powstają również budynki spółdzielcze w Pelplinie oraz Gniewie. Od roku 1970 rozpoczyna się kolejna wielka inwestycja – budowa osiedla Śródmieście II, powstającego naprzeciw dworca kolejowego. W odróżnieniu od Czyżykowa, gdzie powstawały tzw. punktowce, na nowym osiedlu stawiano kilkukondygnacyjne bloki wieloklatkowe. W roku 1972 zasób spółdzielni wynosił 69 budynków mieszkalnych oraz budynki usługowe, w tym Osiedlowy Dom Kultury na Czyżykowie, którego działalność jest finansowana przez spółdzielnię. Od 1974 r. siedziba spółdzielni znajduje się w obecnym miejscu, w budynku przy al. Zwycięstwa 6.

Powoli kończyła się inwestycja na osiedlu Śródmieście II (od 1980 r. os. Garnuszewskiego), gdzie wybudowano bloki przy ul. Niepodległości, al. Zwycięstwa, ul. Jedności Narodu i Saperskiej. Druga połowa lat 70. to podjęcie największego zadania w dziejach tczewskiej spółdzielni – budowy osiedla Suchostrzygi. Przystępowała ona do tej inwestycji z nową nazwą. W związku z likwidacją powiatów otrzymała ona swoją aktualną nazwę Spółdzielnia Mieszkaniowa w Tczewie. W 1976 r. oddano pierwszy budynek na os. Suchostrzygi I, przy ówczesnej ul. Rutkowskiego 43–45. Do roku 1980 oddano do użytku bloki przy obecnej ul. Armii Krajowej 51–57, Wł. Jagiełły 1–4 oraz 6 i ul. Akacyjowej 1–3, 7. W tym samym okresie rozpoczęto budowę osiedla Witosa w Gniewie i budynków przy ul. Dworcowej w Pelplinie. Lata osiemdziesiąte to przede wszystkim dalsza zabudowa Suchostrzyg oraz realizacja nowej inwestycji – budowy osiedla Suchostrzygi II. Powstają budynki przy ulicach Akacyjowej, Brzozowej, Jodłowej i Jaworowej oraz nieco później Kasztanowej, Jarzębinowej.

Po zmianach ustrojowych spadła liczba oddawanych do użytku budynków. Wiązało się to zarówno z zabudową istniejących terenów spółdzielczych, jak i zmianami ekonomicznymi. W latach 90. ukończona zostaje zabudowa osiedla Suchotrzygi II (ul. Topolowa), jak i podjęte są ostatnie prace na Suchostrzygach I i osiedlu Garnuszeńskiego, gdzie pomiędzy blokami przy ul. Jedności Narodu 28–32 powstają tzw. plomby. W 1997 r. zostaje oddany do użytku budynek mieszkalny przy ul. Paderewskiego 15a, tym samym po blisko stu latach spółdzielnia powraca na jeden z pierwszych terenów, jakie zasiedliła. Inwestycje mieszkaniowe naszej spółdzielni zakończyła budowa w 2007 r. bloku mieszkalnego przy ul. Topolowej, kończąc po czterdziestu latach inwestycje zapoczątkowane na największym tczewskim osiedlu Suchotrzygi.

**Opracowała Jadwiga Koc-Kullas**  
**(na podstawie informacji z kroniki SM)**

# Szubienica

**Zapewne niewielu mieszkańców ul. Piaskowej zdaje sobie sprawę z faktu, że jeszcze dwieście lat temu w tej okolicy znajdowała się miejska szubienica z cmentarzem skazańców. Przed wojną wykopano tam nawet szkielet wisielca.**

Jak podaje Roman Landowski w książce „Tczew w czasie i przestrzeni”, tczewska szubienica powstała w miejscu dzisiejszej ul. Piaskowej w XVII w. Konstrukcja była otoczona murem, który okalał także cmentarz wisielców. Miejskie kroniki odnotowały nazwiska dwóch tczewskich katów – Grzegorza Straussa (1677 r.) i Bartłomieja Rihna (1706 r.).

Szubienice najczęściej budowano na wzniesieniach, przy rozstajach dróg, w pobliżu murów i głównych bram miasta. *„Zdarzało się, że były to klasyczne, znane z westernów, drewniane szubienice kolankowe, przypominające trzepak szubienice widłowe czy składający się z trzech słupów trójnogi zwierz – pisze Agnieszka Krzemińska w opublikowanym w tygodniu „Polityka” artykule „Wychowanie przez wieszanie”. – Im większe było miasto, tym solidniejsze wznoszono konstrukcje, na których zawisnąć mogło jednocześnie kilkadziesiąt osób. Od późnego średniowiecza wiele murowanych szubienic miało kształt cylindrycznej, czworokątnej lub trójkątnej wieży wysokości od 2 do 4 metrów i średnicy kilku metrów. Na jej szczycie wznosiły się słupy. Na opierających się o nie belkach wieszano skazańców.”*



Tczewską szubienicę rozebrano w 1802 r., a cegły z podwyższenia, na którym stała, oraz z muru cmentarza zbudowano aptekę „Pod Złotym Lwem” przy ul. Mickiewicza. Dowodem na istnienie przy ul. Piaskowej szubienicy wraz z cmentarzem wisielców było odkrycie z czerwca 1927 r., o którym informowała „Gazeta Sępoleńska”. Na terenie fabryki tektury i papy Maksymiliana Droste znaleziono przy kopaniu fundamentów, na niewielkiej głębokości, ludzkie szczątki. Szkielet kobiety był złożony w ziemi twarzą ku dołowi: *„O ile nie zachodzi jakaś zbrodnia, czego dziś nie podobno stwierdzić, istnieje jeszcze możliwość, że szkielet pochodzi od osoby zmarłej na cholerę lub jakąś inną zarazę, i że w miejscu, gdzie go znaleziono, był tzw. cmentarz choleryczny”* – podała gazeta, choć raczej niezgodnie z prawdą.

Pochowana w tak nietypowy sposób kobieta była najprawdopodobniej ofiarą miejskiego kata. Pochówek twarzą do ziemi miał na celu poniżenie nieboszczyka i okazanie mu braku szacunku. W ten sposób piętnowano jego niegodne czyny. Niewykluczone więc, że ponad 80 lat temu robotnicy dokopali się do resztek przyszubienicznej nekropolii.

**Opracowali Gabriela Burclaw i Przemysław Zieliński**

# Tajemnice Parku Miejskiego

**Krzyżacki tunel, kamienie graniczne i bloki z mostu wiślanego to tylko niektóre niespodzianki, jakie można zobaczyć w zielonym sercu Tczewa.**

Na Tczewie kończy się wysoki brzeg dolnej Wisły. Jeszcze w granicach miasta zaczynają się Żuławy Gdańskie (Steblewskie), które ciągną się aż do granic województwa. Dzisiaj na ostatnim wzniesieniu leży tczewska starówka, ale jeszcze w połowie XIX w. – mniej więcej w miejscu obecnych przyczółków mostów przez Wisłę – było nim wzgórze z grodem Zamajte, prawdopodobnie o pruskiej proweniencji. Zostało ono zniwelowane podczas budowy dworca kolejowego i pierwszego mostu. Miasto otaczały parowy, czyli charakterystyczne wąwozy prowadzące w kierunku rzeki. W jednym z nich grupa pasjonatów zieleni, z przedsiębiorcą Willym Muscatem na czele, postanowiła w końcówce XIX w. stworzyć pierwszy miejski park.

Urodzony w 1846 r. Muscate, weteran wojny prusko – francuskiej, był właścicielem świetnie prosperującej fabryki maszyn rolniczych. Jedną z jego pasji była przyroda. Przedsiębiorca należał do Gdańskiego Towarzystwa Przyrodniczego. To właśnie on wyszedł z propozycją założenia parku. Zaczął skromnie, bo od szkółki roślin stworzonej w przydomowym ogrodzie. Wkrótce okazało się, że w Tczewie podobnych jemu pasjonatów jest więcej. W 1889 r. powstaje Towarzystwo Upiększania, które na koszt i ryzyko swoich członków zadrzewia miejskie ulice. Muscate studiuje też założenia

najpiękniejszych parków Europy. Wybiera się do Anglii i Francji, aby poznać najnowsze trendy.

*„Te wszystkie obserwacje, poczynione w czasie podróży, pozwoliły przekonać tczewskiego przemysłowca do tego, że miasto oczekuje od niego pewnej rekompensaty – pisał w książce „Tczew w czasie i przestrzeni” Roman Landowski. – Fabryka maszyn nieco nadszarpnęła dawną ciszę, a jej kominy dymiły. Wprawdzie były to tylko dwa kominy, ale dym walił z nich gęsto i codziennie. Przemysłowiec był uczciwy, stwierdził po prostu, że zieleń winna równoważyć to, co przemysł zniszczył: oddać miastu ciszę i czyste powietrze.”*

Tczewscy radni, mimo iż Muscate pełnił też funkcję zastępcy burmistrza miasta, nie byli przychylni planom powstania parku. Członkowie Towarzystwa Upiększania postanowili postawić władze przed faktem dokonanym. Od rodziny Petersów wydzierżawiono 5 hektarów położonej pod miastem w szerokim parowie ziemi i w 1898 r. rozpoczęły się pierwsze prace przy zakładaniu parku. Przy oraniu ziemi niezbędne okazały się produkowane przez Muscatego parowe pługi. Podczas prac natrafiono na ślady podziemnego ganku. Tajne przejście było zniszczone i zawalone w kilku miejscach. Tajemniczy korytarz prowadził w kierunku miasta, więc wysunięto hipotezę, iż było to rezerwowe wyjście na wypadek oblężenia. Pojawiły się sugestie, że geneza tunelu sięga czasów rządów krzyżackich. Odkrycia jednak nie zbadało.

W 1900 r. zagospodarowano następne 1,5 hektara. Niestety twórcom parku zaczęło brakować pieniędzy. Nie mogąc liczyć na finansowe wsparcie władz miasta, postanowiono wyciągnąć ręce po pieniądze... cesarza. W 1901 r., z okazji ćwiczeń pruskiego garnizonu, w Tczewie gościł Wilhelm II. Towarzystwo wystąpiło do monarchy z prośbą o przyjęcie propozycji nazwania jego imieniem nowo utworzonego parku miejskiego. Równocześnie poproszono o wsparcie finansowe dalszych prac. Cesarz, owszem, zgodę na patronat nad parkiem wydał, ale odmówił przekazania dotacji. Jakby na przekór skąpstwu cesarza jeden z członków Towarzystwa Upiększania, dr Hermann Scheffler, umierając w 1910 r. zapisał w testamencie środki na dalszy rozwój parku. Pozwoliły one na zakup kolejnych 10 hektarów ziemi.

Muscate zmarł w 1915 r. Już wówczas myślano o upamiętnieniu filantropa tablicą pamiątkową na głazie narzutowym, stojącym w parku. Przeszkodziły w tym zawirowania I wojny światowej i lat późniejszych. Na realizację tych planów czekano sto lat. Tablicę odsłonięto w czerwcu 2015 r. Znalazł się na niej napis nawiązujący do zaplanowanego przed wiekiem: „Pamięci radcy Willego Muscatego, twórcy i krzewiciela tczewskiego parku”.

Tczewski park to nie tylko miejsce spacerów, ale także chronionych ujęć wody, która trafia do kranów mieszkańców. Wody, dodajmy, o parametrach na tyle świetnych, że można by ją butelkować i sprzedawać w sklepach. W parku znajdują się też najstarsze elementy sieci wodociągowej, zaprojektowanej i wykonanej przez firmę „David Grove” z Berlina. Oprócz budynków z pompami i filtrami, tuż obok parku, stoi też ponad 40-metrowa wieża ciśnień. Rozwijające się dynamicznie miasto, którego mieszkańcy dotąd korzystali z ulicznych studni, pod koniec XIX w. wymagało całkowitej przebudowy i unowocześnienia systemu pozyskiwania wody. Berlińskie przedsiębiorstwo zbudowało sieć, głębinowe ujęcia wody w parku, stację pomp, stację filtrów oraz wspomnianą wieżę, za co zainkasowało ponad 370 tys. marek. Przyjęto, że w ciągu doby jeden mieszkaniec Tczewa zużyje 70 litrów wody. Do dzisiaj, na wielu ulicach, można natrafić na pokrywy kanalizacyjne z wytłoczoną nazwą wykonawcy inwestycji.

Projekt firmy z Berlina weryfikował prof. Ewald Genzmer (1856–1932). W latach 1904–1911 był on profesorem Królewskiej Wyższej Szkoły Technicznej w Gdańsku, czyli poprzedniczki politechniki. Pochodził z miejscowości Bogusze pod Kwidzynem. Pracując w Gdańsku mieszkał w wciąż istniejącej willei przy ul. Wosia Budzysza 4 w Sopocie. Prof. Genzmer, obok planów zabudowy, projektował plany kanalizacji miejskich dla wielu miast w kraju i zagranicą, w tym dla Tczewa, Wejherowa, Kwidzyna, Chełmna, Petersburga i Halle. W Tczewie Genzmer współpracował z wieloletnim burmistrzem miasta, Ludwikiem Oskarem Dembskim (od 1904 r. po zmianie nazwiska – Eichhartem). Co ciekawe, obaj panowie byli masonami. Genzmer, dokonując ekspertyzy projektu przygotowanego przez firmę „David Grove”, ze względów ekonomiczno-eksploatacyjnych nie widział

bezwzględnej konieczności zastosowania dwóch przepompowni ścieków. Wniósł też o zmianę lokalizacji wybranych ciągów kanalizacyjnych. Uwagi nie podobały się berlińskiej firmie, której szefostwo wyrażało w pismach do tczewskiego magistratu zaniepokojenie, związane z możliwością niedotrzymania umownego terminu dostarczenia dokumentacji wykonawczej. W archiwach zachował się także list profesora do burmistrza, w którym Genzmer taktownie przypomina o honorarium autorskim w wysokości 1000 marek.

Najbardziej brutalna z nowożytnych wojen odcisnęła swoje piętno także na parkowym drzewostanie. O ile jego twórcom zależało na różnorodności zasadzonych w parku drzew i krzewów, co też zostało wprowadzone w życie, o tyle dzisiejsza flora prezentuje się znacznie bardziej uboga, niż przed wojną. Trudno dzisiaj wskazać winnego takiego stanu rzeczy, ale faktem jest, że w lutym 1945 r. dominującym dźwiękiem dobiegającym z parku był odgłos pił i toporów.

Niemcy byli przekonani, że Armia Czerwona rozpocznie szturm na miasto od strony Wisły, jednak wkrótce okazało się, że Sowieci będą próbowali zająć Tczew podchodząc od południa. W okolicach ul. Bałdowskiej i 30 Stycznia zbudowano zapory przeciwczołgowe, pola minowe oraz barykady ze stanowiskami z karabinami maszynowymi i działami przeciwpancernymi. Na ulicach ustawiono też przeszkody ze ściętych drzew. W tym celu wycięto nawet połowę parkowego drzewostanu! Jedna z potężnych daglezi do dzisiaj stoi z nadciętym do połowy pniem. Miała być powalona, ale dlaczego stało się inaczej, nie wiadomo.

Kilka lat temu forumowicze Dawnego Tczewa dokonali zaskakującego odkrycia na terenie parkowego placu zabaw. Jak się okazało, istniejące w tym miejscu schody, wykonane z ośmiu słupów, wyznaczających przebieg granicy między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem. Nadal widać na nich wyraźnie litery „FD” (od Freie Stadt Danzig) oraz „P” (jak Polska).

Granica od punktu między Bożym Polem a Postołowem, przez punkt Gołębiewko – Małe Gołębiewko, między Dalwinem a Sobowidzem, między Miłobądzem a Kolnikiem, przez Tczewskie Łąki do Wisły liczyła ponad 30

km. Ustawiono na niej 170 słupów. Tak więc budulca na parkowe schodki w okolicy było wiele.

Zaskakujące jest także pochodzenie kamiennych bloków, z których częściowo wykonano ogrodzenie parku. Mamy bowiem do czynienia z wykorzystaniem materiałów najprawdopodobniej powstałych po wysadzeniu przez polskie wojska 1 września 1939 r. mostów przez Wisłę. Przy wyjściu z parku w kierunku ul. 30 Stycznia blok ma wykute zagłębienie w kształcie prostokąta, prawdopodobnie do instalowania barierki. Pytanie, czy jest to fragment filara odbudowanego przez Niemców w 1939 r.? Wydaje się że tak, bo bloki z oryginalnego XIX-wiecznego filara mają zupełnie inną strukturę. Może to materiał z oryginalnego mostu kolejowego? Całkiem możliwe, ponieważ tłumaczyłoby dlaczego różni się od pozostałości dawnego portalu zachodniego. Kolejne bloki odnaleziono w centrum Tczewa, a dokładniej na murku otaczającym farę.

Tczewianie dużym sentymentem darzą parkową fontannę z charakterystycznymi dwiema żabkami. Gdy kilka lat temu pojawiły się nieśmiałe pomysły urzędników dotyczące likwidacji żabek, oburzeni mieszkańcy zaczęli skutecznie protestować. Trochę starsi tczewianie pamiętają, że jeszcze w latach 70. XX w. przy fontannie stał domek dla łabędzi, na stałe zamieszkiwany przez parę tych ptaków. Gdy z nieznanych powodów łabędzie znikły, po mieście zaczęły krążyć opowieści o zamordowaniu ptaków i próbie ich sprzedaży z obciętymi głowami na miejskim targowisku w roli... dużych gęsi.

O ile powyższą historię należy uznać za miejską legendę, o tyle w 1974 r. rzeczywiście doszło do zabicia jednego z ptaków. Historię opisał Wiesław Kot w książce „PRL – jak cudnie się żyło!”, przytaczając artykuł z magazynu „Kulisy”: „*W miejskim parku w Tczewie bestialsko zamordowany został łabędź. Ptaka znaleziono martwego, z uciętą głową. Mordercą okazał się 17-letni Jerzy S., który przechodził właśnie przez park wracając z udanego włamania do kiosku Ruchu. Młody człowiek w ciągu ostatniego miesiąca: uciekł ze schroniska dla nieletnich w Oliwie, ukradł we Wrzeszczu syrenę, pojechał nią do Tczewa, gdzie porzucił wóz, zabierając zeń apteczkę i akcesoria. Następnie włamał się do fiata, którym pojechał do Bydgoszczy, po drodze*

*zderzył się z ciężarówką, co nie przeszkodziło mu w kontynuowaniu podróży. Kiedy zaś we fiacie wyczerpał się zapas benzyny, wysiadł zabierając z samochodu magnetofon marki Philips. Po czym – już w Tczewie – włamał się do kiosku Spółdzielni Inwalidów, ukradł papierosy i alkohol, znów skradł syrenę, wpakował się nią do rowu, uciekł z miejsca wypadku, upatrzył sobie inną syrenę, pojechał nią pod kiosk Ruchu, który okradł, włamał się też do sklepu Społem i kiosku gastronomicznego. Na deser zamordował łabędzia.”*

**Przemysław Zieliński**

*(Artykuł ukazał się w magazynie „Nasza Historia”,  
specjalnym dodatku „Dziennika Bałtyckiego”)*

# Targi, jarmarki i handel uliczny na staromiejskim rynku

**Rynek Starego Miasta przez ponad 600 lat był miejscem tczewskich targów i jarmarków. Od średniowiecza aż do lat 90. XX wieku sprzedaż pod chmurką była popularną alternatywą dla tradycyjnego handlu, a czasami jedynym sposobem na zdobycie poszukiwanych towarów.**

Od XV w. tczewskie jarmarki odbywały się w niedzielę, a największy z nich, podobnie jak w innych pomorskich miastach, 6 października w dniu św. Burcharda. Z kolei w sobotę odbywały się cotygodniowe targi.

Handlowano przede wszystkim na rynku, gdzie rozstawiano ławy rzemieślnicze, stragany i kramy. Ławy rzemieślnicze usytuowane były w pobliżu ratusza oraz w bocznych uliczkach, co zdają się potwierdzać ich nazwy. Kramy sprzedających ryby stały wzdłuż ul. Rybackiej, natomiast ul. Garncarska może mieć swoje źródło w garncarzach, którzy w dni handlowe wystawiali tam na sprzedaż swoje wyroby.

Innymi grupami zajmującymi się handlem w mieście byli kramarze, którzy zbywali artykuły codziennego użytku oraz straganiarze, sprzedający głównie produkty spożywcze. W roku 1570 w Tczewie odnotowano 2 kramarzy i 7 straganiarzy z 10 straganami, którzy handlowali na staromiejskim rynku i przyległych ulicach.



Dużo informacji na temat miejskiego handlu zawiera zbiór praw lokalnych, czyli wilkierz z 1599 r. Wprowadzał on szereg nakazów i zakazów, które sprzedający i kupujący musieli respektować. Zabraniał obcym handlu na rynku, a nad realizacją tego zakazu czuwali targowi, którzy kontrolowali także ceny i jakość towarów (np. świeżość ryb), czuwali nad przestrzeganiem zasad monopolu, godzin sprzedaży określonych towarów oraz dbali o to, żeby w mieście nie sprzedawano np. obcej wódki.

W drugiej połowie XVI w. odbywało się w Tczewie pięć jarmarków: w poniedziałki po Święcie Trzech Króli, po niedzieli zapustnej, po Bożym Ciele, po obchodzie wyniesienia Krzyża Świętego oraz po św. Marcinie (11 listopada). Jarmarki jesienno-zimowe trwały 2 dni, a pozostałe 3 dni. Rozwijały się również cotygodniowe targi, które były wówczas główną formą wymiany lokalnej. Ich podstawowym celem było utrzymanie i rozwój więzi ekonomicznej Tczewa z jego wiejskim zapleczem. Duże znaczenie miał przewóz wiślany, dzięki czemu targi miały szerszy zasięg, ponieważ sięgały również chłopów żuławskich, którzy przywozili na tczewski rynek zboże i inne produkty. Jarmarki w XVII w. odbywały się w niedzielę po święcie Podwyższenia Krzyża Świętego, czyli 14 września, oraz Świętomarciński 11 listopada. Ten termin mógł zostać przesunięty jedynie z ważnych powodów. Na tczewski jarmark przybywali producenci z najbliższego zaplecza miasta, można było spotkać również rzemieślników malborskich, starogardzkich, gniewskich oraz elbląskich. Na jarmarkach zyskiwali nie tylko mieszkańcy, ale także kasa miejska, która pobierała opłaty za różne usługi m. in. wynajmowanie bud i straganów, ważenie towarów, postojowe.

Na przełomie XVIII i XIX w. pojawiały się problemy ze sprzedażą wyrobów rzemieślniczych na jarmarkach miejskich, gdyż poważną konkurencją stały się jarmarki wiejskie i rzemiosło. W tym okresie, tak jak i poprzednio, głównym miejscem wymiany towarowej był rynek. Na początku XX w. na staromiejskim rynku dwa razy w tygodniu odbywały się targi artykułów żywnościowych i wyrobów rzemieślniczych. W okresie międzywojennym targi cieszyły się dużym zainteresowaniem, frekwencja sprzedających na rynku w latach 1935–1938 kształtowała się od 24 tys. do 31 tys. rocznie. W czasach

PRL na ówczesnym pl. Wolności organizowano sezonowe kiermasze, targi i jarmarki. W 1964 r. targowisko miejskie zostało przeniesione na ul. Targową, a w 1988 r. pierwsi prywatni handlowcy lokowali się na „Manhattanie” na osiedlu Suchostrzygi. Ostatecznie w latach 90. XX wieku handel uliczny na rynku zamiera.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# „Tczew” na morzach i oceanach

**Nazwa naszego miasta widniała na dwóch statkach morskich. W ich historii nie brakowało pasjonujących momentów.**

Masowiec „Tczew” pierwotnie nazywał się „Jung” i został zbudowany w 1924 r. w holenderskiej stoczni N.V. Scheepswerften v/h H. Bodewes Millingen. Jego wyporność wynosiła 760 BRT, a nośność dwóch ładowni 1020 ton. Napęd stanowił silnik parowy z jedną maszyną tłokową o mocy 600 KM, co pozwalało na rozwinięcie prędkości 10 węzłów. Była to stosunkowo niewielka jednostka (długość – 55,3 m, szerokość – 8,6 m, zanurzenie – 3,8 m) obsługiwana przez 20-osobową załogę. 8 listopada 1927 r. został zakupiony przez państwowego armatora Żeglugę Polską i 7 grudnia tego roku przypłynął do swojego nowego portu macierzystego w Gdyni. Początkowo „Tczew” pływał w systemie trampingowym w żegludze bliskiego zasięgu

2 lutego 1929 r. „Tczew” z ładunkiem 850 ton węgla przeznaczonego dla Bandholm w Danii opuścił port gdański. Podróż, mimo 20-stopniowego mrozu, początkowo odbywała się bez przeszkód. Dopiero w okolicach wyspy Bornholm kry zaczęły tworzyć coraz większą barierę i „Tczew” w końcu zatrzymał się na grubej tafli lodu. Korzystając z pomocy większych statków, które torowały drogę przez morze, „Tczew” wreszcie poruszył się do przodu, jednak, tak jak inni towarzysze podróży, musiał

zatrzymać się na noc. Rankiem, mimo wytężonego wysiłku maszyn, przed zapadnięciem ciemności udało się przebyć jedynie 5 mil. Tempo posuwania się do przodu spadło wobec coraz grubszej, 25-centymetrowej kry i 30-stopniowego mrozu. Ostatecznie, 6 lutego, w pobliżu wyspy Arkona statki wraz z „Tczewem” ugrzęzły w lodach bez możliwości ruchu. Poprzez radio nadano sygnał SOS i 8 lutego na pomoc przypłynął znany nam z kart historii pancernik „Schleswig – Hollstein”. Potężna masa stali z łatwością skruszyła lód i uwolniła statki, które sformowały kolumnę i w torze wodnym oczyszczonym przez okręt niemiecki popłynęły do portu w Kilonii. Niestety, nie udało się utrzymać odpowiedniej odległości i „Tczew” po raz kolejny został uwięziony w krze zaledwie 10 mil od portu. Co więcej, ogromna tafla lodu zaczęła dryfować w stronę lądu unosząc statek ze sobą. Na szczęście dla „Tczewa” kra zatrzymała się na brzegu, od którego statek był oddalony zaledwie o 4,5 mili. Zapadła decyzja o wysłaniu dwóch ochotników, którzy po kilkugodzinnym marszu na grubym lodzie, w trzęskającym mrozie i śnieżycy, dotarli do miasteczka Karby. Tam poinformowali o swoim położeniu lokalne władze oraz wysłali depeszę do Żeglugi Polskiej. Po jakimś czasie do miasteczka trafiło dwóch kolejnych marynarzy, którzy zdziwionym kolegom powiedzieli o złamaniu steru przez napór lodu. Następnego dnia wszyscy powrócili na statek z prowiantem. Przekazali kapitanowi informacje o niemożności pomocy ze strony pancerników oraz holowników, ale także o decyzji niemieckich władz odnośnie zaopatrzenia załogi uwięzionego statku z powietrza. Wzmagająca się śnieżycą uniemożliwiła przez kilka dni zrzuty zaopatrzenia oraz wyprawy do miasteczka. Po kilku dniach pojawił się jednak samolot, który dostarczył nie tylko prowiant, ale również listy od rodzin. Wdzięczni marynarze ułożyli na lodzie napis z bryłek węgla „*Besten Danken*”. Od tego czasu, wobec braku radia, był to ich jedyny sposób na komunikację z pilotami. Czasami dochodziło do humorystycznych wydarzeń. W ramach podziękowań za kolejny zrzut nasi marynarze ułożyli z węgla napis „Brakuje tylko kilku dziewcząt”. Napis ten, jako dowód dobrego humoru załogi, pojawił się w artykule „Expressu Porannego”. Załoga dowiedziała się o tym 21 lutego, kiedy do

tradycyjnych zrzutów żywności dołączono polskie gazety. Okazało się, że polska prasa żywo komentuje los „Tczewa”, a marynarze stali się w kraju bohaterami. Kilka dni potem spotkała ich niezwykle wizyta, kiedy specjalny samolot wyposażony w płozy wylądował na lodzie w pobliżu statku. Załoga „Tczewa” miała niezwykle okazję do wysłania listów do rodzin martwiących się o ich los. 8 marca pogoda zmieniła się na sztormową i ogromna tafla lodu z uwięzionym pośrodku niej statkiem zaczęła dryfować w stronę morza. Dodatkowo utrzymująca się gęsta mgła sprawiła, że załoga nie do końca orientowała się w położeniu uwięzionego statku. Po pięciu dniach dryfowania odnalazł go niemiecki samolot, który zrzucił żywność. Dopiero 15 marca pancernik „Elsass” odnalazł polski statek i łamiąc krę uwolnił po 6 tygodniach lodowej niewoli. Po 12 godzinach „Tczew” z uszkodzonym sterem dotarł do portu w Kilonii. Za uratowanie statku kapitan von Buellow otrzymał z rąk polskiego konsula w Hamburgu dar polskiego rządu – złotą papierośnicę. Po niezbędnych naprawach, od kwietnia 1930 r., „Tczew” wraz z „Chorzowem” obsługiwał pierwszą polską linię regularną Gdynia/Gdańsk–Lipawa–Ryga–Tallin–Helsinki. Później pływał w trampingu lub na innych liniach regularnych w żegludze małej, m. in. do Hamburga i zachodniej Finlandii.

5 grudnia 1938 r. o godz. 20.15 w porcie gdańskim miał miejsce tragiczny wypadek. Po załadowaniu do ładowni „Tczewa” drobnicy rozpoczęto ładowanie blachy. Po jego zakończeniu statek miał udać się do Gdyni po dodatkowy towar i w pełni załadowany skierować się do Finlandii. Podczas załadunku blachy nastąpił nieznaczny przechył statku na jedną stronę. Oficer chciał wyrównać jego położenie pompując wodę do zbiorników balastowych. Statek się wyprostował, ale nagle gwałtownie przechylił w stronę przeciwną. Załoga pracująca na pokładzie rzuciła się do ucieczki. Statek przewracając się nadbudówką i masztami zawadził o dźwigi portowe i je przewrócił. We wnętrzu statku zostali uwięzieni i utonęli asystent maszynowy Heliński i palacz Stolpa. Statek zatonął w ciągu kilku minut. Zwłoki Helińskiego wydobyli nurkowie, natomiast do Stolpa udało się dotrzeć dopiero po podniesieniu „Tczewa” z dna i wypompowaniu wody

z maszynowni. Sama operacja wydobywania statku nie była łatwa. Specjalnie z Hamburga przybyły dwa lichtingi ratownicze „Hiew” i „Griep”, które przy pomocy lin wyprostowały ledwo wystający z wody kadłub. Następnie dźwig portowy uniósł go nieco pozwalając na rozpoczęcie wypompowywania wody. Kiedy usunięto znaczną jej ilość holownik „Albert Forster” odholował „Tczew” do basenu w porcie wolnocłowym na dalsze odpompowanie. Tak wypadek opisał wnuk jednej z ofiar: *„Dziwna to historia. Zły załadunek, złe balastowanie no i fakt, że mój dziadek mimo że zatrudniony na tej jednostce, nie miał tego dnia wachty. Pojechał spotkać się z kolegą, chyba właśnie z palaczem, który też zginął. A z tego co opowiadała babcia, to mieli się widzieć (dziadek i jego kolega) następnego dnia. I nie pomogły argumenty babci, żeby nie jechał. Coś go ciągnęło tamtego dnia w kierunku statku. Miałem wrażenie, że statek był ładowany raczej w głębi portu. A okazuje się, że w pobliżu miejsca katastrofy bywam bardzo często i nie kojarzyłem go ze śmiercią mojego przodka.”*

Wypadkiem zajęła się Izba Morska, która uznała, że jego przyczyną były błędne decyzje kapitana Antoniego Wąsowicza i pozbawiła go prawa do dowodzenia statkami. Po wypadku pracował on jako pilot portowy, ponieważ służba ta nie była objęta nałożonym na niego zakazem. Po podniesieniu z dna portu 27 grudnia 1938 r. statek został odholowany do stoczni w Gdyni, gdzie miał przejść niezbędne naprawy. Nie udało się go wyremontować do wybuchu wojny i we wrześniu 1939 r. został celowo zatopiony przy wejściu do gdyńskiego portu, skutecznie je blokując. Niemcy podnieśli statek i po wyremontowaniu wcielili go do swojej floty, zmieniając nazwę na jej niemiecki odpowiednik, czyli „Dirschau”. Statek używany w żegludze bałtyckiej, a zatonął na minie postawionej przez radziecki okręt podwodny „Lembit”. Koniec „Tczewa” nastąpił 2 grudnia 1942 r., na północny-zachód od Lipawy, kiedy statek płynął z Gdańska do Rygi.

Drugi statek ochrzczony jako „Tczew” miał o wiele więcej szczęścia. Zbudowany dla Polskiej Żeglugi Morskiej w 1958 r. w Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego parowiec o wyporności 3200 BRT (długość 94,81 m, szerokość 13,54 m, zanurzenie 5,51 m) posiadał napęd o mocy 1950 KM. Mógł

rozwinąć prędkość maksymalną 12 węzłów. „Tczew” na stałe wpisał się do historii polskiej żeglugi. Jako pierwszy statek (nie tylko z Polski, ale też z krajów bloku wschodniego) przetarł szlak do uzyskujących niepodległość państw Afryki Zachodniej. Dowodzony przez kpt. żeglugi wielkiej Witolda Górskiego „Tczew” wypłynął ze Szczecina z ładunkiem cementu, kierując się do portów niepodległej Gwinei i Ghany. Kraje te, świeżo wyzwolone z kolonializmu, dzięki swoim bogactwom naturalnym kupowały duże ilości towarów na całym świecie. 28 grudnia 1958 r. „Tczew” przyплыł do Ghany. Na miejscu okazało się, że nadbrzeże portu nadal należało jeszcze do brytyjskiej kompani kolonialnej The West Africa Lines Conference, znanej jako WALCON. Z przyczyn politycznych odmówiła ona rozładunku „Tczewa”. Rejs nie zakończył się niepowodzeniem tylko dzięki pomocy przedstawiciela rządu... ZSRR. Powiadomiony o problemach handlowej misji Polaków, za pośrednictwem rządu Gwinei, wymógł na Brytyjczykach rozładunek. Jednak pojawił się kolejny kłopot – brak infrastruktury portowej. Rozładunek musiał być prowadzony z redy za pośrednictwem łodzi, co spowodowało długotrwały postój, jak i duże straty w ładunku. Polski statek wrócił z ładunkiem rudy i nasion oleistych. Wyprawa „Tczewa” zapoczątkowała bardzo dochodowy szlak zachodnioafrykański. „Tczew” dokonał także innego historycznego wyczynu – podczas pierwszego rejsu opłynął Afrykę i jako pierwszy polski statek zawinął do portów Plandju i Palembangu w Indonezji z ładunkiem broni i amunicji. Po powrocie do Polski „Tczew” pływał także w tzw. moście węglowym ze Szczecina do Danii. W 1976 r. statek został sprzedany armatorowi greckiemu i przemianowany na „EFI”. W 1982 r. został zaareztowany za długi właściciela we włoskim porcie Augusta. Porzucony przez załogę zatonął przy nabrzeżu. W lutym 1984 r. wrak został zezłomowany.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Towarzystwo „Żegluga Wisła-Bałtyk”

**Funkcjonowanie portu rzeczno-morskiego w Tczewie było możliwe dzięki powołaniu spółki Towarzystwo „Żegluga Wisła-Bałtyk”. Mimo że działała tylko dwa lata, w jej krótką historię wpisała się największa katastrofa morska naszej floty handlowej na Bałtyku w okresie międzywojennym.**

Przedsiębiorstwo armatorskie z siedzibą w Tczewie zostało zarejestrowane 21 czerwca 1926 r. Jego udziałowcami były kopalnie z Zagłębia Dąbrowskiego (polski Górny Śląsk), które wobec wojny celnej z Niemcami poszukiwały nowych rynków zbytu. Duże zapotrzebowanie na polski węgiel wyraziły kraje skandynawskie, a do jego transportu potrzebne były jednostki mogące transportować go przez morze. W tym celu spółka w listopadzie 1926 r. zakupiła sześć holowników („Sambor”, „Rybak”, „Tyran”, „Krakus”, „Orkan”, „Górnik”) i 14 pełnomorskich barek, tzw. lichtungów, mogących przewozić 400 ton węgla. Były one idealnym środkiem transportu na Wiśle, z jej okresowymi wahaniami poziomu wody i zamarzaniem zimą. Początkowe wyniki ekonomiczne spółki były dobre. Węgiel do Tczewa docierał kolejną i po przeładunku na barki płynął do krajów skandynawskich. Sytuacja zaczęła pogarszać się w związku z konkurencją ze strony innych przewoźników (Żegluga Polska oraz Polskarob) oraz przez likwidację infrastruktury na



Wiśle ze strony Wolnego Miasta Gdańska, co uniemożliwiało podróż nocą. Najpoważniej pozycja spółki została zachwiana w wyniku katastrofy i zatonięcia jednego z holowników na Bałtyku.

Pod koniec października z portu w Kopenhadze do Tczewa wyszedł holownik „Górnik” z doczepionymi lichtungami „Bolek” i „Felek”. 1 listopada 1927 r. podczas sztormu kapitan holownika, będąc na wysokości 10 mil morskich na północ od Rozewia, nadał sygnał SOS. Na pomoc wyruszył z gdańskiego portu holownik „Danzig”. Niestety nie odnalazł statku i żadnych rozbitków więc uznawano, że zaginęła cała, dziesięcioosobowa załoga „Górnika”. Przed „Górnikiem” szczęśliwie do Gdyni schronił się inny holownik spółki „Rybak”, ale w wyniku sztormu zerwał się jeden z lichtungów. Po ustaniu sztormu „Rybak” wyruszył na poszukiwanie straconej barki, ale odnalazł jedną należącą... do „Górnika”. Na niej przeżył katastrofę jedyny ocalały z zatopionego holownika Władysław Szczęsnowicz. Trzy dni po katastrofie opisał jej przebieg w Urzędzie Morskim w Gdyni: *„Fale były ogromne lecz wobec małej szybkości statku i należytego sterowania woda w niezbyt wielkiej ilości trafiała na pokład. Na mostku przy sterze stał sternik – Piotr Carstens, któremu czasami nie udawało się utrzymać statku na kursie. W takich momentach fale wdzierały się na pokład z prawej burty, na którą „Górnik” bardzo się pochylał, mam wrażenie, że o przeszło 30 stopni. Ja miałem wachtę do godz. 12.00, a potem po południu zastąpił mnie drugi mechanik Anim Moldenhauer. Około godz. 13.00 przyszedłem do swej kabiny i położyłem się spać w ubraniu. Mniej więcej około godz. 15.30 zauważyłem, że statek parę razy pochylił się więcej niż wpierw. Następnie pochylił się raz, mocno, nabierając prawą burtą dużo wody. Wstałem z koi i czekałem na wyrównanie się statku, lecz następowało to bardzo wolno. Jeszcze statek daleki był od równowagi, gdy uderzyła go druga fala. Woda gwałtownie zaczęła się wdzierać do pomieszczenia, a ja pospieszyłem do wyjścia, zasuwając drzwi z prawej burty, przez które wdzierała się woda. Następnie wybiegłem przez lewe drzwi i ponieważ statek był pochylony o 90 stopni, wskoczyłem na lewą, poziomą już wtedy burtę. Zatrzymałem się na chwilę, zauważywszy tylko palacza Alojzego Fortunę, któremu krzyknąłem: „Ratuj się, rozbieraj się!” Poczem zerwałem*

*część ubrania i rzuciłem się do wody. Starłem się jak najdalej odpłynąć od statku. W odległości ok. 30 metrów obejrzałem się na „Górnika”, który szybko pogrążał się i zatonął bez eksplozji kotła. Wkrótce zauważyłem niedaleko od siebie sternika i drugiego mechanika, obu w pasach ratunkowych, ja zaś uczepiłem się deski. Z lichtugi „Felek” zwieszała się lina z pływającym kołem ratunkowym, na którą wlałem trzymając się liny.” Wobec braku możliwości wskazania winnych tragedii Sąd Powiatowy w Wejherowie umorzył sprawę zatonięcia „Górnika”.*

W wyniku tragedii spółka odnotowała duże straty, co w połączeniu z rozbudową gdyńskiego portu i planami budowy magistrali węglowej doprowadziło do jej likwidacji w 1928 r. Jeden holownik i pięć lichtug sprzedano Polskiej Marynarce Wojennej, pozostałe jednostki trafiły do armatorów zagranicznych.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Wojsko w Tczewie

**Tczew ze względu na swoje położenie był ważnym punktem na strategicznej mapie Pomorza. Podczas licznych wojen prowadzonych na naszych terenach, w mieście często stacjonowały garnizony wojskowe, jak w XVII w., kiedy to król szwedzki Gustaw II Adolf zbudował w pobliżu wielki obóz otoczony szancami. Jednak dopiero w XX w., wraz z budową koszar, wojsko zadomowiło się w Tczewie na dłużej.**

Koszary wojskowe zostały wybudowane z funduszy rządu polskiego w latach 1928–1930. Były to wówczas jedne z najnowocześniejszych wojskowych budynków szkoleniowych w kraju. Jak donosiła „Gazeta Gdańska” z 14 lutego 1932 r.: *„Ze wszystkich jednak wojskowych budynków, wykonanych na terenie D. O. K. VIII, najnowocześniejszy w charakterze, a przytem jak najbardziej dostosowanym do wymagań polskiego żołnierza, jest blok koszarowy o pojemności 22.755 m w Tczewie. Jest to budynek jednopiętrowy o masywnych sklepieniach ceglanych systemu Klejna, z korytarzami i klatkami schodowymi wyłożonymi płytkami terakotowymi, wentylacją ścienną i podłogową, światłem elektrycznym, klozetami, umywalniami itp.. Na pierwszym pięttrze znajduje się świetlica o powierzchni 130 m. W suterrenach umieszczone kuchnie rozporządzają najnowszymi urządzeniami. Obok mieści się też umywalnia mechaniczna do naczyń oraz jadalnie żołnierskie. Oprócz tego wykonana przy tym budynku wartownia o kubaturze 500 m., w tym samym charakterze,*

*w której się znajduje pomieszczenie dla oficera inspekcyjnego oraz izba dla wartowników, umywalnie, klozety oraz cele aresztanckie. Powyższe budynki dają pojęcie o tym, po jakiej linii może w przyszłości postępować polskie budownictwo wojskowe.”*

1 marca 1926 r. wydzielono z 65. Starogardzkiego Pułku Piechoty, jako samodzielną jednostkę wojskową, 2. Batalion Strzelców. 6 czerwca 1930 r. został przeniesiony do Tczewa i umieszczony w koszarach na pobyt stały. Powitanie wojska opisała „Gazeta Gdańska” z 9 marca 1930 r.: „Tczew godnie i uroczyście przygotował się na przyjęcie wkraczającego wojska. Ustawiono bramy powitalne, przybrane zielenią i sztandarami o narodowych barwach. Z okien i balkonów powiewały chorągwie narodowe, na ulicach panował niezwykle ruch i ożywienie. Już od godziny 8.00 tłumy ludności wyległy na ulicę 30 Stycznia, gdzie u wylotu ustawiono pierwszą bramę powitalną, przez którą wkraczał oczekiwany batalion. Pogoda po dniu chmurnym i dżdżystym była nadspodziewanie piękna, ulice zalewały potoki słońca, dodając naszemu grodowi wiosnianego uroku. O godzinie 9.30 ukazały się w oddali pierwsze szeregi niezachodzącego wojska. Lśniły w słońcu karabiny i kaski. Pełne zapału tczewianki nie mogąc dociekać się przybycia wojaków, wyjechały poza miasto i tam już powitały nadchodzących barwnymi wiązkami kwiatów. Przed bramą miasta, przy długich szeregach samochodów, przedstawiciele miasta i obywatelstwa. Na twarzach ich radosne oczekiwanie. W jednej chwili oczom oczekującego tłumu ukazał się dowódca, a za nim cały batalion. Krótka komenda „Stój” wstrzymała szereg. Witął je nasamprzód przewodniczący rady miejskiej p. Witosławski, dalej grono pań z pp. starościna i burmistrzową na czele, szybko i zręcznie dekorując kwiatami zarówno korpus oficerski, jak i poszczególnych żołnierzy. Na placu przed szkołą, ustawiono ołtarz polowy. Karność szeregów i dziarska postawa wojska wywołały zachwyt tłumów. Po przybyciu dowódcy O. K. gen. Paślowskiego i gen. Rachmistruka kapelan wojskowy odprawił mszę polową, w trakcie której przygrywała orkiestra pułkowa. Po nabożeństwie wstąpił na mównicę ks. prałat Sienkiewicz i w mocnych, a wzruszających słowach, podniósł zasługi polskiego żołnierza, nawołując go i tczewian do wzajemnej a braterskiej miłości. Po odśpiewaniu Roty powitał

*przybyłych p. starosta Stachowski. Mówiąc o bohaterstwie i dzielności polskiego wojaka wzniósł okrzyk na cześć jego twórcy Marsz. Piłsudskiego. Imieniem wojska odpowiedział gen. Paślawski dziękując obywatelstwu za serdeczne przyjęcie oddziałów. Przemówienie swe zakończył generał okrzykiem na cześć Rzeczypospolitej. Dalej nastąpiły przemówienia burmistrza p. Wojczyńskiego i dowódcy baonu pułk. Michałowskiego, poczem przed starostwem odbyła się defilada, a po niej odmarsz do przygotowanych koszar.”*

Batalion szybko wkomponował się w życie miasta i był powodem do dumy dla mieszkańców. 6 grudnia 1935 r. żołnierze 2. batalionu pełnili na Wawelu wartę honorową przy trumnie ze zwłokami marszałka Józefa Piłsudskiego. Był wśród nich st. sierżant Marian Pelc, adiutant batalionu odznaczony orderem wojennym *Virtuti Militari* V klasy za udział w wojnie polsko-rosyjskiej. 5 marca 1938 r. prezydent Ignacy Mościcki nadał 2. Batalionowi Strzelców sztandar, ufundowany przez społeczeństwo Tczewa i Pelplina. Na prawej stronie był napis 2 B.S., na lewej wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej i godło Pelplina, w prawym dolnym rogu na tarczy pamiątkowa odznaka batalionu i w lewym dolnym rogu godło Tczewa. Sztandar odebrał w Toruniu 19 czerwca 1938 r., z rąk Marszałka Polski Edwarda Śmigłego – Rydza, ppłk Stanisław Janik, dowódca batalionu. 1 września 1939 r. żołnierze batalionu spełnili swój żołnierski obowiązek broniąc przez cały dzień Tczewa przed Niemcami i niszcząc strategicznie ważne mosty. Dzięki członkom Samodzielnej Grupy Odtworzeniowej „Pomorze”, znanej nam z organizacji inscenizacji towarzyszących obchodom rocznicy wybuchu II wojny światowej w Tczewie, została odtworzona odznaka pamiątkowa 2. Batalionu Strzelców. Odtworzenie odznak odbyło się na podstawie opisu zawartego w wydanym rozporządzeniu w Dzienniku Rozkazów z 1931 r. oraz na podstawie materiału fotograficznego i porównania z jedyymi dostępnymi oryginałami, znajdującymi się w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie.

Po wkroczeniu Niemców do Tczewa koszary i pobliska prochownia stały się miejscem kaźni dla wielu tczewian. Obóz ten zakończył swoją działalność pod koniec października 1939 r., kiedy to Niemcy przeznaczili koszary, przemianowane na Lützow Kaserne, na siedzibę oddziałów

Wehrmachtu. Zaraz po wojnie, w latach 1945–1953, na terenie Tczewa rezydowały co najmniej dwa, a może trzy oddziały wojskowe. Pierwszym z nich był oddział Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego podporządkowany 13. pułkowi KBW. Stacjonował on w mieście od 1945 r. co najmniej do końca 1952 r. W latach 1945–1947/48 jednostka KBW dzieliła się na dwa pododdziały: Komendę Zaporową na tczewskim dworcu, a także Punkt Kontroli Pojazdów przy ul. Gdańskiej. Około 1948 r. struktury te zostają rozwiązane, a ich obowiązki w pełni przejmuje Milicja Obywatelska. KBW nie opuszcza jednak miasta, pełni funkcję ochronną – szybkie reagowanie na wypadek szeroko pojętego zagrożenia, a także szkoleniową dla funkcjonariuszy UB i MO. Współpracuje również cały czas z aparatem represji powiatu, a także władzami komunistycznymi. Drugą jednostką była „jednostka łączności WP”. Działała ona na terenie Tczewa na początku lat 50. Mało nadal wiemy o jednostkach, które stacjonowały w mieście dość krótko. Na przykład na przełomie 1946 i 1947 r. w Tczewie i innych punktach powiatu stacjonowała Grupa Ochronno-Propagandowa Wojska Polskiego. Problemem jest również opisanie działalności stacjonujących w mieście jednostek wojskowych ZSRR, jak np. NKWD. W dokumentach zachowało się tylko kilka adresów placówki NKWD w Tczewie w latach 1945–1946, a także kilka przykładów jej działalności.

Jednostkami, które najdłużej stacjonowały w tczewskich koszarach, byli saperzy. 47. Batalion Saperów został sformowany rozkazem dowódcy 16. Dywizji Piechoty nr. 01 z dnia 20 lipca 1945 r. Siedzibą jednostki był początkowo Gdańsk-Wrzeszcz, następnie Gdańsk-Oliwa, a od maja 1949 r. Elbląg. Oficjalne powitanie jednostki w Tczewie nastąpiło w dniu 12 października 1951 r. Batalion zajmował się przede wszystkim rozminowaniem terenów dawnego województwa gdańskiego. Tylko w 1945 r. żołnierze usunęli łącznie 36 tys. min i pocisków różnego typu. W 1946 r. przystąpiono do dalszego rozminowania, szczególnie portów Gdańska, Gdyni i Półwyspu Helskiego. W kolejnych latach batalion realizował w dalszym ciągu prace związane z rozminowaniem i oczyszczaniem terenów w powiatach gdańskim, tczewskim i kwidzyńskim, oczyszczając wielu obiektów i setki

hektarów ziemi uprawnej. W latach 1952–1955 batalion brał udział w rozbiorowaniu byłej kwatery Hitlera koło Kętrzyna. Żołnierze batalionu brali również aktywny udział w zapobieganiu i zwalczaniu skutków klęsk żywiołowych. Ochraniali mosty na Wiśle przed lodem, likwidując zatory lodowe aż do ujścia. W 1958 r. brali udział w akcji przeciwpowodziowej w województwie warszawskim, zbudowali tam między innymi most w Wyszokowie i w miejscowości Kamieńczyk.

W dniu 12 marca 1961 r. społeczność miasta Tczewa ufundowała saperom sztandar, który został wręczony na obecnym pl. Hallera. 13 września 1992 r. 47. Batalion Saperów przyjął dziedzictwo tradycji 16. Batalionu Saperów 16. Pomorskiej Dywizji Piechoty. Nastąpiło przemianowanie jednostki określonej odtąd jako 16. Batalion Saperów 16. Pomorskiej Dywizji Zmechanizowanej. Symbolicznie aktu tego dokonał szef Wojsk Inżynieryjnych Warszawskiego Okręgu Wojskowego ppłk dypl. Ryszard Żuchowski, wręczając dowódcy 47. Batalionu Saperów akt dziedzictwa tradycji 16. Batalionu Saperów 16. Pomorskiej Dywizji Piechoty. 24 września 1994 r. batalion otrzymał od społeczeństwa drugi już w historii sztandar oraz został wyróżniony nazwą wyróżniającą „Tczewski”. 1 października 2011 r. mieszkańcy i władze Tczewa pożegnali żołnierzy 16. Tczewskiego Batalionu Saperów, którzy zgodnie z Planem Rozwoju Sił Zbrojnych przenieśli się do Niska na Podkarpaciu. Tak, po ponad 80 latach, koszary opustoszały i zakończyła się historia wojska w Tczewie.

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Jadwiga Koc-Kullas**





**Fot. 1.**

„Madonna Boreschowa”,  
Epitafium kanonika Bartłomieja Boreschowa z katedry  
we Fromborku,  
Średnica 150 cm, tempera na  
desce, około 1426 r.

Źródło: M. Otto - Michałowska  
"Gotyckie malarstwo tablicowe w Polsce",  
Warszawa 1982, p. 27.



**Fot. 2.**

Franciszek Burdak.

Ze zbiorów rodziny Rosinek.

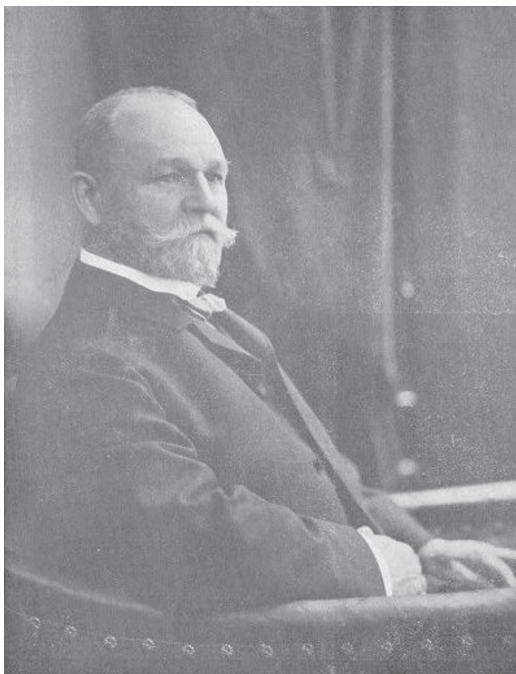




**Fot. 3.**

Witold Kozikowski (Conti) jako uczeń tczewskiego gimnazjum (klęczy, drugi od prawej).

Źródło: Józef Golicki „Album tczewski 1900-1945: szkolnictwo i gospodarka Tczewa”.



**Fot. 4.**

Burmistrz Ludwig Dembski w 1904 r. zmienił nazwisko na Eichhart.

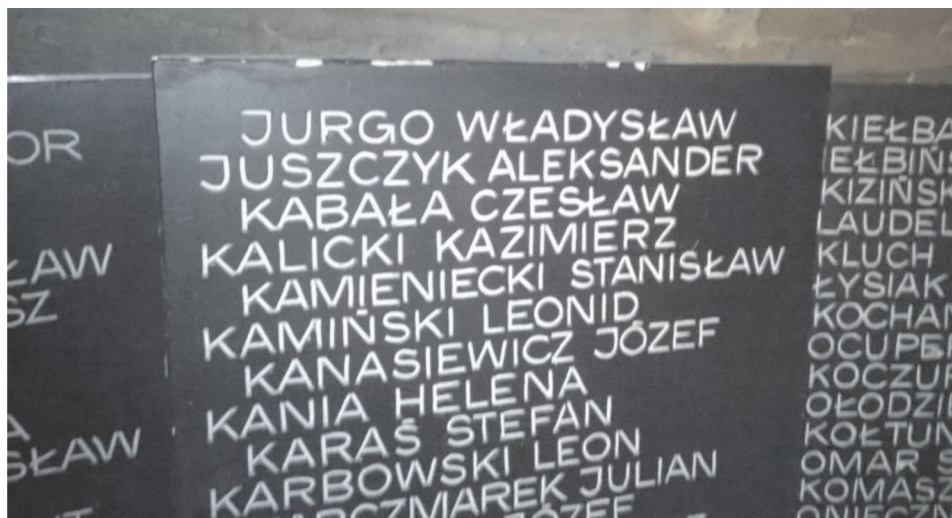
Źródło: J. Wenzel „Ćwierć-wieczcie władania miastem”, Tczew 1914 r.



**Fot. 5.**

Alfred Eisenstaedt spędził w Tczewie pierwsze 8 lat swojego życia. Zdjęcie wykonane zostało w zakładzie Theodora Lange, mieszczącego się przy Berlinerstrasse 16/17 (dzisiaj ul. Krótka).

Źródło: Forum Dawny Tczew.



**Fot. 6.**

Nazwisko tczewianina Władysława Jurgo (1920-1944) widnieje na jednej z tablic na Zamku Lubelskim, poświęconych osobom pomordowanym w tym miejscu przez niemieckiego okupanta.

Autor fotografii: Łukasz Brządkowski.



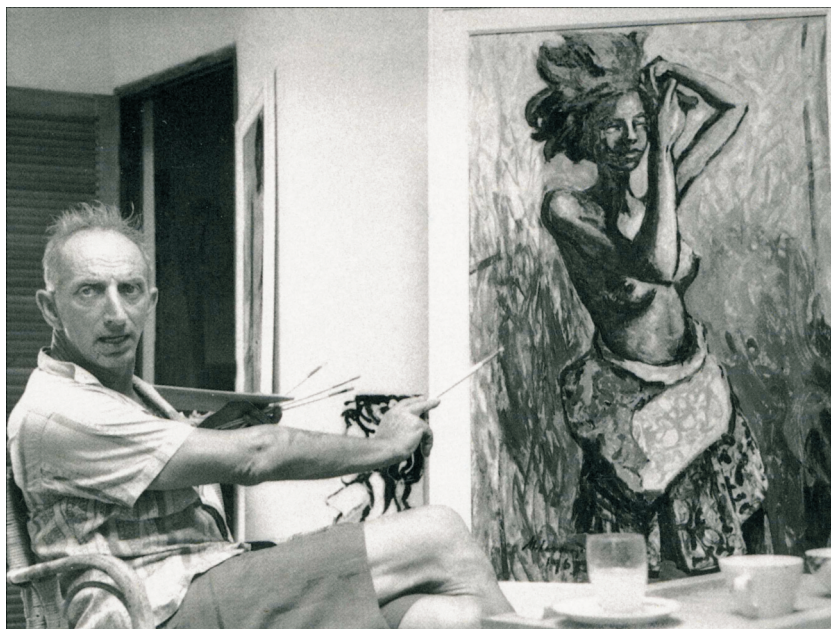
**Fot. 7.**

Michael Keogh.

Czy przebywający podczas pierwszej wojny światowej w niemieckiej niewoli w Tczewie Irlandczyk rzeczywiście w 1920 roku uratował Adolfa Hitlera przed linczem?

Źródło:

[www.irishbrigade.eu](http://www.irishbrigade.eu)



**Fot. 8.**

Michał Leszczyński w swojej pracowni.

Źródło: Kazimierz Robak „Michał Leszczyński - Lester”

[www.zeglujmyrazem.com](http://www.zeglujmyrazem.com)





**Fot. 9.**

Fritz Emil Lüdecke - pochodzący z Tczewa kapitan niemieckiej marynarki podczas pierwszej wojny światowej.

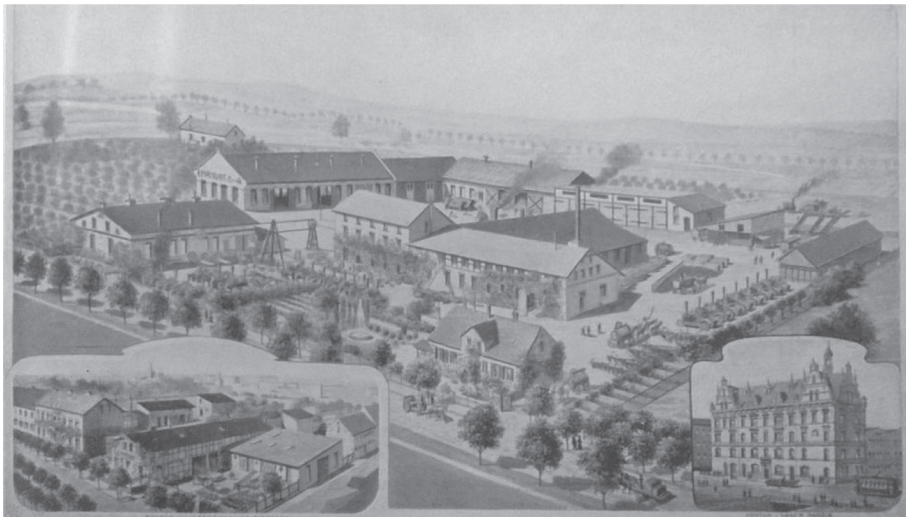
Źródło: [www.diariollanquihue.cl](http://www.diariollanquihue.cl)



**Fot. 10.**

Willi Muscate (siedzi) w towarzystwie (od lewej) bratanka Franka Muscate oraz synów Kurta, Alfreda i Eryka. Około 1908 r.

Źródło: dr Frank Muscate „Geschichte der Familie Muscate 1473 - 1940", wydana w 1940 r. w Nowej Rudzie.



**Fot. 11.**

Fabryka Williego Muscatego przy ul. 30 Stycznia. W lewym dolnym rogu pierwszy zakład przy dzisiejszej ul. Obrońców Westerplatte.

Źródło: dr Frank Muscate „Geschichte der Familie Muscate 1473 - 1940”, wydana w 1940 r. w Nowej Rudzie.



**Fot. 12.**

Obraz Mariana Jaroczyńskiego pt. „II Traktat Toruński” z 1873 r.

W negocjacjach pokojowych kończących wojnę trzynastoletnią brał udział związany z Tczewem Henryk Reuss von Plauen, późniejszy wielki mistrz krzyżacki. Muzeum Okręgowe w Toruniu.

Autor zdjęcia: Jan Mehlich.



**Fot. 13.**  
Pogrzeb na cmentarzu „starym” przy ul. 30 Stycznia w 1938 r.

Ze zbiorów Leszka Rochonia.



**Fot. 14.**  
Stary dworzec kolejowy w latach świetności.

Ze zbiorów Damiana Weskampa.





**Fot. 15.**  
 Nowy dworzec kolejowy.  
 Ze zbiorów prywatnych.



**Fot. 16.**  
 Puszka na ciastka z tczewskiej fabryki wafli. Przedsiębiorstwo, które funkcjonowało przy ul. Sobieskiego, powstało w celu zwiększenia niemieckiego stanu posiadania w prowincji Prus Zachodnich.

Źródło: Forum Dawny Tczew.



**Fot. 17.**  
Gosslerstrasse, obecnie ul. Sobieskiego.

Ze zbiorów Adama Samulewicza.



**Fot. 18.**  
Zbiorniki miejskiej gazowni przy ul. Wąskiej.

Ze zbiorów Tomasza Rajkowskiego.

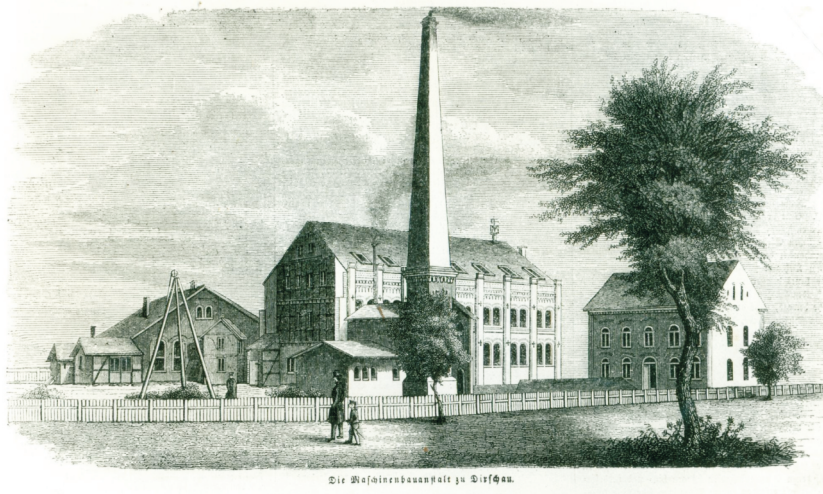




**Fot. 19.**

Kościół i klasztor poddominikański na placu św. Grzegorza.

Ze zbiorów Damiana Weskampa.



**Fot. 20.**

Królewski Zakład Budowy Maszyn. Tutaj powstawały m. in. części niezbędne do budowy Mostu Tczewskiego. Obecnie w tym miejscu znajduje się Galeria Kociewska. Do dnia dzisiejszego zachował się tylko widoczny w prawym dolnym rogu budynek.

Ze zbiorów Andrzeja Kopyłowicza.



**Fot. 21.**

Zarząd Pracowniczego Ogrodu Działkowego im. Mikołaja Kopernika, który dawniej znajdował się w sąsiedztwie kościoła pw. św. Józefa, wita przy wejściu do ogrodu przedstawicieli władz i gości.

Źródło: kronika „Tydzień Działkowca” (1960 r.).



**Fot. 22.**

Szpital św. Jerzego przy ul. Wodnej. Dzisiaj w budynku mieści się Zespół Szkół Katolickich.

Źródło: Forum Dawny Tczew.





**Fot. 23.**

Osiedle Garnuszelewskiego - na pierwszym planie siedziba zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej oraz przedszkole.

Autor zdjęcia Stanisław Zaczyński. Źródło: Kronika Spółdzielni Mieszkaniowej w Tczewie.



**Fot. 24.**

Osiedle Czyżykovo.

Autor zdjęcia Stanisław Zaczyński. Źródło: Kronika Spółdzielni Mieszkaniowej w Tczewie.



**Fot. 25.**  
Osiedle Suchostrzygi.

Autor zdjęcia Stanisław Zaczyński. Źródło: Kronika Spółdzielni Mieszkaniowej w Tczewie.



**Fot. 26.**  
Park Miejski.

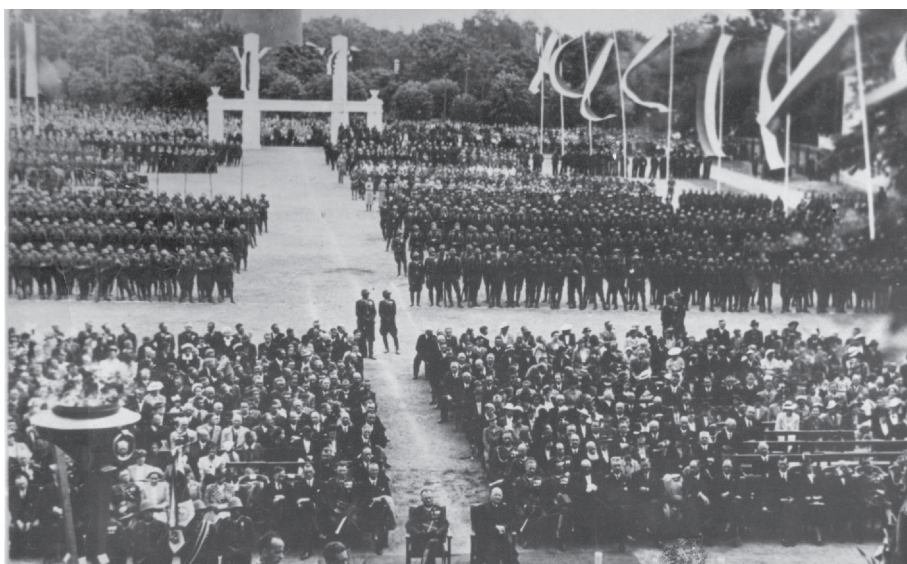
Ze zbiorów Remigiusza Czaplińskiego.





**Fot. 27.**  
Jarmark na Placu Wolności.

Ze zbiorów Andrzeja Kopyłowicza.



**Fot. 28.**  
Uroczystość poświęcenia sztandaru 2 Batalionu Strzelców na placu przed  
dzisiejszym I Liceum Ogólnokształcącym.

Ze zbiorów Andrzeja Kopyłowicza.



**Fot. 29.**  
Tczewskie koszary w czasie okupacji nosiły imię Lützow-Kaserne.

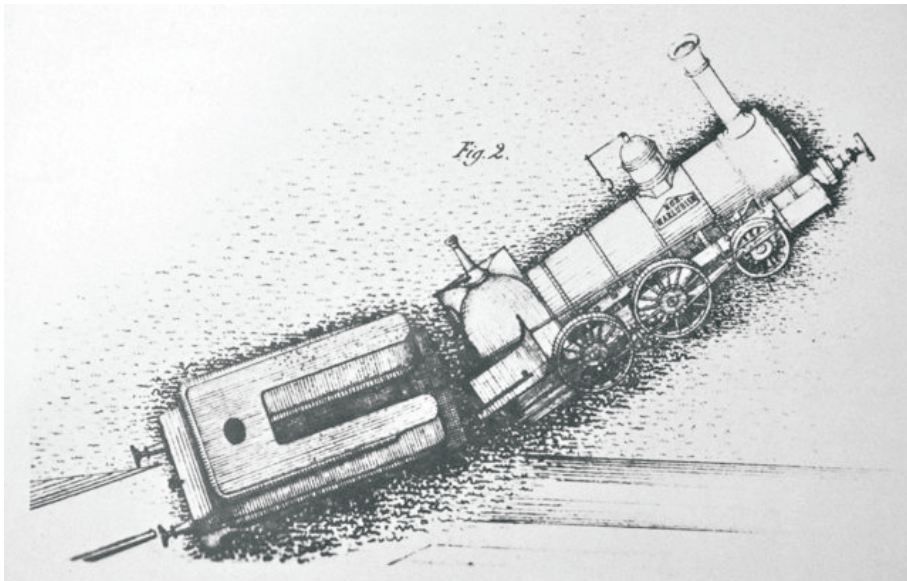
Ze zbiorów Adama Samulewicza.



**Fot. 30.**  
„Kopernik broniący swojego »Sposobu bicia monety« na sejmie w Grudziądzu w 1522 r.” Autor Julian Schübeler.

Źródło: Kujawsko - Pomorska Biblioteka Cyfrowa.





**Fot. 31.**

„Warlubien” - bliźniacza lokomotywa do „Dirschau” - naszkicowana po wykolejeniu się w listopadzie 1852 r. pod Pelplinem.

Źródło: ” Dietrich Kutschik „Lokomotiven von Borsig”, Berlin Transpress, 1985 r.



**Fot. 32.**

Brakteat księcia Sambora II. Według literatury numizmatycznej denar tego tczewskiego księcia jest monetą rzadką (awers i rewers).



Ze zbiorów Bartosza Listewnika.



**Fot. 33.**

Jedyne znane zdjęcie Miga-21 kpt. Zenona Dolińskiego (nr 7813). Samolot rozbił się na osiedlu Czyżykowo 13 sierpnia 1969 r.

Źródło: „Katastrofy, awarie uszkodzenia w polskim lotnictwie wojskowym 1961-70”.



**Fot. 34.**

Statek Tczew przed II wojną światową.

Źródło: Forum Dawny Tczew.





**Fot. 35.**  
Nadbrzeże wiślane i panorama Tczewa.

Ze zbiorów Damiana Weskampa.



**Fot. 36.**  
Relief na portalu zachodnim Mostu Tczewskiego, przedstawiający króla pruskiego Fryderyka Wilhelma IV wraz z dworem i budowniczymi mostu.

Źródło: prof. Georg Mehrrens „Zeitschrift für Bauwesen” 1883 r.



**Fot. 37.**  
„Zdobycie Tczewa  
przez Legiony Dą-  
browskiego w 1807  
roku”. Obraz Jerzego  
Kossaka.

Źródło:  
[www.konflikty.pl](http://www.konflikty.pl)



**Fot. 38.**  
Pamiątkowa pocztówka wydana z okazji pierwszego lotu pocztowego do  
Tczewa.

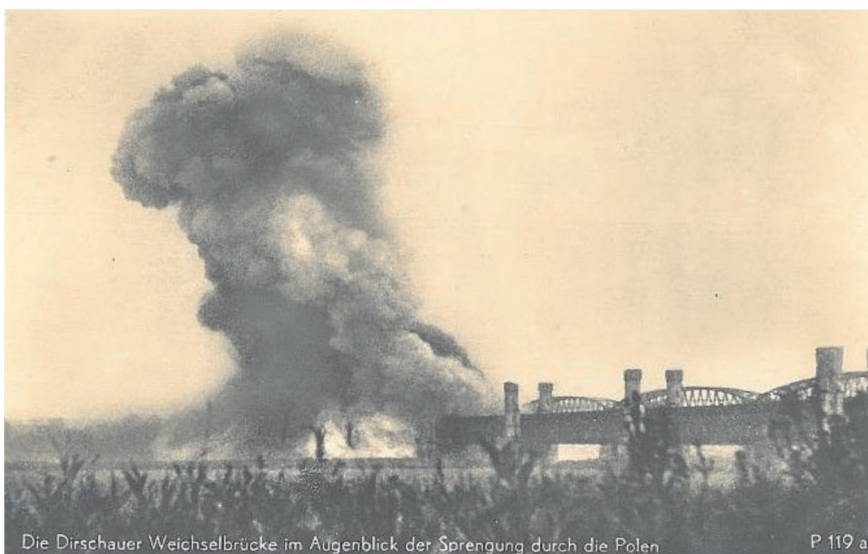
Źródło: [Forum Marienburg.pl](http://Forum.Marienburg.pl)



**Fot. 39.**

Harcerze prowadzący szybowiec dzisiaj ul. Jarosława Dąbrowskiego, lata 60.

Ze zbiorów Andrzeja Kopyłowicza.



**Fot. 40.**

Wysadzenie mostów tczewskich.

Ze zbiorów Damiana Weskampa.

### **III. Wydarzenia**





## Akcja „Wózek”

**W okresie dwudziestolecia międzywojennego przez Tczew kursowały pociągi relacji Berlin–Królewiec, którymi przewożono również niemiecką korespondencję urzędową oraz wojskową. Niemcy nie domyślali się, że była ona skrupulatnie przeglądana przez polski wywiad w ramach akcji o kryptonimie „Wózek”. Jej pomysłodawcą był major Jan Henryk Żychoń, szef bydgoskiej delegatury II Wydziału Sztabu Generalnego.**

Major Żychoń stworzył niezwykle sprawną grupę składającą się z urzędników, kolejarzy, maszynistów, zawiadowców stacji, kierowników poczt oraz... zawodowych kasarzy i włamywaczy, którzy w zamian za darowanie lub złagodzenie kary podjęli współpracę z wywiadem. Byli wyposażeni w łomy, młotki i obcęgi służące do włamań, autentyczne niemieckie plombownice, pieczęcie lakowe i inne narzędzia potrzebne do niezauważonego wnikania w zawartość niemieckich transportów.

Na pierwszej stacji po naszej stronie granicy – w Chojnicach, polscy kolejarze przejmowali opiekę nad tranzytami, przy czym wagony towarowe lub pocztowe plombowano w obecności kolejarzy niemieckich. Na stacji kończącej przejazd przez Polskę, w Tczewie, plomby sprawdzano komisyjnie, po czym pociąg przejmowali Niemcy. Wtajemniczony w sprawę maszynista w umówionym rejonie zwalniał bieg pociągu, by mogli do niego wsiąść wywiadowcy (w nomenklaturze wywiadu nazywano ich

kunami). Wspólnie z kolejarzami otwierali wagony i przeglądali transport. Adresowane do niektórych niemieckich instytucji przesyłki lub elementy broni wyrzucano z pociągu w określonym miejscu. Przejmowała je ekipa zaopatrzona w aparaty fotograficzne, sprzęt kreślarski oraz plombownice. W specjalnie do tego celu wynajętym domu sporządzano fotokopie korespondencji, a także dokumentację przewożonej broni. Po zaplombowaniu przesyłki kierowano do miejsca przeznaczenia, tą samą drogą – maszynista znowu zwalniał bieg pociągu, a przesyłki i listy kładziono do wagonów pocztowych.

Akcja nie mogła się udać bez pomocy tczewskich kolejarzy. Jak wspominał Witold Banacki w „Kociewskim Magazynie Regionalnym” (nr 42, 2003 r.), pewnego dnia na początku roku 1938 do mieszkania jego ojca w Tczewie przybył mężczyzna w cywilu, który przedstawił się jako oficer II Oddziału Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Po krótkiej rozmowie zaproponował wykonanie tajnego zadania: *„W ustalonym dniu w nocy, na umówionym kilometrze drogi między Chojnicami a Tczewem, w ściśle wyznaczonym czasie zatrzyma pan parowóz na kilku minut pod pozorem drobnej awarii. Z pomocnikiem będziecie udawali czynności związane z jej usunięciem. Niemiecka załoga pociągu (kierownik i jego pomocnik) niewątpliwie z ciekawości przybiegną do parowozu w celu wyjaśnienia zatrzymania pociągu, co jest czymś niezwykłym, w dotychczasowej praktyce. W tym czasie nasi wywiadowcy, którzy w tym miejscu będą oczekiwać na ten pociąg, rozplombują drzwi wagonu, zrobią zdjęcia fotograficzne tego, co się we wnętrzu znajduje, i ponownie po zamknięciu drzwi wagonu i założeniu podrobionych plomb, może pan ruszać w drogę. Zadanie jest tajne i nikt ze współpracowników ani przełożonych o tym nie będzie poinformowany.”* Początkowo kolejarz miał zastrzeżenia spowodowane konsekwencjami służbowymi. Parowozy na tej trasie były wyposażone w urządzenie, które na woskowanej papierowej taśmie z podziałką milimetrową rejestrowały przebieg jazdy parowozu, tzn. szybkość i miejsce zatrzymania. Ponieważ przyjazd do stacji docelowej byłby opóźniony, Niemcy mieli prawo zażądać karnych opłat umownych. Za taką sytuację groziły sankcje maszyniście, ponieważ to on odpowiadał



za sprawność parowozu i czas jazdy. Oficer wywiadu uciął dyskusję stwierdzając, że jest to rozkaz. Dzięki udziałowi w akcji „Wózek” Józef Banacki otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi RP za zasługi w służbie kolejowej.

Cały cykl ekspresowego rozpieczętowywania, kopiowania i ponownego zapieczętowania przesyłek, wykorzystywany podczas przejazdu wagonu pocztowego przez terytorium Polski pomiędzy Chojnicami a Tczewem, doprowadzono do perfekcji. Dzięki temu akcja do wybuchu wojny nie została zdekonspirowana przez Niemców. Dowiedzieli się o niej dopiero po przejęciu archiwum II Oddziału w Forcie Legionów w Warszawie.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Czy Mikołaj Kopernik odwiedził Tczew?

**Postać Mikołaja Kopernika jest obecna w naszym mieście dzięki nazwom miejsc i instytucji którym patronuje. Od roku 1920 mamy ulicę jego imienia, a w 1936 r. powstały ogrody działkowe których również został patronem. Z okazji pięćsetnej rocznicy urodzin sławnego kanonika teren dawnego cmentarza ewangelickiego został przemianowany na park Mikołaja Kopernika, a Szkoła Podstawowa nr 11 otrzymała jego imię. Postać sławnego astronoma jest więc mocno w Tczewie reprezentowana, ale pojawia się pytanie kiedykolwiek odwiedził on nasze miasto?**

Pierwszą okazją do odwiedzin naszego miasta mógł być ślub kuzynki astronoma, Korduli von Allen, córki jego ciotki Krystyny z domu Watzenrode i Tiedemanna von Allen, która 21 stycznia 1504 r. wychodziła za mąż za gdańskiego bankiera Reinholda Feldstedta (1468–1529). W sierpniu 1501 r. Reinhold Feldstedt udzielił królowi Aleksandrowi Jagiellończykowi niemałej pożyczki w wysokości tysiąca florenów węgierskich, otrzymując jako jej zabezpieczenie dzierżawę starostwa tczewskiego.

Ślub odbył się w Gdańsku i Kopernik mógł być jednym z gości, ale najprawdopodobniej nie zdążył na samą uroczystość. Rok 1504, pierwszy po powrocie z włoskich studiów ukończonych uzyskaniem w Ferrarze dyplomu

doktora prawa, był dla astronoma dosyć zajęty, a szczególnie jego pierwsza połowa. W dniach 1–4 stycznia brał udział u boku swojego wuja, biskupa warmińskiego Łukasza Watzenrode, w zjeździe stanów pruskich w Malborku, a następnie od 18 do 21 stycznia – w kontynuacji zjazdu w Elblągu. Stany Prus Królewskich zdecydowały wówczas o odmowie złożenia przysięgi królowi Aleksandrowi Jagiellończykowi na sejmie w Piotrkowie i poprosiły króla o osobiste przybycie do Prus.

Niewykluczone, że po zakończeniu elbląskiego zjazdu Kopernik zdążył na poprawiny do Gdańska podróżując przez nasze miasto.

Pewne wydają się wizyty Kopernika w Tczewie pod koniec maja oraz na początku czerwca tego samego 1504 r., podczas królewskiej podróży Aleksandra Jagiellończyka po Prusach. Królowi przez cały czas towarzyszył biskup Łukasz Watzenrode, w którego otoczeniu znajdował się Mikołaj Kopernik. Był on obecny przy uroczystym powitaniu króla i czołowych dostojników koronnych przez radę pruską na czele z biskupem Watzenrode 2 kwietnia w Toruniu. Uczestniczył na pewno w dalszej podróży biskupa Watzenrode, który towarzyszył królowi po jego wyjeździe z Torunia 12 maja przez Malbork do Elbląga.

Przebywając w otoczeniu biskupa Kopernik uczestniczył 20 maja w kościele Św. Mikołaja w Starym Mieście Elblągu w rozprawie rozwodowej mieszczanina elbląskiego Filipa Holkenera i jego żony Katarzyny. Był też na pewno świadkiem uroczystego hołdu mieszczaństwa elbląskiego, złożonego Aleksandrowi Jagiellończykowi na Rynku Starego Miasta, w tym samym dniu. Wydaje się też prawdopodobne, że Kopernik udał się już w dniu następnym wraz z biskupem Watzenrode przez Malbork do Gdańska, korzystając przy tym niewątpliwie z tczewskiej przeprawy przez Wisłę. Ponieważ uroczysty wjazd królewskiego orszaku do Gdańska miał miejsce 25 maja między 8 a 9 rano, noc z 24–25 maja najprawdopodobniej spędzono w Tczewie.

W Gdańsku Kopernik był zapewne świadkiem aktu hołdu złożonego przez ogół mieszkańców na Długim Targu w dniu 2 czerwca oraz wspaniałych uroczystości, zgotowanych przez miasto na cześć króla Aleksandra i jego nie koronowanej, ze względu na przywiązanie do swojego wyznania, małżonki

– Heleny zwanej Moskiewską. Po dwutygodniowym pobycie w Gdańsku, 7 czerwca, Aleksander Jagiellończyk wyruszył do Malborka, aby uczestniczyć w zwołanym tam sejmiku prowincji, a Kopernik wraz z towarzyszącym królowi orszakiem zapewne zawitał do Tczewa po raz wtóry. Przebywał następnie w otoczeniu biskupa Watzenrode na zamku w Malborku, gdzie w dniach 11–21 czerwca toczyły się rozmowy króla i rady pruskiej, dotyczące ustanowienia stałego przedstawiciela – namiestnika królewskiego w Prusach.

Kolejne wizyty Kopernika w Tczewie miały miejsce przeszło 20 lat później. Chociaż trwała pamięć potomnych zapewnił Kopernikowi przewrót jakiego dokonał on w astronomii, a współcześni widzieli w nim przede wszystkim zdolnego i skutecznego lekarza, o czym zaświadczała obecna na wielu wizerunkach konwalia, to jego trwająca kilkanaście lat działalność publiczna prowadzona była w sferze ekonomii i dotyczyła zagadnień polityki monetarnej. Problemy ekonomiczne poruszył Kopernik po raz pierwszy w 1517 r., w sporządzonym na życzenie biskupa warmińskiego Fabiana Luzjańskiego, traktacie monetarnym zatytułowanym *Meditata* (Rozmyślania).

W 1519 r., z inicjatywy Rady Pruskiej, sporządzona została, być może przez samego Kopernika, bardziej zrozumiała dla stanów pruskich niemiecka wersja jego traktatu, znana pod późniejszym łacińskim tytułem *Modus cudendi monetam* („Sposób bicia monety”). Miała ona być podstawą do dyskusji nad reformą monety pruskiej na zjeździe stanów Prus Królewskich, towarzyszącym obradom sejmiku Królestwa Polskiego w Toruniu w końcu 1519 r. Mimo, że wobec rozpoczęcia wojny z zakonem krzyżackim dyskusja nad reformą monety została odłożona, to rozpowszechniana przez biskupa Luzjańskiego łacińska wersja traktatu Kopernika została ujęta w oficjalnych aktach kancelarii koronnej.

Temat reformy systemu monetarnego w Prusach Królewskich podjęty został ponownie, tym razem z inicjatywy króla Zygmunta I, na zjeździe stanów pruskich, obradującym w marcu 1522 r. w Grudziądzu. 21 marca na prośbę Rady Pruskiej, uczestniczący w obradach jako przedstawiciel biskupa warmińskiego Mikołaj Kopernik, przedstawił zebranym swój traktat monetarny. Określił przyczyny deprecjacji monety pruskiej, formułując przy tym

prawo obrotu pieniądza kruszcowego, zgodnie z którym pieniądz o niższej zawartości kruszcu wypiera z obiegu pieniądz o wyższej jego zawartości, nazwane dużo później, w następstwie ignorancji XIX-wiecznych ekonomistów, prawem Greshama – finansisty dynastii Tudorów i twórcy londyńskiej giełdy. Projekt Kopernika podjęty przez posłów gdańskich zyskał aprobatę Rady Pruskiej na kolejnym zjeździe stanów, obradującym na przełomie maja i czerwca 1522 r. w Malborku, co spotkało się z protestami broniących swoich przywilejów menniczych Elbląga i Torunia.

Temat był kontynuowany na następnym zjeździe stanów, planowanym na koniec września w Grudziądzu, lecz z powodu panującej w ziemi chełmińskiej zarazy, przeniesionym na koniec października do Tczewa. Na mocy podjętej 29 października 1522 r. na zjeździe w Tczewie uchwały zjazdu stanów, Gdańsk uzyskał prawo emisji równoprawnych z monetą polską i litewską nowych szelągów pruskich, z tytułem i herbem króla polskiego, o określonym przez Kopernika kursie względem monety koronnej, wybijanych zgodnie z postulatem Kopernika, bez czerpania zysku z działalności menniczej. Nic nie wskazuje niestety na uczestnictwo w obradach tczewskiego zjazdu samego autora projektu reformy. Najprawdopodobniej, wierny swojemu lekarskiemu powołaniu, udzielał ostatniej medycznej posługi umierającemu biskupowi warmińskiemu Fabianowi Luzjańskiemu.

Nie przejmując się zbyt pomyślami Kopernika, Gdańsk nie zamierzał rezygnować z dochodów związanych z emisją nowej monety i na zjeździe stanów w Grudziądzu 3 października 1523 r. uzyskał, na podstawie podjętej po dłuższej debacie uchwały stanów, prawo do wybijania nowej monety według własnego uznania. Niezgodna z projektem Kopernika niska stopa mennicza nowych szelągów, emitowanych od początku 1524 r., wkrótce wzbudziła jednak protesty stanów, zgłoszone w formie oficjalnej skargi przez przedstawicieli szlachty pruskiej na zjeździe w Grudziądzu, we wrześniu 1524 r. Na zjeździe w Toruniu, w grudniu 1524 r., żądanie wstrzymania emisji nowej monety przez Gdańsk przedstawił w imieniu króla Zygmunta I jego poseł – kasztelan gdański. Po burzliwej dyskusji za zakazem emisji opowiedziała się Rada Pruska wspierana przez przedstawicieli szlachty.

Ostatecznie Gdańsk zaprzestał bicia monety dopiero w 1526 r. w wyniku bezpośredniej interwencji króla, który przybył do miasta 17 kwietnia w celu stłumienia „tumultu gdańskiego” – zaistniałego na tle religijnym buntu pospólstwa gdańskiego przeciwko patrycjatowi. Zwołany do Gdańska zjazd stanów, obradujący jednak bez udziału przedstawicieli Gdańska i Elbląga, zaaprobował wydane 17 lipca przez króla konstytucje, umacniające przywrócony siłą porządek w Prusach Królewskich. W artykule 31 zapowiadały one wprowadzenie, uznawanej w Koronie, na Litwie i Mazowszu, nowej monety pruskiej, opartej na groszach pruskich i szelągach, pozostających do siebie w proponowanej przez Kopernika relacji 3 szelągów do 1 grosza, równego co do wartości groszowi koronnemu.

18 lipca Rada Pruska, z inicjatywy biskupa warmińskiego Maurycego Ferbera, wystosowała do autora zapowiadanej reformy monetarnej, królewskiego finansisty i dyplomaty Josta Ludwika Decjusza, polemiczny list, w którym, akceptując wprowadzenie jednolitego systemu monetarnego poddała krytyce błędne założenia tego projektu – osiąganie zysku z emisji nowego pieniądza, jego zawyżoną wartość względem monety złotej oraz pozostawianie w obiegu starej monety. Przedstawiane przez Radę argumenty stanowiły wyciąg z napisanej w początkach 1526 r. najnowszej wersji traktatu Kopernika, znanej później pod tytułem *Monete cudende ratio* („Zasady bicia monety”).

List Rady Pruskiej, mimo, że nie wyszedł spod pióra Kopernika, był przez niego aprobowany i uzupełniany, czego dowodzi odręczna poprawka autorstwa Kopernika na marginesie zachowanego szkicu dokumentu. Świadczy ona o obecności Kopernika w Gdańsku, w otoczeniu biskupa Maurycego Ferbera, w smutnych dniach królewskiego triumfu nad miastem. Ponieważ biskup Ferber towarzyszył królowi jeszcze od Malborka, a więc także i Kopernik odwiedzał Tczew w drodze do Gdańska – między 12 a 17 kwietnia oraz w czasie powrotu królewskiego orszaku 23–24 lipca.

**Opracował Mirosław Zawadzki**

## **„Dirschau” mknie po torach**

**Kilka dni temu minęło 164 lat od momentu, kiedy została oddana do użytku lokomotywa nazwana imieniem naszego miasta. Forumowiczom Dawnego Tczewa udało się ustalić jak parowóz „Dirschau” wyglądał.**

Lokomotywa powstała w 1852 r. w berlińskiej fabryce należącej do Johanna Friedricha Augusta Borsiga, na zamówienie spółki Pruska Kolej Wschodnia (niem. Preußische Ostbahn). Pojazd oddano do użytku 7 października 1852 r. Osiągał on prędkość maksymalną 105,5 km/h. Dla porównania średnia rozkładowa prędkość pociągów osobowych wynosiła wówczas tylko 39 km/h, a pociągów kurierskich 55 km/h. Parowóz uległ likwidacji w 1885 r.

Jak wyglądał „Dirschau”? Jak ustalili forumowicze Dawnego Tczewa. Lokomotywa ochrzczona imieniem naszego miasta wchodziła w skład serii parowozów nazwanych imieniem innych miejscowości leżących przy linii kolejowej Bydgoszcz–Gdańsk. „Tczewska” lokomotywa miała siedem „sióstr”: „Kotomiers” (Kotomierz), „Terespol” (Terespol Pomorski), „Laskowitz” (Laskowice Pomorskie), „Warlubien” (Warlubie), „Czerwinek”, „Pelplin” i „Hohenstein” (Pszczółki). Choć nie udało się znaleźć ilustracji przedstawiającej „Dirschau” forumowicze dotarli do rysunku przedstawiającego jej konstrukcyjną bliźniaczkę „Warlubien”, naszkicowaną po wykolejeniu się w listopadzie 1852 r. pod Pelplinem.

**Opracował Przemysław Zieliński**



# Fałszywe brakteaty

**Regularnie na aukcjach internetowych pojawiają się w sprzedaży rzadkie i niezwykle ważne dla tczewskiej historii monety. Brakteaty Sambora II, bo to o nich mowa, powstały ponad 750 lat temu i do naszych czasów, przynajmniej w teorii, przetrwało ich niewiele. Jak to więc możliwe, że wciąż można je zakupić i czy na pewno są to oryginały?**

Brakteat (od łac. *bractea* – blaszka) był niewielką srebrną monetą średnio-wieczną, używaną w wiekach XII–XV na terenie dzisiejszych Niemiec i Polski. Pojawiły się w obiegu ze względu na duże zapotrzebowanie na pieniądze, co wymagało uproszczenia ich produkcji. Technika wyrobu brakteatu była bardzo prosta – monety były bite jednostronnie, tzn. rewers jest negatywem awersu, a pod tłok kładziono jednorazowo kilka krążków. Wynikało to także ze zjawiska „psucia się” pieniądza, czyli coraz niższej wagi i mniejszej zawartości kruszcu przy takiej samej wartości nominalnej. Początkowo brakteaty miały nawet 50 mm i dużą grubość (Turyngia XIII w.), z czasem stawały się coraz mniejsze i cieńsze, co uniemożliwiło użycie stempli obustronnych, które zachodziłyby na siebie. Ze względu na niewielką grubość monety konieczne stało się jej usztywnienie poprzez uwypuklenie obrzeży. Od charakterystycznego wyglądu ten typ brakteatu został nazwany guziczkowym i do nich należał denar Sambora.

Tczewska mennica wytwarzała monety z cienkiej, srebrnej blaszki (średnica 14 mm) przy użyciu jednego tłoka i miękkiej podkładki. Charakteryzowały się

one tym, czym i inne brakteaty. Były wypukłe i wizerunek był widoczny tylko z jednej strony – rewers monety stanowił negatyw stempla. Na wszystkich z nich widniał gryf – herb Sambora II. Dotychczas odnaleziono cztery typy tej monety: z gryfem w pierścieniu zwróconym w prawo, z gryfem w pierścieniu zwróconym w lewo, z gryfem w tarczy trójkątnej i z samym torsem gryfa umieszczonym w tarczy. Każdorazowo zmiana wizerunku na monecie była spowodowana chęcią zwiększania dochodów, ponieważ przy każdej zmianie zmniejszano nieco wagę brakteatu, zachowując tą samą wartość nominalną. Pozwalało to na wytworzenie większej ilości monet z tej samej, co poprzednio, ilości srebra.

Historia tczewskiej monety była ściśle związana z losami Sambora II. Książę lubiszewsko-tczewski był władcą aktywnym, którego ambicje wychodziły znacznie poza przydzieloną domenę. Marzyła mu się władza nad całym Pomorzem Gdańskim, a do tego potrzebował sojuszników i własnej siły militarnej. Wszystko to sprowadza się do potrzeby posiadania wydajnego zaplecza finansowego i znacznej ilości pieniędzy. Własna mennica gwarantowała jedno i drugie. Powstała ona w podobnym czasie, co tczewski zamek, czyli pomiędzy rokiem 1250 a 1260. Według aktu potwierdzającego lokację Tczewa, książę zachowywał co prawda zwierzchnictwo nad mennicą, ale to rada miejska kontrolowała jakość bitych w niej monet. Było to dobre rozwiązanie, które pozwalało na utrzymanie dobrej marki tczewskich denarów, które były znacznie lepsze od wytwarzanych w tym czasie brakteatów gdańskich Świętopełka II (1220–1266). Mogło to mieć również związek z umiejętnościami tczewskich mistrzów wytwarzających monety. Znamy z dokumentów dwóch tczewskich mincerzy. Herman otrzymał od Sambora II nadania ziemskie, które potwierdził później Mściwój II dając mu dodatkowo we władanie wieś Brzuśce. Od 1305 r. w dokumentach pojawia się z kolei Gerhard, ale on nie wytwarzał już denarów z wizerunkiem gryfa. Brakteaty te powstawały bowiem w latach 1250–1271, potem zostały wyparte przez symbole lwa i orła używane przez kolejnego władcę miasta – Mściwoja II. Mennica funkcjonowała jeszcze przez kilkadziesiąt

lat, możliwe że do czasu zajęcia miasta przez zakon krzyżacki w 1308 r., kiedy to prawdopodobnie spłonęła razem z zamkiem.

Według literatury numizmatycznej brakteat Sambora II jest monetą rzadką. W „Ilustrowanym skorowidzu pieniędzy polskich i z Polską związanych” Edmunda Kupickiego z 1995 r., stopień rzadkości tej monety został określony na R6, co oznacza, że zachowało się od 7 do 25 sztuk. Z kolei w książce „Sambor II – książę tczewski” z 2010 r. prof. Błażej Śliwiński podaje, że monet tych zachowało się około 80. Oznacza to, że prawdziwych denarów Sambora jest na rynku niewiele i prawdopodobieństwo zakupu fałszywki jest dość duże. Podróbki powstają w bardzo prosty sposób, niewielką srebrną blaszkę tłoczy się według oryginalnego wzoru i chemicznie postarza. Jedynie fachowcy mogą odróżnić prawdziwe denary od fałszywych, dlatego należy kupować te posiadające certyfikat autentyczności. Są one droższe, ale warto zapłacić nieco więcej, żeby cieszyć się prawdziwym brakteatem, a nie bezwartościową blaszką.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Katastrofa na starym dworcu

**Dwie osoby zginęły, a kilka zostało ciężko rannych, po tym jak pociąg z Gdańska uderzył w budynek dworca w Tczewie. Zniszczeniu uległy trzy pomieszczenia, wybuchł też pożar na pierwszym piętrze budynku. Trwa ustalanie przyczyn tragicznego wypadku. To opis zdarzenia, które miało miejsce 126 lat temu.**

We wtorek, 13 maja 1890 r., o godz. 22.37 na tczewski dworzec zgodnie z planem przyjechał pociąg kurierski z Gdańska. Skład miał zatrzymać się na ślepym torze zakończonym zagięciem szyn oraz murem i wałem ziemi. Jednak zamiast wyhamować, pociąg uderzył w zabezpieczenie, wjechał na peron i przebił się przez mur dworca, niszcząc biuro telegraficzne i znajdujące się za kolejną ścianą biuro naczelnika stacji. Następnie zniszczył kolejną ścianę i wjechał do męskiej toalety, gdzie pod ciężarem lokomotywy zarwała się podłoga. Parowóz wpadł do szamba.

*„Inne wozy, pociągane szaloną siłą i rozpędem, waliły się na lokomotywę i druzgotały się w kawałki – informowała po czterech dniach „Gazeta Toruńska”. – Komin lokomotywy zaś przerywał sufity nad sobą i buchał ogniem do mieszkania na pierwszym piętrze, w którym się też wszczął pożar.”*

Na miejscu zginęli maszynista Hennig oraz palacz Groth. Poważnie ranny został pasażer o nazwisku Schulta oraz młody urzędnik Neumann, który pracował w biurze naczelnika stacji. Na szczęście podróżujących

feralnym składem było niewielu. Już wówczas prasa przypuszczała, że przyczyną tragedii mógł być niesprawny hamulec.

Zniszczenia na tczewskim dworcu usuwano przez całą noc, walczono też z pożarem pierwszego piętra. O godz. 5.00 rano przyjechał pociąg z Bydgoszczy z cesarzem Wilhelmem II, a wkrótce po nim kolejny, który z Berlina przywiózł cesarzową Augustę Wiktorię. Oba składy połączono w jeden, po czym pociąg odjechał do Królewca. Nikt z członków dworu nie opuścił w Tczewie pociągu, więc para cesarska nawet nie dowiedziała się o katastrofie, która miała miejsce zaledwie kilka godzin wcześniej.

We wrześniu „Gazeta Toruńska” podała, że przyczyną katastrofy nie były jednak niesprawne hamulce, a... piorun, który uderzył w lokomotywę zabijając na miejscu maszynistę i ogłuszając palacza na tyle skutecznie, że ten nie mógł zatrzymać rozpędzonego parowozu. Z tragicznego wypadku ironizowała warszawska „Prawda” – pamiętajmy, że to czasy zaborów – pisząc o niedbalstwie niemieckich kolei (z kolei prasa niemiecka często szydziła z... niedbalstwa kolei rosyjskich): *„Co parę tygodni słyszymy o wykolejeniu się tam lub rozbiciu pociągów, a już takiego wypadku, w którym by lokomotywa przeleciała przez dworzec, chyba dzieje kolejnictwa nie znają – zauważył złośliwie autor tekstu napisanego kilkanaście dni po katastrofie. – Jest to także unikat. Toteż bez żartu radzę wam, czytelnicy, niewolni od dóbr doczesnych, ile razy będziecie musieli jechać drogą żelazną przez Niemcy, zaasekurujcie się we wszystkich instancjach niebieskich, ale przede wszystkim zróbcie testament.”*

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

# Katastrofa samolotu MiG-21 na Czyżykowie

**To nie były dobre warunki do latania. Burza z piorunami, noc, deszcz... Mimo to piloci z Debrzna trenowali przechwytywanie celów. Wydawało się, że ćwiczenia przebiegają zgodnie z planem, jednak nie wszystkim udało się wrócić do macierzystej jednostki.**

To była środa, 13 sierpnia 1969 r. Zanosiło się na intensywną, letnią burzę, a właśnie na takie warunki czekali piloci z 9. Pułku Lotnictwa Myśliwskiego, którzy w nocnych trudnych warunkach atmosferycznych mieli ćwiczyć przechwytywanie celów. Załogi operowały na trasie Debrzno–Słupsk–Malbork.

O godz. 20.49, po wykonaniu zadania, jako ostatni na malborskim lotnisku wylądował mjr pil. Feliks Skowroński. Tutaj, po odtworzeniu gotowości, na pilotów czekało kolejne zadanie. Zgodnie z ustaloną wcześniej kolejnością mieli wrócić do Debrzna po tej samej trasie, ale w taki sposób, aby wykonując poprzednio loty w charakterze celów, mogli przeprowadzić przechwytywanie. Jako pierwszy, o godz. 21.18, w samolocie mig – 21 PFM, o numerach 94N7813, wystartował kpt. pil. Zenon Doliński, jako cel dla kpt. pil. Edmunda Franka. Doliński urodził się 14 grudnia 1936 r. w Zelgnie, w powiecie toruńskim. W 1959 r. ukończył Oficerską Szkołę Lotniczą w Radomiu. W jednostce w Debrznie dowodził jednym z kluczy pułku.

Myśliwiec bez problemu wzbił się w powietrze i wszedł w chmury. Kiedy kpt. Franek znalazł się na wysokości 600 metrów, usłyszał komendę od kpt. Dolińskiego: „77 po starcie odchył się mocno w prawo.” Kpt. Franek potwierdził i zapytał: „Poszedłeś w lewo?” Kpt. Doliński odpowiedział: „Tak”. Był to jego ostatni meldunek.

– Z Malborka jako ostatni miał lecieć mój zastępca, ale poczuł się źle i pojechał do hotelu. Zastąpił go kpt. Doliński – wspomina ppłk Wiesław Świtoniak, dowódca eskadry, który również uczestniczył w feralnych ćwiczeniach. – Burza się dopiero tworzyła, a to na takim etapie jest najgroźniejsza. Meteorolog nie potrafił przewidzieć, jak będzie się ona kształtować, więc wystartowaliśmy. Po kilku minutach kapitan przestał się odzywać. Gdy wylądowaliśmy już w Debrznie, nadal próbowaliśmy się z nim skontaktować, ale to już nie miało sensu. Nie mógł już być w powietrzu, bo zabrakłoby mu paliwa. W końcu dostaliśmy telefon od milicji, że samolot rozbił się gdzieś koło Pruszcza Gdańskiego.

O godz. 21.21 samolot runął na teren ogródków działkowych w Tczewie, około 200 metrów od zabudowań ul. Nowowiejskiej, na osiedlu Czyżykowo. Pilot zginął na miejscu.

– Nie wiem, czy pilot coś przeczuwał, ale mówił, że może zostaną na noc w Malborku, bo warunki pogodowe są trudne – mówi st. chor. sztab. Adam Orzechowski, mechanik samolotowy. – Prosił, żeby przypilnować jego motor, który zostawił przed jednostką...

Choć informacja o katastrofie lotniczej szybko rozeszła się po mieście, dzisiaj, 45 lat po tych tragicznych wydarzeniach, pamięć o nich wśród mieszkańców Tczewa powoli zanika. Okoliczności wypadku postanowili zgłębić miłośnicy historii miasta, skupieni wokół portalu Dawny Tczew.

Wiele osób, szczególnie te, które w tym czasie były dziećmi, zbierało fragmenty samolotu rozrzucone na dużej odległości jako pamiątki. Interesującą relację zamieścił kilka lat temu na portalu Odkrywca jeden z forumowiczów: „Byłem wówczas dzieckiem i doskonale pamiętam ten wypadek. Był późny wieczór, ściemniało się, kończyła się burza i nagle usłyszeliśmy dziwny buczący, nierówny charkot, który przemieszczał się z zachodu na



wschód. Potem było głośne „buum”. Rano już całe miasto wiedziało, że rozbił się wojskowy samolot. Teren działek otoczyło wojsko lotnicze z Malborka. Jako dzieci potrafilśmy się wkręcić tuż obok liny odgradzającej cywilom dojście do krateru powypadkowego. Unosił się silny zapach paliwa lotniczego, dookoła było pełno powyginanych szczątków, które wrzucano na wielkiego jelcza z przyczepą. Na miejscu pracowała ekipa w białych kitlach, która szukała szczątków pilota. Widziałem z odległości około 30 metrów, jak układano je na białej płachcie. Było ich wiele i były malutkie, wyglądały jak grudki ziemi. Widziałem jak tuż pod nosem wojska, na otwartym terenie, jakieś 100 metrów od miejsca katastrofy, kilku facetów waliło wielkim kamieniem w kawał jakiejś duralowej osłony, która musiała odpaść przed uderzeniem, by mieć jej kawał na pamiątkę. Po trzech dniach wojsko wyrównało teren i wyjechało. Zaraz tam weszliśmy. Ziemia usiana była setkami drobin metalu, nitów. Niektóre kawałki miały nawet po parę centymetrów. Sam do domu przyniosłem 10-centymetrowy wąski kawałek z duraluminium z zachowanymi dwoma nitami, pokryty z jednej strony rodzajem gumy.”

Forumowicze Dawnego Tczewa postanowili precyzyjnie ustalić miejsce upadku miga. Udało im się to dzięki rozmowom z mieszkańcami pobliskich budynków oraz najstarszymi działkowcami.

Mieszkańcy wskazali im, gdzie mniej więcej samolot spadł, a działkowcy przekazali kontakt do jednej z ówczesnych właścicielek ogrodu, który w jej wyniku został zniszczony. Dzięki rozmowie z kobietą zlokalizowano miejsce katastrofy. Kobieta najbardziej zapamiętała fakt, że jej mąż wrócił z domu z działki 10 minut przed upadkiem samolotu. Samolot uszkodził trzy ogródki, zniszczył altany, powyrywał drzewka. Sprzedała ogródek zaraz po wypadku, bo podejrzewała, że nie wszystkie szczątki pilota zostały wydobyte.

Dół po upadku samolotu był tak głęboki, że koparka nie mogła dosięgnąć do jego dna. Mógł mieć nawet 10 metrów głębokości. Mig uderzył w ziemię z potężną siłą.

– W Malborku zatankowano go do pełna, wlewając do baku 3200 litrów paliwa lotniczego, które przy prędkości powyżej 400km/h zachowywało się

niczym dynamit – tłumaczy Adam Orzechowski. – Proszę sobie wyobrazić uderzenie wypełnionego taką „bombą” samolotu o ziemię.

Mimo poszukiwań forumowiczom Dawnego Tczewa nie udało się odnaleźć w ówczesnej prasie jakichkolwiek wzmianek o tragicznym wydarzeniu. Władzom, jak i wojsku, na pewno nie zależało na rozpowszechnieniu informacji o wypadku. Był to koniec lat 60., zimna wojna w pełni, a nasze wojsko miało być zwarte i gotowe do rozprawy z kapitalistycznym wrogiem. Każda wydarzenie, które nie pasowało do tego wizerunku było tuszowane.

Miłośnicy historii Tczewa, w związku z 45. rocznicą katastrofy, zastanawiają się nad uhonorowaniem tragicznie zmarłego pilota. W miejscu zdarzenia mogłaby stanąć replika statecznika miga-21 z informacją o wydarzeniu i pilocie. Dodają, że nie udało się jasno stwierdzić, czy miał on szansę na katapultowanie się z samolotu, ale nie uczynił tego w obawie przed upadkiem maszyny na zamieszkałe tereny.

– W tym konkretnym przypadku to nie wchodziło w grę – prostuje ppłk Świtoniak. – Pilot w ogóle nie widział ziemi podczas burzy, więc nie mógł ocenić, czy leci właśnie nad terenem zabudowanym.

Jak oficjalnie ustaliła specjalna komisja wojskowa, przyczyną katastrofy było znalezienie się w chmurze burzowej z piorunami i dużą turbulencją oraz zaistnienie w niej bliżej nieokreślonych zjawisk, które doprowadziły do gwałtownej utraty wysokości i zderzenia z ziemią w locie niesterowanym. W wyniku gwałtownego pogorszenia się widoczności pilot utracił orientację przestrzenną.

– Prawdopodobnie przyczyną katastrofy było uderzenie pioruna w samolot – uważa Wiesław Świtoniak. – Pilot musiał stracić przytomność, ponieważ mig uderzył w ziemię z dopalaniem, którego nie zdążył po starcie wyłączyć. Piorun bardzo rzadko uderza w samolot. W normalnej sytuacji powinien po nim „spłynąć” jak woda po kaczce. Mimo, że nikogo nie można było oskarżyć o spowodowanie katastrofy, ówczesny minister obrony narodowej, gen. Wojciech Jaruzelski, uznał, że trzeba znaleźć winnego. Padło na mnie, ale warunkowo zapewniono, że jeśli przez kolejny rok w jednostce nie dojdzie do podobnych tragicznych sytuacji, to sprawa zostanie umorzona. Tak też się w końcu stało.

– Możliwe, że pilot stracił po uderzeniu pioruna przytomność w momencie, gdy chciał po starcie schować podwozie – zastanawia się Adam Orzechowski. – Aby to zrobić należało pochylić się do przodu. Gdy stracił przytomność mógł oprzeć się o drążek sterowy i uderzyć o ziemię...

33-letniego kpt. Dolińskiego pochowano najpierw w rodzinnym Zelgnie, a po ekshumacji dokonanej na prośbę żony, na cmentarzu w Nowym Mieście nad Pilicą.

– Wypadków było wtedy sporo, a o migach mówiono, że to „producenci wdów” – dodaje Adam Orzechowski. – Mimo tego, że samolot był sprawny, to zawsze doszukiwano się winy po stronie technicznej. Kpt. Doliński był rzeczowy, konkretny, wiedział, czego chce. W Debrznie żyliśmy jak jedna wielka rodzina. Ta generacja pilotów była bardzo serdeczna, życzliwa. Świetnie się z nimi współpracowało. Nie dawali po sobie odczuć, że to oni są lotniczą elitą wojska.

**Przemysław Zieliński**

*(Artykuł ukazał się w magazynie „Nasza Historia”,  
specjalnym dodatku „Dziennika Bałtyckiego”)*

## Koronowane głowy i książęta na tczewskim dworcu

Gdy w 1852 r. na tczewskie perony zawitał pierwszy pociąg i w 1857 r. wybudowano most przez Wisłę, żelazna droga otworzyła naszemu miastu okno na świat. Do 1866 r. linia z Berlina do Królewca przez Tczew była jednym z dwóch międzynarodowych połączeń z Cesarstwem Rosyjskim. Jeszcze bardziej europejski stał się dworzec tczewski od 1896 r., kiedy zaczął kursować „Nord-Express” relacji Paryż–Berlin–Poznań–Tczew–Królewiec–Tallin–Petersburg.

Między członkami europejskich rodów królewskich panowały ściśle powiązania rodzinne. Kuzyni często się odwiedzali korzystając z nowego środka komunikacji, jakim była kolej. Pociąg stał się ulubionym środkiem transportu koronowanych głów, które często podróżowały wytwornymi salonkami, dołączanymi do podstawowego składu. W Tczewie zatrzymywały się największe osobistości i najzaciejsi goście, a nasz dworzec kolejowy, jeden z najokazalszych w tamtych latach, gościł w swych progach wielu z tak znamienitych podróżnych. W dworcowej restauracji i salonach dla pasażerów rozbrzmiewał obcojęzyczny gwar.

O wizytach znamienitych podróżnych na tczewskim dworcu donosił tczewski korespondent „Pielgrzyma”. W numerze z 3 sierpnia 1880 r. pisał

(ortografia oryginalna): „29 lipca przed południem przejeżdżali kurierem członkowie poselstwa chińskiego w drodze z Berlina do Petersburga przez dworzec nasz. Zajmowali oni osobny wagon salonowy i w Tczewie dwóch panów tylko na kawę wyszło.”

Natomiast 1 marca 1881 r. informował, że 24 lutego 1881 r. wieczorem przejeżdżał kurierem do Berlina rosyjski książę Aleksy Aleksandrowicz z Petersburga, udający się w licznym towarzystwie na ślub księcia Wilhelma. W dniu 19 maja 1883 r. korespondent donosił, że w drugie święto Zielonych Świątek przejeżdżał dziennym pociągiem kurierowym książę duński Waldemar – brat carowej Marii Fiodorowny Romanowej, który podążał do Petersburga na koronację. Miała się ona odbyć 27 maja 1883 r. Kolejnymi znamienitymi podróżnymi byli wielki książę rosyjski Włodzimierz z małżonką, którzy 14 listopada 1883 r. przejeżdżali przez Tczew do Petersburga.

22 maja 1884 r. korespondent informował, że w piątek rano (16 maja) przejeżdżał pociągiem kurierowym do Petersburga książę pruski Wilhelm, najstarszy syn następcy tronu. Na peronie witali go prezes rejencji gdańskiej Rothe i komenderujący generał von Godberg. 24 maja 1884 r. przez tczewski dworzec przejeżdżała carowa rosyjska udająca się do wód, czyli sanatorium – jak byśmy dzisiaj powiedzieli.

26 czerwca 1884 r. korespondent pisał: „W niedzielę wieczorem przejeżdżali tu z Petersburga król grecki z królową (królem tym był Jerzy I – brat carowej Rosji, a żoną Olga Konstantinowna Romanowa – przyp. red.) i zatrzymali się kwadrans na tutejszym dworcu. Ten był zamknięty, ale wielu kupiło sobie bilet czwartej klasy, aby móc tam być i królewską parę z bliska zobaczyć.”

23 października 1884 r. korespondent „Pielgrzyma” poinformował, że mury restauracji dworcowej gościły wielkie osobistości. W sobotę wieczorem książę pruski Wilhelm i arcyksiążę austriacki Rudolf zjedli na dworcu kolację. Arcyksiążę obiecał, że pojawi się znowu w lepszej porze i wtedy też odwiedzi Gdańsk.

W niedzielę 3 maja 1885 r. wieczorem przejeżdżał przez Tczew książę pruski Fryderyk Karol w drodze na polowanie w Prusach Wschodnich. Możemy się domyślać, że księciu pruskiemu Wilhelmowi smakowało

jedzenie podawane w dworcowej restauracji, ponieważ w drodze do Królewca 28 maja 1885 r. spożył na tutejszym dworcu śniadanie. Restauratorem był dostawca nadworny Hauer, obchodzący w 1885 r. 25. rocznicę „zawadowania tym zyskownym interesem.” 3 czerwca 1885 r. następca tronu przejeżdżał pociągiem kurierowym do Królewca, gdzie pułk jego imienia obchodził 25. rocznicę założenia. Powitali go naczelny prezes (nadprezydent Prus Zachodnich) von Ernsthausen, prezes rejencji Rothe i inni wyżsi urzędnicy. Jak zauważył czujny korespondent „Pielgrzyma”, czarno ubrana dama wręczyła następcy tronu jakąś prośbę pisemną.

Informacje o wizycie na tczewskim dworcu bądź przejeździe przez Tczew znacznych osobistości pojawiały się także w innych regionalnych gazetach. I tak „Gazeta Toruńska” w 1880 r. informowała dość lakonicznie, że 23 sierpnia rano przejeżdżał przez tutejszy dworzec carewicz rosyjski Aleksander z żoną „przybywając z Petersburga”. Ta sama gazeta uzupełniła wiadomość „Pielgrzyma” z maja 1883 r. o pobycie duńskiego następcy tronu Waldemara, brata carowej, który na dworcu „posilił się kawą w pokoju królewskim”

„Przyjaciół – pismo dla ludu” w numerze 93 z 1887 r. zwrócił uwagę na zachowanie szczególnych środków ostrożności podczas przejazdu przez nasze miasto pociągu z carem, jego żoną i dziećmi: *„Wojskiem obstawiono dworce i całą drogę, którądy car przejeżdżał”*. W „Gazecie Toruńskiej” z 7 czerwca 1888 r. pojawiła się informacja o przyjeździe następcy tronu Wilhelma: *„Książę przybył w sobotę o godzinie 9.30 rano do Tczewa i zjadł tamże w salonie królewskim dworca kolejowego śniadanie (...)”*. Następnie książę udał się do Malborka, skąd w towarzystwie hrabiego Dohna ze Słobit, landrata Döhringa i inspektora robót wodnych parowcem popłynęli do Jonasdorf (obecnie Janówki) obejrzyć straty poniesione podczas marcowej powodzi.

O kolejnym przejeździe przez Tczew carskiej pary donosiła „Gazeta Warszawska” 18 października 1889 r. *„Najjaśniejsze Państwo wczoraj w południe przybyli tutaj i po krótkim przystanku udali się w dalszą drogę do Petersburga.”* Zaś „Gazeta Toruńska” w numerze 240 poinformowała, że carska para spotkała się w Gdańsku. Car koleją pomorską przybył z Meklemburgii, a caryca z dziećmi przyплыła z Kopenhagi na statku „Dzierżawa”.

Z lektury „Gazety Toruńskiej” z maja 1890 r. możemy dowiedzieć się o katastrofie na tczewskim dworcu, poprzedzającej przejazd przez Tczew cesarsko-niemieckiej pary. We wtorek 13 maja 1890 r., o godz. 22.37, na tczewski dworzec przyjechał pociąg kurierski z Gdańska. Skład miał zatrzymać się na ślepych torze zakończonym zagięciem szyn oraz murem i wałem ziemi. Jednak, zamiast wyhamować, pociąg uderzył w zabezpieczenie, wjechał na peron i przebił się przez mur dworca i kolejne pomieszczenia. Zniszczenia usuwano przez całą noc, walczono też z pożarem pierwszego piętra. O godz. 5.00 rano przyjechał pociąg ze Śląska z cesarzem Wilhelmem II, a po nim drugi, który z Berlina przywiózł cesarzową Augustę Wiktorię. Oba składy połączono szybko w jeden, po czym pociąg odjechał do Królewca. *„W Tczewie nikt z dworu cesarskiego nie wysiadł i nawet oknem nie wyrżał, a więc nic się też o tem wypadku nie dowiedział ni cesarz, ni ktokolwiek z jego otoczenia”* – podawała prasa.

Do kolejnego przejazdu cara i jego świty doszło w październiku 1891 r. Jak pisał „Tygodnik Ilustrowany”: *„Dnia 19.10 (31.10) car, carowa, dzieci, król i królowa Duńscy i księżna Walii z dwiema córkami na jachcie „Gwiazda Polarna” przybyli z Danii do Gdańska”*. Tam wsiedli do carskiego pociągu i przez Tczew i Królewiec udali się na Krym. O zachowaniu szczególnych środków ostrożności przy przejeździe cesarskiej świty pisała 4 listopada 1891 r. „Gazeta Toruńska”: *„Nawet berlinki dopływające musiały się pod mostami stanąć. Dla jednego szkuciarza z Bydgoszczy, który rozkazami żołnierza, aby berlinkę zatrzymał, zaraz nie usłuchał, byłoby bez mała to nieposłuszeństwo pociągnęło tragiczne skutki, ponieważ żołnierz do niego strzelił, ale go chybił”*.

17 lutego 1906 r. na łamy „Gazety Toruńskiej” trafiła wzmianka o przejeździe przez Tczew pociągu nadzwyczajnego, w którym wielka księżna Ksenia, wielki książę Aleksandrowicz i wielka księżna Olga, udawali się na pogrzeb zmarłego duńskiego króla Chrystiana. *„Pociąg zatrzymał się tu 9 minut, poczem ruszył dalej. Na powitanie dostojnych gości przybył z Gdańska rosyjski generalny konsul Ostrowski”*.

„Słowo Pomorskie” w październiku 1930 r. poinformowało o przejeździe przez Tczew japońskiej pary – księcia Takamatsu Nobuhito (brata cesarza



Japonii) i jego żony – księżniczki Kikuko. „(...) *ale że to była wczesna pora, nikogo ze świty ani pary książęcej nie widziano*”.

W 1934 r. kolejni egzotyczni goście z Azji dwukrotnie w ciągu doby przejechali przez Tczew. Król Syjamu Prajadhipok z żoną królową Rambai Barni udawali się z wizytą do Hindenburga, przebywającego w swojej letniej rezydencji w Neudeck. Jak pisało „Słowo Pomorskie” 6 lipca 1934 r.: *„W czasie przejazdu przez terytorium Pomorza polskiego, syjamska para królewska nie opuszczała luksusowego wagonu sypialnego, którego okna były zasłonięte firankami”*.

Z przytoczonych informacji wynika, że Tczew odwiedziło wiele koronowanych głów europejskich i znamienitych gości, niektórzy z tak dalekich krajów jak Chiny, Syjam czy Japonia. Jest to kolejny przykład na to, ile Tczew zawdzięcza kolei, która pozwoliła, choć na chwilę, gościć na naszej ziemi królów, książąt i cesarzy.

**Opracowała Gabriela Burclaw**

# Morskie tradycje Tczewa

**Obchodzimy w tym roku 96. rocznicę utworzenia Szkoły Morskiej w Tczewie. To doskonała okazja do przypomnienia związków naszego miasta z morzem, które mimo odległości od wybrzeża, były szczególnie w latach 20. XX w. bardzo silne.**

Decyzja o stworzeniu Szkoły Morskiej w Tczewie wynikała z niekorzystnych postanowień traktatu wersalskiego dotyczących Gdańska, który nie został przyznany niepodległej Polsce, ale utworzono z niego i okolic twór zwany Wolnym Miastem. Tym samym państwo polskie zostało pozbawione największego portu w południowej części Bałtyku, który byłby naturalnym centrum naszej gospodarki morskiej. Splot tych okoliczności spowodował, że leżący nad Wisłą Tczew stał się idealnym miejscem na siedzibę Szkoły Morskiej.

Jak ważna była to placówka świadczy artykuł Zbigniewa Dębickiego z „Tygodnika Ilustrowanego” z 9 lipca 1921 r.: *„W dziedzinie naszych skromnych, rozpoczynających się dopiero stosunków z morzem jest to wydarzenie doniosłe. Naród polski, a przynajmniej ta jego część, która rozumie ogromne dla przyszłości gospodarczej Ojczyzny znaczenie żeglugi morskiej, z zadowoleniem przyjmie ten fakt do wiadomości. (...) Z tego posiewu wyrosła także Szkoła Morska w Tczewie, która ma kształcić marynarzy dla potrzeb polskiej floty handlowej. Od rozwoju tej floty zależy rozwój naszego handlu. Jeżeli Polska będzie miała dostateczną ilość okrętów pływających pod jej flagą, to*

*pomnożą się znakomicie jej bogactwa. Jeżeli zaś polski handel posługiwać się będzie tonażem obcym – to obcy zagarną te bogactwa dla siebie.”* Zbigniew Dębicki sporo miejsca poświęcił problemom Szkoły Morskiej, zwłaszcza w dziedzinie pomocy naukowych: *„Społeczeństwo polskie, a zwłaszcza jego sfery handlowe i przemysłowe, mają tu szerokie pole do współdziałania w dziele dopomożenia departamentowi spraw morskich do podniesienia Szkoły na wyższy poziom – czytamy w „Tygodniku Ilustrowanym”. – Sejm i jego komisja morska powinny zainicjować w tym kierunku szeroką akcję agitacyjną. Zakup instrumentów żeglarskich za granicą, co ze względu na stosunki walutowe przedstawia dzisiaj wielkie trudności, ufundowanie biblioteki szkolnej, utworzenie przy szkole gabinetu modeli okrętowych, odpowiednie zaopatrzenie i uposażenie pracowni fizycznej, chemicznej i elektrotechnicznej, zorganizowanie orkiestry szkolnej – oto najpierwsze i nieodzowne potrzeby. Bez należytego ich zaspokojenia szkoła nie będzie mogła należycie spełnić swoich zadań.”* Zakończenie tekstu Zbigniewa Dębickiego było bardziej optymistyczne: *„Polska tymczasem potrzebuje młodych, odpowiednio wykształconych marynarzy, którzy pod jej flagą handlową rozpocząć powinni jak najrychlej żeglugę, świadczącą o naszej obecności na morzu. Wybrzeże nasze jest małe, ale dość na niej miejsca na wielką ideę i, jeżeli potrafimy tę ideę odpowiednio postawić w opinii narodu, to przyszłe pokolenia z wdzięcznością będą wspominały o tych, co kładli pierwsze podwaliny pod rozwój polskiej potęgi morskiej.”*

Na siedzibę szkoły wybrano zbudowany w 1911 r. gmach szkoły żeńskiej, który podczas I wojny światowej przekształcony został w szpital wojskowy, następnie mieściły się w nim koszary niemieckich ochotniczych oddziałów wojskowych (Grenzschutz), a po powrocie Tczewa do Polski z obiektu korzystało Wojsko Polskie.

Na czele Szkoły Morskiej stanął kmdr inż. Antoni Garnuszewski (zamieszkał z rodziną przy ul. Sambora), absolwent Szkoły Morskiej w Odessie i Politechniki Petersburskiej, specjalista w zakresie budowy okrętów, który opracował i wydał drukiem pierwsze podręczniki fachowe w języku polskim: „Budowa okrętu” i „Teoria okrętu”. Szkoła posiadała

dwa wydziały – nawigacyjny, kierowany przez majora Gustawa Kańskiego oraz mechaniczny, prowadzony przez inż. Kazimierza Bielskiego. Program nauki obejmował oprócz matematyki, fizyki, chemii i astronomii, również znajomości nawigacji, mechaniki teoretycznej, budowy maszyn i okrętów, elektrotechniki oraz radiotelegrafii. W programie nauczania dużo miejsca poświęcono językom obcym – angielskiemu, francuskiemu, włoskiemu i niemieckiemu. Uczniowie wydziału nawigacyjnego praktyki odbywali na statku „Lwów”, a mechanicznego po 4 godziny dziennie spędzali w warsztatach, użyczanych przez tczewskich kolejarzy.

Przez 10 lat kształcili się u nas nawigatorzy i mechanicy okrętowi. Na wiosnę 1930 r. Szkołę Morską przeniesiono do Gdyni i przemianowano na Państwową Szkołę Morską.

Kolejnym przykładem związków Tczewa z morzem był plan budowy portu morskiego połączonego kanałem z Morzem Bałtyckim. Jego autorem był inżynier hydrotechnik Tadeusz Tillinger, pomysłodawca wielu innych śmiałych rozwiązań, z których realizacji doczekał się m. in. Kanał Żerański. Projekt portu morskiego wykorzystującego Wisłę jako połączenie z morzem, został oficjalnie przedstawiony w Sejmie w 1920 r., przez ministra robót publicznych Andrzeja Kędziora, który zlecił inż. Tadeuszowi Wendzie, późniejszemu budowniczemu portu gdyńskiego, zbadanie możliwości realizacji portu morskiego na lewym brzegu Wisły pod Tczewem.

*„Pogłębienie rz. Wisły do rozmiarów niezbędnych dla statków morskich za pomocą bagrowania jest technicznie niewykonalne i mogłoby być urzeczywistnione tylko za pomocą szluzowania rz. Wisły na przestrzeni między Tczewem i jej ujściem, co byłoby bardzo kosztowne i trudne do wykonania ze względu na wielkie zmiany poziomu wód, na rumowisko, jakie niesie Wisła, i na zimowe lody”* – pisał w 1922 r. w czasopiśmie „Przemysł i Handel” inż. Wenda.

Z pomysłu wykorzystania Wisły, jako połączenia portu z morzem, zrezygnowano, ale Tadeusz Wenda otrzymał w kwietniu 1920 r. polecenie sprawdzenia możliwości budowy kanału prowadzącego z Tczewa do Bałtyku przez terytorium Wolnego Miasta Gdańska.

*„Port w Tczewie pod względem technicznym, pomijając koszty, ma ten duży brak, że Tczew musi być połączony z morzem za pomocą głębokiego kanału morskiego długości 28 km, który podczas zimowych miesięcy stanowić będzie poważną przeszkodę dla żeglugi z powodu lodów – pisał inż. Wenda. – Pod względem gospodarczym projekt ten ma dużo zalet, Tczew leży bowiem bliżej środka kraju, niż Gdańsk, i leży nad Wisłą. Z morzem można połączyć Tczew dwojako: via Gdańsk, lub pozostawiwszy Gdańsk na zachód od kanału w 8–10 km. Tylko połączenie Tczewa z morzem via Gdańsk można uważać za możliwe, gdyż bezpośrednie połączenie z morzem kwestionowałoby w ogóle egzystencję Gdańska, która oparta jest na polskim hinterlandzie.”*

Tadeusz Wenda stwierdzał jednak, że nie zna przykładu, aby za pomocą kanału morskiego łączono miejscowość leżącą w głębi lądu w sytuacji, gdy obok niego znajduje się już istniejący port morski i duże miasto, jakim jest Gdańsk.

*„Przyjmując to wszystko pod uwagę i mając na względzie opłaty portowe, jakie musielibyśmy tak czy inaczej ponosić w porcie gdańskim, oraz pewne trudności żeglugi w kanale, być może cały ten projekt nie doprowadziłby nas do celu, tj. do osiągnięcia oszczędności na frachtach, a przyczyniłby nam dużo kosztów i wielkich trudności ze strony Wolnego Miasta i Ligi Narodów. Projekt portu w Tczewie ma jeszcze jedną złą stronę, oddala nas od rzeczy realnych i zwraca siły i energię w stronę zajmowania się już obecnie sprawami, które należą do przyszłości” – konkludował inż. Wenda.*

Tadeusz Wenda optował za budową nowego portu w Gdyni. I choć inwestycja ta ruszyła już rok później, wciąż nie brakowało osób, które twierdziły, że Tczew byłby lepszą lokalizacją. Gorącym orędownikiem tej koncepcji był wykładowca Szkoły Morskiej w Tczewie, pierwszy prezes Polskiego Związku Żeglarskiego i aktywny działacz Ligi Morskiej i Rzecznej, prof. Józef Klejnot-Turski. Poglądy prof. Klejnot-Turskiego przedstawia informacja zamieszczona w kalendarzu na rok 1923 „Żeglarza Morskiego”, czasopisma o tematyce morskiej, którego był wydawcą: „13 grudnia (1922 r. – dop. red.) ukonstytuowało się w Tczewie towarzystwo propagandy budowy

*kanalu morskiego do Tczewa, w celu przygotowania opinii, jak w kraju, tak i zagranicą, celem jak najprędzej realizacji tego projektu.”*

Zdaniem prof. Klejnot-Turskiego przykładami, na których powinna wzorować się Polska, są porty w Gandawie, Londynie, Brukseli i Antwerpii: *„Chociaż byśmy mieli największe prawa w Gdańsku, kanał ten jest potrzebny, bo koniecznie należy przybliżyć port morski do kraju, jak to widzimy na przykładzie Londynu (70 km od morza) i wszystkich portów handlowych niemieckich. Tylko Gdańsk nie był wciągniętym w głąb kraju portem i ten błąd musimy poprawić dla dobra i przyszłości Polski.”*

Towarzystwo poinformowało także, że zakłada swoje oddziały w Gdańsku, Warszawie, Toruniu i Poznaniu. Zamierzało także lobbować za ideą budowy portu morskiego w Tczewie nawet w Stanach Zjednoczonych. Jak pokazała historia – bezskutecznie. W Tczewie powstał bowiem tylko port morsko-rzeczny, którego lata świetności przypadały na okres 1926–1928.

Powyższe przykłady pokazują, że Tczew, jak na miasto oddalone od wybrzeża, ma całkiem spore tradycje morskie. Sympatycy portalu Dawny Tczew upamiętniają je co roku, kiedy w rocznicę utworzenia Szkoły Morskiej wieszając banderę na pomniku – maszcie na osiedlu Antoniego Garnuszewskiego.

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Przemysław Zieliński**

# Niebezpieczna ochrona cara

**Na przełomie XIX i XX w. przez nasze miasto przejeżdżały liczne pociągi przewożące monarchów i władców. Nie zawsze jednak mieszkańcy i pozostali podróżni mogli oglądać na tczewskim dworcu koronowane głowy. Czasami pociągi znajdowały się pod szczególną ochroną, która nie dopuszczała ciekawskich w ich pobliże. W jednym przypadku nadgorliwość żołnierzy nieomal zakończyła się tragedią, a cała sytuacja odbiła się szerokim echem, nie tylko na ziemiach polskich.**

W listopadzie 1891 r. car rosyjski Aleksander III wraz z rodziną odwiedził w Berlinie cesarza niemieckiego Wilhelma II. Szczegóły wizyty podała wychodząca w Toruniu gazeta „Przyjaciół”. Naprzeciw cara wyjechał wnuk cesarza niemieckiego wraz z feldmarszałkiem Moltkiem i przywiózł go do Berlina po godz. 10.00 rano w piątek. Cesarz niemiecki czekał na swego gościa w pałacu rosyjskiego poselstwa. Tam się powitali i mieli naradę, po której car zrewanżował się wizytą cesarzowi w jego pałacu. Władcę Rosji odwiedził również Bismarck, z którym car przeprowadził 45-minutową rozmowę. Po tej naradzie odbył się uroczysty obiad, podczas którego zarówno ambasador rosyjski, jak i następca rosyjskiego tronu, późniejszy car Mikołaj II, otrzymali najwyższe pruskie odznaczenie Order Czarnego Orła. O 10.00 wieczorem car z rodziną z Berlina wyjechał i przez Chojnice, Tczew i Królewiec wrócił do domu. Całej podróży towarzyszyły szczególne środki ostrożności, które



nie mogą dziwić, ponieważ ojciec cara Aleksander II został zamordowany przez zamachowców. W Berlinie postawiono na nogi całą policję, a dworce i drogi, którymi przejeżdżał car, obstawiono wojskiem. Ochronę uzupełniała znaczna liczba niemieckich i rosyjskich tajniaków. Mimo to dwóch Rosjan wyrwało się z tłumu i wręczyło carowi pisemną prośbę, ale natychmiast zostali aresztowani. Również dworzec i most oraz cała droga z Tczewa do Malborka obsadzone były wojskiem. To właśnie przy moście miał miejsce incydent, który zbulwersował ówczesną prasę.

Jak podawała „Gazeta Toruńska” z 4 listopada 1891 r., około godz. 11.00 rano przejechał przez Tczew pociąg wiozący bagaże i służbę carską, a godzinę po nim pociąg carski składający się z 20 wagonów ciągniętych przez dwie lokomotywy. Pół godziny przed jego przyjazdem zamknięto dworzec kolejowy i wszystkie dojścia do niego, a wojsku wydano ostre naboje. Zakaz poruszania się obejmował również statki płynące Wisłą, które musiały przed mostami stanąć. Jeden z kapitanów barki z Bydgoszczy, tzw. berlinki, nie posłuchał rozkazu żołnierza z mostu, więc ten oddał w jego kierunku, na szczęście niecelny, strzał. Z kolei gazeta „Katolik” z 17 listopada 1891 r. podaje, że żołnierz strzelał do jednego z rybaków, który za bardzo zbliżył się do mostu. Artykuł kończy się retorycznym pytaniem: „Czy życie poddanego pruskiego mniej by miało ważyć, jak zachcianki samodzierżcy rosyjskiego?”

Dalszego przebiegu sprawy oraz więcej szczegółów dowiadujemy się z prasy... nowojorskiej. „The Sun” z 9 listopada 1891 r. pisze o tym, że dziwne środki zapobiegawcze podjęte podczas podróży cara przez Niemcy staną się przedmiotem dyskusji posłów w następnym zebraniu Reichstagu, na temat wprowadzania rosyjskich metod w Niemczech. Przypadek, którego debata ta będzie dotyczyć, wiąże się z działaniem oddziału strzegącego mostu w Tczewie. Oddziałowi uprzednio rozkazano, by trzymać na odległość każdego, nawet żeglarzy udających się do swych statków przy nabrzeżach. Kapitan Gustav Lubke nie był w stanie zrozumieć dawanych mu sygnałów, kiedy zbliżał się do mostu i został ostrzelany. Choć nie został zraniony, złożył publiczne zażalenie na lekkomyślność żołnierzy, którzy strzelali bez dania mu zrozumiałego ostrzeżenia, a jego przypadek został

omawiany przez wszystkie północnoniemieckie dzienniki o liberalnych tendencjach.

Dzięki informacjom o tym wydarzeniu udało nam się ustalić inny, historyczny fakt. Najprawdopodobniej to car Aleksander III był pierwszą znaczną osobistością podróżującą po nowym moście kolejowym. O jego otwarciu pisała „Gazeta Toruńska” z 30 października 1891 r.: *„W dniu wczorajszym oddany został nowy most kolejowy do użytku. Pociąg wychodzący z Malborka o godz. 8 min 20, a przychodzący do Tczewa o godz. 8 min 47”*. Car przejeżdżał po nim zaledwie 5 dni później.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Odkrywca Troi kontrabandzistą w Tczewie

**Tocząca się w latach 1853–1856 wojna krymska, jak każdy z nowożytnych konfliktów, stanowiła dla kupców doskonałą okazję na niemały zarobek przy dostawach dla wojska.**

Tym bardziej, że zaatakowana przez koalicję Wielkiej Brytanii, Francji, Sardynii i Imperium Osmańskiego Rosja została objęta embargiem. Angielska flota zablokowała cieśniny duńskie, uniemożliwiając dostawy towarów potrzebnych do prowadzenia wojny oraz rosyjski eksport. Mimo że Prusy nie wystawiły armii przeciwko swojemu wielkiemu sąsiadowi, Berlin zdecydował się zablokować tranzyt do Rosji. Tak narodził się czarny rynek, a z możliwości wzbogacenia się na nielegalnej wymianie postanowił skorzystać między innymi pewien pochodzący z Meklemburgii przedsiębiorca...

Heinrich Schliemann, bo o nim mowa, na początku lat 50. XIX stulecia – dzięki udanej działalności w Rosji i Stanach Zjednoczonych – był już majątnym człowiekiem. Posiadał także obywatelstwo rosyjskiego imperium. Jednym z miast, w którym składował swoje towary przeznaczone na rynek rosyjski, był Tczew, nowy węzeł kolejowy na linii Berlin–Królewiec, dogodnie położony do prowadzenia handlu ze Wschodem. Schliemann zaopatrywał Rosjan w azotany, używane w produkcji materiałów wybuchowych, siarkę oraz ołów. W styczniu 1855 r. Schliemann zanotował:

*„Prowadzę obecnie olbrzymie kontrakty na dostawy dla (rosyjskiego) Departamentu Artylerii i w samym Tczewie nad Wisłą składuję... ponad milion funtów towarów”. Kupiec nie miał żadnych skrupułów przed prowadzeniem kontrabandy: „Póki trwa (ta) wojna, nie ma chyba możliwości aby oderwać mnie od mamony” – zanotował w innym miejscu.*

Heinrich Schliemann oczywiście nie przeszedł do historii jako skuteczny rosyjski kontrabandzista. Zasobność jego portfela pozwoliła mu w końcu oddać się przedsięwzięciu, o którym marzył od dzieciństwa – poszukiwaniom Troi. I choć znalezione przez Niemca starożytne miasto nie jest dzisiaj identyfikowane z Troją Homera, Schliemann – odkrywając jeszcze między innymi Mykeny i pałac w Tirynsie – stał się jednym z najsłynniejszych archeologów w historii.

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

## Ofiary Wisły

**Na początku XX w., jak i przez cały okres międzywojenny, brzeg Wisły był najpopularniejszym miejscem letniego wypoczynku mieszkańców Tczewa. Jak pisał Edmund Raduński w jednodynówce „Dziesięć lat w służbie krzyża i orła białego 1929–1939”: „Rzucamy corocznie wianki, ten i ów przejedzie się statkiem do Gorzędziewa, ten się pokąpie, ów potopi, lato się skończy, a następnego roku to samo od nowa Macieju.”**

Jak widać, śmierć w nurtach Wisły nie była niczym niezwykłym, a ówczesna prasa obfitowała w wiele artykułów opisujących tragedie rozgrywające się nad królową polskich rzek.

„Kurier Bydgoski” z 24 czerwca 1939 r. informował o trzech utonięciach, które miały miejsce tego samego dnia. Śmierć w nurtach rzeki znaleźli 9-letni Edward Brucki, będący na urlopie 19-letni uczeń szewski Jan Mikusiński oraz 12-letni Babiński, zamieszkały przy ul. Wąskiej. Ten ostatni nie umiejąc pływać, brodził w wodzie. W pewnej chwili stracił grunt pod nogami i zaczął tonąć. Ponieważ nie wzywał ratunku, dopiero kiedy ukazał się na powierzchni po raz trzeci kilku pływaków pospieszyło mu na pomoc. Niestety nie zdołali mu pomóc i dopiero wezwani rybacy po 15 minutach znaleźli nieszczęsnego chłopca. Mimo zastosowania przez lekarza sztucznego oddychania nie zdołano przywrócić mu życia.

Wisła była punktem docelowym dla wielu osób chcących odebrać sobie życie. „Gazeta Toruńska” z 19 maja 1911 r. informowała o wyłowieniu z Wisły w okolicach Tczewa zwłok młodej kobiety. Okazała się nią być 24-letnia Reichenstein z Charlottenburga, która wyjechała z przyjaciółką do Torunia oświadczając, że mają... zamiar się utopić. Jak donosiła „Gazeta Toruńska” z 12 maja 1911 r.: *„Dziewiętnastoletnia Alfreda Poprawa z Szarlottenburga i 24-letnia jej przyjaciółka znikły od kilku dni bez wieści i śladu. Oświadczyły one, że wyjeżdżają do Torunia, ażeby utopić się we Wiśle. Ktoby o pobycie dziewczyn tych coś wiedział, niechaj uwiadomi o tym policję gru-dziądzką”*. Dwa dni później ta sama gazeta informowała, że znaleziono na brzegu Wisły ciało młodej dziewczyny i, jak udało się ustalić na podstawie rysopisu, topielcem była Alfreda Poprawa. 16 maja podano do wiadomości nazwisko drugiej dziewczyny. Odkrycie zwłok Reichenstein zostało przez „Gazetę Toruńską” skwitowane stwierdzeniem: *„Obie dziewczyny zatem samobójczy zamiar swój spełniły.”*

Nie zawsze odebranie sobie życia kończyło się tragicznie. Jak informowała lokalna prasa z okresu międzywojennego, na przeszkodzie w realizacji zamiaru mógł stanąć wiślany rybak. *„Dnia 16 bm. usiłowała 15-letnia córka niższego urzędnika pocztowego S. skoczeniem do Wisły zakończyć życie, atoli rybak Gobert spostrzegł ją dość wcześnie i wyratował. Podobno złe obejście ze strony macochy popchnęło ją do tego rozpaczliwego kroku.”* Nie wszyscy niedoszli samobójcy okazywali wdzięczność za uratowanie życia. Przykład nietypowej determinacji możemy poznać dzięki „Gazecie Gdańskiej” z 16 września 1909 r. *„Do Wisły w celu utopienia się wskoczył handlarz Ludwik Goldschmidt. W pobliżu łódką płynący uczniowie Klawon i Zehrt, wyciągnęli niedoszedłego samobójcę z wody, pomimo zacieklego oporu, jaki stawiał.”*

Ofiarami Wisły zdarzały się być osoby w przededniu wstąpienia na nową drogę życia. „Gazeta Sępoleńska” z 1937 r., opisuje pod wymownym tytułem *„Mydło powodem tragiczniej śmierci”* wypadek, jaki spotkał zamieszkałego przy ul. Wiejskiej 27-letniego Feliksa Walkowskiego. Kilka dni przed swoim ślubem postanowił się opalić nad brzegiem Wisły. W pewnym momencie

zbliżył się do rzeki, aby umyć ręce. Podczas mycia wyślizgnęło mu się mydło, które wpadło do wody. Walkowski chciał je złapać, ale stracił równowagę i wpadł głową do Wisły. W tym miejscu znajdował się głęboki na 6 metrów dół i mimo niezwłocznej akcji ratunkowej nie udało się go uratować, ani nie natrafiono na jego zwłoki.

„Gazeta Gnieźnieńska” z 21 sierpnia 1921 r. napisała o strasznym wypadku na rzece pod Czyżykowem: *„Kilka panienek poszło kąpać się do Wisły, dwie z nich, Gertruda Mueller i Marja Smuczyńska, dostały się w jakieś topielisko i poszły na dno, zanim zdołano im przyjść z pomocą. Zwłoki Muelle-równy wypłynęły w następnym dniu w pobliżu jakiegoś parowca, zwłoki Smuczyńskiej wypłynęły w piątek wieczorem. Wypadek jest tern bolesniejszy, że Smuczyńska miała wkrótce wyjść za mąż”*.

„Orędownik Ostrowski” z 18 października 1929 r. w tekście pt. „Utonęła na oczach ojca i narzeczonego”, opisał inny tragiczny wypadek. Około 4.00 po południu znany miejscowy kupiec Jan Górski ze swą narzeczoną, 22-letnią Małgorzatą Freyer, wybrali się na przejażdżkę łodzią po Wiśle. W pewnej chwili łódź z nieznanych powodów przewróciła się i para naręczonych znalazła się w wodzie. Górski, który umiał pływać, chwycił swoją narzeczoną, ale ze względu na wartki prąd nie mógł dopłynąć do brzegu. Widząc to, znajdujący się w pobliżu niejaki Paweł Gobert, wypłynął łodzią w kierunku tonących. Górski niestety stracił szybko siły i wypuścił z rąk narzeczoną, która natychmiast utonęła. Młodego kupca udało się uratować. Wypadek wydarzył się na oczach ojca dziewczyny, który obserwował przejażdżkę naręczonej pary.

„Goniec Nadwiślański” z 24 lipca 1926 r. opisał wypadek, jaki miał miejsce 19 lipca pomiędzy godziną 16.00 a 17.00. W Wiśle utonął mieszkający na Suchostrzygach 17-letni uczeń piekarski Franciszek Kreft z piekarni Tornow przy ul. Pocztowej. Chłopak umiał pływać, więc wypłynął poza obszar kąpieliska. Dostał się w silny nurt, który prawdopodobnie spowodował zsuniecie się stroju kąpielowego na nogi i uniemożliwienie pływania. Na pomoc skoczyła mu jakaś dziewczyna, ale że sama nie umiała pływać, to ją najpierw trzeba było ratować. Nikt Kreftowi z pomocą przyjść już nie zdążył.



Jeszcze bardziej bulwersujący przypadek opisało „Słowo Pomorskie” z 26 października 1933 r. „Starogardzki Sąd okręgowy rozpatrywał na sesji wyjazdowej w Tczewie ponurą sprawę świadomego nieudzielenia pomocy tonącym. W dniu 10 lipca br. w czasie kąpieli w Wiśle w Tczewie, w oddale-  
niu około 5 m od brzegu, począł tonąć 15-letni Kuśnierz Edmund. Koledzy  
jego widząc rozpaczliwą walkę Kuśnierza, a nie umiając pływać, zwrócili się  
do łowiących ryby kolejarza Józefa Mikołajczyka i robotnika Szulca Juliana,  
o podanie tonącemu Kuśnierzowi wędki, co niewątpliwie przyczyniłoby się do  
uratowania tonącego. W odpowiedzi na prośby rybacy oświadczyli, że wędka  
kosztuje 1,50 i odmówili udzielenia pomocy. W tej chwili skoczył tonącemu  
na ratunek 23-letni Kazimierz Bytoniec ze Lwowa, który nie umiając pływać,  
znalazł wraz z Kuśnierzem śmierć w nurtach Wisły. Sąd po rozpatrzeniu  
sprawy skazał Szulca i Mikołajczyka każdego na 6 tygodni aresztu z zawie-  
szeniem kary na lata.”

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Otwarcie Mostu Tczewskiego

**12 października obchodziliśmy kolejną rocznicę oddania Mostu Tczewskiego do użytku. W 1857 r. przejechał po nim pierwszy pociąg, a uroczystość uświetnić miał swoją obecnością król pruski Fryderyk Wilhelm IV. Okazało się, że król do Tczewa nie przyjechał, a pociąg, który tego dnia pokonał trasę do Malborka, wcale nie był pierwszym na nowym moście.**

Oddanie do użytku obiektu mostowego poprzedzają próby wytrzymałościowe. 20 października 1855 r. wykonano w Tczewie obciążenie próbne dwóch środkowych przęseł mostu. Po usunięciu stemplowania stwierdzono ugięcie o pół cala, które ustąpiło po odciążeniu. Nie odbiegało ono od obliczeń teoretycznych inżyniera Schinza, który niestety nie dożył do testu. 8 października 1855 r. zmarł na apopleksję prawdopodobnie w związku ze stresem przed próbą wytrzymałości konstrukcji. Obciążenia statyczne były wstępem do prawdziwego testu, jaki most przeszedł pod koniec sierpnia 1857 r. Wjechał na niego pierwszy pociąg – lokomotywa ciągnąca 39 załadowane po brzegi wagony towarowe. Pociąg przejechał przez most trzy razy, za każdym razem w innym tempie – wolno, szybciej i z maksymalną prędkością. Most Tczewski zdał test bez najmniejszego problemu.

Pierwszy pociąg oficjalnie przejechał przez most 12 października 1857 r. jednak bez zapowiadanej obecności króla. Przyczyną absencji Fryderyka Wilhelma IV była choroba. Król cierpiał na miażdżycę tętnic mózgowych, choć

w dziesiątkach źródeł mówi się wprost o chorobie psychicznej. Apogeum dolegliwości miało miejsce pomiędzy 8 a 27 października. Już 23 października 1857 r. regencja znalazła się w rękach brata króla, późniejszego cesarza Wilhelma I. Zanim do tego doszło, Fryderyk Wilhelm IV wziął udział w innym wydarzeniu związanym z rozwojem pruskiej kolei, które odbyło się dokładnie w ten sam dzień co otwarcie Mostu Tczewskiego. 12 października w Gorzowie Wielkopolskim oddano do użytku linię kolejową wraz z dworcem. Dlaczego król wybrał Gorzów, a nie otwarcie mostu, które miało o wiele większą rangę? Wydaje się, że chory król wybrał lokalizację bliższą Berlinowi, a obecność na uroczystości miała zaprzeczyć pogłoskom o jego krytycznym stanie. Nie wiemy, czy król planował obecność również na otwarciu mostu w Tczewie, ale kiepski stan zdrowia i panująca w Gdańsku epidemia cholery mogła go ostatecznie zniechęcić.

Mimo nieobecności króla w tym historycznym dniu, na moście pojawiła się informacja dokumentująca otwarcie mostu. Brama wjazdowa portalu od strony Tczewa została ozdobiona płaskorzeźbą, która przedstawia Fryderyka Wilhelma IV w otoczeniu ministrów, budowniczych mostu i rodziny królewskiej z opisem „Pod rządami Fryderyka Wilhelma IV 27 lipca 1851 rozpoczęto i 12 października 1857 dla ruchu otworzono”. Płaskorzeźba została zdemontowana przez władze polskie w 1929 r., a 10 lat później część otwartej w 1857 r. konstrukcji została wysadzona przez broniących mostu polskich żołnierzy.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Pierwsza polska bitwa

**23 lutego minęła kolejna rocznica bitwy o Tczew, stoczonej pomiędzy Prusakami, a wojskami napoleońskimi w 1807 r. Dlaczego była ona tak ważna, że sam Napoleon nazwał ją „pierwszą polską bitwą”?**

Cesarz Francuzów Napoleon Bonaparte w 1806 r. stanął przed kolejnym wyzwaniem w swojej długiej i spektakularnej karierze wojskowej. Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii nie ustawało w trudach tworzenia kolejnej koalicji antynapoleońskiej. Dzięki skutecznej dyplomacji i odpowiedniemu zastrzykowi finansowemu udało się zawiązać IV Koalicję Antyfrancuską, w skład której weszły, oprócz inicjatora, także Królestwo Prus i Imperium Rosyjskie. Pretekstu do jej powstania dostarczył sam Napoleon, tworząc z zależnych państw niemieckich 12 lipca 1806 r. Związek Reński, co zakończyło osiemsetletnią historię zdominowanej przez Prusy I Rzeszy Niemieckiej. Cesarz Francuzów, z charakterystyczną dla siebie śmiałością, nie czekając na ruch wroga zaatakował Królestwo Prus. 14 października wojska francuskie w dwóch bitwach – pod Jeną i Auerstedt – rozgromiły armię pruską, po czym zajęły Berlin. Król pruski Fryderyk Wilhelm III uciekł do Królewca oczekując na pomoc wojsk rosyjskich. Wojska napoleońskie w szybkim tempie zbliżały się do dawnych ziem polskich, zagarniętych przez Prusy w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej.

Po zajęciu Wielkopolski wkroczyły do Warszawy i skierowały się na północ, gdzie Prusacy bronili się przy pomocy wojsk rosyjskich. 8 lutego 1807 r. doszło do niezwykle krwawej, nierozstrzygniętej bitwy pod Iławą Pruską, po której obie strony w dużej mierze wyczerpały możliwość prowadzenia większych działań wojennych. Napoleon zdecydował o skierowaniu armii na wypoczynek na tzw. zimowe leża, ale jednocześnie postanowił o zdobyciu będącego wciąż pod panowaniem pruskim Gdańska. Dzięki temu, ponownie po wielu latach na karty historii powróciło wojsko polskie.

Napoleon, jako zręczny polityk, postanowił wykorzystać kartę polską w toczącej się wojnie. Wydał proklamację wzywającą Polaków do walki z zaborcą, a także rozkazał utworzenie oddziałów polskich. Pierwotnie miał je nadzorować Tadeusz Kościuszko, ale po jego odmowie sprawy przeszedł w ręce znanych z kampanii włoskiej Jana Henryka Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego.

Przystąpiono do formowania trzech oddziałów tzw. Legii, do której rekrutowano mieszkańców Wielkopolski, a także jeńców z armii pruskiej. Największą bolączką oddziałów były braki w wyposażeniu i słabe wyszkolenie nieobytych z wojną żołnierzy. Mimo to, zostały włączone do korpusu marszałka François Josepha Lefebvre'a i wysłane w kierunku Gdańska. Gen. Dąbrowski otrzymał rozkaz oczyszczenia zachodniego brzegu Wisły z Prusaków oraz miał zdobyć Tczew.

Do końca stycznia zajął Chojnice, Tucholę i Gniew. Starcia zdemoralizowanej armii pruskiej z oddziałami polskimi obfitowały w wiele kuriozalnych wydarzeń. 27 stycznia 1807 r. Prusacy odbili Starogard z rąk polskich i wzięli do niewoli jedną z kompanii Legii Północnej. Jeńców odbił pułk jazdy pułkownika Dziewanowskiego, który wykorzystał fakt, że oficerowie pruscy zbyt mocno opili zwycięstwo i nie byli w stanie dowodzić żołnierzami. Polska jazda nie tylko uwolniła kompanię kapitana Bystrama, ale sam wzięła do niewoli dwie kompanie piechoty, dwa działa i kilkudziesięciu jeźdźców, po czym udała się do niebronionego Tczewa. Pułkownik Dziewanowski rozkazał umieścić jeńców w ratuszu, a ich broń ustawić w kozły na rynku. Wystawiono tylko lekkie straże przy ratuszu i przy głównej miejskiej bramie, pozostałych

bram i furt pilnowały zwykłe posterunki, a Bramy Wiślanej nie chronił nikt. Żołnierze polscy udali się na spoczynek do prywatnych kwater. Informacje o zajęciu Tczewa i szczegółowe rozmieszczenie oddziału polskiego szybko dotarły do Prusaków, którzy postanowili skorzystać z nadążającej się okazji. Od strony Skarszew nadszedł 400-osobowy oddział pułkownika Schöffera, którego część weszła do miasta przez niepilnowaną Bramę Wiślaną, a reszta rozpoczęła zdobywanie Bramy Gdańskiej. Uwięzieni w ratuszu pruscy jeńcy uwolnili się i po przejęciu broni ustawionej na rynku również zaatakowali żołnierzy polskich. Po krótkotrwałej walce, w wyniku której zginęło blisko stu Polaków, a drugie tyle trafiło do niewoli, Tczew ponownie dostał się pod władzę pruską.

Pułkownikowi Dziewanowskiemu udało się uciec, ale wstydząc się swojej karygodnej nieostrożności podał się do dymisji, której gen. Dąbrowski nie przyjął. Głównodowodzący postanowił poczekać na przybycie sojusznicznych oddziałów Wielkiego Księstwa Badenii oraz całej Legii Północnej z artylerią i dopiero wtedy zaatakować miasto. 22 lutego wszystkie oddziały znalazły się na miejscu, a szturm wyznaczono na dzień następny.

Tczew w 1807 r. liczył 1645 mieszkańców i 201 domów. Miasto otaczał pokrzyżacki mur ceglany, który mimo braku poważniejszych napraw od ponad ćwierć wieku, znacznie utrudniał do niego dostęp. Prusacy wybili w murze otwory strzelnicze, a bramy miejskie dodatkowo ubezpieczyli tzw. kozłami hiszpańskimi i zatarasowali wozami. W mieście rozlokowano 590 piechurów, 30 kawalerzystów i dwie armaty pod dowództwem majora Friedricha von Botha. Miał on za zadanie utrzymać miasto przez dobę, do czasu nadejścia posiłków stacjonujących pod Miłobądzem. Plangen. Dąbrowskiego opierał się na zdobyciu dwóch bram miejskich – Gdańskiej (okolice obecnej ul. Jarosława Dąbrowskiego) i Wodnej (dzisiejsza ul. Chopina). Dysponował znaczną przewagą liczebną, łącznie miał do dyspozycji 12,5 tys. żołnierzy, z których znaczną część musiał jednak wysłać do zablokowania ewentualnej odsieczy od strony Miłobądz. Pod znakiem zapytania stała także wartość bojowa nieostrzelanego żołnierza polskiego, dla wielu rekrutów miała to być bowiem pierwsza w życiu bitwa.

23 lutego o godz. 9.00 rozpoczął się atak na Tczew od strony południowej. Niewielki oddziałek pruski stacjonujący w folwarku Czyżykowo Wielkie został zmuszony do ucieczki, ale obrońcy Czyżykowa Małego stawili zdecydowany opór. Późniejszy generał Dezydery Chłapowski, który pod Tczewem przeszedł swój chrzest bojowy, tak opisał ten atak: „*Dopuszcili nas Prusacy blisko domów, a z tych oknami, drzwiami i dziurami w ścianach porobionymi dali razem ognia do mojej półkompanii, tak że podoficer, który przy mnie na lewo biegł naprzód, padł śmiertelnie ugodzony. Padło i za mną kilku, więcej rannych zostało. Pierwszy ten ogień zrobił wrażenie na wszystkich, porzuceni zabici i mocno ranni zostali oczywiście na placu, a zdrowi poszli w rozsypkę. Przyznaję się, że głowę tej chwili stracił*”. Sytuację opanował szturm grenadierów, którzy wyparli Prusaków do Tczewa. Gen. Dąbrowski zaproponował majorowi Bothowi poddanie miasta, na co usłyszał butną odpowiedź, że na pewno nie podda się polskim pastuchom. Pierwszy bezpośredni szturm na miasto odparto, starcie rozstrzygnąć musiała artyleria. Podczas trwającej godziny wymiany ognia pruskim działom skończyła się amunicja, a ich obsługi zostały wybite. Ostrzał rozbił również bramy miejskie i około godz. 14.00 do szturmów ruszyła piechota. Wojska badeńskie wdarły się do miasta od strony Bramy Wodnej, a wojsko polskie przez Bramę Gdańską. Prusacy próbowali bronić się jeszcze na terenie fary i cmentarza przykościelnego, ale po krótkiej walce poddali się wraz z majorem Bothem. Część żołnierzy pruskich chciała uciec z miasta przez Wisłę, ale lód rozbity przez artylerię nie utrzymał ich ciężaru i wielu znalazło śmierć w nurtach rzeki. W trakcie walk o miasto doszło również do starcia pod Dąbrówką Tczewską. Na pomoc garnizonowi von Botha wyruszyło spod Miłobądz kilka tysięcy Prusaków pod dowództwem majora Wostrowskiego. Drogę zagrodziły mu oddziały badeńskie i Legia Północna pod wspólnym dowództwem gen. Puthod'a. Na odgłos walki gen. Dąbrowski wysłał posiłki, które odparły Prusaków i ścigały ich aż do Miłobądz. Po kilku godzinach walk wieś została zdobyta. Bilans walk był znacznie lepszy dla wojsk gen. Dąbrowskiego. Zginęło około 30 żołnierzy i jeden oficer, 16 oficerów i około 200 żołnierzy odniosło rany, wśród nich sam



generał (postrzał w nogę) i jego syn Jerzy, któremu kula armatnia zgruchotała rękę – musiano ją amputować. Straty pruskie w Tczewie i Dąbrowce to około pięciuset zabitych i blisko 400 jeńców. Samo miasto mocno ucierpiało od walk. Spalono przedmieścia, wiele domów zostało uszkodzonych w wyniku kanonady. Po zwycięstwie żołnierze otrzymali dwie, tak zwane, złote godziny na rabowanie miasta, które dopełniły tragedii. Życie straciło kilkunastu mieszczan, wiele domów zostało zrabowanych i zdewastowanych, a pijani żołnierze strzelali na wiwat będąc poważnym zagrożeniem dla osób postronnych. Do końca nie jest jasne dlaczego gen. Dąbrowski zezwolił swoim podkomendnym na splądrowanie Tczewa. Prawdopodobnie własna rana i szczególnie ciężka rana syna, połączone z informacjami o strzelających rzekomo do wojska mieszczanach, spowodowała tak srogą reakcję.

Po bitwie przyznano aż 14 Legii Honorowych, co było rzeczą niespotykaną, ponieważ nigdy wcześniej żadna dywizja nie dostała tylu odznaczeń jednocześnie. Cesarz Napoleon nazwał tczewską batalię „pierwszą polską bitwą”, gdyż jednostki polskie, pod polskim dowództwem, po raz pierwszy od czasów rozbiorów walczyły na polskiej ziemi. Zdobycie Tczewa umożliwiło podejście wojsk pod Gdańsk i zacieśnienie pełnego oblężenia twierdzy. W samym mieście stworzono lazaret (szpital wojskowy), magazyny i piekarnie polowe oraz most pontonowy. Wojska francuskie przebywały w Tczewie do 22 listopada 1808 r. Niestety po podpisaniu pokoju w Tylży miasto nie zostało włączone do utworzonego Księstwa Warszawskiego i pozostało pod panowaniem pruskim.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Pierwszy tydzień wolności

**30 stycznia 1920 r. polscy żołnierze wkroczyli do Tczewa, kończąc tym samym 148-letni okres prusko-niemieckiej niewoli. Dokładnie o godz. 10.00 rano pociąg pancerny „Hallerczyk” przywiózł na tczewski dworzec 1 Batalion Morski.**

Szczegóły uroczystości przedstawiła „Pielgrzym” z 21 lutego 1920 r.: *„W dali widać pierwsze oddziały bojców naszych. w szyku bojowym. Zebrane tłumy wznoszą okrzyk „Niech żyją!” Z wieży kościoła parafialnego uderzyły dzwony. Wojska stanęły. Na czele stawają oficerowie. Wita ich w tym grodzie nad starą polską Wisłą jako pierwszy delegat powiatowy D. Brzósowski. Wita tych, za którymi tak długo czekali przodkowie nasi. Wybawicieli naszych, którzy przynoszą nam wolność i swobodę. Córeczka burmistrza p. Orcholskiego podaje chleb i sól, a panna Brzósowska wręcza słowami – serdecznie witamy – bukiet. Ksiądz kuratus Bączkowski w asyście księży Jesionowskiego i Steina wita w imieniu parafian tczewskich żołnierzy naszych jako wybawicieli i obrońców wiary naszej świętej i udziela im błogosławieństwa. Rozpoczyna się pochód do miasta. Muzyka gra „Marsz Polaków”. Towarzystwa utworzyły szpaler, przez który kroczą oddziały polskie, a tłumy wołają nieustannie: „Niech Żyją”. Przed starostwem wita chłopców naszych starosta p. Arczyński. Wzniósł okrzyk na cześć wojska polskiego, który zebrani z zapalem powtórzyli. Następnie odśpiewano pierwszą zwrotkę: „Boże coś Polskę”. Wojsko prezentuje broń. Pochód ruszył na Rynek,*

*kapela gra „Marsza Strzelców”. Na rynku wstępuje na mównicę p. Orcholski i wita obrońców Ojczyzny w serdecznych słowach. I tu odśpiewano „Boże coś Polskę”, a wojsko prezentowało broń. Z wieży kościoła zadzwoniły ponownie dzwony. O godz. 4.00 po południu wojsko i wierni udali się do kościoła, gdzie odbyto się uroczyste nabożeństwo dziękczynne. Uroczystość przyjęcia wojsk polskich w Tczewie wypadła wspaniale.”*

Najbardziej spektakularne wydarzenie związane z powrotem Tczewa do Polski miało miejsce przy dzisiejszym pl. Piłsudskiego. 96 lat temu stał tutaj pomnik cesarza Wilhelma I, będący symbolem niemieckiej władzy. Pomnik, autorstwa Georga Renatusa Mayer-Steglitz, został odsłonięty 14 maja 1899 r. Jego koszt w wysokości 19 tysięcy ówczesnych marek pokrył powiat i miasto Tczew. W połowie stycznia 1920 r. w Hali Miejskiej miało miejsce zebranie ludności niemieckiej, która debatowała m. in. nad tym czy ów pomnik pozostawić, czy przenieść do innego miasta w nowych granicach Niemiec. Zdecydowano o jego pozostawieniu, co miało mieć poważne konsekwencje. 30 stycznia polscy marynarze zrzucili go z cokołu, a głowę pomnika toczyli po ulicach miasta. Niemiecka ludność była oburzona i żądała jego naprawy oraz odszkodowania. Następnego dnia o godz. 10.00 rano niemieccy kolejarze rozpoczęli strajk, w celu wymuszenia na władzach polskich spełnienia tych żądań. W odpowiedzi polskie władze zagroziły wywiezieniem w ciągu 24 godzin wszystkich urzędników niemieckich za Wisłę. Strajk został zakończony o godz. 17.00 tego samego dnia. W pierwszą rocznicę powrotu do Polski na cokole pomnika wmurowano tablicę z napisem: „W rocznicę powrotu Tczewa na łono Polski jako widomy znak tryumfu i miłości ukochanej Ojczyzny tablicę tę ofiarują mieszkańcy miasta Tczewa i powiatu”. Została ona zniszczona przez Niemców we wrześniu 1939 r.

4 lutego 1920 r. przyjechał do Tczewa generał Józef Haller, dowódca Frontu Północnego przejmującego z rąk niemieckich Pomorze. Poetycki opis tej wizyty zamieścił w swoim felietonie Edward Słoński: „*Tam, na ten ówczesny kraniec Polski przybył generał Haller ze swoim sztabem. Przeszedł przez pierwszy most i zatrzymał się. Kompania marynarzy polskich stała tuż nad granicą. Generał Haller przeszedł przed frontem marynarzy w Tczewie,*

zajrzał w oczy żołnierzom i podniósłszy rękę do góry powiedział twardym głosem: „Ślubuję, że tej ziemi nie oddamy nigdy!” Po czym zawołał: „Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród.” Rzekłszy to, czekał i nasłuchiwał, jak tam, za Wisłą, przy ostatnim naszym posterunku za drugim mostem – zabrzmiała pieśń... Wszyscy wiedzieli na pewno, że istotnie nie rzucą tej ziemi, która jest drogą do morza i oddechem wolnej Polski.”

Inaczej relacjonował tę wizytę towarzyszący generałowi Edward Ligocki: „W Tczewie bawimy krótko. Na Rynku, przed oczyma niemieckiej ludności, batalion morski śpiewa „Rotę” Konopnickiej. Jenerał Haller przemawia krótko, energicznie, po żołniersku. Jesteśmy tu w kącie Polski najbardziej cennym dla Prus, nie mogących odżałować kolejowego węzła o pierwszorzędnym znaczeniu. Jedziemy dalej, do Starogardu. Przybywamy pod wieczór. Witają nas o wiele serdeczniej niż w Tczewie. Nic dziwnego – ludność tu polska – i nielicznie rozrzućeni Niemcy pragną zgodnego współżycia z nami.”

Kilka dni później gen. Haller przejeżdżał przez Tczew w drodze na zaślubiny Polski z morzem. Tym razem krótki postój w naszym mieście omal nie zakończył się dla niego tragicznie. Jak donosiła gazeta „Myśl Niepodległa” z 21 lutego 1920 r.: „Komendantem pociągu, którym jechał generał Haller, był kapitan Postulko. Urodził się widocznie pod szczęśliwą gwiazdą. Albowiem bomba, którą w Tczewie Niemcy przygotowali niezawodnie dla pociągu przez niego prowadzonego, padła około ostatniego pociągu, odwożącego Niemców do Berlina, wybiła szyby w dwóch wagonach i lekko poraniła kilkanaście osób. Wedle relacji, które nas doszły, bomba składała się z blaszanki wypełnionej czarnym prochem i mającej wewnątrz granat ręczny, który jednak nie wybuchł.”

6 lutego 1920 r. wojskowy komendant miasta i powiatu wydał oficjalny nakaz nadania polskich nazw wszystkim ulicom Tczewa. Część nazw została przetłumaczona dosłownie, jak na przykład Bahnhofstrasse na Dworcową, Baldauerstrasse na Bałdowską czy Danzigerstrasse na Gdańską. Niektórzy patroni, będący symbolami niemieckiego panowania, zostali zastąpieni naszymi bohaterami narodowymi: Wilhelmstrasse przemianowano na Tadeusza Kościuszki, Bismarckstrasse na Juliusza Słowackiego czy

Friedrichstrasse na gen. Józefa Hallera. Pojawiły się jednak nazwy, których sens nadania jest trudny do wyjaśnienia jak np. plac św. Grzegorza. Do roku 1920 nosił on nazwę St. Georgen Platz, czyli w dosłownym tłumaczeniu: plac św. Jerzego. Nazwa pochodziła od patrona ewangelickiego kościoła znajdującego się na jego terenie. Dlaczego więc pojawił się w 1920 r. plac św. Grzegorza? Niemiecki Grzegorz to Gregor, jest to wyraz bardzo blisko brzmiące do Georga czyli niemieckiego Jerzego. Może była to więc zwykła pomyłka tłumacza? Wciąż nierozwiązaną zagadkę stanowi dla nas pochodzenie nazwy ulicy Pomira, która do 1920 r. nosiła nazwę Jakobstrasse. Pomir jest to staropolskie imię męskie, choć według opracowania Elżbiety Supranowicz, jest to również zniemczona, łacińska wersja słowa Pomorzanie. Może któryś z Czytelników wie, jakie Pomir miał związki z Tczewem i dlaczego akurat to on został patronem tej ulicy?

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Pochodzenie nazwy Tczew

**30 kwietnia mija rocznica pierwszej udokumentowanej wzmianki o naszym mieście. W 1252 r. książę lubiszewski Sambor II wystawił dokument z budowy zamku „in Dersove”.**

Spróbujemy wyjaśnić, jak powstała współczesna nazwa naszego miasta, co ona oznacza i jak zmieniała się na przestrzeni wieków.

Analizując kwestię nazwy miasta należy zauważyć, że praktycznie od pierwszych zapisków widać wspólne występowanie jej polskiej i niemieckiej wersji. Wywodzący się najprawdopodobniej z kręgów języka niemieckiego kanceliści Sambora II i Mściwoja II zapisują ją jako różne warianty słowa Dersove (od Dersove z 1252 r., przez Dirszowe z 1255 r., po Dyrssow z 1281 r.). Dokumenty powstałe w kancelariach książąt polskich natomiast pisane są przez T i bez występującej po niej samogłoski. W 1263 r. w Inowrocławiu nazwę miasta zapisano jako Trssew, w podobnej formie występuje w dokumentach Przemysła II. Te z 1295 r. są szczególnie interesujące, ponieważ występuje w nich polska wersja pisowni miasta w sąsiedztwie niemieckiej np. tczewskich dostojników określa się jako Dersoviensis (np. Nycolaus palatinus Dersoviensis).

Potwierdza to rzeczywiście oboczność nazwy. Miała ona nieco inne brzmienie dla Polaków i Niemców, a nie była to tylko różnorodność zapisów. Istnienie niemieckiej nazwy miasta łatwo wytłumaczyć faktem, że ówczesne elity Tczewa były niemieckojęzyczne. Funkcjonowanie alternatywnej nazwy

słowiańskiej i jej przetrwanie w sposób naturalny aż do XX w., jest bardziej skomplikowane. Może to wyjaśnić jedynie albo jej pierwotność, lub zadziwiająca jak dla osady stworzonej na surowym pniu, powszechność. W takim przypadku to nazwa niemiecka jest wtórna i dostosowana do możliwości lingwistycznych władających tylko tym językiem mieszkańców. Kształtowanie się obu nazw miasta przedstawia poniższa tabela:

|                       |                      |
|-----------------------|----------------------|
| 1263 Trsew            | 1252 Dersove         |
| 1277 Tressev          | 1253 Dersowe         |
| 1286 Tersew           | 1255 Dirszowe        |
| 1308 Trsov            | 1256 Dersoue         |
| 1320 Trschow – Trczow | 1260 Dersowe         |
| 1565 Tczew            | 1308 Dirsaw          |
| 1583 Czewo            | 1410 Dirssaw, Dirsow |
| XVII Czczow, Czczew   | 1456 Derschow        |
| Koniec XVII Thczow    | 1570 Dirschaw        |
| 1607 Tczow            | 1772 Dirschau        |
| 1682 Tczewo           |                      |
| 1683 Tczew            |                      |

Nazwę Dersowe/Dersove z dokumentu z 1252 r. Niemcy przekształcili poprzez Dirsaw, Dirsow, Dirschaw, aż po Dirschau. Z kolei w języku polskim powstało Trsow(e), Tersew, Trczow, Tczew.

Równie ważne, jak chronologia powstawania obu wersji nazw Tczewa, jest również ich etymologia. Czy wiemy co słowa te mogły oznaczać? Znaczenie i powstanie słowa Tczew nie zostało w pełni wyjaśnione, jest kilka teorii na ten temat. Prof. Rudnicki łączy je z nazwą Etrusków lub Tu(r)sków, starożytnym ludem mieszkającym w Italii, porównując „Trsow” z „Truso”, co miałyby świadczyć o pobycie Etrusków u ujścia Wisły. Wzmianki o tej osadzie pojawiły się w opisie wyprawie Wulfstana z Danii w IX w. do kraju Estów: *„Wisła ta jest wielką rzeką i przez to dzieli Witland i kraj Słowian. A Witland należy do Estów. A taż Wisła wypływa z ziemi Słowian i spływa*



do Zalewu Estyjskiego, a ten Zalew Estyjski jest co najmniej piętnaście mil szeroki. Od wschodu spływa tutaj do Zalewu Estyjskiego rzeka Ilfing – z tego jeziora, nad którego brzegiem stoi Truso.” Zagadkę umiejscowienia tej osady próbował rozwiązać już w XVII w. najwybitniejszy naukowiec pochodzący z naszego miasta, Johann Reinhold Forster. Ostatecznie udało się to dopiero w 1983 r., kiedy odnaleziono fragmenty osady niedaleko Elbląga, dlatego też pochodzenie Tczewa od Truso należy wykluczyć.

Inna teoria mówi o wywodzeniu się polskiej nazwy miasta od słów kaszubskich: czcic – tczec, od czczenia rzeki przez rybaków, lub słowa „tkać”, co wiązać się miało z istnieniem osady tkaczy (tkaczów-tczów-tczew). To rzemiosło było jednak bardzo słabo rozwinięte i nie wydaje się, aby nazwa miasta pochodziła właśnie od tkaczy. Najbardziej prawdopodobne jest łączenie nazwy Tczew ze słowiańskim trściew, czyli trzcina. Wisła w XIII w. wyglądała zupełnie inaczej niż obecnie. Nieuregulowana meandrowała w okolicach miasta, dlatego w jego pobliżu musiało być sporo miejsc skupiających dużą ilość trzciny i sitowia.

Pochodzące z 1652 r. opracowanie Matthäusa Meriana i Martina Zeillera „Topographia Electoratus Brandenburgici et Ducatus Pomeraniae”, podaje taką oto wersję pochodzenia nazwy miasta: „Derschau / Dirschau / Dersavia. Zwany przez Polaków Tscouzou, Tysciovum, i Tizovia, jest znanym miastem na Pomorzu, położony nad Wisłą, nazywany był początkowo „zu der Sau”, i którego założenie umieszcza się w roku 1209”. Przytoczoną dosłownie nazwę można przetłumaczyć jako „Nad Świnia”.

Informacja podana w „Topographia...” w następnym stuleciu trafiła do wydawanego od 1732 r. „Grosses vollständiges Universal-Lexicon Aller Wissenschaften und Künste” – leksykonu Zedlera, ówczesnie największego europejskiego wydawnictwa encyklopedycznego: „*Dirschau lub Derschau, Derschaw, po polsku Thsczow lub Tzczewo, po łacinie Drsouia, małe miasto w pruskiej prowincji Pomorze, położone około 2 mile na zachód od Malborka, nad Wisłą. Nazywało się początkowo „zu der Sau”, zostało założone w roku 1209.*”

Skróconą wersję pochodzenia nazwy od rzeki Świni podał również Samuel Linde w wydany w 1807 r. w Warszawie Słowniku Języka Polskiego: „*Miasto*

nazywało się *wprzód Sau i było hrabstwem*”. Informacja o „mieście nad Świnia” okazała się bardzo żywotna. W pracy z dziedziny teatrologii „Komödie und Tragödie – übersetzt und bearbeitet” (Ulrike Jekutsch i inni), która ukazała się w periodyku „Forum Modernes Theater” w roku 1994 napisano: „*Podobnie jest dla »Rzeźnik co rajcą w Dirschau był«.* Dirschau jest małym miastem w pobliżu dawnego Marienburga w Prusach. Nazywało się ono wcześniej według Leksykonu Zedlera *»Dirschau zu der Sau«, gdzie der Sau oznaczało rzekę.*” Teoria ta mają jedną słabą stronę, ponieważ historyczną nazwą ramienia Wisły uchodzącego do Zatoki Gdańskiej była Leniwka. Nie można oczywiście wykluczyć, że widok leniwie płynącej, szeroko rozlanej Wisły pod Tczewem mógł władającemu mową niemiecką księciu Samborowi nasunąć owego hipotetycznego skojarzenia, natomiast nie znajduje to potwierdzenia w innych źródłach.

Kolejna z teorii wywodzi nazwę Dirschau od pruskiego słowa Dirse. W książce G. Gerullisa „Die altpreussischen Ortsnamen” (Staropruskie nazwy miejscowości), wydanej w Berlinie i Lipsku w 1922 r., czytamy: „*Pruskie nazwy Dirse, Dirsune, Dersko zostają słusznie związane z pruskim dirs- (dyrsos gyntos – pobożni mężczyźni), właściwie – dzielny, odważny, po litewsku „drąsūs” – śmiały, zuchwały.* Obecność Prusów na naszych ziemiach jest dobrze udokumentowana, wiele nazw na Pomorzu pochodzi z tego języka. Język pruski jest językiem wymarłym, dlatego też w znacznej mierze opieramy się na zrekonstruowanych słownikach tej mowy. Jeden z nich podaje, że nazwa Dirsowe pochodzi od dwóch pruskich słów: dirse i ou/owe. Dirse to człowiek „pobożny, uczciwy, zdolny, odważny”, a ou/owe to „teren zalewowy, nizinny”. Tak więc Dirsowe może pochodzić od przymiotnika odważny lub człowieka o imieniu Dirse, mieszkającego przy terenie zalewowym, np. w dolinie rzeki. Nie jest również wykluczone, że może odnosić się do pogańskiego miejsca kultu. Na pruskie pochodzenie nazwy Dirschau mogą wskazywać również kontakty Sambora II z plemionami pruskimi. Książę wchodził z nimi w układy polityczne i planował nawet pojąć za żonę jedną z córek wodza któregoś z sąsiednich plemion. Po zmianie sojuszu i sprzymierzeniu się z krzyżakami brał udział w antypruskich wyprawach, więc może ów Dirsek był jego najbliższym doradcą w walce ze swoimi współplemieńcami? Osoba o imieniu Dzirż(ek),

Dzirżek figuruje także w dokumentach tczewskich jako świadek w nadaniach miejskich. Potwierdzenie teorii o pochodzeniu nazwy Dirschau od imienia lub przezwiska możemy znaleźć na Opolszczyźnie. Obecna wieś Suchy Bór otrzymała w 1774 r. nazwę Derschau, która pochodzi prawdopodobnie od nazwiska ówczesnego ministra poczty pruskiej von Derschau. Druga hipoteza dotycząca nazewnictwa miejscowości mówi o generale von Derschau, który w trakcie pierwszej wojny śląskiej przyczynił się do zdobycia kłodzkiej twierdzy. Większość źródeł historycznych przyjmuje jednak, iż to pruski minister poczty był patronem nowej wioski.

Niemiecka nazwa miasta była również spolszczana. Olgierd Czarliński w książce „W szponach czarnych orłów” informuje, że w trakcie wojny siedmioletniej: *„Rosjanie używali nazw niemieckich, co nieraz poddawało w wątpliwość ich prawidłowość, a także bywały konieczne ich przeróbki, na przykład figurowała nazwa Dirszawa, przeróbka z niemieckiego Dirschau, zamiast Tczew.”* Po raz kolejny na kilka dni taka nazwa miała pojawić się w 1945 r. w dokumentach radzieckiego komendanta miasta. Wywnioskował on, że skoro Warschau to Warszawa, więc Dirschau musi być Dirszawą, natomiast poza opowieściami mieszkańców nie natrafiliśmy na potwierdzenie tej historii. Na bardzo podobny rodzaj spolszczenia natrafiliśmy przypadkowo na pocztówce wysłanej z naszego miasta do Karlowych War. Czech pracujący w cukrowni w Lisewie Malborskim wysłał rodzinie informację o zamieszkiwaniu w miejscowości Dirschava.

Może nigdy ostatecznie nie rozstrzygniemy pochodzenia nazwy naszego miasta, natomiast zdecydowanie powinniśmy zadbać o jej prawidłową wymowę. Bardzo często Tczew wymawiany jest jako „Czczew” nie tylko przez osoby spoza miasta, ale również przez jego mieszkańców. Rzadkie i niełatwe w wymowie zestawienie zgłosek T i cz w jednym wyrazie sprawiło, że słowo Tczew trafiło do podręczników logopedii. Nazwa naszego miasta jest wykorzystywana w ćwiczeniach językowych np. „szacowny szewski mistrz z Tczewa” lub „pocziwy poczmistrz z Tczewa”. Proponujemy te ćwiczenia wszystkim amatorom wymowy „Czczew”.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Postrzeleni aktorzy

**Jeden aktor postrzelony w serce, drugi w kolano... Tak, przed kilkudziesięcioma laty, zakończyły się amatorskie spektakle teatralne Goszynie i Turzu (gm. Tczew).**

W maju 1938 r. pomorskie gazety informowały o tragicznym wypadku w Goszynie. W spichlerzu należącym do rolnika Kołodziejskiego amatorskie kółko teatralne wystawiło sztukę pt. „Walka o Kresy”. Przedstawienie oglądało blisko 200 widzów. Pod koniec drugiego aktu scenariusz przewidywał rozbrojenie denuncjanta Wojciecha Antoszka, granego przez 23-letniego robotnika Mieczysława Biernackiego. W czasie rozbrajania funkcjonariusz GPU (radziecka policja polityczna; poprzedniczka NKWD), grany przez 25-letniego robotnika Kazimierza Leję, pociągnął za cyngiel trzymanego rewolweru marki browning. Wystrzelona kula trafiła Biernackiego w pierś, przeszywając worek osierdziowy. „*Widok prawdziwej krwi na scenie wywołał popłoch wśród publiczności*” – informowała „Gazeta Kościerska”.

Przedstawienie od razu przerwano, a ciężko rannego mężczyznę przewieziono do szpitala w Tczewie, gdzie lekarze rozpoczęli walkę o jego życie. Jak podał „Kurier Bydgoski”, pacjentem zajął się znany w Tczewie, także po wojnie, dr Alojzy Rediger. Stwierdzono, że w lufie feralnego rewolweru znajdował się ostry nabój, a przed rozpoczęciem przedstawienia wyjęto z niego jedynie magazynek.

Co ciekawe, kilkanaście lat wcześniej w nieodległym od Goszyna Turzu, doszło do podobnego nieszczęśliwego wypadku. W marcu 1924 r., również podczas amatorskiego przedstawienia teatralnego, jeden z aktorów, Jan Gruby, został postrzelony przez kolegę ze sceny w kolano. *„Rana była tak ciężka, że Grubego trzeba było odwieźć do domu chorych w Tczewie – podał „Orędownik Ostrowski”. – Niech to będzie przestrogą na przyszłość dla reżyserii.”*

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

# Prawie jak Tczew

Nazwa naszego miasta, zarówno w formie polskiej, jak i niemieckiej, była wykorzystywana w nazewnictwie innych miejscowości. Dotyczy to pobliskich Tczewskich Łąk i Zajączkowa Tczewskiego, których związki z Tczewem są oczywiste, ale także osad znajdujących się kilkaset kilometrów od nas. Żeby wytłumaczyć ten fenomen, musimy przedstawić historię pośrednich „sprawców” tego faktu, jakim była rodzina von Derschau.

Jak podaje prawie 200-letnia „Allgemeine Encyclopädie der Wissenschaften und Künste in Alphabetischer Folge...”, opisująca osobę Christopha Friedricha von Derschau: *„Rodzina Von Derschau pochodzi z miasteczka Dirschau albo Derschau, po polsku Tzczew albo Tzczewo w Pruskim Pomorzu, około dwóch mil na zachód od Malborka, położonego nad Wisłą. Tam pod nazwiskiem Dirschowen mieli zamieszkiwać pradziadowie rodziny, jeszcze przed wprowadzeniem chrześcijaństwa, następnie przyjęli chrześcijaństwo i rozpowszechniali je w tamtejszej okolicy. Rodzina stała się znana z biegiem czasu jako szlachecka, do początku 17 wieku, kiedy należący do niej bracia Johann, Reinhold i Bernhard zostali formalnie przyjęci do stanu szlacheckiego przez Cesarza Rudolfa II.”* Mamy więc do czynienia z faktem otrzymania nazwiska szlachty pruskiej od naszej miejscowości.

Informację tę powtarza również „Jahrbuch des Gesellschaft für bildende Kunst und vaterlandische Altertümer”, wydany w Emden w 1882 r., dodając

nieco więcej szczegółów z historii tego rodu: „Rodzina von Derschau’a, jeśli tradycyjny przekaz ma rację, należy do najstarszych w pruskim państwie. Nazwisko pochodzi od miasta Dirschau albo Derschau, po polsku Tzczewo albo Tzczow w Prusach Zachodnich, które obecnie słynne jest z powodu swojego potężnego mostu kolejowego przez Wisłę. Tu pogańscy Dirschowen mieli już około roku 1255 przyjąć chrześcijaństwo i pod komturami Zakonu Krzyżackiego dzielnie przyczyniali się do podporządkowania Prus. Od końca XV wieku Derschauowie pojawiają się jako radcy w Gdańsku, od końca XVI wieku – w Kneiphof w Królewcu. Około roku 1602 rodzina podzieliła się na trzy linie (pochodzące) od trzech braci Johanna, który przeniósł się do Kurlandii, Reinholda i Bernharda v.D., który jako pruski radca Sądu Nadwornego pozostał w Królewcu. Wszyscy trzej bracia 15 grudnia 1602 r. zostali przez cesarza Rudolfa II wprowadzeni do niemieckiego stanu szlacheckiego, a 20 marca 1663 r. Wielki Elektor potwierdził ojcowskie szlachectwo potomkowi Bernharda – Reinholdowi v.D.”

Wyjaśniliśmy tradycję bezpośredniego pochodzenia nazwy rodziny von Derschau od niemieckiej nazwy naszego miasta, ale jak była jej rola w powstawaniu nazw innych miejscowości? Wszystko jest zasługą akcji kolonizacyjnej za czasów Fryderyka II Wielkiego i tradycji nazywania nowych osad nazwiskami zasłużonych osobistości ówczesnych Prus. Von Derschauowie zostali uhonorowani tym sposobem w nazwach czterech miejscowości. Pierwszą z nich jest położony w pobliżu Gorzowa Wielkopolskiego Dzierżów. Wieś powstała w roku 1770 pod niemiecką nazwą Derschau, która pochodziła od nazwiska ministra ze znanej nam rodziny von Derschau. Kolonia składała się z 25 podwójnych budynków, w których osadzono 50 rodzin, dając każdej po 5 mórg ziemi. Po trzech latach wolnizny koloniści mieli płacić czynsz wraz z odsetkami. W 1784 r. wieś liczyła 49 rodzin i 221 mieszkańców. W wyniku repolonizacji nazwy powstał polski Dzierżów.

Kolejny przykład dalekiego „kuzyna” naszego miasta to Suchy Bór. Wieś powstała w 1774 r. jako Derschau. Nazwa pochodzi prawdopodobnie od nazwiska ówczesnego ministra poczty pruskiej von Derschau lub generała von Derschau, który w trakcie pierwszej wojny śląskiej przyczynił się



do zdobycia kłodzkiej twierdzy. Większość źródeł historycznych przyjmuje jednak, iż to pruski minister poczty był patronem nowej miejscowości. Miejscowi nadali jednak swojej osadzie nazwę Suchy Bór (niem. Drze Heide), aby odróżnić ją od podmokłych obszarów sąsiednich Lędzin i Chrzastowic. 12 listopada 1946 r. nadano miejscowości polską nazwę Suchy Bór.

Dwie następne miejscowości związane z von Derschauami znajdują się na terenie obecnych Niemiec. W latach 1773–1775, po obwałowaniu rzeki Dosse, powstała kolonia Friedrichsdorf z dziewięcioma kolejnymi wsiami i osadami, z których dwie nazywano Großderschau i Klein-Derschau na cześć pruskiego ministra Christopha Friedricha von Derschau. Nazwa całej grupy osad nawiązywała do władającego wówczas Prusami Fryderyka II Wielkiego. W roku 1951 cała grupa osad została przemianowana z Friedrichsdorf na Grossderschau. Nowa nazwa gminy do dziś dotyczy wszystkich sąsiadujących ze sobą dziewięciu wiosek – kolonii.

Tym samym powstałe w latach 1770–1773 wsie kolonistów: Dzierżów, Suchy Bór, dawne Kleinderschau i istniejące Großderschau, otrzymały swe pierwotne nazwy dla uczczenia rodu von Derschau, który szczycił się pochodzeniem z naszego grodu i jego nazwę wziął sobie za nazwisko.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Prezydent Wojciechowski w Tczewie

**Tczewianie doskonale pamiętają przyjazdy prezydentów III RP – Lecha Kaczyńskiego i Bronisława Komorowskiego. Aby dowiedzieć się, jaki przebieg miała wizyta prezydenta Stanisława Wojciechowskiego w 1923 r., musimy zajrzeć do starych gazet i kronik.**

Stanisław Wojciechowski (1869–1953) został wybrany prezydentem w grudniu 1922 r. Już kilka miesięcy później przyjechał do grodu Sambora. Informację o przygotowaniach do wizyty podała 1 kwietnia 1923 r. „Gazeta Gdańska”: *„Aby omówić szczegóły przyjęcia w grodzie naszym Najwyższego Dostojnika Państwa, byli tu wojewoda pomorski Jan Brejski i generalny adiutant Prezydenta RP pułkownik Zaruski z Warszawy, którzy ustalili w porozumieniu ze starostą następujący program...”* – pisała gazeta.

Przyjazd głowy państwa specjalnym pociągiem zaplanowano na 24 kwietnia. Starosta tczewski miał przyjąć gościa jeszcze na stacji w Laskowicach. O godz. 14.00 pociąg prezydenta miał wjechać na dworzec w Tczewie, gdzie mieli już czekać burmistrz miasta i naczelnicy tutejszych urzędów. Ustalono też, że o godz. 14.15 prezydent zostanie przewieziony samochodem do siedziby starostwa, przed którym będą stać delegacje szkół, towarzystw i cechów. W głównej sali starostwa prezydent

spotka się z urzędnikami i znaczniejszymi obywatelami miasta. Na godz. 15.00 zaplanowano zwiedzanie miasta, mostów, portu zimowego, wałów wiślanych, terenów przyszłego portu tczewskiego oraz warsztatów kolejowych. O godz. 18.00 u starosty miała się odbyć kolacja, a punktualnie o 20.30 wielki raut w Hali Miejskiej, z programem koncertowym z udziałem osób zaproszonych „wszystkich sfer”.

Obszerną relację z wizyty Stanisława Wojciechowskiego w Tczewie zdał „Goniec Wielkopolski”, tytułując ją: „Imponująca manifestacja na Pomorzu. Serdeczne przyjęcie prezydenta Rzeczypospolitej”. Prezydent przybył do Tczewa o godzinie 16.15. *„Niezliczone tłumy zaległy plac przed dworcem oraz ulice, którymi przejeżdżał Prezydent Rzeczypospolitej – relacjonował reporter. – Na domach rządowych i prywatnych powiewały flagi narodowe. Na ulicach ustawione były szpalery, uformowane przez organizacje i cechy ze sztandarami, przez szkoły, straż ogniową itp.”*

Na ulicach stanęły ramy triumfalne. Przy pierwszej bramie powitał prezydenta burmistrz Stefan Wojczyński, wręczając mu srebrne klucze do miasta oraz chleb i sól. Następnie prezydent udał się do kościoła farnego, gdzie odśpiewano uroczyste „Te Deum” oraz „Boże coś Polskę”. Przed kościołem ewangelickim, czyli dzisiejszym kościołem szkolnym pw. św. Stanisława Kostki, z prezydentem spotkali się przedstawiciele gminy ewangelickiej z pastorem na czele, zapewniając o swojej lojalności wobec państwa polskiego i prosząc o opiekę nad zborem. *„Prezydent w odpowiedzi zaznaczył, że wszyscy obywatele Rzeczypospolitej mają zagwarantowaną konstytucyjną wolność wyznań oraz prawo zachowania swej narodowości i właściwości narodowych”* – odnotowała gazeta.

Przy bramie przygotowanej przez tczewskich kupców witał prezydenta Jan Struczyński, a przy kolejnej, postawionej przez rolników ziemi tczewskiej, poseł na Sejm RP Bronisław Mania z Rajków (gm. Pelplin). Przed budynkiem starostwa prezydenta powitał starosta Wacław Dytkiewicz. *„Po udzieleniu audiencji przed prezydentem odbyła się defilada szkół ludowych i średnich oraz cechów ze sztandarami, straży ogniowej, Sokoła itp. – czytamy w „Gońcu...”* – *Po wieczery u starosty Dytkiewicza był prezydent RP obecny*

*na raucie, wydanym na jego cześć przez społeczeństwo Tczewa. O godz. 24.00 prezydent odjechał na dworzec.”*

Prezydent Wojciechowski odwiedził też wieś Suchostrzygi – dzisiaj największą dzielnicę Tczewa. Wizytę odnotowała kronika tamtejszej szkoły, której tradycję kontynuuje Szkoła Podstawowa nr 8. *„Cała tutejsza ludność nie szczędziła ani pracy, ani wydatków, aby najwyższego dostojnika Państwa jak najserdeczniej przywitać – czytamy w kronice. – U wstępu do wioski zbudowano wielką bramę triumfalną z napisem: „Wjeżdżaj i patrz na nas!” Przed szkołą został pobudowany wielki baldachim z napisem: „Witamy Cię, ojcze, w grodzie swym!”*

Głowę państwa przywitał kierownik szkoły p. Gliński, otoczony przez uczniów i mieszkańców wsi: *„Lat z góry 150, jak ostatni na tronie panujący w naszej Polsce, dzielił się z naszymi przodkami swą wolą i sercem. Niestety! Nadeszła ciężka chwila niewoli. Ponurność, przygnębienie, utrata wolności i pomór mowy. Ojców, matek naszych westchnienia i błaganie Wszechmogącego: Ojczyznę i wolność! Racz nam dać Bóg! Z Twojej woli, Boże Wszechmogący, wita naród polski na tronie Rzeczypospolitej – Ojca!, który dzieli się sercem i dobrocią swą – z narodem swym. Dzień zmartwychwstania naszej ojczyzny, dzień wyboru pana Prezydenta, dzień wjazdu Twego w gród dzieci swych, zostaje dniem pamiętnym w naszej historii. Wstępuj krokami miłości w swym wielkim ogrodzie, zagęszczonem tak licznem kwiatem! A kwiat zroszony rosą woła i wołać nie przestanie: Długich lat życia racz mu dać Panie!”*

Po przemowie kierownika szkoły Małgorzata Machlińska, uczennica 2 klasy, powiedziała wiersz i wręczyła prezydentowi bukiet białych róż. Prezydent, stojąc w towarzystwie wojewody pomorskiego i starosty tczewskiego, podziękował serdecznie za niespodziankę, pocałował dziewczęta w czoło i odjechał. Żegnały go tłumy śpiewające „Boże coś Polskę”. *„Dzień przyjęcia prezydenta miał być pamiętnym dla wszystkich obywateli tutejszej gminy. Z tego powodu urządził zarząd gminny pod kierownictwem p. Glińskiego na sali p. Berenta obiad i kolację dla wszystkich ubogich”* – podano w szkolnej kronice.

**Opracował Przemysław Zieliński**

# Przemytnicy waluty

**W latach 1920–1939 Tczew był miastem granicznym. Za Wisłą oraz na północ od miasta rozciągał się obszar Wolnego Miasta Gdańska. Bliskość granicy stwarzała możliwość do nielegalnego zarobku, z której korzystali zarówno miejscowi, jak i przyjezdni. Najwięcej informacji prasowych dotyczy przemytu nadmiaru waluty lub braku zgłoszenia kontroli celnej jej znacznej ilości.**

Strażnicy graniczni z punktu celnego na dawnym dworcu kolejowym mieli pełne ręce roboty. Jak donosił „Orędownik Ostrowski” z 1 sierpnia 1923 r.: *„Pewien obywatel tczewski w zamiarze poczynienia zakupu w Gdańsku udał się przez granicę, przytem usiłował przemycić 19 milionów marek. Kontrolujący urzędnik celny zauważył ukrytą gotówkę więc próbował obywatela odwieść od zamiaru nie dając zezwolenia na przejście na peron. Spryciarz jednak nie dał za wygraną; wziął się na inny sposób przemycenia tej gotówki i przedostał ją. Jego radość po udanej sprawie nie była długotrwała, gdyż na następnej stacji w Miłobądku nastąpiło aresztowanie go w pociągu i konfiskata gotówki”.*

Niektórzy stosowali bardziej przemyślane sposoby na ukrycie nadmiaru gotówki. 27 listopada 1925 r. „Orędownik Ostrowski” donosił, że pewien rumuński Żyd *„wiedząc, że nie wolno wywozić z Polski złota, nadmiernej ilości i waluty obcej wpadł na pomysł, który uznał za genialny: ukrył 5200 dolarów w lampie kolejowej i takową przysłonił franką, a sam ulokował się w sąsiednim*

numerze.” Fortel się nie udał, ponieważ podczas kontroli granicznej pomysłodawca przemytu ujrzał, jak strażnik zajrzał do lampy i wydobył z niej gotówkę. Pieniądze skonfiskowano mimo telefonów z Gdańska i Grudziądza tłumaczących, że wioził pieniądze „celem złożenia kaucji za progi kolejowe”. Nic to nie dało, dolary zostały złożone w Urzędzie Skarbowym, a protokół przesłano Prokuraturze Generalnej.

Inny, równie pomysłowy i nieudany patent, polegał na przemycie dolarów zawiniętych w papierosy. „Gazeta Gdańska” z 21 listopada 1926 r. pisała o p. Ehrliesterze z Warszawy, którego strażnik graniczny poprosił o papierosnicę, a wewnątrz papierów znalazł ukryte aż 3 tys. dolarów.

Niektórzy imali się bardziej radykalnych sposobów. „Głos Robotnika” z 15 stycznia 1927 r. donosił (pisownia oryginalna): *„Sprytnie chowanko dla przemycanych dolarów wymyślił pewien żydek z Warszawy, jadący do Gdańska. Jeszcze sprytniejsza okazała się straż celna w Tczewie, która jednak wpadła na trop dyskretnego ukrycia. Urzędnik kazał żydkowi zdjąć spodnie i zajrzał tam, gdzie się zwykle nie zagląda, konstatując w pewnym miejscu podejrzanę wzdęcie. Po zastosowaniu przez zawezwanego lekarza odpowiednich środków wypadł pakunek 5000 dolarów, które za daleko się wsunęły. Przejazd na terytorium Gdańska będzie o tyle nieprzyjemny, gdyż straż celna, nauczona powyższym wypadkiem, nie będzie zapewne wyłączać z działalności kontrolnej dyskretnych miejsc ciała ludzkiego. A to przecież krępujące...”*

O tym, że straż celna zapamiętała ten sposób przemytu, pokazuje podobny przypadek z 27 października 1938 r. „Gazeta Kościerska” informowała o zatrzymaniu pod zarzutem przemytu pieniędzy zamieszkałego w Warszawie studenta Politechniki Gdańskiej Henryka Grica. Jak sugestywnie opisała prasa, podczas rewizji *„twarz (przemycnika) mieniła się prawdziwą tęczą kolorów, począł robić głupie i bolesne zarazem miny i wreszcie zasłabł. Wobec tego przewieziono go do szpitala, gdzie dano mu silne środki przeczyszczające. Wynik był niezwykły, gdyż „wydobyto” w ten sposób trzy grube rulony banknotów amerykańskich i angielskich, owiniętych w ciekłą gumkę. Banknoty wartości ponad 22 tys. złotych skonfiskowano, a pomysłodawcę przemytnika osadzono w areszcie.”*

Przy takich sposobach przemytu waluty inny pomysł, opisany również w „Gazecie Kościerskiej”, wydaje się zupełnie niewinny. 26 lutego gazeta poinformowała, że *„w czasie rewizji celnej na dworcu w Tczewie rewidenci kontroli walutowej znaleźli w przesyłce z pantoflami, która znajdowała się w wagonie bagażowym, 1000 dolarów w złocie.”*

**Opracowali Łukasz Brządkowski i Wojciech Giełdon**



# Radni z kryminału

**Służby zatrzymały dwóch tczewskich radnych. Jeden należał do złodziejskiej szajki napadającej na pociągi, drugi miał na koncie kilka bandyckich napadów.**

Na szczęście – dla reputacji lokalnego samorządu – nie jest to informacja z ostatnich dni, a sprzed 80 lat.

W marcu 1930 r. „Gazeta Sępoleńska” informowała o aresztowaniu przez policję szajki złodziei, która dokonywała kradzieży w wagonach kolejowych podczas biegu pociągów na szlaku Tczew–Zająchkowo i Tczew–Górki.

*„Złodzieje ci dokonali ogółem 20 włamań, przyczem rozbili wagon z transportem amerykańskiego smalcu, z którego skradli 14 dużych skrzyń – podała gazeta. – Na czele tej szajki, składającej się z pięciu rafinowanych złodziei, stał niejaki Konkolewski Leon, przyczem, jak się okazało, do spółki tej należał także kupiec Domjan, który jest radnym miejskim w Tczewie z ramienia Narodowej Partii Robotniczej – prawicy. Policji udało się odebrać znaczną ilość skradzionych rzeczy.”*

„Gazeta Gdańska” informowała z kolei, że skrzynie z ukradzionym smalcem zakopano w pobliżu toru na szlaku Zająchkowo–Górki.

Nie był to koniec skandali w tczewskim świecie politycznym tego roku. W lipcu, w „Słowie Pomorskim”, tczewianie mogli przeczytać o przewiezieniu do Łodzi radnego Stefana Woźniaka, jego brata Michała oraz funkcjonariusza kolejowego Bronisława Augustyniaka, aresztowanych na polecenie

sędziego śledczego za napady rabunkowe. Trójka mężczyzn w 1920 r. dokonała kilku napadów pod Łodzią.

*„Dla łatwiejszego ukrycia się wszyscy bandyci byli ubrani w mundury policyjne i uzbrojeni w krótkie karabinki kawaleryjskie – ustalili dziennikarze. – Broni dostarczył im jeden z członków bandy, zatrudniony uprzednio jako zbrojmistrz w prywatnym zakładzie rusznikarskim. Mundury policyjne ułatwiły im ucieczkę, bo gdy po jednym z napadów żandarmeria i policja dokonały obławy w okolicznych lasach, żandarmi wzięli bandytów za patrol policyjny, współdziałający z żandarmerią w ściganiu rabusiów.”*

Po dokonaniu napadów, gdy policja była już na ich tropie, Woźniakowie i Augustyniak uciekli do Poznania, gdzie pracowali przez pewien czas jako zwykli robotnicy, a następnie do Gdańska, gdzie najęli się za drwali.

*„Tam zaopiekował się nimi komitet polski i umieścił ich na kolei w Tczewie. Zachowanie się ich było bez zarzutu. Stopniowo dosługiwali się coraz wyższych stanowisk. Augustyniak był nawet urzędnikiem w 9. stopniu służbowym, a Stefan Woźniak piastował mandat radnego miasta Tczewa.”*

Aresztowanie bandytów nastąpiło zupełnie przypadkowo. Augustyniak zgłosił się do komisariatu policji, aby zameldować o drobnej kradzieży dokonanej w jego mieszkaniu. Tam poznał go jeden z posterunkowych na podstawie listu gończego nadesłanego przez sąd okręgowy w Łodzi. Odtąd już tylko kwestią czasu było zatrzymanie braci Woźniaków.

**Opracował Przemysław Zieliński**

# Święta Jadwiga wnuczką Sambora II

**Rodzinne powiązania potrafią czasem mocno zaskoczyć. Okazuje się, że św. Jadwiga Królowa jest... prapraprawnuczką księcia tczewskiego Sambora II. Jak przedstawiają się „gałęzie” drzewa genealogicznego, które połączyły Jadwigę z założycielem naszego miasta?**

Z nieznanego imienia matki i w nieznanym roku przyszła na świat Elżbieta Kujawska, córka Kazimierza III gniewkowskiego (1280/1284–1347/1353). Kazimierz był wnukiem Sambora II – synem jego córki Salomei i księcia inowrocławskiego Ziemomysła. W latach 1306–1309, do czasu zajęcia Pomorza przez Krzyżaków, Kazimierz pełnił funkcję namiestnika Władysława Łokietka na Pomorzu, rezydując właśnie w Tczewie.

Zapewne w wieku kilkunastu lat, za sprawą królowej Węgier Elżbiety Łokietkówny, siostry Kazimierza Wielkiego, Elżbieta Kujawska trafiła na węgierski dwór. Jej protektorka zaaranżowała małżeństwo z madziarskim sojusznikiem Stefanem II Kotromanicem (?–1353), banem Bośni, zwanym przez jemu współczesnych Piastunem Szatana. W 1340 r. para ta doczekała się narodzin córki, również Elżbiety. W niedalekiej przyszłości dziewczynka miała wyrosnąć na pannę olśniewającej urody, która podbiła serce

Ludwika, syna Karola Roberta i Elżbiety Łokietkówny, i została królową Węgier, znaną pod mianem Elżbiety Bośniaczki (ok. 1340–1387).

Najmłodszą latoroślą tej pary była Jadwiga (1373/1374–1399) – później król Polski (formalnie król, a nie królowa!) i święta. Okazuje się więc, że Jadwiga jest prapraprawnuczką księcia tczewskiego Sambora. W tym kontekście obranie jej przez miejskich radnych za patronkę Tczewa, ma jednak historyczne podstawy.

**Przemysław Zieliński**

# Samoloty nad Tczewem

**Przeglądając stare pocztówki można natknąć się na samoloty i sterowce latające nad naszym miastem. Większość z nich jest tylko zgrabnym fotomontażem i wizją autora, ale nie oznacza to, że Tczew nie posiada tradycji lotniczych i samoloty nie gościły na naszym niebie jeszcze przed I wojną światową.**

Pierwszy udokumentowany lot w historii Tczewa miał miejsce 8 września 1912 r. Z lotniska położonego w niedalekim Malborku miał wystartować samolot pocztowy, pilotowany przez pilota 2 Eskadry stacjonującej w koszarach na Piaskach i dostarczyć około 90 przesyłek pocztowych. Byłoby to wielkie wydarzenie inaugurujące pocztę lotniczą na terenie ówczesnych Prus Zachodnich, zaledwie 3 miesiące po pierwszym oficjalnym locie pocztowym poczty niemieckiej z Mannheim do Heidelbergu. Niestety nie wszystko poszło zgodnie z planem. Jak informował „Elbinger Neueste Nachrichten” z 10 września 1912 r., lot do Tczewa odbył się, ale nie był to lot pocztowy.

*„Dzisiejszy pokaz postawił na nogi całe miasto – informowała gazeta. – Pogoda była możliwie korzystna. Pod wieczór wiatr osłabł całkowicie. Pokaz rozpoczął przed 6.00 (wieczorem) pilot Reiner Wirtz na jednopłatowcu Sommer o systemie „Schwalbe” („Jaskółka”). Po krótkim rozruchu wzniósł się łatwo i dumnie w powietrze. Gdy po 12 minutach szczęśliwy pilot wylądował, widownia wiwatowała. Znowu wzniósł się R. Wirtz tym razem do 200 m*

wysokości i wylądował po około 8 minutach gładkim ślizgiem. Lot Horsta von Platen do Malborka wstrzymano, z powodu awarii silnika.”

Niestety nie wiadomo, gdzie znajdowało się polowe lotnisko, na którym lądował samolot Wirtza. Po tym nie do końca udanym wydarzeniu pozostała piękna pamiątka w postaci okolicznościowej karty pocztowej.

Po wybuchu wojny pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Cesarstwem Rosyjskim, na początku sierpnia 1914 r., w Tczewie znajdowała się tymczasowa kwatera główna niemieckiego batalionu powietrznego Flieger-Bataillon No.2. Jednostka ta powstała w 1913 r. i składała się z trzech kompanii stacjonujących w Poznaniu, Grudziądzu i Królewcu. Tak jedną z misji wspomina porucznik Mahncke, adiutant dowódcy:

– „Chociaż byłem bardzo zajęty w Tczewie (nowa tymczasowa Kwatera Główna Flieger-Bataillon nr 2) zawsze korzystałem z okazji wyrwania się nad front i dostarczałem samoloty zastępcze dla jednostek terenowych. Pewnego ranka wylądowałem w sekcji nr 16 (Iława), gdzie panowało duże napięcie i wszystkie samoloty zostały wysłane do poszukiwania rosyjskiej Armii Narew. Właśnie wtedy przyszła pilna informacja z naszej Kwatery Głównej, rezerwująca samolot w gotowości do tajnej misji. Przybyłem w odpowiednim momencie. Kapitan Schmoeger zapytał mnie, czy jestem gotów lecieć, odrzekłem że tak i wraz z porucznikiem Koslikiem jako obserwatorem, z „najbardziej tajną przesyłką” w naszych rękach, wyruszyliśmy do Twierdzy Giżycko. Tam mieliśmy przekazać list do dowódcy, pułkownika Busse, o którym nie było nic słyhać już od kilku dni. Kwatera Główna martwiła się o niego i małą, ale ważną twierdzę, teraz najwyraźniej otoczoną przez Rosjan. Zostaliśmy poinformowani, że musimy pilnować depeszy z narażeniem własnego życia i postanowiłem, że w przypadku gdybyśmy zostali zestrzeleni, Koslik powinien otworzyć list, przeczytać i zapamiętać zawartość, a następnie porwać go na małe kawałki i wyrzucić z samolotu. Po wylądowaniu trzeba będzie spróbować dotrzeć do Giżycka na piechotę. Znałem ten obszar dobrze i samą twierdzę też, ponieważ w zeszłym roku sam wybierałem teren pod pobliskie lotnisko. Ustaliłem kurs z Tczewa prosto na Giżycko, aby nie tracić czasu, poza tym wróg może być już wszędzie. Miałem nadzieję, że nie zostanę zestrzelony

*przez naszych żołnierzy, ponieważ zostałem już poprzednio przez nich ostrzelany, pomimo naszych nowych krzyżowych oznaczeń. Obserwator prowadził stałe poszukiwania rosyjskich żołnierzy, ale tak długo, jak utrzymywaliśmy się powyżej 2 000 m, byliśmy stosunkowo bezpieczni. Zbliżając się do Giżycka, postanowiłem przylecieć z obszaru jeziora i wytracić wysokość obniżając lot spiralą w dół nad wodę, gdzie byłem bezpieczny od wszelkiego ostrzału. Potem przemykając nisko nad taflą jeziora, przeleciałem nad kilkoma domami oraz obroną twierdzy i wylądowałem. Przybył patrol i eskortował nas do pułkownika. Pułkownik Busse przeczytał list i powiedział nam, że Rosjanie już wysłali do niego negocjatora z żądaniem kapitulacji, ponieważ został przez nich otoczony i całe Prusy Wschodnie były w rękach rosyjskich. On oczywiście odmówił, a ja mogłem mu opowiedzieć o przebiegu walk i najnowszych osiągnięciach na froncie zachodnim. Przesyłka i nasze informacje pomogły znacznie umocnić morale obrońców. Pułkownik Busse przekazał nam odpowiedź dla Kwatery Głównej, a my powróciliśmy tą samą trasą, którą przylecieliśmy”.*

Po zwycięstwie pod Tannenbergiem i jeziorami mazurskimi front przesunął się dalej na wschód i batalion powietrzny opuścił nasze miasto.

Często obecność samolotów wynikała z niecodziennych okoliczności. 26 sierpnia 1927 r. wieczorem na polu za Parkiem Miejskim wylądował wojskowy dwupłatowiec. Pilot samolotu podjął taką decyzję ze względu na silny wiatr i zapadający zmrok, swój lot kontynuował następnego dnia rano. W 1933 r. niemiecki samolot, uczestnik rajdu lotniczego z Berlina, przymusowo lądował na tczewskich Górkach celem uzupełnienia paliwa. Również w 1935 r. z powodu braku benzyny przymusowo lądował samolot w gminie Subkowy. Maszyna odniosła uszkodzenia podwozia i śmigła, na szczęście załoga nie odniosła obrażeń.

Najciekawsza sytuacja miała miejsce dziesięć lat wcześniej. „Gazeta Gdańska” z 23 sierpnia 1925 r. pisała: „Pewien lotnik, jadący samolotem z Warszawy do Gdańska, wylądował na polu pod Zajączkowem. W samolocie znajdowało się 6 osób. Powodem wylądowania był lęk i krzyk pewnej przedstawicielki płci pięknej, która obawiała się jechać dalej w powietrzu i dalszą drogę odbyła samochodem, zaś samolot odleciał z innymi podróżnymi do Gdańska.”



Nad tczewskim niebem gościły nie tylko samoloty. Już w 1910 r. gazeta „Pielgrzym” informowała o widocznym nad miastem 11 października „okręcie powietrznym”. Nie znamy niestety więcej szczegółów tego wydarzenia. Jak donosiło „Słowo Pomorskie” z 9 września 1930 r., około godz. 18.00 nad powiatem tczewskim pojawił się w drodze do Moskwy słynny sterowiec Graf Zeppelin. Lecąc na wysokości 200 metrów z zachodu w kierunku północno-wschodnim przeleciał nad Pelplinem, Rajkowami, Subkowami i Gręblinem. Wywołał olbrzymią sensację, tłumy mieszkańców wyszły na ulice komentując ten przelot. Jeszcze bardziej spektakularny charakter miał lot powrotny. Sterowiec przeleciał nad Tczewem w nocy, budząc warkotem silników mieszkańców. Był dobrze widoczny również dzięki temu, że był oświetlony.

Łądowiskiem dla samolotów była również rzeka Wisła. Posiadamy kilka informacji o wojskowych hydroplanach cumujących przy tczewskim nadbrzeżu. Niektórzy piloci potrafili również, ku uciesze mieszkańców, przełatywać pod mostami. Niestety czasami dochodziło do tragedii. „Gazeta Bydgoska” z 5 września 1929 r. informowała: *„Na wczorajsze zawody pływackie i wioślarskie, urządzone przez kolejowe Przysposobienie Wojskowe oraz Ligę Morską, przybył również hydroplan z Pucka, który osiadł na Wiśle. Z powodu nieznanego terenu pilot uderzył pływakami o brzeg, które się znacznie uszkodziły. Hydroplan przy pomocy motorówki przepłynął na drugą stronę Wisły, gdzie się okazało, że motory również nie były w porządku. Marynarz Jan Bielawski z Tczewa, syn kupca Bielawskiego, dostał rozkaz naprawić przeszkody i przycumować hydroplan. Gdy p. Bielawski znajdował się w pobliżu śmigła motor nagle zaskoczył, a Bielawski został ciężko okaleczony. Skutek okazał się fatalny. Lewą ramię u samej nasady zostało roztrzaskane oraz stracił trzy palce u prawej ręki. Zranionego odstawiono natychmiast do szpitala św. Wincentego, gdzie p. dr Licznarski udzielił pierwszej pomocy. Ramię będzie prawdopodobnie odjęte. Działaj po południu startował w pobliżu Strzelnicy samolot sanitarny, który przewiózł p. Bielawskiego do szpitala wojskowego w Toruniu.”*

Tczew w okresie międzywojennym miał swoją własną „grupę lotniczą”. Jej historię opisał Stanisław Arciszewski w książce „Tradycje lotnicze Kociewia”. Powiatowe Koło Szybowcowe LOPP, bo o nim mowa, powstało w Tczewie 9

grudnia 1935 r., ale już od 1933 r. funkcjonowało Kolejowe Koło Szybowcowe. 1 marca 1936 r., we współpracy z Aeroklubem Gdańskim, zorganizowano pierwszy kurs teoretyczny, na który zgłosiło się 59 kandydatów. Wykładowcami byli działacze Aeroklubu Gdańskiego, a praktyczne szkolenie prowadził kierownik kursu Zbigniew Niwiński, który w 1932 r. zamieszkał w Tczewie przy ul. Łaziennej 12. W tczewskim kinie „Mars” w Hali Miejskiej wyświetlano kursantom film o szkoleniu szybowcowym, a podczas wycieczki do Rumi mogli zapoznać się ze sprzętem lotniczym. Szkolenie praktyczne, na które zgłosiło się 27 kandydatów i 4 pilotów szybowcowych, odbyło się w Tczewie w okresie od 20 września do 6 grudnia. Loty szybowców odbywały się ze wzgórza na terenach wojskowych. Najwyższe wzniesienie miało ponad 75 metrów i wówczas nie było zarośnięte lasem. Loty wykonywano głównie po stronie wschodniej dla wiatrów z tego kierunku. Dla wiatrów północnych i zachodnich latano po drugiej stronie wzgórz. Najbardziej aktywnym tczewskim szybownikiem była uczennica gimnazjum Magdalena Kamrowska. W 1936 r. wykonała najwięcej startów, po instruktorze Zbigniewie Niwińskim, a 17 września 1937 r. uzyskała kategorię A pilota szybowcowego.

W 1937 r. Koło Szybowcowe LOPP posiadało 265 członków i składało się z pięciu sekcji: wojskowej, kolejowej, Gimnazjum Męskiego, Gimnazjum Żeńskiego i Szkoły Rzemieślniczej. Najliczniejsza była sekcja wojskowa, która wspierała koło finansowo i organizacyjnie. Wojsko użyczało konia do wciągania szybowca na górkę i zezwalało na przechowywanie go w hangarze na terenie jednostki. W zamian Liga szkoliła chętnych do lotu żołnierzy. Koło posiadało trzy szybowce: „Wrona-bis” nr 656/L-45, „CWJ” nr 418 i „Wrona-bis” nr 402. Dwa ostatnie szybowce zbudował w Tczewie zespół w składzie: instruktor pilot Zygmunt Niwiński, Marcin Grabowski – stolarz, oraz Julian Grodner, Remigiusz Kopuszewski i Leon Wesołowski. Hangar do przechowywania szybowców znajdował się również w podwórzu domu przy ul. Kościuszki 8, w którym mieściła się siedziba koła oraz modelarnia. Tradycje szybownictwa były kontynuowane przez tczewskich harcerzy także po wojnie.

**Opracowali: Łukasz Brządkowski i Gabriela Burclaw**

# Śmiercionośna mandolina

**W lipcu 1935 r. wydarzyła się w Tczewie nietypowa zbrodnia. Młody, 24-letni robotnik zamordował oficera miejscowego 2 Batalionu Strzelców... mandoliną.**

Ówczesna prasa dokładnie opisuje makabryczne wydarzenie. Gazeta „Orędownik na Powiat Nowotomyski” z 25 lipca 1935 r. podała:

*„W nocy z czwartku na piątek [tj. 18 lipca], na krótko przed północą, ul. Sobieskiego na Nowym Mieście w kierunku domu wracał z dworca śp. porucznik Skowroński. W pewnej chwili przed domem, oznaczonym literą 12 porucznikowi drogę zastąpił, mocno podпиты, znany na bruku tczewskim awanturnik, bezrobotny ślusarz 24-letni Jan Wróbel, syn emerytowanego urzędnika pocztowego, zamieszkałego przy ul. Sobieskiego 7. Pijany Wróbel na widok oficera bez najmniejszych przyczyn rzucił się na por. Skowrońskiego, któremu zadał w twarz i głowę kilka ciężkich razów metalową mandoliną. Porucznik Skowroński obficie brocząc krwią, nie mając możliwości obrony, aczkolwiek posiadał przy sobie browning, ze strasznie zmasakrowaną twarzą padł nieprzytomny na jezdnię. Zbrodniarz, chcąc dać upust swym zbrodniczym instynktom, w dalszym ciągu przy pomocy śmiercionośnej mandoliny począł się pastwić nad nieprzytomnym oficerem, który wskutek złamania podstawy czaszki oraz kości nosowej padł trupem na miejscu. Po dokonaniu zbrodni ohydny morderca Wróbel, unosząc ze sobą obryzgane krwią narzędzie zbrodni, zbiegł i ukrył się w przydrożnym rowie przy ul. Sobieskiego,*

*gdzie w pół godziny później odnaleziony został przez policję. Okutego w kajdany przewieziono zbrodniarza samochodem do więzienia śledczego. Brat tragicznie zmarłego śp. por. Aleksandra Skowrońskiego mieszka w Poznaniu przy ul. Słowackiego 34. Wiadomość o zamordowaniu brata otrzymał p. Feliks Skowroński telegraficznie w piątek po południu i wyjechał natychmiast do Tczewa, by zająć się pogrzebem. Śp. por. Aleksander Skowroński urodził się 23 listopada 1901 r. w Poznaniu. W roku bieżącym zmarła jego mieszkająca w Poznaniu matka, wdowa, i niedawno też zmarł brat jego, śp. dr. Skowroński, lekarz w Międzychodzie.”*

22 lipca o godz. 17 przy udziale tłumnie przybyłych mieszkańców miasta odbył się pogrzeb ofiary. Kondukt żałobny był prowadzony przez orkiestrę wojskową i kompanię honorową 2 Batalionu Strzelców w pełnym rynsztunku bojowym. Delegacje żołnierzy i podoficerów niosły 17 wielkich wieńców przed trumną, na której wieku spoczywał hełm bojowy oraz okryta krepą szabla tragicznie zmarłego oficera. Niesiono poduszkę z odznaczeniami wojskowymi. Kondukt żałobny prowadził brat zamordowanego ks. Skowroński w asyście proboszcza wojskowego, ks. kapelana Styczka ze Starogardu i ks. Schwanitza. Za trumną szła rodzina zmarłego, korpus oficerski i podoficerski wraz z dowódcą 2 BS płk. Kruk-Śmigłym na czele, powiatowym komendantem policji kom. Skalskim, inspektorem straży granicznej majorem Okólskim oraz przedstawiciele władz i organizacji społecznych.

„Dziennik Bydgoski” z 10 października 1935 r. donosił: „W sobotę [28 września] o godz. 9 w sali sądu grodzkiego w Tczewie, wypełnionej po brzegi publicznością, przed wzmocnionym trzyosobowym wydziałem karnym starogardzkiego sądu okręgowego rozpoczął się ponury proces przeciwko mordercy śp. porucznika Aleksandra Skowrońskiego, dowódcy kompanii c. k. m. 2 Batalionu Strzelców, stacjonowanych w Tczewie. Rozprawie przewodniczy wiceprezes s. o. dr. Pobłocki. Jako sędziowie-wolanci zasiadają sędzia s. o. Wasilkowski, sędzia s. gr. Bąkowski. Oskarża prokurator Dietrich, broni mec. Gryning. Na ławie oskarżonych zasiadł robiący bardzo odpychające wrażenie, młody, 24-letni ślusarz Jan Wróbel, syn powszechnie poważanego emeryta pocztowego z Tczewa. Obszerny akt oskarżenia zarzuca oskarżonemu Wróblowi

zbrodnię z art. 225 k. k. 81. popełnioną przez to, że w dniu 18 lipca br. około godz. 23.30 przy ul. Sobieskiego w Tczewie w celu pozbawienia życia zadał śp. porucznikowi Aleksandrowi Skowrońskiemu okutą metalem mandoliną-banjo szereg ciosów w twarz, zabijając go na miejscu. Na rozprawę, która potrwa prawdopodobnie trzy dni, wezwano 25 świadków i trzech biegłych-lekarzy: dr. Kopicza z Kocborowa, kpt. dr. Tokarza i dr. Węglewskiego z Tczewa. Po odczytaniu aktu oskarżenia wolno, z wielką inteligencją i wyrachowaniem, zeznania składa oskarżony Wróbel, który twierdzi, że krytycznego dnia wstał o godz. 4 rano, mało jadł, a dużo pił wódki. Pamięta dokładnie, co robił i z kim był przez cały dzień. Dziwną rzeczą jest, że świetną pamięć utracił na kilka sekund przed zbrodnią, o której... dowiedział się dopiero w areszcie policyjnym z ust sędziego. Oskarżony dodaje, że alkohol używa dopiero od 1934 r., tj. po powrocie z wojska i prowadził się dotąd nienagannie. Przewodniczący zapytuje oskarżonego za co podczas półtorarocznej służby wojskowej karany był aresztem. Oskarżony umiejętnie i bardzo ostrożnie wykręca się z tego pytania i oświadcza że był to tylko „niewinny koszarniak” za drobne i nic nie znaczące przewinienia. Swęj ofiary, śp. por. Skowrońskiego, wcale nie znał i o samej zbrodni nic nie wie, bo był pijany.”

Pierwszy świadek, 21-letni handlowiec Edmund Dziewiątkowski, znał oskarżonego od maja 1934 r. jako dobrego i utalentowanego muzyka. Krytycznego dnia z okazji urodzin Langowskiego, kapelmistrza orkiestry mandolinowej K. P. W., grał z oskarżonym Wróblem u Langowskiego od godz. 5.00 rano. Solenizant poczęstował muzyków pół litrem wódki, którą do godz. 7.00 rano wypili sześć osób. Po raz drugi feralnego dnia świadek spotkał Wróbla o godz. 18.00 w świetlicy K. P. W, gdzie miała się odbyć próba orkiestry. W świetlicy zebrali się Marchewicz, Milbrot, Dziewiątkowski, Wróbel, Andrzejczak, Laskowski i kapelmistrz Langowski, który z okazji swoich urodzin postawił kolejne pół litra czystej, którą podczas gry w karty wypili w siedem osób. Świetlicę opuścili wszyscy wspólnie około godz. 20.30 i udali się do Restauracji Jerozolimskiej przy ul. Gdańskiej. Laskowski wraz ze świadkiem zakupili dalsze 0,75 litra wódki i tą również wspólnie wypili w siedem osób, tym razem pod płotem przy ul. Wierzbowej. Następnie

udali się do restauracji Szczuraszka przy ul. Dworcowej, gdzie przy piwie zaczęli grać w bilard, a oskarżony spisywał wyniki gier. W pewnym momencie Dziewiątkowski zaprosił Wróbla do bufetu na piwo i wódkę. Wróbel, nie wypijwszy piwa, wylał zawartość kufła na bufetową. Wybuchła awantura, a właściciel restauracji udał się do telefonu, aby wezwać policję, świadek zaś wyprowadził z restauracji oskarżonego, z którym ulicami Słowackiego, Hallera, Skarszewską udali się w kierunku domu przy ul. Sobieskiego. Jak stwierdził świadek oskarżony był pijany, zataczał się, ale o własnych siłach mógł iść. Obaj koledzy-muzycy rozstali się przed tym domem pomiędzy godz. 23.00 a 23.30.

W kilka chwil po rozstaniu się z Wróblem świadek Dziewiątkowski usłyszał z ulicy krzyk innego świadka Wollika, który wołał do niego: „Biją się... Krew się leje... On go zabije...”. Świadek wybiegł na ulicę, gdzie znalazł na jezdni w wielkiej kałuży krwi leżącego na wznak zabitego por. Skowrońskiego. Oskarżonego Wróbla świadek zauważył dopiero później, śpiącego na placu budowy kościoła św. Józefa. Wróbel był obryzgan krwią i pod głowę położył sobie... mandolinę. Kolejny świadek, 23-letni fryzjer Jan Dziewiątkowski, widział z okna swego mieszkania, jak oskarżony zaczepił przechodzącego porucznika, widział szarpaninę, usłyszał głucho uderzenia, potem upadek por. Skowrońskiego, do którego oskarżony Wróbel zawołał: „Teraz masz, dlaczego to zrobiłeś?” Zajście widziała również 32-letnia Paula Jendrysowa, która o godz. 23.15 podeszła do okna słysząc krzyki na ulicy. Widziała jak oskarżony Wróbel, oparty plecami o drzewo, zaczepił przechodzącego chodnikiem, ubranego w jasne ubranie cywilne por. Skowrońskiego słowami: „*Du, komm mal her*”. Wróbel, widząc, że jego ofiara nie reaguje na zaczepkę, podbiegł do niego i chwycił za rękaw. Zaczęła się szamotanina, po czym por. Skowroński upadł na jezdnię, a Wróbel dopadł leżącego, nieprzytomnego oficera i zadał mu mandoliną kilka ciężkich ciosów w twarz.

Po przerwie obiadowej o godz. 16.00 tego samego dnia zeznawał jako świadek kierownik sądu grodzkiego w Tczewie, który przesłuchał oskarżonego na posterunku. Stwierdził, że Wróbel był podпиты, ale symulował zupełnie pijanego. Początkowo podał swoje personalia i opisał, co od rana



do wieczora robił i z kim pił, ale o samej zbrodni nic nie chciał powiedzieć twierdząc, że nic nie wie. Podobnie świadczyli restaurator Ignacy Szczuraszek i jego bufetowa, 20-letnia Zofia Pobińska, którzy stwierdzili, że oskarżony nie był pijany. W restauracji urządził awanturę i chciał się rzucić na właściciela krzycząc: „Ty stary dziadzie, ja ciebie uśmiercę”. Kolejny świadek Władysław Wojtanowski stwierdził, że por. Skowroński do godz. 23.00 był u niego na kolacji i był trzeźwy. Po ich wysłuchaniu sąd zarządził przerwę w rozprawie do poniedziałku. Po wznowieniu procesu zdecydowano o oddaniu zatrzymanego na badania przez biegłych lekarzy oraz o przesłuchaniu policjantów, którzy aresztowali mordercę. Lekarze – dr Kopicz z Kocborowa, dr Węglewski i kpt. dr Tokarz – przez 45 minut przeprowadzali badania psychiatryczne. Po przerwie zeznawali świadkowie, posterunkowy Michał Plewa i post. Franciszek Talik (?), którzy o godz. 23.15, zaalarmowani przez świadka Wollika o dokonanej zbrodni, udali się na miejsce morderstwa przy ul. Sobieskiego. Na jezdni, w odległości około 30 cm od chodnika pomiędzy domami nr 11 i 12, znaleźli leżącego na wznak w kałuży krwi zamordowanego oficera. W odległości około 100 m od swej ofiary, na placu budowy na przeciwnej stronie ulicy, znaleźli śpiącego Wróbla, obok którego leżało okrwawione narzędzie zbrodni – mandolina. W chwili budzenia oskarżony odezwał się do policjantów: „Wy psie krwie, co mnie budzicie, dajcie mi spać”. Podczas przenoszenia do policyjnego samochodu Wróbel był zupełnie bezwładny, lecz podczas uruchomienia auta zerwał się i rzucił się na post. Talika, któremu oderwał od pasa kaburę z bronią, a podczas skuwania kajdankami kopał policjantów. Kolejni świadkowie, st. post. służby śledczej Franciszek Świątek, który prowadził w tej sprawie śledztwo, oraz posterunkowy Gryc i st. post. Franciszek Ratajczak zeznali, że oskarżony był co prawda pijany, ale bardziej to symulował. W dwie godziny po aresztowaniu podał sędziemu swoje personalia, nazwiska osób, z którymi krytycznego dnia miał styczność, oraz drobiazgowo podał ilość wypitych kieliszków wódki (około 10). Na świadków powołano również strażników więziennych, Falgowskiego i Wawrzyniaka, którzy zeznali, że oskarżony w więzieniu zachowywał się zupełnie normalnie oraz, że w dniu 29 września rano usiłował z tego więzienia uciec.



Z kolei rodzina Wróbla – ojciec, brat i siostra – opisali go jako spokojnego człowieka uzdolnionego muzycznie i zamiłowanego rysownika, który często po wypiciu alkoholu tracił pamięć.

Na wniosek prokuratora Dietricha, sąd przy udziale biegłych-lekarzy, świadków, oskarżonego oraz dziennikarzy o godz. 18.00, przy podobnym oświetleniu ulicy, jakie było krytycznej nocy 18 lipca, przeprowadził na ul. Sobieskiego wizję lokalną. W jej toku świadkowie Dziewiątkowscy odtwarzali drogę oskarżonego Wróbla przed i po zbrodni, a świadek Szutowa, która całe zajście obserwowała z okna swego parterowego mieszkania w domu nr 12, opisała moment zaczepienia Skowrońskiego przez mordercę.

Do godz. 21.00 swoje orzeczenia wydali biegli lekarze. Dr Węglewski stwierdził, że ofiara otrzymała trzy uderzenia mandoliną w głowę: pierwsze uderzenie trafiło w lewy policzek i spowodowało pęknięcie dolnej i górnej szczęki, złamanie kości oraz podstawy czaszki. Drugie uderzenie strzaskało kość nosową, zaś trzeci cios, zadany w okolicę prawego zakola szczęki, spowodował pęknięcie wargi. Jak wykazała sekcja zwłok, przyczyną śmierci było pierwsze uderzenie, które spowodowało wewnętrzny krwotok domózgowy i wstrząs mózgu. Biegli lekarze stwierdzili, że oskarżony Wróbel w chwili dokonania zbrodni, jak zdołali ustalić na podstawie przewodu sądowego z zeznań świadków, był w drugim „stanie pijaństwa” (wówczas klasyfikowane w trzech stopniach: „I. podniecenie alkoholowe, II. pijany, III. zatruty alkoholem, tj. nie odpowiedzialny za swe czyny”), czyli że w chwili dokonania mordu miał od 30 do 40 proc. ograniczoną zdolności do rozpoznania swoich czynów.

W piątek, po trzecim dniu procesu, skazano Jana Wróbla na karę 6 lat więzienia. Z dzisiejszej perspektywy, mimo niskiego wyroku, można podziwiać wymiar sprawiedliwości II RP za to, że osądzenie sprawcy zajęło zaledwie trzy miesiące od daty mordu.

**Opracował Wojciech Giełdon**

# Tajemnice tczewskiego września

**1 września 1939 r. o godz. 4.34 Tczew zostało zaatakowane przez bombowce Luftwaffe. Po półtorej godziny Wojsko Polskie wysadziło oba mosty i wieczorem tego samego dnia wycofało się z miasta. Tak w telegraficznym skrócie wyglądał początek wojny w Tczewie, ale mimo upływu 77 lat od tych zdarzeń wciąż kilka kwestii związanych z tczewskim wrześniem pozostało niewyjaśnionych.**

Niemiecki plan ataku na Tczew zakładał opanowanie nieuszkodzonych mostów przez Wisłę, co miało zapewnić możliwość szybkiego przerzucenia sił z Prus Wschodnich. Niemcy wiedzieli o zaminowaniu mostów, wyznaczyli więc pilotom bombowców nurkujących zadanie zniszczenia stacji odpalania ładunków wybuchowych i kabli prowadzących do komór minerskich na filarach. Same obiekty miały zostać zajęte z zaskoczenia poprzez niespodziewany atak żołnierzy ukrytych w przejeździe polskim pociągu towarowym.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września planowany był przejazd pociągu transzytowego nr 963, który według obowiązującego prawa międzynarodowego miał być prowadzony przez polską załogę. Po przybyciu do Malborka została ona aresztowana, a parowóz obsadzony niemieckimi kolejarzami w polskich mundurach. Podczepiono do składu wagony towarowe, w których ukryli się

saperzy. O 4.00 rano wyruszył on w drogę, realizując plan „Dirschau”. Mimo opanowania dworca w Szymankowie przez bojówki SA polskim kolejarzom udało się ostrzec stację w Tczewie o grożącym niebezpieczeństwie i skierować dreżynę na ślepy tor. Niemcy stracili cenne sekundy, a obrońcy mostu zamknęli bramę prowadzącą na most kolejowy. Za swoje bohaterstwo kolejarze z Szymankowa zapłacili najwyższą cenę – zostali zamordowani wraz z rodzinami przez rozwścieczonych nazistów. O godzinie 4.26 przeznaczone do precyzyjnego bombardowania bombowce nurkujące Junkers 87B-1 „Stuka” wystartowały z lotniska w Elblągu. Doleciały nad Tczew o 4.34 (lub 4.37 według innych źródeł) i rozpoczęły nalot na okolice dworca. Nieco później zbombardowano również koszary. Już w trakcie nalotu, o godzinie 4.42, do mostu podjechał pociąg nr 963. Niemcy, nie mogąc wjechać na most, wybiegli z wagonów i rozpoczęli atak. Polska obrona dowodzona przez ppor. Walentego Faterkowskiego otworzyła ogień, skutecznie powstrzymując napastników. W tym czasie polscy saperzy na drugim brzegu Wisły naprawiali zerwane kable prowadzące do komór minerskich. O godzinie 5.18 w okolicy mostu podjechał niemiecki pociąg pancerny, który został znacznie opóźniony poprzez wjazd na ślepy tor. Otworzył ogień ze swoich dział i karabinów, niszcząc jeden z polskich cekaemów. Do kolejnego ataku poderwała się niemiecka piechota, jednak i on załamał się w celnym ogniu polskich żołnierzy. Wydano rozkaz odwrotu ze wschodniego przyczółku. Ostatni żołnierze, wycofując się pod osłoną gęstej kratownicy, dotarli na zachodni kraniec mostu przed godziną 6.00 rano. Około godz. 6.10 por. Norbert Juchtmann wykonał rozkaz i wysadził wschodni przyczółek mostu wraz ze starą bramą wjazdową, a pół godziny później wysadzono filar nurtowy i zachodni przyczółek.

Po zakończeniu walk niemiecki oficer walczący na wschodnim brzegu Wisły miał rzekomo widzieć wysadzenie przyczółku wraz z żołnierzami w środku. Rewelacje te po wojnie rozwiewał dowódca polski ppłk. Stanisław Janik: „Fakt, że na przyczółku wschodnim pozostawili wycofujący się obrońcy kilku zabitych, rower i motocykl, Niemcy wykorzystali w swojej propagandzie, twierdząc, że Polacy wysadzili most razem z jego załogą – co

oczywiście było absolutnym kłamstwem”. Potwierdza to dowódca tego odcinka ppor. Walenty Faterkowski: „Około 6.00 rano pod silnym ostrzałem wroga ze stratą kilku zabitych, dokładnej ilości ofiar nie jestem w stanie ustalić, tym bardziej, że już uprzednio kilku rannych zostało przeniesionych na wschodnią stronę mostu, wycofałem się z plutonem na zachodnią stronę mostu, po czym w kilka minut wschodni przyczółek i filar «G» zostały wysadzone w pierwszej fazie zniszczenia strategicznego”. Najprawdopodobniej to właśnie wysadzenie przyczółku wraz z ciałami martwych żołnierzy niemiecki oficer wziął za wysadzenie żywych obrońców mostu.

Wsparcie natarcia wojsk niemieckich zapewniała artyleria zgromadzona na wschodnim brzegu Wisły (cztery działa piechoty 75 mm) oraz kilka baterii dział 75 mm i 105 mm w okolicach Miłobądz. Polacy mogli im przeciwstawić jedynie pluton artylerii uzbrojony w dwie armaty wz. 1902 kalibru 76,2 mm. Działa tego typu znalazły się na uzbrojeniu Wojska Polskiego w spadku po armii carskiej i jako zdobycz na bolszewikach w latach 20. Z racji nietypowego kalibru postanowiono je przekalibrować do standardowego wymiaru 75 mm. Do wybuchu wojny na stanie polskiej armii pozostało jedynie 89 dział do przerobienia. Niestety dwa z nich były na wyposażeniu tczewskiego batalionu. W trakcie bitwy okazało się, że brakuje do nich amunicji. Prawdopodobnie nasi artylerzyści oddali próbne strzały, ale prowadzenie ognia nieodpowiednią amunicją było bardzo niebezpieczne i mogło doprowadzić do eksplozji działa. Jak mogło dojść do takiego zaniedbania nie sposób dziś ustalić, ale brak odpowiedniej amunicji wyłączył nasze działa z walki.

Sporadycznie wspomina się wkład w obronę Tczewa, który wniosła 2. Kompania Obrony Narodowej, w ogromnej większości złożona z mieszkańców Tczewa. Zebrania dotychczasowej wiedzy na jej temat podjął się dr Michał Kargul. W artykule „Zapomniany oddział tczewskiego września 1939 roku – 2. kompania 82. batalionu piechoty”, opublikowanym w szóstym numerze „Tek Kociewskich”, przedstawił swoje ustalenia. Obrona Narodowa powstała jako uzupełnienie wojska regularnego. Składała się z lokalnych szeregowych, którzy z różnych względów nie podlegali mobilizacji, a dzięki znajomości terenu mieli za zadanie na wypadek wojny ochronę ważnych

celów strategicznych przed dywersją i osłonę mobilizacji. Uzbrojenie, słabsze od jednostek liniowych, było adekwatne do realizacji tego zadania. Tczewska kompania podlegała pod batalion ON w Starogardzie Gdańskim, a jej dowódcą był kpt. Juliusz Tarnawski. Została ona zmobilizowana 24 sierpnia i skoszarowana w budynku dzisiejszego I Liceum Ogólnokształcącego. Jej stan osobowy stanowiło ponad 200 żołnierzy. Według pierwotnych planów miała dozorować brzeg Wisły, ale 1 września została wysłana do innych zadań. Jak wspominał żołnierz 2. kompani ON Jan Mrozek (3 numer „Kocińskiego Magazynu Regionalnego” z 1987 r.), po bombardowaniu żołnierze kompani wymaszerowali w okolice Rokitek. Ze swego stanowiska obserwacyjnego zauważył kolumnę samochodów nadjeżdżającą od wsi Dąbrówka. Zostały one ostrzelane przez pluton 2 Batalionu Strzelców broniący pozycji na skraju dworca kolejowego w Suchostrzygach. Kolumna niemiecka była powstrzymywana do godz. 10.00. Potem hitlerowcy wzmocnili atak: *„Okolo godz. 11.00 w nasze pozycje zaczęła się wstrzeliwać zza Wisły ciężka artyleria niemiecka. W kompanii padali pierwsi ranni – strzelcy Przybył i Zander. Ten ostatni otrzymał całą serię z broni maszynowej. Ranny został także ppor. Jan Cybula. Po chwili na polu został trafiony w nogę dowódca 2 plutonu”*. Nie zdały egzaminu służby sanitarne. Dwaj sanitariusze, którzy odprowadzili rannego żołnierza do szpitala, już nie wrócili i pozostałych rannych uratował cywil, doktor Cymbrowski, który pomimo ostrzału umieścił ich na swoim powozie i zawiózł do szpitala. Walka ulegała natężeniu. *„Po południu nadleciało kilka sztukasów, które zaatakowały z powietrza nasze pozycje. Zaczęło się piekło, bo znaleźliśmy się w potrójnym ogniu. Z przodu nękała nas kolumna nacierających Niemców, z tyłu zza Wisły waliła artyleria i z góry te sztukasy. Posiłki nie nadciągały, a nasza artyleria milczała – zrozumieliśmy, że jej po prostu nie ma. Okolo godz. 15.00 ppor. Ostrowski zameldował dowództwu, że trudno mu utrzymać pozycję. W odpowiedzi otrzymał wyraźny rozkaz do wycofania się. Pozycję utrzymaliśmy aż do wieczora”*. Po zapadnięciu ciemności 2. Kompania Obrony Narodowej wycofała się przez Gniszewo i Waćmierek do Swarżyna.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Tczewskie stosy

**29 sierpnia 1433 r. Tczew, będący wówczas we władzy krzyżaków, został zdobyty przez wojska husycko-polskie. Bitwa nie pociągnęła za sobą wielu ofiar, natomiast po niej doszło do okrutnej rozprawy z pojmanymi jeńcami. Szczegóły tego wydarzenia poznajemy dzięki kronice Jana Długosza.**

21 lat po polskim zwycięstwie pod Grunwaldem wybucha kolejny konflikt z Zakonem Krzyżackim. Tym razem rycerze Najświętszej Marii Panny najechali polskie ziemie jako sprzymierzeńcy... Litwy. Król Polski Władysław II Jagiełło chciał przekazać władzę nad Wielkim Księstwem Litewskim swojemu najmłodszemu bratu Świdrygielle, pod warunkiem uznania przez niego podległości lennej wobec Korony i przekazania Polsce Podola wraz z Wołyniem. Świdrygiello, mając ambicje na bycie samodzielnym władcą, nie zgodził się na to. Spodziewając się wojny z bratem sprzymierzył się w 1431 r. z Zakonem Krzyżackim i skłonił do najazdu na ziemie polskie. Wszystko odbyło się przy pełnej aprobachie niechętnego Polsce króla Węgier i Niemiec Zygmunta Luksemburskiego.

Władysław Jagiełło skupił się na walce ze Świdrygiellą wysyłając wojska na Wołyń. Chcąc również ukarać Krzyżaków, zawarł dość niespodziewany sojusz z uznawanymi za heretyków husytami. Husyci byli Czechami, zwolennikami nauki teologa Jana Husa, który postulował m. in. nabożeństwa w języku narodowym, walkę z nadmiernym bogaceniem się

kleru oraz uznawał Biblię jako jedyne źródło doktryn wiary. Wezwany na sobór w Konstancji w 1414 r. miał się wytłumaczyć ze swoich poglądów. Mimo otrzymania listu żelaznego od Zygmunta Luksemburskiego, który gwarantował mu nietykalność, został skazany na śmierć i spalony na stosie. Doprowadziło to do wybuchu w Czechach tzw. wojen husyckich, w trakcie których zwolennicy Jana Husa pokonali cztery krucjaty i doprowadzili do uniezależnienia się od Niemiec. W 1432 r. w Pabianicach została zawarta umowa o współdziałaniu między Polską a husyckimi Czechami w walce z Zakonem Krzyżackim. Król polski zagwarantował wyposażenie, żołd i wyżywienie dla 8 tys. zbrojnych pod wodzą Jana Čapka z Sán. Czesi dotarli do Wielkopolski i w czerwcu 1433 r. wraz z rycerstwem polskim zaatakowali posiadłości zakonne. Następnie w lipcu tego roku wkroczyli na Pomorze i rozpoczęli oblężenie Chojnic. Brak artylerii oblężniczej, a także twarda postawa obrońców, spowodował odstąpienie od oblężenia po 6 tygodniach. Wojska polsko-czeskie wyruszyły na północ i po spaleniu klasztoru w Pelplinie stanęły pod Tczewem.

29 sierpnia 1433 r. znajdujące się pod murami miejskimi oddziały polsko-husyckie podpaliły przedmieścia Tczewa. Jak opisał to Jan Długosz, pożar dzięki południowemu wiatrowi szybko przerzucił się na jedną z baszt miejskich, a następnie na dach kościoła farnego. Rozżarzone fragmenty dachu zaczęły spadać na budynki mieszkalne potęgując chaos. Wykorzystując sytuację wojska królewskie rozpoczęły szturm. Obrońcy znajdujący się na murach, mając za plecami ogień, porzucili swoje stanowiska, a mieszczanie szukając ratunku rozbili od wewnątrz Bramę Gdańską, przez którą weszły wojska polsko-czeskie. Dla zdobywców, którzy ponieśli niewielkie straty, bardzo istotne były łupy. Pożar strawił wiele potencjalnych zdobyczy, niemniej w piwnicach znaleziono duże ilości tkanin i różnego rodzaju towarów.

Jak dalej opisuje Długosz, po zdobyciu miasta wzięto do niewoli „przeszło dziesięć tysięcy” (liczba zapewne mocno przesadzona) zbrojnych i zaciężnych, w skład których wchodził nie tylko poddani Krzyżaków, ale również Ślązacy i Czesi. Los tych ostatnich był przesądzony, w momencie kiedy Jan Čapek zażądał ich wydania. Zarzucił im, „że przeciw własnemu narodowi



dawali pomoc Niemcom i przyszli do Prus najemniczym orężem wojować z królem polskim i Polakami, którzy dla wspólności języka zawsze byli Czechom przychylni”. Kazał na środku obozu ułożyć ogromny stos i wszystkich na nim spalić. W jego ślady poszedł rycerz polski Jan Strasz z Białaczowa, który rozkazał zamknąć w drewnianej szopie pojmanych korsarzy krzyżackich i podpalił budynek. Ci z uwięzionych, którym udało się wydostać, wpadali na włócznie obserwujących egzekucję polskich zbrojnych. Dopiero interwencja dowódcy Mikołaja z Michałowa, który rozkazał ugasić ogień, zakończyła okrutne widowisko. Jak opisał to Długosz: „Jeden z tych nieszczęśliwych, mając popalone nogi, zawlókł się jak mógł do pobliskiej sadzawki, a kiedy mniemano, że chciał się wody napić, on bólem zniecierpliwiony sam się w wodzie utopił. Już odtąd nie pastwiono się więcej nad jeńcami.”

Inaczej wyglądał los pojmanych mieszkańców miasta. Kobiетom dowódcy wojskowi i starszyzna przydzieliła straż złożoną z Polaków, aby nie stały się brankami i padły ofiarą rabunków. Po spaleniu miasta nie mogły one pozostać na miejscu, a pobyt na wsiach mógł być niebezpieczny, dlatego też zdecydowano o przeprowadzeniu ich zza Wisłę na ziemię pruską. Według Długosza wojskom polsko-czeskim zależało na zagwarantowaniu przyjaznego stosunku ludności miejscowej. To miało odróżniać naszych rycerzy od Krzyżaków, którzy w 1431 r. dokonywali na terenie Wielkopolski wszelkich niegodziwości.

Po zdobyciu Tczewa wojska wyruszyły w stronę Gdańska, którego jednak nie miały szans zdobyć. 4 września husyci dotarli nad Bałtyk, który widzieli po raz pierwszy w życiu. Zbrojni bawili się w morzu jak dzieci, nabierali także na pamiątkę słoną wodę. Jan Čapek miał wjechać konno w fale i powiedzieć: „Oto bracia, przyznaję się wam, że osiągnąwszy w tym miejscu koniec świata, nie mogę się dalej posuwać, ponieważ wzbraniają mi tego morskie wody.” Polsko-czeskie oddziały wyruszyły w drogę powrotną. 13 września 1433 r. zawarto rozejm, a w grudniu Polska i Zakon Krzyżacki podpisały pokój w Łęczycy.

Po zakończeniu działań zbrojnych Władysław Jagiełło przyjął wodzów wyprawy i hojnie ich obdarował. Jan Čapek za pomoc otrzymał od polskiego

króla m. in. wielbłąda. Krótco potem, w czasie oblężenia katolickiego Pilzna, zwierzę zostało zagarnięte przez obrońców miasta podczas wypadu i od tego czasu wielbłąd jest jednym z elementów herbu Pilzna, znanego nam świetnie z etykiety jednego z najlepszych piw na świecie. 80 lat temu blisko stuosobowa grupa Czechów postanowiła uczcić pojawienie się swoich przodków nad Morzem Bałtyckim. W sierpniu 1933 r. Czesi przyjechali do Tczewa, gdzie witał ich m. in. burmistrz Stefan Wojczyński. Tczewski wątek czeskiej wyprawy z 1433 r. stał się inspiracją dla pisarza Aloisa Jiráska, który napisał opowiadanie pod jakże trafnym tytułem. „Tčevská hranice” („Tczewski stos”).

**Opracował Wojciech Giełdon**

# Uciekający król zostaje chrzestnym

**Jesień roku 1733. Wybrany drugi raz na króla Polski Stanisław Leszczyński zmierza w kierunku Gdańska, salwując się ucieczką przed zagrożeniem ze strony popleczników Augusta III Sasa. W Śliwinach pod Tczewem dochodzi do niecodziennego wydarzenia – władca zostaje ojcem chrzestnym dziecka urodzonego w królewskim orszaku.**

Nie było jeszcze Bursztynowej Autostrady, nawet obecna droga krajowa nr 91 wychodząca w kierunku Zajączkowa była pieśnią dalekiej przyszłości. W naszej okolicy w kierunku Gdańska trzeba było przeprawiać się przez podmokłą dolinę Szpegawy tak, by kontynuować drogę przez okolice Lubiszewa. To dlatego większość bitew w okolicy ograniczała się do tego ważnego strategicznie miejsca. Wielki konwój karoc z królem Leszczyńskim, podążających ze stolicy do Gdańska, toczył się drogą od Gnieszewa w kierunku grobli nad Jeziołem Rokickim, przejeżdżając przez Śliwiny...

Ks. Alfons Mańkowski, historyk i wikary w Lubiszewie w latach 1904–1910, w zachowanej parafialnej księdze ochrzczonych znalazł informację zapisaną przez ks. Józefa Radziszewskiego, że 5 października 1733 r. w Śliwinach „Serenissimus Rex Stanislaus” wraz z wojewodziną ruską Zofią z Sieniawskich Czartoryską trzymał do chrztu Stanisława Remigiusza Antoniego

– syna sądowego ziemskiego świeckiego Franciszka Chrzastowskiego i Magdaleny z Krusińskich. Zanotowano, że mały Stasiu urodził się w drodze, a więc jego rodzice byli członkami królewskiego orszaku.

*„Datę bytności króla w kościele lubiszewskim trudno pogodzić ze współczesną relacją gdańską, według której król w Gdańsku stanął już 2 października – dociekał ks. Mańkowski. – Może chrzest odbył się nazajutrz po narodzinach dziecka, tak iż dostojny kmotr (ojciec chrzestny – przyp. red.) tegoż jeszcze dnia przybył do oddanego sobie wiernie miasta.”*

Dotarcie króla do Gdańska i schronienie się tam przekształciło się w międzynarodowy konflikt, zwany wojną o sukcesję polską, toczony w Europie w latach 1733–1735 między koalicjami Francji, Hiszpanii i Bawarii, a Austrią, Rosją, Prusami i Danią. Przyczyną wojny była nie tylko rywalizacja o koronę polską między Stanisławem Leszczyńskim a Augustem III Sasem, lecz także dążenie Francji do zdobycia nowych terytoriów w Rzeszy (Lotaryngia) oraz we Włoszech.

Niewykluczone, że Stanisław Leszczyński być może raz jeszcze omijał niedalekim łukiem nasze miasto, kiedy przekradał się przez rosyjskie kordony z kapitulującego Gdańska do Prus Książęcych w przebraniu... chłopa.

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

## Wiedźmini ze Stanisławia

**144 lata temu przed sądem w Starogardzie stanęło dwóch braci Bischof z podtczewskiego Stanisławia, którzy znęcając się nad prawie siedemdziesięcioletnią kobietą – w swoim przekonaniu – próbowali uwolnić swoją umierającą siostrę spod rzekomo rzuconego na nią uroku.**

Jak donosiła w kwietniu 1870 r., nie bez cienia ironii wobec mieszkańców Prus, bawarska prasa: – „W Stanisławiu dwóch braci, z których jeden jest członkiem zwycięskiej i inteligentnej siły, która w roku 1866 zwyciężyła całe Niemcy pruskim intelektem, okrutnie pobiło za pomocą noży i kijów starą kobietę w celu zdjęcia z ich siostry czaru rzuconego na nią za pomocą kawałka podanego jej boczku. Błyskotliwy wojskowy Prusak domagał się przed sądem, żeby >>czarownica<< przyrzekła swą niewinność w kościele pod lufami tuzina załadowanych karabinów; w przypadku krzywoprzysięstwa broń miała wypalić i wysłać duszę wiedźmy do piekła. Sąd odmówił jednak wykonania tych wskazówek i skazał dwóch inteligentnych Prusaków, z uwzględnieniem okoliczności łagodzących (ponadnaturalnej głupoty?), na sześć tygodni więzienia. Gdyby taka sytuacja wydarzyła się jakiemuś ciemnemu zacofańcowi w Bawarii, liberałowie narzekaliby jak zawsze. Ale w Prusach zabobony i policyjna małostkowość są inteligencją.”

Z lektury innych czasopism poznajemy więcej szczegółów tej historii. W Stanisławiu pod Tczewem żyły od dłuższego czasu trzy kobiety określane

w okolicy jako „wiedźmy”. Były wdowami w podeszłym wieku i żyły wspólnie w jednym domostwie przynależnym do dóbr rycerskich (Stanisławia). W okolicach Świętego Marcina (listopad) pojawiła się przy tej trójce młoda, piękna, kwitnąca dziewczyna w wieku lat 20. Była córką jednej z wdów, pani Bischof. Dzień po przybyciu dziewczyny pani Krause, druga z wdów, poczęstowała dziewczynę kawałkiem pieczonego boczku z chlebem. Kilka dni później rozchorowało się dziewczę, i to na tyfus. Bracia dziewczyny, z których jeden był weteranem wojny z 1866 r., a drugi krzepkim młodzieńcem w wieku lat 20, byli przekonani o uroku rzuconym przy pomocy boczku na ich siostrę przez panią Krause. Za podpowiedzią ich matki bracia Bischof uznali, że najlepszą chwilą na odczynienie czaru będzie noc sylwestrowa. Przywlekli oni wówczas starą Krause do łóża ich siostry i zapytali, czy zdejmie z niej urok i chorobę. Kiedy odparła, że nie może tego uczynić, pobili ją okrutnie za pomocą noży i pałek. Po ośmiu dniach dziewczyna zmarła, a bracia Bischof stanęli 6 kwietnia przed sądem w Starogardzie zeznając, że to nie oni, a ich zmarła siostra znęcała się tak nad panią Krause. Radca sanitarny z Tczewa, dr Preuss, zeznał, że w okolicach Nowego Roku umierająca na tyfus dziewczyna nie była w stanie dokonać takich obrażeń. Dodał, że pani Krause miała ciało i twarz pokryte krwią; rany na głowie, piersiach i plecach (po części zadane nożami) uniemożliwiały pracę tej 68-letniej kobiety przez trzy tygodnie.

Kobieta ta, której wygląd według piszącego relację przywoływał otwierającą scenę „Makbeta”, twierdziła, że nie jest winna rzucenia na zmarłą dziewczynę uroku i z pewnością musiał dokonać tego ktoś inny. Wyrok sześciu tygodni więzienia dla oprawców staruszki wydaje się niezbyt rygorystyczny, ciekawe też jest, jakie okoliczności łagodzące uwzględnił starogardzki sąd wydając taki wyrok. Interesujące, że ślady po tamtych wydarzeniach można znaleźć dziś jedynie w prasie bawarskiej. Taka informacja musiała poprawiać samopoczucie Bawarczyków, którzy od zawsze byli naznaczani piętnem ciemnogrodzian.

**Opracowali Wojciech Giełdon i Przemysław Zieliński**

# Wyzwolenie?

**12 marca minęła kolejna rocznica zajęcia Tczewa przez Armię Czerwoną. W czasach PRL była to jedna z najważniejszych uroczystości w miejskim kalendarzu, obecnie jest ona prawie zupełnie zapomniana. Czy jest co świętować i czy warto przypominać tczewianom o tym wydarzeniu?**

Ostatnie miesiące okupacji niemieckiej były niezwykle ciężkie dla mieszkańców Tczewa. Po pięciu latach wojny i nazistowskiego terroru sytuacja społeczeństwa była tragiczna, co odczuwali szczególnie Polacy traktowani przez okupanta jako ludność drugiej kategorii. Braki w zaopatrzeniu w podstawowe produkty były na porządku dziennym, zmuszając do ryzykownych wypraw na wieś w celu pozyskania żywności poza systemem kartkowym. Ci, którzy nie mieli takiej możliwości, musieli zdobywać pożywienie w nielegalny sposób, co mogło zakończyć się tragicznie. W styczniu 1945 r., w celu steroryzowania społeczeństwa, Niemcy dokonali egzekucji Polaka oskarżonego o kradzież chleba. Został on publicznie powieszony na rynku (obecnie pl. Hallera), z przypiętą do piersi kartką z napisem: „Nie będziesz już psie chleba kradł?”. Dramat ludności pomorskiej potęgował pobór do wojska niemieckiego. Wielu młodych tczewian zostało przymusowo wcielonych do Wehrmachtu na podstawie przynależności do III grupy listy narodowościowej tzw. Volkslisty. Walcząc za obcą „ojczyznę” na różnych frontach nie mogli pomóc swoim bliskim w gorszych dla nich czasach. A te miały nadejść już wkrótce.



W lutym 1945 r., po zakończeniu dwóch wielkich operacji – wiślano-odrzańskiej i wschodniopruskiej – Armia Czerwona oparła się na środkowej Odrze, pozostawiając Śląsk i Pomorze w rękach niemieckich. Aby zlikwidować potencjalne zagrożenie postanowiono zniszczyć niemieckie ugrupowanie na Pomorzu. Zadanie to postawiono 1 Frontowi Białoruskiemu (kierunek natarcia Szczecin) i 2 Frontowi Białoruskiemu (kierunek Kołobrzeg i Gdańsk), składającemu się z czterech armii, dwóch korpusów pancernych, korpusu zmechanizowanego i gwardyjskiego korpusu kawalerii, którego działania wspierała 4 Armia Lotnicza. Przeciw nim broniła się niemiecka Grupa Armii „Wisła”, w składzie trzech armii oraz armii pancernej, z czego 9 Armia i 3 Armia Pancerna rozmieszczone były wzdłuż Odry. 10 lutego Rosjanie przystąpili do pierwszej fazy operacji, która nie osiągnęła zamierzonych rezultatów. Front przesunął się w naszym rejonie jedynie pod Czersk i Gniew. W związku z tym głównodowodzący 2 Frontem Białoruskim, marszałek Konstanty Rokossowski, zarządził przegrupowanie wojsk przed kolejnym atakiem, a do głosu doszło lotnictwo.

W dniach 20–22 lutego 1945 r. Tczew dotknęła jedna z największych tragedii w czasie wojny. Na miasto dokonano dwóch zmasowanych nalotów, które w połączeniu z nękającymi bombardowaniami przeprowadzanymi przez pojedyncze samoloty spowodowały śmierć 147 osób, w przytłaczającej większości cywili. Tych, których rozpoznały rodziny, pochowano na cmentarzu katolickim przy ul. Gdańskiej (12 osób), kolejne 12 na cmentarzu katolickim „starym” i 23 na cmentarzu „nowym”. Pozostałe 93 ofiary nalotów pochowano w dwóch masowych mogiłach na terenie nieistniejącego cmentarza ewangelickiego (obecnie Park Kopernika). W 2012 r., podczas ekshumacji żołnierzy niemieckich zmarłych w czasie wojny w tczewskich lazaretach, dokonano prawdopodobnie odkrycia obu mogił. Podczas radzieckich bombardowań zniszczeniu i uszkodzeniu uległo również wiele budynków mieszkalnych i miejskich.

Naloty spowodowały przyspieszenie przygotowań do obrony miasta. W lutym 1945 r. Niemcy wycięli w Parku Miejskim kilkadziesiąt drzew, robiąc z nich zapory przeciwczołgowe. Do dzisiaj, tuż przy wejściu do parku od

strony Wieży Ciśnień, stoi pamiątka tej wycinki – potężny świerk ze śladami nacięcia, który z niewiadomych względów został oszczędzony. W tym samym celu zabrano z fabryki Muscatego wyprodukowane lokomobile, którymi wzmocniono prowizoryczne barykady broniące dostępu do Tczewa od strony południowej. 8 marca wysadzono most kolejowy przez Wisłę. Wraz ze zbliżającym się frontem Niemcy przystąpili również do organizowania oddziałów Volkssturmu, które składały się ze słabo uzbrojonych, starszych i niepełnoletnich mężczyzn. To na ich barkach i resztek niepokonanych niegdyś wojsk niemieckich miała spocząć obrona Tczewa przed radziecką 2 Armią Uderzeniową generała-pułkownika Iwana Fiedunińskiego.

Szturm na miasto rozpoczął się od ostrzału artyleryjskiego i ataku od strony południowej. Jeszcze kilka lat temu pamiątką po nim był niewypał tkwiący w koronie Wieży Ciśnień, który w 2007 r. został usunięty przez tczewskich saperów. O przebiegu walk o miasto, widzianych oczami niemieckich żołnierzy, dowiadujemy się ze wspomnień kapitana Gerda Herbiga. Zostały one opracowane i przetłumaczone z języka niemieckiego przez Witolda Banackiego i ukazały się w „Gazecie Tczewskiej” 1 maja 1997 r.

Kapitan Herbig był dowódcą batalionu szkolnego podchorążych Luftwaffe. W styczniu, wraz ze swoją jednostką, został odkomenderowany jako oddział pieszy z Rumi do Malborka, gdzie walczył w obronie twierdzy do 22 lutego. Następnie otrzymał rozkaz przystąpienia do akcji bojowej w Gniewie. Po przybyciu do Tczewa oddział zajął pozycje obronne po obu stronach torów pomiędzy wiaduktem przy dzisiejszych Górkach Przemysłowych, a dawnym budynkiem miejskiej strzelnicy, gdzie umieścił swój sztab. W nocy po przybyciu na jego rozkaz zostaje wysadzony wspomniany wiadukt, a następnego dnia wieczorem oddział dostaje rozkaz wycofania się z miasta i zajęcia pozycji 3 km na północ od Tczewa. W trakcie przemarszu do kapitana dociera wysłannik ze sztabu pułku grenadierów informujący o konieczności... powrotu i ponownego zajęcia miasta. W Tczewie panuje absolutna cisza, żołnierze zajmują uprzednio opuszczone stanowiska. Siły niemieckie nie są wystarczające do osadzenia całej linii obrony, dlatego też nad ranem wojska sowieckie wdzierają się do

Tczewa brzegiem Wisły i zachodzą Niemców od tyłu. Kapitan Herbig organizuje obronę przy wiadukcie na dzisiejszej ul. Wojska Polskiego i ostrzeliwuje żołnierzy radzieckich, którzy pojawili się po jego drugiej stronie. Niemiecki oddział szturmowy, utworzony przez sztab pułku, zajął stanowiska obronne na ul. Gdańskiej, zabezpieczając drogę do dworca kolejowego. Po południu kapitan otrzymał nakaz ewakuacji, którą przeprowadził przez Suchostrzygi i Malinowo.

Straty niemieckie były trudne do oszacowania, mieszkańcy wspominają o wielu zwłokach w mundurach feldgrau w kilku punktach miasta. Rosjan zginęło prawdopodobnie około 100. W tym miejscu pojawia się pytanie, kiedy nastąpiło „wyzwolenie”? Przez pierwsze lata rocznicę obchodzono 11 marca, taka też informacja znajduje się w kronice Towarzystwa Miłośników Ziemi Tczewskiej. Natomiast według informacji prasowych z 12 marca 1945 r., tego dnia Radzieckie Biuro Informacji podało oficjalny komunikat o zdobyciu Tczewa i Wejherowa. W godzinach wieczornych uczczono to zwycięstwo w Moskwie 20 salwami z 224 dział, zapewne dlatego w Tczewie świętowano datę 12 marca, a nie dzień faktycznego zdobycia miasta.

Postępowanie Armii Czerwonej na terenie Pomorza dobrze ilustrują meldunki Delegatury Rządu na Kraj z marca 1945 r.: *„Pomorze po tej wojnie okaże się najbardziej zdewastowaną prowincją Polski. Wojska bolszewickie szaleją po wsiach i miasteczkach. Można przejść wiele osiedli i nie spotkać duszy, prócz plądrujących bolszewików. Ludność miejscową wysiedlono i umieszczono w olbrzymich obozach pracy, których jest na Pomorzu kilka. Po szosach jeżdżą lotne kolumny NKWD i aresztują każdego napotkanego przechodnia, trzymają przez kilka dni w obozie, po czym z reguły puszczają obrabowawszy go doszczętnie i nie dają mu żadnego zaświadczenia, że już przebył kwarantannę. W drodze do domu zatrzymuje go druga kolumna i zaczyna się ta sama historia. Były przypadki, że ludzie w ciągu 14 dni byli w kilku różnych obozach czy punktach NKWD, zanim dostali się do domu”*. Meldunki informowały o licznych rabunkach zwanych „rekwizycjami”, o gwałtach i zarażaniu kobiet chorobami wenerycznymi przez żołnierzy radzieckich.

Tczew także nie był wolny od samowoli, często pijanych krasnoarmiejców. Jak wspomina Tadeusz Radkte, który całą okupację spędził w Tczewie, do piwnicy przy ul. Chopina, w której się ukrywał, wtargnęli dwaj czerwonoarmiści i zażądali kobiet oraz złota. Kiedy nic nie otrzymali ustawili całą rodzinę pod ścianą grożąc rozstrzelaniem. Sytuację uratował przechodzący radziecki oficer, który widząc co się dzieje rozkazał swojemu adiutantowi rozstrzelać własnych żołnierzy. Rosjanie często stawali się ofiarą własnych rabunków. Jak wspomina pan Tadeusz, przy ul. Chopina 13 mieściła się fabryka wódek i octu. Po zakończeniu walk o Tczew młodzi chłopcy regularnie udawali się tam po barwiony na czerwono cukier zalegający w hali. Pewnego dnia zauważyli leżących w korytarzu kilku żołnierzy radzieckich, którzy zmarli po wypiciu znacznych ilości octu spirytusowego. Zostali potem pochowani w zbiorowej mogile pod pomnikiem żołnierzy radzieckich.

Tuż po zdobyciu Tczewa doszło do serii pożarów budynków użyteczności publicznej. W dziwnych okolicznościach spłonął dworzec kolejowy, który według świadków przetrwał walki, oraz szpital św. Wincentego i pobliski duży młyn parowy przy ówczesnej ul. Dworcowej (obecnie kard. Wyszyńskiego). Pożar tych ostatnich jest szczególnie tajemniczy, ponieważ kronika Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Tczewskiej z 1975 r. informuje o desancie niemieckim pomiędzy 20 a 30 marca. Wydaje się nieprawdopodobne, aby Niemcy, którzy na Żuławach mieli jedynie pojedyncze, rozbite już oddziały, wykonali tak spektakularny atak po to, żeby spalić szpital. Mamy tu do czynienia raczej z tworzeniem historii na potrzeby rozgrzeszenia ówczesnego sojusznika.

Za wojskami frontowymi przybyły do miasta jednostki specjalne NKWD, które oprócz wyłapywania i rozstrzeliwania maruderów i dezertów z Armii Czerwonej, miały za zadanie stworzyć grunt pod przyszłe przejęcie władzy przez komunistów. Doszło do masowych aresztowań tłumaczonych rzekomą współpracą z Niemcami, ustaloną na podstawie przynależności do III grupy Volkslisty, do której na Pomorzu należało ponad 60 proc. mieszkańców. W skali całego regionu pomorskiego w granicach

Rzeczypospolitej z 1939 r., do obozów pracy w ZSRR deportowano w pierwszej połowie 1945 r. ponad 15 tys. cywilów narodowości polskiej. Spośród tej grupy ponad 2 tys. poniosło śmierć. Aresztowani Polacy byli przekazywani do więzienia w Grudziądzu, a po kolejnych przesłuchaniach do obozu przejściowego w Działdowie, skąd deportowano ich w głąb ZSRR, najczęściej na Syberię. W Tczewie aresztowano ponad 100 osób, o wielu z nich słuch zaginął. Do tej pory nie udało się ustalić losów Josepha Suszka, aresztowanego 12 marca 1945 r. przez Armię Czerwoną. Ukrywał się on w ostatnich dniach okupacji, zapewne przed wcieleniem do Volkssturmu i skierowaniem na front. 12 marca do jego domu przy ul. Rybackiej 22 przyszedł żołnierz radziecki wraz z tłumaczem. Wyprowadzili go z domu, na ulicy dołączył do grupy mężczyzn stojących pod eskortą żołnierzy. Ostatnia informacja o nim pochodzi z Grudziądza. Także tam urywają się losy Grzegorza Schultza, który został aresztowany na ul. Wąskiej przez patrol, kiedy chciał sprowadzić księdza do umierającego ojca. Są to tylko dwa przykłady z kilkudziesięciu, może kiedyś uda nam się wyjaśnić losy wszystkich zaginionych.

Nie ulega wątpliwości, że zajęcie Tczewa przez Armię Radziecką zakończyło trwającą pięć i pół roku brutalną niemiecką okupację. Władze III Rzeszy zgodnie z nazistowską polityką skazywały naród polski na biologiczne wyniszczenie, poza jednostkami przeznaczonymi do germanizacji i służby na rzecz „panów”. Sowietci kierowali się zupełnie inną zasadą, pragnęli zniewolić Polaków przy pomocy posłusznych sobie jednostek. Nie wyzwali Polski w pełnym słowa tego znaczeniu, przygotowali w Polsce grunt pod demokrację, ale w wydaniu „ludowym”. Każdy, kto chciał walczyć o prawdziwą wolność i niepodległość, jak Żołnierze Niezłomni, szybko stawał się ofiarą reżimu stalinowskiego. Do pełnego wyzwolenia spod obcej dominacji musieliśmy czekać aż do roku 1989, dlatego też 12 marca (a właściwie 11) powinien być zapamiętany jedynie jako data zakończenia niemieckiej okupacji.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

## **IV. DAWNY TCZEW**





# **Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta.**

## **Podsumowanie 5 lat działalności**

**Dawny Tczew, to projekt Ruchu Inicjatyw Obywatelskich Tczewa, który powstał 30 stycznia 2011 r. dzięki dotacji Gminy Miejskiej Tczew, Starostwa Powiatowego w Tczewie oraz Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego.**

Do realizacji poszczególnych inicjatyw otrzymywaliśmy dotacje także z innych źródeł, jak program „Działaj Lokalnie” oraz „Akumulator Społeczny”. Dużego wsparcia udzielały nam lokalne przedsiębiorstwa, przede wszystkim Bank Spółdzielczy w Tczewie, Eaton, Pomorska Specjalna Strefa Ekonomiczna, Spółdzielnia Pracy Usług Kominiarskich w Gdańsku Oddział w Tczewie, Zakład Wodociągów i Kanalizacji, Tczewskie Towarzystwo Budownictwa Społecznego i Zakład Utylizacji Odpadów Stałych. W kwestiach merytorycznych współpracujemy z Narodowym Archiwum Cyfrowym, Archiwum Państwowym w Gdańsku, Fabryką Sztuk i Miejską Biblioteką Publiczną. Patronami medialnymi Dawnego Tczewa są portal Tcz.pl, Gazeta Tczewska, Kociewski Kurier Tczewski i Radio Gdańsk.

### **Dawny Tczew w liczbach**

Na stronie [www.dawnytczew.pl](http://www.dawnytczew.pl) w ciągu pięciu lat działalności zgromadziliśmy prawie 450 artykułów, ponad 1000 fotografii i skanów oraz 26 cyfrowych map. Zanotowaliśmy prawie 113,5 tys. unikalnych odsłon

naszej strony. Niezwykle ważną częścią portalu Dawny Tczew jest forum, będące miejscem dyskusji na tematy związane z historią miasta. Zarejestrowało się na nim 819 użytkowników, którzy napisali ponad 38 tys. postów w prawie 2150 tematach. Promocja historii Tczewa odbywa się także przez profil Dawnego Tczewa na Facebooku, który „lubi” ponad 5000 osób. W lokalnej prasie ukazało się 150 artykułów naszego autorstwa promujących dzieje lokalne, a o Dawnym Tczewie ukazało się ponad 500 informacji medialnych. Gościliśmy na łamach nie tylko lokalnych i regionalnych mediów, ale także w ogólnopolskich stacjach telewizyjnych jak Polsat, TVN i TVP.

## **Uroczystości i odkrycia**

Dawny Tczew uczestniczy w wielu miejskich i lokalnych uroczystościach, szczególnie tych promujących postawy patriotyczne. Zainicjowaliśmy obchody kilku ważnych dla dziejów lokalnych wydarzeń: rocznicy rozstrzelania 13 Polaków na „świńskim rynku”, katastrofy wojskowego samolotu na działkach na osiedlu Czyżykowo i zawieszenia polskiej bandery na osiedlu im. kmdr Antoniego Garnuszewskiego w rocznicę powołania Szkoły Morskiej w Tczewie. Co roku organizujemy także Tczewskie Zaduszki, czyli spacer śladami nieistniejących staromiejskich cmentarzy.

W ciągu pięciu lat działalności dokonaliśmy kilku istotnych odkryć historycznych. Nad brzegiem Wisły odnaleźliśmy fragment szkuty wiślanej z XVIII w. oraz słup graniczny z międzywojennej granicy Polski i Wolnego Miasta Gdańska. Podobne słupy zostały przez nas odkryte w Parku Miejskim w Tczewie. W styczniu zeszłego roku odkryliśmy w niemieckim archiwum kolorowy film przedstawiający mosty tczewskie w czasie okupacji.

## **Akcje i inicjatywy**

W trosce o zachowanie lokalnego dziedzictwa historycznego zainicjowaliśmy kilka akcji społecznych. Zajmujemy się ochroną miejskich zabytków, co roku sprzątamy teren dawnych cmentarzy i zapomniane

groby ważnych dla historii naszego miasta osób. Gromadzimy nagrobki ze zlikwidowanych nekropolii, które zostały wykorzystane jako materiał budowlany w różnych punktach miasta, z myślą o stworzeniu z nich lapidarium nieistniejących cmentarzy. Byliśmy inicjatorami nadawania nazw ulic i placów nazwiskami zasłużonych, a zapomnianych dla naszego miasta osób, jak dr. Scheffler, oraz wskrzeszania historycznych nazw ulic jak ul. Dworcowej. Dwukrotnie włączyliśmy się w organizację Nocy Muzeów organizując spacer śladami św. Jerzego oraz nocne zwiedzanie kościoła farnego. Największym wydarzeniem współorganizowanym przez Dawny Tczew był koncert Katy Carr, który odbył się w rocznicę wybuchu II wojny światowej w 2012 r.

## **Edukacja historyczna**

W trakcie dotychczasowej działalności zorganizowaliśmy kilkanaście spacerów edukacyjnych, na potrzeby których stworzyliśmy cztery nowe szlaki spacerowe, zarówno dla mieszkańców miasta, jak i gości z Polski i z zagranicy. Wiedzę o najbliższych okolicach naszego miasta propagujemy podczas wycieczek rowerowych, w których wzięło łącznie udział blisko 150 osób. Edukację z historii lokalnej prowadzimy także poprzez spotkania – wykłady dla różnych grup wiekowych oraz organizując konkursy dla młodzieży.

## **Promocja Tczewa**

Dzięki współpracy z Urzędem Miejskim dwukrotnie promowaliśmy miasto podczas Jarmarku Dominikańskiego. Stworzyliśmy także wiele materiałów promujących Tczew i jego historię: cztery foldery ze Szlakami Spacerowymi Dawnego Tczewa, folder o historii tczewskich ogrodów działkowych, folder Szlaki Rowerowe Dawnego Tczewa, cztery pocztówki trójwymiarowe, pocztówki Duchy Miasta, pocztówkę Tryptyk Tczewski, cztery edycje kalendarza Dawnego Tczewa i reprinty archiwalnych map. We współpracy z Urzędem Miejskim przeprowadziliśmy dwie inicjatywy z zakresu promocji historii miasta: stworzyliśmy opis dziejów

Tczewa na stronę [www.wrotatczewa.pl](http://www.wrotatczewa.pl) oraz opisy historyczne umieszczone na tablicach na szlaku fortecznym i widokowym. We współpracy z parafią staromiejską stworzyliśmy aplikację internetową Wirtualny Spacer po Farze, która umożliwia poznanie tajemnic kościoła pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Współtworzyliśmy również książkę „Patroni i nazwy tczewskich ulic”. Promocji historii lokalnej służy także darmowa gra „Zbudujmy Tczew” oraz cykl filmów stworzonych w ramach Telewizji Dawny Tczew.

## **Podziękowania**

Działalność Dawnego Tczewa nie byłaby możliwa bez wsparcia i bezinteresownej pomocy wielu osób. Od pięciu lat wolontarystycznie portal prowadzą administrator Marek Rekowski i moderatorzy Agata Warmbier i Przemysław Zieliński. Za wybitne wsparcie naszej inicjatywy corocznie przyznajemy odznakę Honorowego Członka Dawnego Tczewa. Do tej pory otrzymali ją: Andrzej Kopyłowicz, Stanisław Zaczyński, Waław Pobłocki, Mirosław Zawadzki, Leszek Bodio. Wśród naszych zbiorów znajdują się dziesiątki dokumentów udostępnionych przez mieszkańców. Serdeczne podziękowania zechcą przyjąć: Krzysztof Barwikowski, Dariusz Boczek, Sławomir Bonczkowski, Jakub Borkowicz, Gabriela Burclaw, Krzysztof Chróścicki, Remigiusz Czapliński, Łukasz Czerniewicz, Mirosław Diller, Zdzisław Dura, Sławomir Fedorowicz, Łukasz Gawroński, Wojciech Giełdon, Krzysztof Gliński, Józef Golicki, Arlena Haase-Witczak, Paweł Huber, Kazimierz Ickiewicz, Hieronim Idkowiak, Krzysztof Jach, Teresa Janiak, Szymon Jellonek, Sebastian Justyński, Rafał Karasewicz, Michał Kargul, Marta Kistowska, Marcin Kłodziński, Andrzej Kopyłowicz, Małgorzata Kruk, Eugeniusz Krzyżanowski, Grzegorz Kurosad, Jerzy Lehman, Grażyna Linkner, Mieczysław Marczak, Krzysztof Meller, Włodzimierz Mieńko, Bogdan Musiał, Andrzej i Marianna Niemczuk, Andrzej Nowaczyński, Kamila Ormianin, Andrzej Pęski, Daniel Piechowski, Agnieszka Pietrusa, Mieczysław Piotrkowski, Waław Pobłocki, Piotr Podkowiński, Tadeusz Radtke, Artur Rosiak, Adam Samulewicz, Dariusz Schulz, Ryszard

Siwak, Daniel Skoczyński, Wiesław Szopiński, Karola Warsińska, Andrzej Waś, Damian Weskamp, Łukasz Wodzisławski, Waldemar Wons, Andrzej Wulski, Stanisław Zaczyński, Adam Zalewski, Mirosław Zawadzki, Przemysław Zieliński.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

# Kalendarium Dawnego Tczewa

## 2011

### Styczeń

- 30 – Powstaje „Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta”

### Kwiecień

- 02 – Wyprawa na Most Tczewski  
30 – Wyprawa na wieżę kościoła św. Józefa

### Czerwiec

- 05 – Uczestnictwo w „Pchlim Targu”  
17–19 – Uczestnictwo w Dniach Ziemi Tczewskiej  
30 – Inicjatywa przywrócenia nazwy ul. Dworcowej przy dworcu PKP

### Lipiec

- 07 – Uczestnictwo w obchodach 70. rocznicy powstania TOW „Gryf Pomorski”  
17 – Porządkowanie cmentarza żydowskiego w Bałdowie; poszukiwanie tunelu z knybańskiej cegielni  
21 – Wydobywanie fragmentów nagrobków z ul. Chopina

### Sierpień

- 01 – Uczestnictwo w obchodach 67. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego  
6 – Porządkowanie cmentarza żydowskiego przy ul. Bałdowskiej  
12 – Spotkanie z archeologiem w farze  
13 – Upamiętnienie katastrofy lotniczej na Czyżkowicie

- 27 – Wydobycie płyt nagrobnych z jednej z piwnic kamienicy na Starym Mieście

### **Wrzesień**

- 15 – Wyprawa na dach Szkoły Podstawowej nr 5  
22 – Wyprawa do koszar

### **Październik**

- 08 – Wyprawa do Sobowidza  
22 – Wyprawa na wieżę fary i porządkowanie zebranych fragmentów nagrobków w bazie Zakładu Usług Komunalnych  
30 – Sprzątanie cmentarza jeńców austriackich  
31 – „Tczewskie Zaduszki” – spacer śladami nieistniejących cmentarzy

### **Listopad**

- 01 – Spacer po tczewskich nekropoliach

### **Grudzień**

- 09 – Na Powiatowej Gali Wolontariatu otrzymaliśmy nagrodę jako Inicjatywa Społeczna Roku Miasta Tczewa oraz wyróżnienie w kategorii Inicjatywa Społeczna Roku Powiatu Tczewskiego 2011.  
13 – Uczestnictwo w obchodach 30. rocznicy wprowadzenia stanu wojennego  
30 – Organizacja turnieju w grę planszową „Poznajemy Tczew”

## **2012**

### **Luty**

- 10 – Spotkanie w ramach Kocińskiego Klubu Dyskusyjnego, pt. „Lokalne portale miłośnicze – szanse i zagrożenia edukacji historycznej”  
16 – Konkurs Wiedzy o Tczewie w I LO

### **Marzec**

- 14 – Wydanie pocztówki 3D promującej Tczew  
20 – Inicjatywa nazwania skweru dr. Schefflera i ulicy dr. Mieczysława Węglewskiego

### **Czerwiec**

- 03 – Uczestnictwo w „Pchlim Targu”



- 17 – Zawieszenie bandery na os. Garnuszeńskiego w rocznicę ustanowienia Szkoły Morskiej
- 23–24 – Uczestnictwo w Dniach Ziemi Tczewskiej
- 30 – Wydanie pocztówki 3D promującej Tczew

### **Lipiec**

Wydanie „Szlaków Spacerowych Dawnego Tczewa” i zorganizowanie cztery wycieczek po ich trasie

- 05 – Spacer śladami pierwszych lat władzy ludowej

### **Sierpień**

Zorganizowanie czterech wycieczek trasą „Szlaków Spacerowych Dawnego Tczewa”

- 12 – Uczestnictwo w 752. Jarmarku Dominikańskim
- 13 – Premiera tczewskiej Oranżady Wyborowej
- 27 – Uczestnictwo w projekcie „Sesilus”

### **Wrzesień**

- 01 – Współorganizacja Koncertu Katy Carr; uczestnictwo w obchodach rocznicy wybuchu II wojny światowej

### **Październik**

- 01 – Poszukiwanie skarbów nad Wisłą
- 05 – Uczestnictwo w VI Nadwiślańskich Spotkaniach Regionalnych
- 16 – Poszukiwanie zbiorowej mogiły w Parku Kopernika
- 27 – Spacer z młodzieżą z internatu ZSE
- 30 – Sprzątanie zapomnianych cmentarzy
- 31 – „Tczewskie Zaduszki” – spacer śladami nieistniejących cmentarzy

### **Listopad**

- 11 – Uczestnictwo w obchodach Święta Niepodległości w CKiS
- 30 – Wydanie Kalendarza Dawnego Tczewa; stworzenie opisu historii miasta na stronę Wrota Tczewa

### **Grudzień**

- 09 – Uczestnictwo w Powiatowej Gali Wolontariatu
- 21 – Stworzenie opisów na tablicach Szlaków Widokowego i Fortecznego

## **2013**

### **Styczeń**

- 24 – Upamiętnienie rocznicy egzekucji na „Świńskim Rynku”

### **Luty**

- 07 – Konkurs wiedzy o Tczewie w I LO

### **Marzec**

- 02 – Wyprawa fotograficzna do koszar  
06 – Uczestnictwo w grze miejskiej zorganizowanej przez MOPS

### **Kwiecień**

- 27 – Wycieczka rowerowa „Grodziska Ziemi Tczewskiej”

### **Maj**

- 11 – Uczestnictwo w Dniu Samorządowca i Komunalnika  
18 – Uczestnictwo w Nocy Muzeów oraz obchodach 69. rocznicy bitwy pod Monte Cassino  
29 – Uczestnictwo w wystawie „Mosty Tczewskie Dawniej i Dziś” zorganizowanej przez Związek Mniejszości Niemieckiej w Tczewie

### **Czerwiec**

- 01 – Wyprawa do Białej Góry  
02 – Uczestnictwo w „Pchlim Targu”  
09 – Uczestnictwo w Dniu Dziecka zorganizowanym przez działkowców  
13 – Stworzenie „Przewodnika po historii ogródkach działkowych” wydane przez działkowców  
14 – Uczestnictwo w „Święcie Ulicy”  
17 – Zawieszenie bandery na os. Garnuszewskiego w rocznicę ustanowienia Szkoły Morskiej  
20 – Wydanie pocztówki „Tryptyk Tczewski”  
21 – Akcja „Dawny Tczew czyta dzieciom”  
22 – Wyprawa pod Most Tczewski w poszukiwaniu elementów pozostałych po zniszczeniu w 1939 r.  
22–23 – Uczestnictwo w Dniach Ziemi Tczewskiej

### **Lipiec**

- 15 – Wyprawa do Łapalic

27 – Wyprawa rowerowa Nowy Staw – Nowy Dwór

### **Sierpień**

03 – Udział w „Pikniku Rodzinnym z Fabryką Sztuk”

04 – Wyprawa rowerowa do Rybaków

13 – Wyprawa rowerowa na Żuławy Gdańskie

18 – Uczestnictwo w Jarmarku Dominikańskim

23 – Uczestnictwo w obchodach Europejskiego Dnia Pamięci Ofiar Stalinizmu i Nazizmu

29 – Premiera Telewizji Dawny Tczew

31 – Wyprawa na Nizinę Walichnowską

### **Wrzesień**

01 – Uczestnictwo w obchodach rocznicy wybuchu II wojny światowej

12 – Uczestnictwo w dniu otwartym Domu Przedsiębiorcy

### **Październik**

04 – Uczestnictwo w VII Nadwiślańskich Spotkaniach Regionalnych

26 – Prezentacja pt. „Fantastyczny Tczew” podczas Tetkonu

28 – Wydanie pocztówki 3D

31 – „Tczewskie Zaduszki” – spacer śladami nieistniejących cmentarzy

### **Listopad**

01 – Spacer po tczewskich nekropoliach

### **Grudzień**

06 – Wydanie kalendarza Dawnego Tczewa

## **2014**

### **Styczeń**

24 – Upamiętnienie rocznicy egzekucji na „Świńskim Rynku”

### **Luty**

07 – Konkurs wiedzy o Tczewie w I LO

### **Marzec**

01 – Uczestnictwo w obchodach Dni Żołnierzy Wyklętych

### **Kwiecień**

12 – Wyprawa rowerowa do Steblewa

26 – Wyprawa rowerowa na cmentarz mennonicki w Stogach Malborskich

### **Maj**

17 – Uczestnictwo w I Kocięskiej Majówce w Gniewie oraz spacer po farze w ramach Nocy Muzeów

24 – Uczestnictwo w pikniku z okazji 40-lecia osiedla Górki

### **Czerwiec**

01 – Premiera „Wirtualnego Spaceru po Farze”

01 – Wydanie pocztówek „Duchy Miasta”; uczestnictwo w „Pchlim Targu”

07 – Uczestnictwo w Dniu Dziecka zorganizowanym przez działkowców

17 – Zawieszenie bandery na os. Garnuszeńskiego w rocznicę ustanowienia Szkoły Morskiej

21 – Uczestnictwo w Dniach Ziemi Tczewskiej

28 – Uczestnictwo w pikniku firmowym Eatona

### **Lipiec**

05 – Uczestnictwo w polsko – niemieckiej grze miejskiej

### **Sierpień**

01 – Uczestnictwo w obchodach 70. rocznicy Powstania Warszawskiego

02 – Uczestnictwo w „Pikniku Rodzinnym z Fabryką Sztuk”

13 – Upamiętnienie 45. rocznicy katastrofy lotniczej na Czyżykowie

23 – Uczestnictwo w obchodach Okręgowego Dnia Działkowca i XXII Tczewskich Dożynek

30 – Uczestnictwo w „PYCHA! fest”

30–31 – Uczestnictwo w „Pomorskim Świącie Wisły”

### **Wrzesień**

01 – Uczestnictwo w obchodach 75. rocznicy wybuchu II wojny światowej

06 – Uczestnictwo w „Jesiennym Pchlim Targu”

17 – Uczestnictwo w obchodach 75. rocznicy napaści Armii Czerwonej na Polskę

20 – Uczestnictwo w pikniku „Pożegnanie lata”

23 – Stworzenie ramki Dawnego Tczewa na rejestrację samochodową

### **Październik**

- 11-12 – Uczestnictwo w konwencie fantastyki Tetkon
- 25-26 – Sprzątanie cmentarzy
- 31 – „Tczewskie Zaduszki” – spacer śladami nieistniejących cmentarzy

### **Listopad**

- 15 – Wydanie kalendarza Dawnego Tczewa

### **Grudzień**

- 17 – Współtworzenie książki „Patroni tczewskich ulic”

## **2015**

### **Styczeń**

- 03 – Odkrycie filmu prezentującego mosty tczewskie z 1941 r.
- 24 – Upamiętnienie 75. rocznicy mordu na „Świńskim Rynku”
- 30 – Konkurs wiedzy o Tczewie w I LO

### **Maj**

- 17 – Zwiedzanie kaplic przy ul. 30 Stycznia
- 24 – Uczestnictwo w majówce na Górkach
- 30 – Uczestnictwo w Dniu Komunalnika i Pracownika Samorządowego

### **Czerwiec**

- 06 – Uczestnictwo w Dniu Dziecka zorganizowanym przez działkowców
- 07 – Uczestnictwo w „Pchlim Targu”
- 17 – Zwiedzanie wystawy z okazji 100-lecia parafii św. Józefa; zawieszenie bandery na os. Garnuszeńskiego w rocznicę ustanowienia Szkoły Morskiej
- 19 – Uczestnictwo w odsłonięciu tablicy upamiętniającej Williego Muscatę; współorganizacja gry miejskiej w parku
- 20-21 – Uczestnictwo w Dniach Ziemi Tczewskiej

### **Lipiec**

- 11 – Inwentaryzacja infrastruktury Parku Miejskiego
- 12 – Wycieczka rowerowa na Żuławy Wielkie
- 19 – Wycieczka rowerowa na Żuławy Gdańskie
- 26 – Wyprawa rowerowa „Do tczewskiego matecznika”

- 30 – Uczestnictwo w spacerze „3 x Tak. Spacer śladami pierwszych lat władzy ludowej”

### **Sierpień**

- 01 – Uczestnictwo w obchodach 71. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego  
02 – Wycieczka rowerowa „Przez sanktuarium do grodu Sobka”  
09 – Rowerowa wycieczka „Lasami do Trzcńska”  
15 – Wyprawa brzegiem Wisły do Knybawy  
23 – Spacer „Tajemnice tczewskiego parku”  
29 – Uczestnictwo w „Krajowych Dożynkach Działkowych”  
31 – Spacer „Od Solidarności do wolności”

### **Wrzesień**

- 05 – Uczestnictwo we „Wrześniowym Targowisku”  
19 – Uczestnictwo w festynie „Pożegnanie lata”

### **Październik**

- 31 – Wydanie gry karciano – planszowej „Zbudujmy Tczew”; sprzątanie zapomnianych cmentarzy; „Tczewskie Zaduszki” – spacer śladami nieistniejących cmentarzy

### **Listopad**

- 13 – Uczestnictwo w spotkaniu „Stop nienawiści – spotkanie z kulturą żydowską”  
16 – Wydanie kalendarza Dawnego Tczewa

### **Grudzień**

- 09–10 – Zwiedzanie Mostu Tczewskiego

**Opracowała Agata Warmbier**

# Odkrycia Dawnego Tczewa

**W ciągu pięciu lat działalności dokonaliśmy kilku większych i mniejszych odkryć, które poszerzają naszą wiedzę o dziejach Tczewa i najbliższej okolicy.**

Większość tych odkryć odbiła się szerszym echem i zainteresowała media.

## Naszyjnik z brązu

W październiku 2015 r. Mirosław Wójcik, nasz forumowicz, podczas spaceru z aparatem fotograficznym w okolicach miejscowości Koźliny, niedaleko Tczewa, znalazł niezwykle artefakt. To, co na początku wydawało się być metalową obręczą, okazało się być jednym z najbardziej zaskakującym odkryć archeologicznych ostatnich lat w naszej okolicy.

Na polu leżała pokryta patyną ozdobna obręcz z brązu. Pan Mirosław skontaktował się z miłośnikami historii skupionymi wokół portalu Dawny Tczew, którego jest sympatykiem, i wspólnie przekazali znalezisko lokalnym archeologom. Potwierdzili oni wagę odkrycia, wiek przedmiotu szacując na najprawdopodobniej około 2700 lat! Archeolog dr Katarzyna Ślusarska z Uniwersytetu Gdańskiego podczas spotkania z mediami przedstawiła szczegóły dotyczące napierśnika. Takie ozdoby były produkowane na Pomorzu w okresie VII–V w. p.n.e. Znalezisko jest fragmentem napierśnika powstałego w kręgu kultury pomorskiej, który mógł się składać z kilkunastu takich pierścieni. Znanych jest z terenów Polski około 50 tego



typu znalezisk, jednak wiele z nich zaginęło w czasie ostatniej wojny. Nie były one noszone jako ozdoby, a raczej były związane z ceremonią pogrzebową, ponieważ prawdopodobnie umieszczano je na urnach twarzowych. Z racji niewielkiej liczby tych zabytków, fragment napierśnika jest cenny dla pomorskiej archeologii. Archeolog Bartosz Świątkowski, który jako pierwszy miał okazję zobaczyć zabytek, podkreśla, że z okresu, z którego pochodzi to znalezisko, dotychczas nie było udokumentowanego osadnictwa w Tczewie. Jak więc ten przedmiot u nas się znalazł? Są dwie możliwości. Albo obręcz została przywieziona wraz z ziemią do budowy wałów przeciwpowodziowych, albo – co jest mniej prawdopodobne – została złożona w tym miejscu wiele wieków temu.

Artefakt został przez Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków przekazany na dalsze badania metaloznawcze i będzie poddany konserwacji. Zajmie się tym Instytut Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Gdańskiego. Mieszkańcy Tczewa będą mogli prawdopodobnie go zobaczyć, o ile w Tczewie będą odpowiednie warunki do przechowywania tak cennego znaleziska.

## **Kamienica Bismarcka**

Jedna z najpiękniejszych tczewskich kamienic, przy ul. Słowackiego 1, przez lata stanowiła dla forumowiczów Dawnego Tczewa sporą zagadkę. Nie potrafiliśmy ustalić przeznaczenia charakterystycznej niszy w ścianie budynku. Jakość dostępnych pocztówek i zdjęć skutecznie uniemożliwiała rozpoznanie postaci na umieszczonym w niej popiersiu, co do którego obecności byliśmy pewni.

Dopiero dzięki archiwalnym zdjęciom ze zbiorów Waldemara Wonsa, w styczniu 2013 r., udało nam się ustalić, że w niszy znajdowało się popiersie kanclerza Niemiec, Ottona von Bismarcka. Nad nim umieszczono fragment przemówienia, wygłoszonego przez Bismarcka w Reichstagu 6 lutego 1888 r.: „Niemcy boją się Boga i (oprócz Niego) niczego na świecie”. Nad napisem znajdowała się pruska lub ówczesna niemiecka flaga. Na elewacji możemy dostrzec również ślady trzech mniejszych męskich

profilu otoczonych ornamentami. Najprawdopodobniej byli to tzw. ojcowie niemieckiego zjednoczenia i współtwórcy ówczesnej potęgi Niemiec: Bismarck, Albrecht von Roon i Helmut von Moltke. Byli oni patronami położonych w jednym ciągu trzech miejskich ulic: von Roon dzisiejszej Kopernika, von Moltke obecnie ul. Lecha i Bismarck ul. Słowackiego. Nie wiemy, czy te propagandowe ślady niemieckości zostały również – tak jak pomnik Wilhelma I przed dzisiejszym Urzędem Miejskim – usunięte 30 stycznia 1920 r., ale pewnym jest, że nie mogły być długo tolerowane w odrodzonym państwie polskim. Jedyną pamiątką po patronie kamienicy, która przetrwała do naszych czasów, jest herb Bismarcka znajdujący się nad oknem na pierwszym piętrze od strony ul. Słowackiego.

## **Dzwon św. Anny odnaleziony w Niemczech**

Chyba nikt nie spodziewał się, że skradziony podczas wojny przez niemieckiego okupanta dzwon „Anna” z parafii pw. św. Józefa w Tczewie przetrwał wojenną zawieruchę. Został odnaleziony dzięki informacjom przekazany forumowiczom Dawnego Tczewa przez Petera Liedtke, prezesa Towarzystwa Przyjaźni Tczew–Witten.

Rok 1935 zakończył się dla parafii św. Józefa na tyle dobrze, że podjęto decyzję o zakupie przynajmniej jednego dzwonu dla nowego kościoła. Zwrócono się o poradę do ks. prałata Wiśniewskiego z Pelplina, który polecił zespół czterech dzwonów. Postanowiono zakupić najmniejszy z nich, dzwon o dźwięku as 1, wadze 580 kg i średnicy 0,97 m, którego cenę oszacowano na 2900 ówczesnych złotych. W sprawie zakupu pertraktowano ze Stoczną Gdańską i z firmą Braci Felczyńskich w Kałuszu, a ostateczny wybór padł na tę drugą firmę. Znalazł się również fundator, którym było parafialne Bractwo Matek. Na dzwonie odlano po jednej stronie obraz św. Anny z napisem: „Św. Anno, Matko Najśw. Maryi Panny, módl się za nami”, a na drugiej: „Dzwon ten ufundowały ofiarne matki Bractwa Matek parafii św. Józefa w Tczewie, ku czci swej niebieskiej Patronki, na uroczystość konsekracji nowego kościoła w dniu 21 czerwca 1936 r.”. Poświęcenia dzwonu dokonał biskup chełmiński Stanisław Wojciech Okoniewski przy okazji

konsekracji nowej świątyni, a 25 czerwca wciągnięty został na wieżę, skąd o godz. 12.00 tego dnia po raz pierwszy jego głos wezwał do modlitwy Anioł Pański.

W trakcie II wojny światowej dzwon został zarekwirowany przez Niemców i przeznaczony na przetopienie w celach militarnych. Inaczej jego historię opisał w książce „Kościół katolicki w Tczewie” ks. dr Jerzy Więckowiak. W publikacji czytamy, iż w 1943 r. dzwon zabrali Niemcy na cele wojenne. Po wojnie został odnaleziony (był poważnie uszkodzony), a w 1953 r. odlano z niego nowy dzwon. Drugi dzwon „Anna” wykonano w ludwisarni „Metalton” w Kętach. Był darem matek z parafii św. Józefa. Przekazały one firmie odlewniczej uszkodzony dzwon „Anna” celem prze-lania go w nowy dzwon z zachowaniem starych inicjałów. Dzwon osiągnął wagę 500 kg, o średnicy 94 cm i tonie zasadniczym a/1.

Prawdziwe losy dzwonu wyglądały jednak inaczej. Został wywieziony do III Rzeszy, konkretnie do Hamburga, na tzw. cmentarz dzwonów, skąd w 1952 r. trafił w ramach odszkodowania do ewangelickiej parafii św. Jakuba w Kronach – Fischbach, w północnej Bawarii. Na stronie internetowej parafii umieszczono nagranie bijących dzwonów oraz umieszczono informację o „Annie”, jego wymiarach, tonacji i treści odlanych w języku polskim inskrypcji.

Czy dzwon kiedykolwiek powróci do Tczewa? Parafia św. Józefa nawią-zała kontakt z parafią w Kronach – Fischbach, ale nie zanosí się na zwrot „Anny”. Na chwilę obecną każdy z nas może posłuchać jej brzmienia w... internecie.

## **Kamienne słupy**

Kto by przypuszczał, że pamiątki po przebiegającej niedaleko od naszego miasta granicy między Polską a Wolnym Miastem Gdańskiem zostaną odnalezione w... Parku Miejskim? A jednak!

W sierpniu 2011 r. moderatorka forum Dawny Tczew, Agata Warmbier, odkryła litery wykute na kamiennych schodach przy murku otaczającym plac zabaw w Parku Miejskim. Wielkość schodów, a także wyryte na nich

symbole „P” i „FD” wskazywały na wykorzystanie do ich stworzenia słupów z międzywojennej granicy polsko-gdańskiej. W latach 1920–1939 najbliżej naszego miasta przebiegała sekcja D granicy. Od Bożego Pola do Wisły odcinek ten liczył ponad 30 km – ustawiono na nim 170 słupów. Litera „P” oznaczała Polskę, a „FD” Freie Stadt Danzig. Po bliższych oględzinach okazało się, że murek zawiera również fragmenty potłuczonych kamiennych słupów. Za ławką przy stawku z żabkami wmurowany jest kolejny słup, jednak bez widocznych wykutych liter. Co ciekawe, połamane słupy zostały wykorzystane także do budowy ogrodzenia willi przy ul. Kołłątaja 10. Na jednym z fragmentów widać wyraźnie literę F. Czy słupy trafiły do parku w czasie okupacji czy już po wojnie? Tego niestety nie byliśmy w stanie ustalić.

We wrześniu 2012 r. odkryliśmy kolejny słup, tym razem po drugiej stronie Wisły, tuż przy Moście Tczewskim. Granica w tym miejscu należała do odcinka E, który prowadził od Tczewskich Łąk (Wiesenau) środkiem Wisły do Mostów Tczewskich, obok Lisewa i dalej środkiem Wisły do początku Nogatu. Liczył ponad 28 km, ustawiono na nim tylko 6 słupów oznaczonych od E001 do E006 po obu stronach mostów. Pozostała linia graniczna biegła środkiem koryta Wisły. Dzięki rekordowo niskiemu stanowi wody w Wiśle jeden ze słupów odnaleźliśmy w miejscu, w którym został zepchnięty przez Niemców do rzeki. Wolontariusze przenieśli go następnie do Fabryki Sztuk, gdzie jest obecnie prezentowany.

Innymi kamiennymi słupami odkrytymi przez Dawny Tczew są tzw. słupy przedprogowe. Znajdują się one w różnych miejscach niedaleko Tczewa (Gniew, Koźliny, wsie na Żuławach Gdańskich), ale w samym miejscu natrafililiśmy tylko na jedną parę. Po obu stronach schodów prowadzących do budynku dawnego browaru przy ul. Zamkowej, niewiele ponad poziom chodnika wystają dwa kamienie tego typu. Na jednym z nich znajduje się napis „Anno”, na drugim data „1864”. Pierwotnie słupy tego typu pochodzą z okresu Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Prawdopodobnie data 1864 została wykuta później, ponieważ w słupach tego typu napisy powinny być wypukłe. Kilkanaście centymetrów poniżej mogą znajdować się tzw.

gmerki, czyli oznaczenia będące czymś w rodzaju herbu właścicieli. Nie udało się ustalić skąd słupy pochodzą, może pierwotnie znajdowały się przed wejściem do którejś z kamienic na rynku Starego Miasta?

## **Mosty w filmie z okresu wojny**

W styczniu 2015 r. koordynator naszego forum, Wojciech Giełdon, na stronie Archiwum Karla Höffkera odnalazł filmy prezentujące mosty tczewskie w 1941 r. Jeden z nich był kolorowy, co jeszcze bardziej podniosło rangę odkrycia.

Forumowicze od trzech lat szukali podobnych nagrań. Byliśmy pewni, że Niemcy będą chcieli się pochwalić szybką odbudową mostu kolejowego po jego wysadzeniu przez polskich saperów 1 września 1939 r. Most stał się przejezdny jeszcze w październiku tego samego roku. Wcześniej znanych było kilka krótkich filmowych ujęć wysadzonych mostów, wydawało się więc oczywiste, że zwieńczenie ich odbudowy już po kilku tygodniach prac stanie się świetnym tematem dla propagandzistów III Rzeszy.

Pierwszy i najdłuższy film wykonano w latach 1940–1942. Jego autorem jest niemiecki lekarz wcielony do Wehrmachtu, który wykonał nagrania przedstawiające także Gdańsk i Malbork. Pojawia się też panorama Tczewa i słynne mosty. Drugi film to zaledwie kilkunastosekundowe, dość słabej jakości ujęcie, wykonane podczas przejazdu pociągiem przez most kolejowy. Za to trzecie nagranie to absolutny unikat, bo w kolorze, dokumentujący przejazd po pierwszej wersji odbudowanego przez Niemców mostu w październiku 1939 r. Film został zaprezentowany w „Teleexpressie”, co było wyśmienitą promocją naszego największego zabytku.

## **Wiślane skarby**

W sierpniu 2012 r., korzystając z rekordowo niskiego stanu wody w Wiśle, odbyliśmy spacer jej brzegiem w poszukiwaniu historycznych pamiątek. Odnaleźliśmy m. in. fragmenty średniowiecznej i późniejszej ceramiki, w tym charakterystyczny trójnóżek służący do podgrzewania potraw. We wrześniu tego roku, na lisewskim brzegu rzeki niedaleko

mostów, odkryliśmy fragment drewnianego statku. Jak się później okazało była to szkuta wiślana. Marek Grześ, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, hydrolog i glaciolog, stwierdził, że pochodzi z XVIII w., co można rozpoznać po kutyach, kwadratowych gwoździach. Fragment łodzi został przetransportowany do Muzeum Wisły.

## **Nagrobki z nieistniejącego cmentarza**

Od początku naszej działalności staraliśmy się o godne upamiętnienie nieistniejących tczewskich cmentarzy. Poszukiwaliśmy również pochodzących z nich nagrobków, które zostały użyte w różnych punktach miasta jako... materiał budowlany i chodniki.

W lipcu 2012 r., dzięki zdjęciom Iwo Dylkiewicza i zgłoszeniu właścicieli jednego z budynków na Starym Mieście, wydobyliśmy 9 płyt nagrobnych użytych jako posadzka w piwnicy i chodnik na podwórzu kamienicy. W tym samym miesiącu, w trakcie remontu ul. Chopina, pod asfaltem zauważyliśmy fragmenty marmuru. Po wydobyciu pierwszego z nich naszym oczom ukazała się część z napisem *Geb. i Ges.*, co ewidentnie wskazywało na fragment nagrobka („Urodzony” i „Zmarły”). Zgłosiliśmy to do władz miasta, które bezzwłocznie podjęły decyzję o oddzieleniu ich od bruku i składowaniu w bazie Zakładu Usług Komunalnych. Dodatkowo wolontariusze z Dawnego Tczewa przeszukali hałdę bruku pochodzącą z ul. Chopina i odnaleźli jeszcze kilkanaście fragmentów nagrobków. Łącznie na tej ulicy wydobyto ich ponad 200. We wrześniu 2014 r. dołączyły do nich fragmenty z chodnika przy ul. Czyżykowskiej. Osobne działania podejmowaliśmy przy cmentarzu żydowskim na górze przy szosie Bałdowskiej. Zebraliśmy macewy i ich fragmenty zepchnięte ze wzgórza, a następnie umieściliśmy na cmentarzu.

## **Kaplica Pamięci Kombatantów**

Kościół poddominikański pw. św. Stanisława Kostki skrywa wiele tajemnic. Jedną z nich jest przeznaczenie niewielkiej niszy znajdującej się po lewej stronie od wejścia do kościoła. Pierwotnie była to zapewne kruchta przy

bocznym wejściu. Otwór drzwiowy w jej północnej elewacji został zamurowany z początku tylko do poziomu okna nad drzwiami, co potwierdza inny kolor cegieł. Dopiero później zamurowano okno znajdujące się nad nim i okna po bokach. Jaki był powód zamurowania wejścia z zewnątrz do tej przybudówki?

Z książki Otto Korthalsa „Chronick des Kreises Dirschau” dowiadujemy się, że dla uczczenia pamięci ofiar I wojny światowej umieszczono w kościele św. Jerzego (bo takie wówczas wezwanie nosił kościół „szkolny”), na specjalnej dębowej tablicy pamiątkowej, nazwiska trzystu poległych ewangelików. Poszukując miejsca jej lokalizacji natrafiliśmy na opublikowany w wydanej w Witten w 1960 r. publikacji pt. „700 Jahre Stadt Dirschau” szkic malarza Bernharda Theodora Dietricha, który przedstawia właśnie przygotowaną w 1924 r. Kaplicę Pamięci Kombatan-tów. Na szkicu widzimy po lewej tablicę w kształcie odwróconej herbowej tarczy z widocznym krzyżem, czyli oczywistą symboliką militarną. We wnętrzu widzimy pięć tablic (przypuszczalnie było ich więcej), na których mogły znajdować się listy z nazwiskami i wojskowymi stopniami poległych. Dopełnieniem wystroju są lichtarze ze zwierciadłami i ławeczki przy ścianach. Widoczne są również empory znajdujące się kiedyś w kościele szkolnym. Wizja lokalna rozwiała wszelkie wątpliwości. Mimo zmian we wnętrzu kościoła można łatwo zauważyć podobieństwo do obecnie pustej niszy. Co stało się z tablicami z nazwiskami poległych? Niestety nie wiadomo. Prawdopodobnie zostały zdjęte po II wojnie światowej, w momencie, kiedy kościół trafił w ręce katolików.

**Opracował Łukasz Brządkowski**

## Noty o autorach

**Łukasz Brządkowski** – politolog, współtwórca portalu Dawny Tczew – Wirtualne Muzeum Miasta, w latach 2011–2016 jego koordynator. Zajmuje się przede wszystkim realizacją inicjatyw i pomysłów zrodzonych na forum Dawnego Tczewa, a także promocją historii miasta.

**Gabriela Burclaw** – polonistka i bibliotekarka, w szkolnej bibliotece wykorzystywała umiejętność szybkiego wyszukiwania informacji w książkach. Teraz jako emerytka aktywnie udziela się na forum Dawnego Tczewa. Z wielką pasją szpera w zasobach bibliotek cyfrowych, odkrywając w nich perełki o naszym mieście. Po odnalezieniu takowych umieszcza je na forum Dawnego Tczewa.

**Wojciech Giełdon** – nauczyciel, urodził się i mieszka w Tczewie. Uczestniczy w działaniach Dawnego Tczewa nieomal od dnia jego powstania. Od 30 stycznia 2016 – koordynator DT. Odnajduje przyjemność w wyszukiwaniu tczewskich ciekawostek w zasobach bibliotek cyfrowych.

**Jadwiga Koc-Kullas** – nauczyciel wychowania przedszkolnego, aktywna forumowiczka portalu Dawny Tczew. Lubi spacerować, przejażdżki rowerowe i spędzanie wolnego czasu na łonie przyrody. Interesuje się roślinami, architekturą krajobrazu i wnętrz. Miłośniczka dobrej komedii, kryminałów oraz teatru.



**Agata Warmbier** – magister ekonomii, pełni funkcję moderator Forum Dawny Tczew, a jako opiekunka forum służy pomocą nowym użytkownikom. Pasjonuje ją odnajdywanie śladów historii na murach tczewskich kamienic oraz poszukiwanie ciekawostek na łamach dawnej prasy.

**Przemysław Zieliński** – dziennikarz lokalnych mediów, obecnie redaktor prowadzący oddziału “Dziennika Bałtyckiego” w Tczewie. Polito-  
log z wykształcenia, a prywatnie miłośnik historii, dobrej kuchni i jeszcze  
lepszyc książek. W planach ma odwiedzenie wszystkich zamków krzyżac-  
kich i przejście pieszo wybrzeża Bałtyku. Moderator forum Dawny Tczew.

**Mirosław Zawadzki** – urodzony w 1964 r. we Wrocławiu. Z wykształ-  
cenia inżynier mechanik, absolwent Politechniki Wrocławskiej. Od 1988 r.  
mieszka w Gdańsku. Zawodowo związany z Tczewem od 1999 r. Uczest-  
nik Forum Dawnego Tczewa od 2012. Historią Polski zafascynowany od  
szkoły średniej. Szczególnie interesuje się dziejami Pomorza Gdańskiego  
i Prus.

# Podziękowania

Powstanie niniejszej publikacji nie byłoby możliwe bez pomocy i wsparcia wielu osób. Podziękowania zechcą przyjąć osoby, które udostępniły fotografie i pocztówki ze swoich zbiorów: Remigiusz Czapliński, Józef Golicki, Andrzej Kopyłowicz, Bartosz Listewnik, Jan Mehlich, Tomasz Rajkowski, Leszek Rochoń, rodzina Richert i Rosinek, Adam Samulewicz, Damian Wescamp, Stanisław Zaczyński. Większość zdjęć została udostępniona na Forum Dawnego Tczewa, pozostałe pochodzą z następujących publikacji: Sławomir Bartosik, Miłosz Bogdański, Robert Senkowski *Katastrofy, awarie uszkodzenia w polskim lotnictwie wojskowym 1961–70*; Józef Golicki *Album tczewski 1900–1945: szkolnictwo i gospodarka Tczewa*; kronika Spółdzielni Mieszkaniowej w Tczewie; kronika *Tydzień Działkowca 1960*; Dietrich Kutschik *Lokomotiven von Borsig*; Georg Mehrrens *Zeitschrift für Bauwesen*; Frank Muscate *Geschichte der Familie Muscate 1473–1940*; M. Otto-Michałowska *Gotyckie malarstwo tablicowe w Polsce*; Kazimierz Robak *Michał Leszczyński-Lester*; J. Wenzel *Ćwierćwiecze władania miastem* oraz stron internetowych: [www.diariollanquihue.cl](http://www.diariollanquihue.cl), [www.irishbrigade.eu](http://www.irishbrigade.eu), [www.konflikty.pl](http://www.konflikty.pl), [www.kpbc.umk.pl](http://www.kpbc.umk.pl), [www.marienburg.pl](http://www.marienburg.pl), [www.zeglujmyrazem.com](http://www.zeglujmyrazem.com).

Osobne podziękowania należą się Mirosławowi Dillerowi, prezesowi oddziału tczewskiego Spółdzielni Prac Usług kominiarskich z Gdańska, za udostępnienie zasobów dzięki którym powstała oprawa graficzna książki.

Książka została sfinansowana dzięki środkom Gminy Miejskiej Tczew i Starostwa Powiatowego w Tczewie, a także wsparciu Banku Spółdzielczego w Tczewie, Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Tczewie oraz Gdańskiej Spółdzielni Prac Usług Kominiarskich Oddział w Tczewie.

Czy bez interesów prowadzonych w Tczewie Heinrich Schliemann nigdy nie odkryłby legendarnej Troi? Czy będący jeńcem podczas I wojny światowej w naszym mieście Irlandczyk uratował przed linczem Adolfa Hitlera? Co wspólnego z Samborem II miała św. Jadwiga Królowa, a tczewska fabryka ciastek z germanizacją Pomorza? Jakie koronowane głowy, nie tylko z Europy, ale i całego świata, pojawiały się na tczewskim dworcu?

Wielka historia często kroczy małymi krokami. Jej ślady znajdziemy także w Tczewie. Przez 5 lat istnienia Wirtualnego Muzeum Miasta Dawny Tczew staramy się nimi poruszać. Znaleźliśmy ich wiele, wciąż nie przestajemy tego robić, ale mamy nadzieję, że ta przygoda będzie trwała znacznie dłużej. I że w podróż do przeszłości grodu nad Wisłą zabierzecie się razem z nami.

Obiecujemy, że nie będziecie się nudzić, a z wyprawy w czasie wrócić z wypiekami na twarzy i poczuciem, że chcielibyście zrobić to raz jeszcze.

Dzieje Tczewa potrafią zaskakiwać. Wydawałoby się, że średniej wielkości miasto ma niewiele w tej materii do zaoferowania. W naszej pierwszej publikacji postanowiliśmy udowodnić, że jest zupełnie inaczej. Zapraszamy do lektury!

Publikacja została sfinansowana ze środków Gminy Miejskiej Tczew i Powiatu Tczewskiego oraz przy wsparciu Banku Spółdzielczego w Tczewie, Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Tczewie i Spółdzielni Usług Kominarskich w Gdańsku Oddział w Tczewie.



ISBN 978-83-945220-0-1



PROLOG